



JULIE ANNE LONG



Ryzykowne rozkosze

Cykl: „Pennyroyal Green” - 01

Prolog

Jak w każdą sobotę, w gospodzie Pod Świniakiem i Ostem w Pennyroyal Green na szachownicy trwała zacięta czarno-biała bitwa, a Frances Cooke i Martin Culpepper - niczym posiwiali generałowie wrogich armii - jak zwykle pochylali się nad planszą na honorowym miejscu przy kominku.

Poza tym nic w Green nie wyglądało dzisiaj tak jak zwykle.

Ned Hawthorne przerwał zamiatanie podłogi, która i tak już lśniła czystością. Nie minęło jeszcze nawet południe, a karczma już była wypełniona po brzegi. Wśród gości siedzących przy podniszczonych stołach rzucali się w oczy zwłaszcza ci mieszkańcy Pennyroyal Green, którzy nie bywali tutaj często. Na przykład proboszcz, który - Ned był tego pewien - nie wypije ani kropelki, i tajemnicza panna Marietta Endicott, która pofatygowała się ze swojej pensji dla panienek na wzgórzu za miastem. W tłumie widać było też kilku Cyganów z taboru, który na lato zatrzymał się na przedmieściach Pennyroyal Green - skrzypce jednego z nich zwisały smętnie w opuszczonej dłoni.

Ned Hawthorne, potomek wielu pokoleń szynkarzy spod Świniaka i Ostu, jeszcze nigdy nie widział tylu ponurych twarzy naraz.

A w dodatku nikt nic nie pił.

Na litość boską, jeżeli mają zamiar oplakiwać Colina Eversea, ktoś powinien wreszcie zacząć.

- Wiecie co, to była tylko kwestia czasu, żeby Colina w końcu powiesili - rzucił w przestrzeń.

Te słowa przerwały tamę. Niektórzy zaczęli głośno przytakiwać, a z innych stron rozległy się okrzyki sprzeciwu.

- Dobrze gadasz. Skoro wreszcie wieszają jakiegoś Eversea, musiało paść na niego - odezwał się ktoś.

- Gdzie tam, Colin to dobry chłopak! - obruszył się gwałtownie ktoś inny. -
Lepszy od niejednego!

- Może i dobry, ale w łajdaczeniu się - krzyknął kolejny głos. W
powszechnym rozbawieniu niemal zginęło kilka nieśmiałych protestów.

- No, w każdym razie miał złote serce - wtrącił jakiś dyplomata od strony
kominka. - Nie powiecie, że nie.

- Był mi winien pięć funtów! - zawołał oburzony jegomość z głębi sali. -
Złamanego grosza już z tego nie zobaczę.

- Sam żeś sobie winien. Kto ci kazał się zakładać z Colinem? Jeden po drugim
głosy umilkły i znowu zapadła cisza.

Po chwili ktoś odchrząknął i rzucił nieśmiało:

- Pamiętacie tę historię z hrabiną?

- A z tą aktorką?

- Albo z tamtą wdową?

- No i te jego wyścigi konne.

- I jak grał w karty.

- Albo te jego pojedynki!

I znowu głosy zaczęły się przekrzykiwać, to przeklinając, to chwając Colina
Eversea.

No, teraz lepiej, pomyślał Ned. Kiedy ludzie się kłócą, lubią sobie przepłukać
gardło.

I rzeczywiście, słynne jasne i ciemne piwo podawane Pod Świniakiem i Ostem
popłynęło strumieniami z kurków na barze, a z odgłosem płynu wlewanego do kufli
mieszał się ukochany dźwięk Neda: brzęk monet sypanych na ladę i na blaty stołów.
Wkrótce każdy miał przed sobą coś do picia.

Nie odwracając się, Ned wyciągnął w bok rękę ze szczotką. Nawet w tym
zgiełku i rozgardiaszu na cześć Colina Eversea zdołał usłyszeć kroki swojej córki
Polly. Rozpoznałby je zawsze i wszędzie.

Polly nie wzięła od niego szczotki, potrząsnął więc kijem, żeby zwrócić jej uwagę. Kiedy i to nie pomogło, zerknął za siebie i westchnął zrezygnowany. Oto, co zobaczył: załzawione, czerwone, podpuchnięte oczy, zboląła mina, zmierzwiłone włosy.

- Daj spokój, Polly...

- Ale papo, ja go tak kochałam.

- Nieprawda, kochanie - tłumaczył jej cierpliwie. - Uśmiechnął się do ciebie może ze dwa razy. To jeszcze nie miłość.

Polly pociągnęła nosem.

- Więcej nie było trzeba.

To właśnie był cały Colin Eversea, przeklęty drań.

Nie było dziś Pod Świniakiem i Ostem kobiety - począwszy od siedemnastoletnich podlotków (jak Polly), a na siedemdziesięcioletnich matronach skończywszy - która by nie miała z jego powodu wilgotnych oczu; niektóre całkiem otwarcie ocierały łzy. Ba, nawet mężczyźni pociągali nosami. I trudno się dziwić. Colin był najbardziej uroczym rozpustnikiem, jakiego od dziesięcioleci wydał ród Eversea. Był też jednym z najlepszych klientów Neda, a już za parę godzin ów zacny obywatel Pennyroyal Green miał zawisnąć na szubienicy.

Nagle jakiś dżentelmen w obszernym płaszczu, zwykły niewinny podróżny, który wstąpił tu, jeszcze zanim zebrał się tłum, i dał się skusić na szklanicę ciemnego, popełnił poważny błąd.

Mianowicie nachylił się w stronę Francesa Cooke'a, który siedział przy szachownicy, i zapytał:

- Przepraszam szanownego pana... ale czy dobrze rozumiem, że Colin Eversea, „Szatan z Sussex”, pochodzi z waszego miasta?

Culpepper westchnął teatralnie, odsunął krzesło od szachownicy, założył ręce na piersi i zapatrzył się w belki na suficie.

- Pierwszy raz w Pennyroyal Green, co, synu? - głos Francesa był łagodny, lecz mimo to donośny. Dziwny miał głos ten Frances Cooke. Można by powiedzieć... głos wieszcz. Zagorzałe dyskusje ucichły w okamgnieniu.

Wszyscy wiedzieli, czego się spodziewać.

- Tak, proszę pana - odparł pogodnie nieznajomy. - Przejeżdżałem tędy w drodze do Brighton i mój koń zgubił podkowę. Czekam, aż mi go kowal podkuje. Nazywam się William Jones.

- Serdecznie witamy, panie Jones. - Frances Cooke wyciągnął rękę do gościa.

Frances był wysoki, chudy i na pozór wąły niczym młode drzewko na wietrze. Włosy miał przerzedzone, za to brwi tak ruchliwe i krzaczaste, że można je było wziąć za jakieś zwierzątko futerkowe. Na czubku nosa, który przywodził na myśl czasy, gdy Brytanią rządili Rzymianie, tkwiły okulary. Frances Cooke wiedział prawie wszystko: znał historię każdego nazwiska wyrytego na chylących się ku ziemi nagrobkach na miejskim cmentarzu; wiedział, skąd wzięto kamień na budowę miejscowego kościoła, że pod jego fundamentami są ruiny pogańskiej świątyni druidów i że drewno stolika, przy którym siedzi, pochodzi z Ashdown Forest.

I nie miał żadnych oporów, żeby się tą wiedzą dzielić z innymi.

- No tak. Opowieść o Colinie Eversea to ciekawa historia. Ale żeby ją dobrze opowiedzieć, trzeba nam się cofnąć jeszcze do czasów Wilhelma Zdobywcy.

- Wielkie nieba! Aż tak daleko? - zadrwił pan Jones.

Stary Cooke długo spoglądał na niego w milczeniu, wreszcie zapytał cicho:

- Ciekaw jestem, panie Jones, czyś pan widział te dęby, co rosną obok siebie zaraz przy wjeździe do miasta?

- A i owszem. Dwa wielgachne drzewa. Ładne jest to wasze miasteczko.

Cooke tylko pokiwał głową, jakby to rozumiało się samo przez się.

- Powiadam panu, panie Jones, że te drzewa ledwo odbijały od ziemi, kiedy Wilhelm Zdobywca postawił stopę na angielskim brzegu. Przez stulecia ich korzenie

tak się ze sobą splątały, że teraz, aby ustać i się nie przewrócić, muszą się opierać jedno na drugim. I to właśnie... - Frances zawiesił głos i pochylił się do przodu, a wszyscy na sali pochylili się bezwiednie w jego stronę jak za pociągnięciem sznurka.

- ...i to właśnie, mój przyjacielu, stanowi wyjątkowo trafną metaforę rodzin Eversea i Redmondów. Obie mieszkały tutaj, zanim Pennyroyal Green otrzymało swoją nazwę i zanim postawi tu stopę Zdobywca. A zadawnione właśnie i sekrety wiążą je ze sobą i są ich przekleństwem aż do dziś dnia.

Podróżny, oczarowany opowieścią, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Waśnie i sekrety? - zdołał wreszcie rzec. - Jakie znowu właśnie i sekrety?

Wszyscy w gospodzie byli wyraźnie dumni, że opowieść wywiera na przybyszu odpowiednie wrażenie. Zapanowała cisza i ogólna zaduma. Tylko od czasu do czasu rozlegało się tu i ówdzie siorbnięcie z kufła, ku wielkiemu zadowoleniu Neda Hawthorne'a.

- A cóż by to były za sekrety, mój panie, gdyby wszyscy je znali? Niektórzy powiadają, że spór zaczął się w chwili, kiedy pewien Anglosas, Redmond, rozłupał czaszkę pewnemu Normanowi, to był z kolei Eversea, gdzieś około roku 1066. Ale Redmondowie twierdzą, że wszystko zaczęło się wcześniej, w czasach gdy nasi przodkowie nosili jeszcze skóry. Mówią, że któryś Eversea ukradł Redmondom krowę.

Pan Jones zaśmiał się niepewnie.

- No i co? Udowodnili coś w sprawie tej krowy?

- Jeśli idzie o rodzinę Eversea, to nikt im nigdy niczego nie udowodnił - odezwał się jakiś zrzędlawy głos z tyłu sali.

Frances Cooke zignorował tę uwagę.

- Tak to właśnie wygląda, panie Jones - podjął z uśmiechem. - Dzisiaj obie rodziny są równie znaczące i bogate, lecz plotka głosi, że tamta krowa to był

początek drogi, na której ród Eversea zdobył swoją fortunę. Bo widzisz pan, bardzo przyjemni z nich ludzie, chodzą jednak słuchy, że miesza w rodzinie piratów, a nawet przemytników. Ba, bywało jeszcze gorzej. Porwania, kradzieże. Przez lata uzbierało się tych plotek, a wiadomo, że w każdej plotce tkwi ziarnko prawdy. Ale do dziś dnia nikt nie wie, jak doszli do takiego majątku, i nikt im niczego nie udowodnił. Właśnie dlatego tak nam trudno pojąć, wszystkim jak tu siedzimy, jak to możliwe, że Eversea pójdzie na szubienicę za zabicie krewnego Redmondów w zwykłej karczemnej awanturze. Dlaczego właśnie teraz, po tylu latach? Pan Jones zastanawiał się chwilę.

- W takim razie jak pan uważa, czy powieszenie Colina Eversea będzie sprawiedliwe?

Frances Cooke oparł brodę na rękach i zerknął ku belkowanej powale.

- To zależy, jak kto rozumie sprawiedliwość, panie Jones. Powiadają, że w każdym pokoleniu ktoś z rodu Eversea łamie serce komuś z Redmondów albo na odwrót. A Lyon Redmond, najstarszy syn, przepadł bez wieści przed kilku laty i Redmondowie są pewni, że to przez Oliwię Eversea, najstarszą córkę, która złamała mu serce.

Zapadła cisza. Wszyscy w miasteczku znali tę historię, tylko przybyszowi trudno było w nią uwierzyć.

- Ale chyba wyrażę zdanie nas wszystkich - Cooke przebiegł wzrokiem po mieszkańcach miasteczka - kiedy powiem, że jestem zdumiony, iż doszło do tego wyroku. I uważam, że świat bardzo straci, gdy nie będzie już na nim Colina Eversea.

Zebrani westchnęli zgodnie, tylko z kąta dobiegł zrzędlawy pomruk.

- ...winien pięć funtów!

- Wypijmy za Colina Eversea! - Frances Cooke podniósł głos i kufel z piwem.

- Za rozpustnika, łajdaka, kobieciarza...

- I przyjaciela - dokończył stanowczo Ned Hawthorne.

- I przyjaciela! - W tym pożegnalnym okrzyku mieszały się ze sobą szczery żal, sympatia i drwina.

Wszystkie kufle uniosły się w toaście i piwo polało się do gardeł. Gdy ręce ocierały pianę z ust, palce starego Culpeppera podkradły się do królowej Cooke'a i wolniutko przesunęły ją na inne pole.

Frances Cooke był królem miejscowych gawędziarzy, ale to Martin Culpepper zwykle wygrywał w szachy.



Rozdział 1

Colin Eversea mógł zakończyć żywot na tysiąc różnych sposobów - na przykład tonąc w rzece Ouse w wieku lat sześciu albo spadając z drabinki podtrzymującej pnącą różę, po której wspinał się do sypialni lady Malmsey dwadzieścia lat później - ale jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że zawisnie na szubienicy. Ilekroć zastanawiał się nad swoim życiem (a trzeba przyznać, że było się nad czym zastanawiać), wyobrażał sobie, że wyda ostatnie tchnienie, leżąc u boku pięknej Louisy Porter z Pennyroyal Green, po trzech albo czterech dekadach udanego małżeństwa.

Nigdy, przenigdy nie spodziewał się, że ostatnie godziny spędzi w zimnej, wilgotnej celi więzienia Newgate, w towarzystwie cierpiącego na wzdęcia złodzieja o przywisku Parszywy Jack.

Teraz Colin i Parszywy Jack siedzieli w więziennej kaplicy i słuchali, jak kapelan grzmi z ambony, opisując piekielne męki, jakie ich czekają, kiedy stryczek wyciśnie z nich dusze. Po kazaniu zdejmą im kajdany z nóg, zwiążą ręce za plecami i zaprowadzą na szafot wzniesiony za bramą więzienia.

Parszywy Jack zachowywał się jak znudzony łobuziak, który musi siedzieć w szkole, chociaż na dworze jest piękna pogoda. Wydłubywał sobie brud spod paznokci i raz po raz bekał donośnie, waląc się przy tym w pierś, żeby lepiej niosło. Potem odchyłał się w ławice i ziewał przeciągle, strasząc kapelana widokiem bezzębnej czeluści swojej paszczęki. Krótko mówiąc, zgrywał chojraka; niestety publiczność, która przyszła nacieszyć oczy widokiem skazańców dręczonych przedśmiertnym kazaniem, zupełnie nie zwracała na niego uwagi.

Bo to Colina przyszli zobaczyć.

Gapili się przez kraty w oknach kaplicy, ciekawi, jak człowiek z krwi i kości ma się do rycin z gazet, które trzymali w rękach. Żaden portret nie był w stanie

oddać uroku Colina: swobodnego wdzięku, z jakim się poruszał, jego wyrazistych oczu i szlachetnych rysów. Mimo to od tygodni w brukowcach ciągle pojawiały się jego podobizny, każda następna bardziej skandaliczna od poprzedniej. Nic bowiem tak nie trafia do gustu Anglikom jak przestępca z fasonem, zwłaszcza jeśli jest przystojny.

Ian, brat Colina, pokazał mu jedną z rycin: miał na niej szatańskie rogi i ogon, a w ręku dzierżył wielki nóż - który przypominał raczej szablę - ociekający krwią.

Autor podobizny wykazał się rzadką dbałością o wierność szczegółów: „ubrał” Colina we frak od Westona.

- Kubek w kubek podobny do ciebie - orzekł Ian.

- Nie gadaj bzdur. - Colin oddał bratu gazetę. - Moje rogi są o wiele większe.

Ian już rozciągał usta w uśmiechu, ale nagle znowu spochmurniał, bo przypomniał sobie, jak Colin po raz pierwszy ustrzelił jelenia w lesie lorda Atwatera.

Nie powiedział tego głośno. Mieli mnóstwo wspomnień, a każde bolało teraz jak otwarta rana. Wyciągnąć na światło dzienne tylko jedno oznaczałoby w jakiś sposób zlekceważyć pozostałe. Toteż wcale nie wspominali.

Zamiast tego wymieniali błahe żarciki na temat popularności Colina w gazetach.

- Możesz to oprawić? - rzekł Colin, wskazując swoją podobiznę. - Złota rama powinna pasować jak ulał.

Powiedział to głównie na użytek strażnika, który kręcił się w pobliżu, skrupulatnie notując jego komentarze, żeby je potem sprzedać prasie. Bo Colin Eversea był już nie tylko chodzącą legendą - można było na nim nieźle zarobić. Pojawiła się nawet ballada śpiewana na rogach ulic, na deskach teatrów i w podrzędnych lokalach. Pierwsza zwrotka brzmiała tak:

*Dzisiaj na targu powiedzieli mi,
Że będą wieszać Colina Eversea.*

*Już nie pożyje chłopak dłużej,
Zatańczy w słońcu nam na sznurze,
Więc chodźmy wszyscy wraz!
Śpiewajmy jeszcze raz!*

Gdy prośba o ulaskawienie Colina trafiła do rąk sędziego, jego bracia, pewni, że wszystko dobrze się skończy, podpisywali do tej piosenki własne zwrotki. Większość traktowała o jego łózkowych wyczynach albo o rozmiarach jego męskości.

Bo przecież od tego ma się braci.

Ironia losu polegała na tym, że Colin przez całe życie starał się wyróżnić na tle gromadki rodzeństwa i zdobyć uznanie ojca. Wstąpił nawet do wojska. Niestety, wrócił z wojny nietknięty, podczas gdy taki Chase do dziś utykał na jedną nogę. Ian też został ranny. Inna sprawa, że ojciec, Jakub Eversea, zawsze traktował go z dystansem. Pewnie dlatego, że był najmłodszy z czwórki braci i od dziecka zapowiadał się na istne utrapienie dla rodziców. Jakub uznał najwyraźniej, że nie warto inwestować ojcowskich uczuć w syna, który albo zginie w pojedynku, albo skręci kark w wyścigu konnym, albo zleci z drabinki, po której wspinał się do okna zamężnej hrabiny.

Los chciał, że Colin dokonał tego, co wcześniej nie udało się żadnemu Eversea: dał się złapać.

Uczyliło go to najślynniejszym z rodu, mimo że - kolejna ironia losu - nie był winny morderstwa. Kiedy wpadli stójkowi, zastali go z ręką zaciśniętą na nożu wystającym z piersi Rolanda Tarbella, ale jedyny świadek zbrodni - Horacy Peele, właściciel psa o trzech nogach, który wabił się Łapaj - dosłownie rozpląnął się w powietrzu, a jedyny świadek zniknięcia owego świadka utrzymywał, że Horacy został porwany przez ognisty rydwan...

Cóż, w takich okolicznościach trudno się dziwić, że przysięgli uznali go za winnego.

Zadziwiająco było jednak, iż kolejne petycje jego rodziny z prośbą o ułaskawienie spotykały się z odmową. Nawet negocjacje w sprawie zamiany kary śmierci na zesłanie zostały „z ogromnym żalem” odrzucone.

Jestem niewinny! - wołał w duchu, i właśnie wysiłek, żeby nie wykrzyczeć tych słów na całe gardło, niespodziewanie objawiał się w postaci perełek dowcipu, które potem strażnicy sprzedawali brukowcom. Colin czuł się schwytyany w niewidoczną sieć, na którą składały się co mroczniejsze kawałki rodzinnej historii i... jego własne podejrzenia.

Teraz Marcus Eversea, jego najstarszy brat, ten sam, który przed laty wyciągnął ociekającego wodą Colina z rzeki Ouse, będzie się budził u boku Louisy Porter przez najbliższe czterdzieści czy pięćdziesiąt lat.

Ian powiedział o tym Colinowi, myśląc, że go tą wiadomością pocieszy. Marcus podjął się zabezpieczyć przyszłość Louisy, więc oczywiście przyjęła go z wdzięcznością. Zamiast pociechy ta nowina wzbudziła w Colinie podejrzenia, które uwierały go jak cierń, tak że w nocy nie mógł spać. Chociaż więzienie nie przypominało uzdrowiska i nikt za dobrze w nim nie sypia.

Colin miał pewien dar, wypływający po części z tego, że musiał walczyć o przetrwanie w tłumie rodzeństwa: był wyjątkowo spostrzegawczy. Dzięki temu wiedział coś, czego prawdopodobnie nikt oprócz niego się nie domyślał - że Marcus pokochał Louisę, kiedy miał trzynaście lat, na tym samym pikniku w Pennyroyal Green, podczas którego zakochał się w niej Colin.

Za tydzień Marcus ożeni się z Louisą.

A za godzinę Colin będzie wisiał.

W miejskiej rezydencji rodziny Eversea na placu Świętego Jakuba panowała tak grobowa cisza, że dwa ptaszki, które wyśpiewywały trele w ogrodzie, było słyhać jak solistkę na scenie opery. Ich trele, z licznymi pasażami, ozdobnikami i zawieszeniem głosu przed wyjątkowo wysoką nutą, niosły się echem przez wszystkie pokoje.

Nie mają za grosz wycucia, pomyślał Marcus Eversea.

Jego ojciec Jakub, matka Isolda i całe rodzeństwo - bracia Ian i Chase, siostry Genevieve i Olivia, wreszcie sam Marcus - siedzieli w saloniku ubrani w żałobną czerń, w której było im bardzo do twarzy. Czerń bowiem znakomicie pasowała do ciemnych włosów, jasnej karnacji i błękitnych oczu, jakimi większość z nich mogła się poszczycić. Wprawdzie Chase i Marcus mieli ciemne oczy, ale Colin... no cóż, Marcus nigdy nie potrafił opisać jego oczu. Colin zawsze był wyjątkowy.

Surowo im zabronił pokazywać się dzisiaj w okolicach Old Bailey, gdzie miała się odbyć egzekucja.

- Wykluczone - upierał się. - Chcę, żebyście czekali na placu Świętego Jakuba, wspominali mnie, jeśli tylko będziecie w stanie o mnie mówić, a później odebrali ciało. I pamiętajcie, że trumna ma być wyściełana błękitnym jedwabiem, z mosiężnymi uchwytyami i dobrym zamknięciem.

Colin zawsze dobrze wiedział, czego chce.

Na przykład zawsze chciał Louisy Porter. Teraz Louisa, która wkrótce miała przyjąć nazwisko Eversea, siedziała z nimi w salonie - razem, ale jakby osobno, odsunięta od pozostałych, zatopiona w głębokim fotelu. Dłonie złożyła na kolanach i zaciskała jedną na nadgarstku drugiej, jakby chciała powstrzymać się przed...

Przed czym? Marcus nie wiedział. Przed rozerwaniem sukni w rozpacz albo szarpaniem włosów z głowy? Nie, raczej nie. Wdzięk i uroda stanowiły cały posąg Louisy, nie mogła więc sobie pozwalać na folgowanie dramatycznym impulsom. Taka na przykład panna Violet Redmond była mistrzynią dramatyizmu. Raz podczas sprzeczki z kawalerem zagroziła, że rzuci się do studni, i nawet przełożyła nogę przez cembrowinę, nim przerażony zalotnik zdołał ją odciągnąć. Po tym wydarzeniu kawaler - niegłupi człowiek - zwał gdzie pieprz rośnie. Dobry Boże. Marcus czuł lęk przed Violet, a przecież z zasady nie bał się niczego. Kiedyś panna Redmond zaszczyliła go zalotnym spojrzeniem pięknych oczu, ale Marcus, wiedząc, że nie jest mężczyzną, który byłby w stanie ją poskromić, czym prędzej odwrócił wzrok.

Louisa Porter nie urządzała komedii. Wszystkie swoje uczucia zawarła w tym bolesnym uścisku, od którego pobielaly jej palce.

Marcus powiodł spojrzeniem po jej twarzy. Zastanawiał się, czy już zawsze tak będzie... czy ilekroć na nią popatrzy, nagle zabraknie mu oddechu. To niesamowite, że drugi człowiek może być aż tak... aż tak...

Wrodzony pragmatyzm kazał mu zaprzestać szukania właściwego słowa, bo wiedział, że i tak go nie znajdzie.

Louisa wolno uniosła głowę, jakby każdy ruch sprawiał jej ból. Oczy miała tak błękitne, że przywodziły na myśl... jakieś bardzo niebieskie rzeczy, stwierdził, żałując, że jego słownictwo ogranicza się do zarządzania ziemią, hodowli koni, rowów melioracyjnych i inwestycji finansowych.

Mimowolnie pomyślał, że Colin na pewno by wiedział, do czego porównać błękit jej oczu. Ale przecież to nie dla kwiecistego języka Louisa zgodziła się za niego wyjść. Odruchowo pogładził palcem jeden z perłowych guzików u kamizelki, symbol jego przynależności do Klubu Merkuriusza. Był to jednocześnie symbol tego, co ma do zaoferowania Louisie.

I właśnie Louisa przerwała krępującą ciszę.

- Ptaki śpiewają - powiedziała z lekkim zaskoczeniem. Tak jakby uważała, że to nie wypada.

Isaiah Redmond stał przy oknie i mrużąc oczy, patrzył na uliczkę Old Bailey. Tłum gapiów wyglądał jak rozmazana plama i przypominał robaki oblażące padlinę. Jeden elegancki ruch - wszystkie ruchy Isaiaha Redmonda, niezależnie od sytuacji, były eleganckie - i okulary wyjęte z kieszeni znalazły się na jego nosie, a rozmazana plama przybrała kształt tłumu porządnych obywateli Londynu w odświętnym przyodziewku. Ale odświętne stroje nie czyniły ich ani trochę mniej odrażającymi.

Isaiah brzydził się publicznymi egzekucjami. Nigdy by nie powiedział tego głośno, albowiem z takich poglądów słynęli radykałowie, a jeśli rodzina

Redmondów wydała kiedykolwiek jakichś radykałów, trzymano to w ścisłej tajemnicy.

Co jak co, ale strzeżenie rodowych tajemnic Redmondowie mieli we krwi. Każdy z nich już z racji przyścia na świat w tej, a nie innej rodzinie od dzieciństwa żył ze swoją prywatną puszką Pandory.

Puszka Isaiaha, obecnej głowy rodu, była naprawdę imponująca.

Jednakże akurat tę egzekucję zamierzał obejrzeć od początku do końca. Oto dziś - nareszcie! - jakiś Eversea zawisnie na szubienicy. Kto wie, co jeszcze może się wydarzyć? Może rzeki popłyną pod górę? Albo król Jerzy przystąpi do kwaków?

A może Lyon cudownie się odnajdzie?

Isaiah zmarszczył brwi. Przez lata człowiek staje się wyczulony na obecność najbliższych i rozpoznaje pojedyncze głosy w gwarze rozmów, wśród śmiechów i kłótni. Dzisiaj czegoś mu brakowało. To było jak cisza przed burzą, kiedy milknie śpiew ptaków.

Odwrócił się od okna. Miles wciąż rozważał następne posunięcie w partii, którą zaczęli. Oparł brodę na dłoni i pochylił przystojną, typowo redmondowską twarz nad szachownicą. Oczy miał ciemne jak matka, a nie zielone jak sam Isaiah i starszy brat. I nie był równie obiecujący jak Lyon, pomyślał Isaiah, czując jednocześnie wyrzuty sumienia i przyływ irytacji. Bo przecież Miles bardzo się starał zastąpić zaginionego brata.

Najmłodszy syn, Jonathon, droczył się z młodziutką kuzyneczką Lizbeth, a córka Violet, jego ulubienica i największe utrapienie, udawała, że haftuje. Tak naprawdę razem z bratem dręczyła Lizbeth, na jej ustach błąkał się złośliwy uśmieszek. A żona...

No cóż, ona jak zwykle milczała.

Isaiah ożenił się z kobietą, która nosiła godne francuskiej ulicznicy imię Fanchette, ale miała maniery najprzyzwoitszej matrony, jaką kiedykolwiek zrodziła

angielska ziemia. Uwielbiała ploteczki i zakupy i bardzo kochała swoje dzieci. Chociaż Isaiah nie był do końca pewien, jaką pozycję on zajmuje w tym rankingu, już dawno przestało go to obchodzić. Gdy zawarli małżeństwo, prawie się nie znali, ale wtedy przynajmniej łączyła ich namiętność. Oboje byli młodzi i piękni, no i musieli postarać się o dzieci. Gdy namiętność wygasła, pozostali dwojgiem obcych sobie ludzi, którzy traktowali się nawzajem z uprzejmą życzliwością. Fanchette była nadal piękna i mógł być z niej dumny w towarzystwie, musiał jednak mieć na nią oko, bo gdyby jej nie pilnował, wydałaby ostatniego pensa na jakieś srebrne widelczyki albo pantofelki we wszystkich kolorach tęczy.

Ostatnio prawie dostał zawału, kiedy zobaczył rachunki żony od krawcowej. To go skłoniło, żeby wreszcie odebrać jej dostęp do pieniędzy

W rezultacie po raz pierwszy od początku ich małżeństwa został narażony na oziębłość, wyniosłe miny, podenerwowanie i drobne niedyspozycje, które rzekomo zmuszały Fanchette do znikania na długie godziny w prywatnych pokojach. Ale Isaiah był nieugięty. Poinstruował swojego pełnomocnika Baxtera, żeby nie dawał Fanchette ani pensa bez jego zgody i informował go o wszystkich jej wydatkach.

Baxter - z oczywistych powodów - nie należał do ulubieńców Fanchette, natomiast Isaiah, wdzięczny za lojalną służbę, wprowadził go do elitarnego Klubu Merkuriusza.

Teraz nikt nie powie, że Isaiah Redmond wywyższa się ponad spóółstwo.

Spojrzał na żonę. Fanchette, zamiast jak zwykle rozmawiać z dziećmi, przyglądała mu się w milczeniu. No cóż, przejdzie jej, gdy tylko zrozumie, że to dla jej dobra.

Odwrócił się do okna. Szafot był wyraźnie widoczny na tle błękitnego nieba. Już za parę minut Colin Eversea, ulubieniec tłumów, najmłodszy i niezbyt obiecujący potomek rodu Eversea, zawisnie na nim i wyzienie ducha.

Syn za syna, pomyślał Isaiah.

Kiedy kapelan uznał, że dusze skazańców są już wystarczająco udęczone, Colina i Parszywego Jacka pociągnięto naprzód, by zdjąć im kajdany z nóg.

Potem przyszła pora na związanie rąk.

Colin dał katu szylinga, tradycyjną łapówkę, która miała zapewnić odpowiednie ułożenie pętli i możliwie szybką, bezbolesną śmierć. Aby tak się stało, kat musiałby porządnie pociągnąć go za nogi, kiedy już go powieszą, lecz tak czy inaczej, warto było zapłacić szylinga.

Nagły zryw emocji przerwał tamę i przez głowę Colina przetoczyły się wspomnienia o hrabinach, wyścigach konnych, wojnie, pojedynkach, żartach, miłośkach, a wreszcie o rodzinie. Tymczasem kat założył mu ręce do tyłu i związał tak, że łokcie sterczały na kształt skrzydeł.

Patrząc na nieskończenie długie - i zarazem aż nazbyt krótkie - schody prowadzące do bramy, za którą czekał szafot, Colin zetknął ze sobą dwa palce. Wyobraził sobie, że jeden z nich to policzek Louisy.

No cóż: widać właśnie takie ostatnie wspomnienie jest mu potrzebne.

Kat związał mu nadgarstki i pochylił się, żeby sprawdzić węzeł na łokciach. Colin poczuł na karku jego gorący oddech, pachnący wędzonymi śledziami i kawą.

Nagle z tego oddechu, niczym niewyraźne postacie we mgle, wyłoniły się słowa:

- Przy piątym strażniku potknij się i przewróć.

Rozdział 2

Przy piątym strażniku potknij się i przewróć na ziemię.

Słowa kata przeniknęły przez mgłę otępienia w umyśle Colina i wprawiły go w stan bolesnej gotowości, czego prawie pożałował.

„Przy piątym strażniku potknij się i przewróć na ziemię”.

Na szczycie tych schodów, prowadzących z wnętrza więzienia przez czarną ziejącą paszczę zwaną Drzwiami Dłużników, czekała na niego ulica Old Bailey, a na niej szafot, tysiące podekscytowanych gapiów i przepustka na cmentarz.

Tak przynajmniej sądził do tej pory.

Zanim zdołał się połapać, o co chodzi, kat już go popchnął w kierunku schodów. Colin poruszał się niezgrabnie, jakby wciąż krępowały go niewidoczne kajdany. Czas stał się dziwnie gęsty i lepki. Kiedy tak wspinał się stopień za stopniem po tych nieskończenie długich i zarazem aż nazbyt krótkich schodach, czuł się, jakby płynął w smole.

Był już prawie u szczytu, gdy dobiegł go szum. Przez kilka sekund wydawało mu się, że to morze tak szumi, zupełnie jak w Pennyroyal Green, kiedy się stanęło na skraju miasteczka i wyteńczyło słuch.

Dopiero po chwili zorientował się, że to głosy tysięcy gapiów, którzy przyszli popatrzeć, jak go będą wieszać.

Dwa kroki później mijał już Drzwi Dłużników i wchodził na szafot.

Zaskoczyło go świeże powietrze i oślepiający blask słońca. Odruchowo wykrzywił twarz i przymknął oczy. Zmusił się, żeby je otworzyć.

A wtedy z tłumu podniósł się dźwięk, jakiego nie spodziewał się usłyszeć: wiwaty na jego cześć. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu, wszystkie usta złożyły się w kształt jego imienia, tu i ówdzie ludzie śpiewali różne zwrotki tej przekłętą piosenki. Odświętne stroje i świąteczna atmosfera - to wszystko dla niego.

Gdy lekko skinął głową, wiwatujący tłum oszalał, bo z tej odległości nie widać było, czy to wisielczy humor, czy zwykła błazenada.

Poniżej w słońcu błyskały srebrem czubki bagnetów trzymany przez żołnierzy, którzy powstrzymywali napór tłumu.

Strażnicy.

„Przy piątym strażniku potknij się i przewróć na ziemię”.

Już nieraz w swoim życiu Colin musiał odliczać. Odliczał kroki przed wystrzałem w pojedynkach. Odliczał chwile do rozpoczęcia wyścigów koni albo psów. Liczył w myślach, żeby zadowolić leżącą pod nim tę czy inną piękną damę, zanim sam osiągnie spełnienie.

Ale trzeba przyznać, że takiego odliczania jak dziś jeszcze nie przeżył.

Gdy tłum wrzasnął: „Czapki z głów!”, do szczęśliwców, którzy dopchali się w pobliże szafotu, zaczął liczyć błyszczące czubki bagnetów. Idąc, słyszał swoje imię wykrzykiwane z tysiąca ust na tysiąc różnych tonów: to basem, to znów piskliwie, z gwarowym akcentem.

Minął pierwszego strażnika.

Szedł dalej. Nogi bezwolnie niosły go naprzód. Minął drugiego strażnika.

- Colin! - krzyknęła przenikliwie jakaś kobieta. - Bóg z tobą, chłopcze!

Zrównał się z trzecim strażnikiem. Ten odwrócił się i zmierzył go obojętnym spojrzeniem. Colin zauważył, że ma na policzku porośniętą włosami brodawkę, która wyglądała jak miniaturowy jeź.

W tej chwili przestał słyszeć cokolwiek, w głowie miał tylko liczby, a w uszach szum krwi, którą pompowało szaleńczo bijące serce.

Słońce odbiło się od bagnetu czwartego strażnika, na chwilę oślepiając Colina. Zatrzymał się, żeby wziąć głębszy oddech.

Zrobił następny krok, potknął się o czubek własnego buta i przewrócił, boleśnie tłucząc sobie przy tym kolano.

Wtedy z tyłu za szafotem rozległa się ogłuszająca eksplozja.

Krzyki przerażenia zagłuszyła kolejna eksplozja, tym razem gdzieś w tłumie. Podniósł się jeszcze większy hałas. Wówczas nastąpił kolejny wybuch, i jeszcze następne, jeden po drugim, a przy każdym unosiła się w powietrze coraz większa chmura gryzącego dymu, spowijając kostki i zakrywając twarze. Dym zasnuł całą uliczkę, aż niebo wydawało się całkiem szare.

W ciągu paru sekund tłum świętujących londyńczyków zmienił się w zbitą, przerażoną, rozwrzeszczaną masę rąk i nóg.

Colin zakaszłał i próbował wstać, ale stracił równowagę przez krępujące go więzy i znowu opadł na kolano. Odrzucił głowę do tyłu, chcąc zaczerpnąć powietrza. Poprzez kłęby dymu widział piątego strażnika, który miał otwarte usta i coś krzychał, ale w ogólnym chaosie nikt go nie słyszał.

Nagle żołnierz zniknął, przesłonięty workiem zarzuconym na głowę Colina.

Chwilę później złapały go niewidzialne ręce: ktoś poderwał go na nogi, uniósł w powietrze, chwycił pod pachy i ściągnął z szafotu głową w dół.

Porywacze zanurkowali w ciżbę miotających się bezładnie ludzi; przepychając się przez tłum ciekawskich, którzy przyszli obejrzeć egzekucję, wynieśli Colina spod szubienicy.

- A to sukinsyn!

Isaiah zamarł. Że też akurat to ze wszystkich możliwych przekleństw wyrwało mu się publicznie w takiej chwili. Ale trzeba przyznać, że jeśli chodzi o tych Eversea, pasuje jak ulał.

Usłyszał wybuch. Zobaczył dym. Usłyszał następne wybuchy. I już wiedział.

Nie będzie żadnej egzekucji.

Zrezygnowany odwrócił się od okna.

Dłonie Violet znieruchomiały. Nitka między igłą a tamborkiem była naciągnięta jak struna. Miles zastygł z ręką na figurze królowej. Czyżby obmyślił, jak pokonać ojca? A może chciał oszukać?

Wszyscy patrzyli na Isaiaha. Pomyślał z rozbawieniem, że to trochę jak w Pompejach. Tyle że ich unieruchomiło jedno przekleństwo.

Zerknął na żonę, spodziewając się zobaczyć rumieniec oburzenia albo zaciskające się kurczowo dłonie - zawsze tak robiła, kiedy udało mu się wprawić ją w zakłopotanie. Isaiah podejrzewał, że była to podświadoma reakcja na niezrozumiałe zachowanie męża.

Ale dłonie Fanchette leżały złożone na jej kolanach, okrytych jasnoszarym jedwabiem sukni. Ciekawe, ile kosztowała? Pewnie ma takie we wszystkich możliwych kolorach.

- Z wieszania chyba dzisiaj nic nie będzie - mruknął wreszcie zgryźliwie.

- Colin Eversea jest zbyt ładny na to, żeby go powiesili. Szkoda by go było - oznajmiła Violet, która źle się czuła, jeśli raz na parę minut nie powiedziała czegoś skandalicznego.

- Violet! - zachłysnęła się oburzona kuzynka. I wszystkie oczy zwróciły się na pannę Redmond, czyli tam, gdzie jej zdaniem zawsze powinny się zwracać.

Isaiah miał nadzieję, że to pomoże przerwać tę pełną napięcia ciszę, ale nie: wróciła i zapanowała na kolejnych kilka chwil, odmierzonych miarowymi ruchami wahadła.

Kiedy więc Fanchette dwa razy klasnęła, wszyscy podskoczyli prawie tak samo, jak po wcześniejszych wybuchach.

Lokaj w jaskrawej liberii - te koszmarnie drogie błękitno-złote stroje dla służby były kolejnym powodem, dla którego odciął żonie dostęp do pieniędzy - w okamgnieniu znalazł się przy niej.

- Oswaldzie, przynieś sherry dla wszystkich, dobrze? Gdy rodzina zbiera się razem, trzeba to uczcić. Ale będziecie musieli świętować beze mnie, bo czuję, że znowu dostaję migreny. Pójdę na trochę do siebie.

Wszystkie ich dzieci naprawdę kochały matkę, więc kiedy szła do drzwi, szeleszcząc jedwabną suknią, towarzyszyły jej pełne współczucia pomruki rodziny.

Isaiah lekko zmarszczył brwi, odprowadzając ją wzrokiem, a potem zasiadł do szachownicy naprzeciw Milesa. Gra musi toczyć się dalej.

Colin ledwo mógł oddychać przez gruby materiał worka i niewiele widział; tylko światło, cień i zamazane plamy koloru - ludzi? domy? - które przemykały obok, kiedy porywacze przepychali się z nim przez tłum. Wokół panował niemiłosierny zgielk: tu krzyczała jakaś kobieta, tam ktoś ochryple przeklinał, zewsząd słychać było tupot nóg.

Minęli grupkę mężczyzn, którzy pijackimi głosami śpiewali:

Dzisiaj na targu powiedzieli mi,

Że nie powieszą Colina Ever...

Ta piekielna piosenka najwyraźniej zaczęła żyć własnym życiem. Więzy boleśnie wpijały mu się w nadgarstki, wykręcone do tyłu ramiona omal nie wyskoczyły z barków, ale starał się zanadto nie szarpać - wszak oddalał się od szubienicy, co odpowiadało mu znacznie bardziej niż dotychczasowe plany na to przedpołudnie. Zdezorientowany i obolały, próbował zachować jasny umysł, lecz myśli eksplodowały mu w głowie i gasły niczym fajerwerki. W końcu zrezygnował. Bo i po co komu logiczne myślenie, skoro za chwilę może skończyć nadziany na bagnet strażnika jak świnia na rożen?

Tak się jednak nie stało.

W kłębach dymu i ogólnym zamieszaniu można go było wziąć za nieprzytomnego człowieka, którego towarzysze wynoszą z tłumy. Pomagał też prymitywny kamuflaż w postaci worka, zakrywającego go aż do ramion. Tak, ten chaos został starannie zaplanowany.

W końcu jego umysł uczeplił się jedynej rzeczy, którą był w stanie w tych okolicznościach kontrolować: zajął się liczeniem. Naliczył czterdzieści jeden kroków, kiedy został gwałtownie postawiony na nogi i porywacze skęcili z nim za róg. Po siedemdziesięciu trzech kolejnych znowu skęcili, tym razem dość ostro. Z każdym kolejnym zakrętem odgłosy rozkrzyczanego tłumy zostawały w tyle.

Gdy sto osiem kroków dalej zatrzymali się raptownie, Colin słyszał tylko głośnie ziajanie swoich porywaczy. Zakaszał pod śmierdzącym stęchlizną workiem. Usłyszał stuknięcie i skrzyp otwieranych drzwi; wciągnięto go do środka jak wór kartofli, który wrzuca się do piwnicy.

Drzwi się zatrzasnęły i duchota opadła na niego niby kolejny worek. Uświadomił sobie, że w ogóle nie czuje dłoni, za to wykręcone do tyłu ramiona paliły go żywym ogniem.

Usłyszał zgrzyt klucza w zamku. Ktoś znowu poderwał go z ziemi i poniósł nogami do przodu po stromych schodach w dół. Każdy krok zwalistych - sądząc po tym, jak głośno skrzypiały drewniane schody - mężczyzn, którzy go nieśli, sprawiał mu nieopisany ból. Przygryzał wargi, żeby nie jęczeć.

Wziął głębszy oddech, ale to nie był najlepszy pomysł: razem z powietrzem wciągnął do nosa materiał worka. Zdołał odblokować nos w chwili, kiedy porywacze bezceremonialnie zrzucili go na krzesło. Dwie dłonie przytrzymały go za ramiona, gdy zaczął się przechylać na bok, poprawiły na krześle i tak zostawiły.

Usłyszał, jak mężczyźni w ciężkich buciorach wracają na górę po schodach, znacznie sprawniej niż schodzili w dół. Drzwi za nimi zamknęły się, zgrzytnął zamek i zapanowała cisza tak kompletna, że aż dzwoniła w uszach.

Colin pokręcił głową, próbując zebrać myśli. Ale były tak samo rozbiegane jak tłum, który przyszedł oglądać jego egzekucję.

Jego egzekucja.

Wreszcie zdołał się skupić. Jednak żył. Żył! To słowo brzmiało w jego myślach jak muzyka. Ponownie spróbował wziąć głębszy oddech, ale tym razem opuścił głowę, żeby znowu nie wciągnąć w nos worka. Ciemność pachniała nadpalonym drewnem, smołą, pleśnią i zjełczałą oliwą do lamp. Czuł też lawendę. I coś sfermentowanego, jakby rozlane wino.

Lawenda?

Zesztywniał. A może jednak umarł i niebo - niektórzy mogli wątpić, że powinien tam trafić, lecz on sam uważał, że Stwórca załatwi tę sprawę bez zbytnich uprzedzeń - pachnie lawendą. Miał nadzieję, że tak nie jest. Jego niebo powinno pachnieć końmi, brandy, morską bryzą zawiewającą na łąki w Sussex i włosami Louisy Porter.

Jeszcze raz wciągnął powietrze i znów poczuł nutę lawendy, delikatną i cierpką na tle innych zapachów, jakby kwiatek leżący na zwęglonych ruinach. Jeżeli ktoś nie przysłał mu w to miejsce bukietu z gratulacjami...

...razem z nim w pomieszczeniu była jakaś kobieta.

Chwilę później ściągnęła mu z głowy worek, niczym magik efektownie kończący sztukę.

Colin odwrócił głowę, ale schowała się za jego plecami, zanim zdołał cokolwiek zobaczyć. Dojrzał tylko szybki ruch i ciemne kolory. Może suknia? Albo włosy? Jej dłonie zręcznie rozsypały sznur krępujący jego łokcie. Więzy z każdą chwilą były luźniejsze, aż wreszcie...

O słodki, miłosierny Boże.

Nagły przyływ krwi do zdrewniałych rąk był istną torturą.

Zacisnął powieki i wciągał powietrze przez zęby urywanymi haustami, zagryzając wargi. Kobieta nadal manipulowała przy jego więzach.

Wreszcie ból przeistoczył się w tysiące piekących igiełek, mięśnie przyzwyczały się na powrót do krążenia krwi i Colin zdołał otworzyć oczy. Pograżone w ciemności pomieszczenie powoli nabierało kształtów.

Dwa kanciaste słupy z surowego drewna były pokryte girlandami pajęczyn. Miliony drobinek kurzu wirowały w pojedynczej smudze światła, padającej ukośnie na podłogę od strony...? Tak, było tu okno - zasłaniały je ustawione jedna na drugiej drewniane skrzynie, pozostawiając na widoku ledwie kilka centymetrów brudnej szyby. W cieniu pod oknem stały pękate beczki.

Czyli są w jakiejś piwnicy.

W głowie zaroilo mu się od pytań. Kto? Gdzie? Dlaczego? Wszystkie wydawały się równie ważne, wszystkie jednak przyćmiewał jeden zadziwiający fakt: nadal żył.

Spomiędzy spierzchniętych warg wyrwało mu się jedno słowo.

- Louisa.

Kobieta stojąca za nim przerwała na moment rozplątywanie sznura.

- Niestety, nie jestem Louisą. - W jej głosie ironia mieszała się z rozbawieniem. - Ale że nasza znajomość będzie bardzo krótka, nie ma znaczenia, jakim imieniem chce mnie pan nazywać.

Colin zamarł w bezruchu, wsłuchując się w jej głos, jakby mógł z niego wyczytać wszelkie odpowiedzi. Był niski, dojrzały, dystyngowany, wibrujący przyjemną dla ucha nutą. Nie zdradzał żadnych emocji - pomijając ironię i rozbawienie - i nie dosłyszał w nim ani cienia kobiecej uległości. Takiej obojętności i energicznego zdecydowania nie powstydziliby się żaden mężczyzna.

Colin nie przypominał sobie ani jednej kobiety, która potraktowałaby go z równą obojętnością.

Poczuł, że musi się przekonać, czy jest ładna, tak samo, jakby chciał sprawdzić, czy mężczyzna, z którym ma do czynienia, jest uzbrojony.

Kiedy wstawiała, złowił uchem cichy szelest spódnicy; na próbę poruszył łokciami: nie były związane. Ale gdy spróbował rozsunać ręce, odkrył, że jednym ze sznurów związała mu nadgarstki.

Krótko mówiąc, nadal był przywiązany do krzesła.

Po raz kolejny uświadomił sobie, że być może za odzyskaną wolność przyjdzie mu jeszcze zapłacić.

Całe szczęście, że dał katu szylinga i więzy na nadgarstkach były dosyć luźne.

Kobieta stanęła z jego lewej strony, więc mógł na nią zerknąć.

Ładna, ocenił optymistycznie, chociaż tak naprawdę w ciemnym pomieszczeniu jej postać była tylko sylwetką wyciętą ze światłocienia. Zgrabna, szybka, zwinna.

Lekko przekręcił nadgarstek, próbując go uwolnić; był wychudzony, a przy tym bardzo sprawny. Nadgarstek wysunął się z więzów.

- Kim pani jest? - Wzdrygnął się, kiedy usłyszał własny głos, słaby i ochrypły.

Kobieta stała chwilę bez ruchu, a potem podeszła do beczki i sięgnęła po stojący na niej słoik. Dwa razy przeszła przy tym przez wąską smugę światła.

Bezlitosny promień słońca oświetlił ostre rysy twarzy i... za wysokie czoło. A do tego jeszcze surowo zaciśnięte usta. Jednak nieładna, stwierdził z żalem.

Zajął się uwalnianiem drugiego nadgarstka.

Madeleine Greenway odwróciła się w stronę skazańca, którego za odpowiednią opłatą podjęła się uwolnić. Colin Eversea, osławiony „Szatan z Sussex”, chyba nie miał rogów, ale z drugiej strony, w piwnicy było ciemno.

- To, kim jestem, możemy dopisać do listy spraw, które nie powinny pana interesować, panie Eversea, jako że nasza znajomość będzie bardzo...

- Krótka, wiem - przerwał jej. - Już to pani mówiła. Ale dlaczego...

Podsunęła mu słoik pod brodę.

- Proszę pić. Niestety, nie mogę panu na to odpowiedzieć, więc proszę się nie męczyć zadawaniem pytań. Już wkrótce wszystkiego się pan dowie.

Legendarny przestępca nie wyglądał na szczególnie niebezpiecznego. Madeleine widziała przed sobą szczupłego, barczystego mężczyznę, który siedział na krześle wyprostowany jak struna, jakby taka postawa wynikała z przyzwyczajenia. O dziwo, drogi frak nie leżał na nim dobrze; pewnie teraz był o wiele luźniejszy niż wtedy, kiedy szedł w nim do więzienia. Pociemniałe od potu kosmyki włosów lepiły mu się do czoła i skroni.

Podniósł na nią chmurne spojrzenie i powąchał podetknięty słoik. Ciekawe. Ona na jego miejscu zrobiłaby dokładnie to samo. Pan Eversea nie jest jednak

kompletnym idiotą, chociaż zadźgał człowieka w jakiejś burdzie i, co gorsza, dał się złapać.

- To woda - powiedziała zwięźle. - Czysta woda.

Colin przez chwilę mierzył ją wzrokiem, wreszcie skinął głową. Przechyliła słoik i patrzyła, jak porusza grdyką, chciwie łykając wodę. Po chwili spojrzeniem dał jej znać, że wystarczy, więc odsunęła słoik od jego ust.

Dwa razy westchnął głęboko dla wyrównania oddechu.

- Bardzo proszę, żeby mnie pani rozwiązała.

Pod pozorami uprzejmości kryło się żądanie. Zabawne. Zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Przykro mi, ale ktoś inny mnie prosił, żebym pana zostawiła związanego. - Madeleine nawet nie próbowała kryć rozbawienia. Wiedziała, że Colin Eversea jest arystokratą. Było to słychać w każdej głosce, wymawianej z niewymuszoną elegancją; było to widać w tym, jak siedział, jak trzymał głowę i ramiona. Nie miał wpływu na swój arogancki ton, tak jak nie mógłby na przykład zmienić koloru oczu.

Wysunęła z rękawa mały zegarek, podniosła go do światła i mrużąc oczy, próbowała odczytać rzymskie cyfry wskazujące godzinę. Zamierzała zostać tu tylko tak długo, aż się upewni, że Colin Eversea trafi cały i zdrowy - i związany, zgodnie z umową - w ręce zleceniodawcy. Potem, około drugiej, udać się do Tygryskiej Nory, gdzie odbierze od Crokera ostatnią część zapłaty - sto pięćdziesiąt funtów minus, rzecz jasna, prowizja pośrednika; Croker zaś miał ściśle instrukcje, żeby nie informować jej anonimowego zleceniodawcy o miejscu ukrycia Colina Eversea do godziny wpół do drugiej.

Gdy więc ów zleceniodawca zjawi się w tej piwnicy pod porzuconą, spaloną oberżą Pod Siedmioma Wskazówkami, jej już dawno tu nie będzie.

Co się dalej stanie z Colinem Eversea, to już nie jej zmartwienie.

Zaplanowanie tego szalonego porwania zajęło jej całe dwa tygodnie; rozmyślała o nim dniami i nocami. Najbliższe minuty będą najdłuższymi w jej

dotychczasowym życiu, niedługo potem znajdzie się na statku, małej łupince prującej wody Oceanu Atlantyckiego.

Kilka tygodni później wyląduje, mała i niepozorna jak ziarenko, na amerykańskiej ziemi, gdzie będzie mogła zacząć życie od nowa. W pewnej kancelarii prawnej w dzielnicy Londynu, w której nigdy nie stać by jej było na dom, czekały na jej podpis stosowne dokumenty, a w stanie Wirginia czekało na nią nowe życie, o którym od dawna marzyła.

Gdy tylko dostarczy resztę pieniędzy. Co zamierzała zrobić tego popołudnia.

- Kto pani kazał mnie związać? - Słysząc było, jak Colin się wierci na krześle. Jeszcze osiem minut. Mógłby tyle nie gadać.

- Cierpliwości, panie Eversea. Niebawem pozna pan odpowiedzi na swoje pytania.

Madeleine, która rzadko używała słowa „niebawem”, stwierdziła, że brzmi ono bardzo ładnie. Może jednak są jakieś dobre strony rozmawiania z arystokratą.

Sięgnęła po miotłę, którą zostawiła opartą o beczki pod oknem. Piwniczne okienko, szerokie może na metr i wysokie na jakieś trzydzieści centymetrów, wychodziło na wąski, cuchnący zaułek, na którym można było spotkać głównie ulicznice i zionących gorzałką pijaków. W ciągu ostatniego tygodnia Madeleine pieczołowicie pokryła szybę błotem, a od zewnątrz przysłoniła beczkami na deszczówkę, pełnymi zatęchłej wody i Bóg wie czego jeszcze.

W rezultacie okno było dobrze ukryte przed wzrokiem ciekawskich.

Przez wiele dni metodycznie dłubała ostrym pilnikiem przy drewnianej ramie, dzięki czemu teraz jednym pociągnięciem starej nadwątlonej liny wyjęła okno ze ściany. Przysunęła drewniane skrzynki, tworząc prowizoryczne schody, które będą w stanie ją udźwignąć. Tak właśnie zamierzała zniknąć: wyjdzie przez okno, wtopi się w tłum na bulwarze St. Giles i da się ponieść ludzkiej masie w stronę Crokera, w stronę nowego życia.

Sięgnęła po miotłę, ale w tej chwili krzesło zaskrzypiało. Odwróciła głowę i w tym samym momencie Colin Eversea spojrział na nią. W wąskiej smudze światła jej przymrużone oczy napotkały jego jasne spojrzenie.

Dziwnie znieruchomiał, jakby sam fakt odwrócenia głowy pozbawił go tchu.

Przepiękna, pomyślał.

Odbierał jej piękno nie tylko oczami, lecz całym sobą. Wrażenie było tak piorunujące, że potrzebował chwili bezruchu, by znowu zebrać myśli.

Wtedy ona kijem od szczotki przesunęła jedną ze skrzyń i piwnica pograżyła się w całkowitych ciemnościach.

Akurat w tej chwili Colin zdołał się pozbyć resztek więzów krepujących nadgarstki. Ukradkiem zetknął dłonie; ten dotyk był jak spotkanie starych przyjaciół.

Usłyszał brzęknięcie metalu - to kobieta podniosła lampę za rączkę - potem trzask krzesiwa i pomieszczenie rozjaśniło się mdłym, pulsującym światłem. Mała latarenka stojąca na jednej z beczek rzuciła krąg światła, w którym mieścili się tylko oni dwoje; wszystko poza tym kręgiem, w tym schody do piwnicy, było ledwo widoczne.

Znowu sięgnęła po zegarek i właśnie miała go podnieść do lampy, żeby sprawdzić godzinę, kiedy w zamku zazgrzytał klucz.

Kobieta tak gwałtownie odwróciła się do drzwi, że Colin poczuł podmuch powietrza wywołany poruszeniem jej sukni.

Zastygła w bezruchu. Czuł jej zaskoczenie i prawie słyszał, jak myśli, rewidując swoje stanowisko. Ponieważ do tej pory każdy jej ruch był precyzyjny i starannie zaplanowany, zaniepokoiła go ta niepewność.

Chociaż nadal nie miał bladego pojęcia, czy kobieta jest po jego stronie.

Zamarł, kiedy ktoś nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Powoli, z lekkim skrzypnięciem, wpuszczając do środka powiększającą się plamę dziennego światła i powiew świeżego powietrza.

Jedno stąpięcie i... chwila ciszy.

Potem następny krok, jakby wchodzący wreszcie zdecydował się przekroczyć próg.

Gdy drzwi ze skrzypieniem same zaczęły się zamykać, wchodzący przytrzymał je stopą; usłyszeli odgłos drewna uderzającego we włożony w szparę but. Prostokąt światła padający od wejścia rzucał na przeciwległą ścianę cień masywnej postaci w płaszczu i kapeluszu.

Colin napiął mięśnie ud i powoli zaczął się podnosić z krzesła, które - Bogu niech będą dzięki - w ogóle nie zaskrzypiało. Kobieta nawet nie spojrzała w jego stronę; wzrok miała utkwiony w drzwiach.

- Greenway? - cień odezwał się ochryłym basem, wyraźnie maskując swój prawdziwy głos.

Kobieta nie odpowiedziała, ale Colin usłyszał cichy szelest. Poszukał wzrokiem jego źródła i zobaczył, że jej ręce manipulują przy spódnicy.

- Madeleine Greenway? - dopytywał się ochryły bas.

Kobieta znowu zastygła, nie wiedząc, co zrobić. W końcu się odezwała.

- Zlecenie wykonane. - Głos miała niski i spokojny.

Cień poruszył się nieznacznie, właśnie tak, jak się Colin spodziewał. Potrzebował tylko zlokalizować Madeleine, żeby wykonać zadanie.

Colin rzucił się na jej nogi w tym samym momencie, kiedy rozległ się strzał z pistoletu.

Rozdział 3

Upadła ciężko, a chrupnięcie drewna ponad ich głowami wskazywało, że kula trafiła w słup tuż nad nimi. Drzazgi posypały się jak odłamki szrapnela. Colin odruchowo zakrył twarz i poczuł, jak cienkie kawałki drewna odbijają się od jego dłoni i ramion. Po podłodze potoczył się jakiś metalowy przedmiot. Odsłonił oczy i na zakurzonych deskach zobaczył charakterystyczny kształt pistoletu.

No tak, można się było spodziewać, że kobieta ma pistolet. Musiał wypaść, kiedy ją przewracał na podłogę.

Madeleine Greenway przetoczyła się na bok, podparła łokciem i wyciągnęła rękę po pistolet. Ale Colin dosięgnął go pierwszy - całkiem przyzwoita pukawka, gdzie ona, na litość boską, do tej pory go trzymała? - i przekręciwszy się na brzuch, odbezpieczył...

W tym momencie szczelina światła gwałtownie się zmniejszyła, a potem całkiem znikła. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Znowu zostali sami.

- Kto jeszcze, do cholery, miał klucz? - wychrypiał.

- Oddawaj moją spluwę - syknęła Greenway, o ile rzeczywiście tak się nazywała.

To się nazywa wdzięczność.

- Nic pani nie jest? - spytał prawie bez tchu. - Czy jest pani...

- Proszę w tej chwili oddać...

- Chryste Panie - Stęknął, dźwigając się z podłogi i kompletnie ignorując jej żądanie. Dowłókł się do krzesła i podniósł je jedną ręką, chcąc zablokować nim klamkę drzwi u szczytu schodów. Nie zamierzał pozwolić jej odejść, dopóki się czegoś nie dowie.

Ale - na miły Bóg - tych kilka schodków straszło niczym górskie zbocze. Jego nogi ciągle jeszcze nie przyzwyczyły się do chodzenia bez kajdan.

Może złość pomoże mu utrzymać pion.

- Czeka!

Ona też się podniosła. Przemknęło mu przez głowę, że jako dżentelmen powinien był jej w tym pomóc, ale z drugiej strony, miał wrażenie, że w tych okolicznościach rycerskość raczej nie obowiązuje. Zwłaszcza że ta akurat dama domagała się zwrotu swojego pistoletu - czy raczej spluwy - on zaś nie miał pojęcia, jakie owa dama żywi względem niego zamiary. No i przed chwilą ktoś ją próbował zabić.

- Niech mnie pan ubezpiecza - powiedziała. - Ja to zrobię znacznie szybciej.

- Co niby pani zrobi? - zapytał poirytowany.

Wycelował lufę pistoletu prosto w jej serce.

- Drzwi. Przecież właśnie chciał je pan zablokować.

Kolejne sekundy były pełne napięcia. Czy może jej zaufać? Nie. Czy ucieknie, gdy tylko znajdzie się w pobliżu drzwi? Mało prawdopodobne, zważywszy na to, że przed chwilą za tymi drzwiami zniknął ktoś, kto próbował ją zabić. Czy obawia się, że on do niej strzeli, jeśli spróbuje uciec? Chyba nie, przecież właśnie uratował jej życie. Raczej zakłada, że nie chce jej zabijać.

Colin skinął głową. W końcu to on trzymał pistolet. Chyba że ona miała przy sobie jeszcze jeden.

Przeszła obok - lekko utykając i uważając, żeby cały czas być poza zasięgiem jego rąk - i rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie. Bez większego trudu uniosła krzesło, a wchodząc po schodach, już nie utykała. Poruszała się szybko mimo szerokiej spódnicy. Jak na drobną kobietę była naprawdę silna.

Chociaż podobno wariatki bywają obdarzone nadludzką siłą.

Cały czas do niej mierzył, ale nie byłby sobą, gdyby nie podziwiał wdzięcznej linii jej pleców, kiedy wspinała się po schodach. W jej ruchach były niezwykle płynność i gracia.

Zgrabnie wsunęła oparcie krzesła pod klamkę, po czym - ku zdumieniu Colina - zablokowała zamek, wkładając do niego klucz. Nie była więc amatorką w tym... w tym... czymkolwiek się trudniła.

Kim, na Boga, jest ta kobieta?

Kiedy schodziła na dół, Colin przyjrzał się pistoletowi. Był naprawdę piękny, kolba z wypolerowanego drewna orzechowego miała bogate zdobienia z masy perłowej i wykończenie z mosiądzu. Zabezpieczył spust i sprawdził magazynek. Faktycznie, naładowany.

Pod wpływem nagłego podejrzenia powąchał proch.

I bez wahania podał jej pistolet.

- Może pani wziąć swoją spluwę, panno Greenway. Jest do niczego. I tak by nie wystrzeliła.

Madeleine przez chwilę przyglądała się broni z taką miną, jakby to był jej ulubiony piesek, który nagle zaczął na nią warczeć. Szybko jednak opanowała się i wzięła pistolet. W głowie miała zamęt, nie wiedziała, co powiedzieć.

- Kim pani jest, do licha? - spytał Colin. Mówił cicho, ale w jego głosie słychać było groźbę.

- Nazywam się Madeleine Greenway. Przecież pan słyszał - odparła. Trudno jej było mówić, bo cały czas zastanawiała się, kto to był i dlaczego chciał ją zabić.

Nagle uświadomiła sobie, że sama nie byłaby w stanie odróżnić dobrego prochu od zepsutego. Miała błyskotliwy umysł i potrafiła trafić z pistoletu prosto w serce, ale jeśli Eversea mówił prawdę...

To znaczy, że jest do niczego. Bo nie wie, czym się różni dobry proch od zepsutego, bo nie zauważyła, że więzy Colina są na tyle luźne, że sam mógł się z nich wyswobodzić.

- Kim pani jest, madame? I o co w tym wszystkim chodzi?

- Zapłacono mi, żebym pana uwolniła, panie Eversea. A przed chwilą ktoś próbował mnie zabić. Wydaje mi się, że to oczywiste - odpowiadała zdawkowo, obojętnie. Marzyła, żeby on wreszcie przestał pytać. Bolała ją od tego głowa.

Poza tym powinna stąd zniknąć.

I jak najszybciej zamienić słowo z panem Crokerem.

- Oczywiście? - prychnął Colin. - Ale kto panią wynajął? Moja rodzina?

Był wyraźnie zdezorientowany i poirytowany. No cóż, ona też tak się czuła.

- Nie mam pojęcia, kto mnie wynajął, panie Eversea. Nigdy tego nie wiem.

Takie transakcje z reguły są załatwiane przez pośrednika.

- Transakcje?!

- Tak. Przez pana Crokera - wyjaśniła.

- Croker? Stary Croker? - w głosie Colina Eversea brzmiało niedowierzenie.

Naprawdę nie miała ani czasu, ani ochoty na dalsze tłumaczenia.

- Panie Eversea, żałuję, że nie mogę powiedzieć, żeby było mi szczególnie miło pana poznać, ale teraz naprawdę muszę już iść. Więc niech mi pan wyba...

- Kto kazał Crokerowi panią wynająć? Czy chce mi pani powiedzieć, że to nie była moja rodzina?

- Nic mi nie wiadomo na temat pana rodziny - rzuciła w pośpiechu, cofając się o dwa kroki. Nie była mu winna żadnych wyjaśnień. Żałowała, że powiedziała mu cokolwiek.

- Więc kto? - naciskał. - I kto pani kazał mnie związać?

Naprawdę za dużo mu powiedziała.

- Panie Ever...

- Proszę mi pomóc, panno Greenway. Niech mi pani pozwoli iść razem z panią do Crokera. Muszę z nim porozmawiać.

- Panie Ever...

- Nikogo nie zabiłem - powiedział.

- Nic mnie to nie obcho...

- Nikogo nie zabiłem - powtórzył, znowu przerywając jej w pół słowa.

Madeleine przyjrzała mu się uważnie. Jego twarz była częściowo ukryta w cieniu. Oddychał ciężko, może ze zdenerwowania, może ze strachu, a może z wycieńczenia - w końcu spędził parę miesięcy w więzieniu.

Było jej wszystko jedno, Colin Eversea jest męczennikiem czy diabelskim pomiotem. Nie miała ochoty dłużej się nim zajmować. Dla niej był przesyłką, którą miała odebrać i dostarczyć, gwarancją jej przyszłości, a przez krótką chwilę - jej największym triumfem.

Teraz, gdy jej przyszłość stała pod dużym znakiem zapytania, był dla niej tylko ciężarem.

Bez niego szybciej dowie się prawdy.

- Ja nikogo nie zabiłem, panno Greenway. - Mówił już trochę spokojniej, opanował zdenerwowanie, ale nadal był spięty. - Myślę, że ktoś pomógł zniknąć Horacemu Peele'owi, ktoś, komu zależało na tym, żeby mnie powiesili. A teraz ktoś inny ratuje mi życie... z tym że na swoich warunkach. Musi mi pani pomóc.

Madeleine z pewnym rozbawieniem zauważyła, że nadal z ust tego uprzykrzonego człowieka nie padło słowo „proszę”. Ale naprawdę wydawał się oszołomiony, jego gniew był słuszny, był taki zmęczony i...

Zdecydowanie za chudy.

Ta zdradziecka myśl pod płaszczykiem paniki wcisnęła się do jej głowy z jakiegoś na wpół zapomnianego miejsca i Madeleine uświadomiła sobie, że jeżeli dopuści do głosu takie myśli, to ani się obejrzy, a Colin Eversea stanie się dla niej żywym, prawdziwym człowiekiem, a na to nie mogła sobie pozwolić.

- Pan wybaczy, ale jest pan w tej chwili słaby jak nowo narodzony kociak, panie Eversea.

W tej lekkiej kpinie ukryte było ziarenko współczucia, ale Madeleine, wypowiedziawszy ostatnie słowo, obróciła się na pięcie w stronę okna, zdecydowana pozostawić go własnemu losowi.

Ledwo zdołała zrobić krok, kiedy szarpnięciem pociągnął ją z powrotem.

Nawet nie zdążyła się zachłysnąć, a już nie była w stanie się ruszyć.

Kiedy opadło z niej zaskoczenie, zrozumiała, co się stało: Colin Eversea złapał ją za ramiona i odwrócił twarzą ku sobie. To dziwne, ale chwyt, jaki zastosował - zgiął jej ręce, tak że pięści miała prawie pod brodą - prawie całkowicie ją unieruchomił.

Stał teraz o kilka centymetrów od niej, czuła ciepło jego ciała. W nos uderzył ją stęchły odór, który pewnie wydobywał się spomiędzy fałd tego pięknego, acz wymiętego fraka. *Eau de Newgate*, więzienne perfumy.

Ścisnął ją bez żadnego poszanowania.

Zbyt zaciekawiona, i szczerze mówiąc, zbyt pewna siebie, żeby naprawdę się bać, Madeleine odchyliła głowę do tyłu. W świetle lampy niezdrowa bladość jego twarzy jeszcze bardziej podkreślała niemal gorączkowy blask jego oczu. Miał oczy w niesamowitym kolorze, bardziej zielonkawe niż niebieskie, ale tak naprawdę ani takie, ani takie. Raz tylko widziała taki kolor w naturze: był to kolor nieba tuż przed burzą. Jego oczy były głęboko osadzone i z braku snu podkrążone sinymi obwódkami. Mdłe światło lampy padało na jego twarz o rysach odrobinę za bardzo wyrazistych, składającą się z szerokich płaszczyzn i eleganckich wgłębień rozdzielonych dumnym nosem. Pociągnął twarz, ale taka właśnie do niego pasowała. I długie rzęsy.

To ostatnie absurdalne spostrzeżenie przemknęło przez jej umysł niby natrętny komar. Odpędziła je, jakby odganiała owada.

Z pewnym trudem uwolniła się od jego spojrzenia i lekko zmarszczyła brwi, spoglądając na szeroką dłoń wciąż ścisnącą jej ramię.

Zdołał ją unieruchomić w okamgnieniu. Skąd akurat on, na miłość boską, mógł wiedzieć, jak to się...

- Byłem w wojsku - odezwał się z nutką wisielczego humoru. Zaskoczył ją, odpowiadając na jej nieme pytanie. - I mam trzech starszych braci, którzy mnie nauczyli się bić.

Sytuacja utkwiała w martwym punkcie, bo Eversea nadal nie puszczał jej ramienia. Z ulicy dobiegały entuzjastyczne nawoływania sprzedawcy pasztecików, który wprost tryskał optymizmem. Publiczne egzekucje zawsze poprawiały ludziom apetyt, nawet jeśli, tak jak dzisiaj, do samej egzekucji nie doszło.

Najwyraźniej na zewnątrz życie wracało do normy.

Przez moment miała wrażenie, że istnieje poza czasem. Niezależnie od tego, jak skończy się dzisiejszy dzień, niezależnie od tego, czy ona i Colin Eversea przeżyją, świat będzie toczyć się dalej. Luka, która po nich pozostanie, zniknie jak ślad kaczki puszczonej kamieniem na wodzie.

- Przyznaję, panie Eversea, że zachował się pan jak dżentelmen - postanowiła odwołać się do jego rycerskości, chociaż cenny czas uciekał. - Ale w tej chwili mam więcej siły od pana i wydaje mi się, że w pana towarzystwie narażam się na większe niebezpieczeństwo, niż działając samodzielnie. Jest pan dżentelmenem, ufam więc, że pozwoli mi pan odejść.

- Uratowałem pani życie - powiedział surowo jak ktoś, kto na nowo podejmuje negocjacje, odkrywszy, że ma w ręku dodatkowy atut.

- W takim razie jesteśmy kwita, bo ja uratowałam pańskie. Proszę mnie puścić.

Szarpnęła się lekko, ale jego uścisk nie zelżał ani odrobinę.

- Owszem, ale zrobiła to pani dla pieniędzy, panno Greenway. Ja zaś uratowałem panią dobrowolnie. Co oznacza, że pani uczynek był interesowny, a mój... - zawiesił głos - ...mój był szlachetny.

Trzeba przyznać, że ostatnie słowo wypowiedział z nutką ironii.

- Poprawka, panie Eversea: byłby interesowny, gdyby mi zapłacono.

Tymczasem zamiast tego ktoś do mnie strzelał, co by się nie zdarzyło, gdybym nie uratowała pana przed czymś, co prawdopodobnie słusznie mu się należało.

Nie miała zamiaru go prowokować. Nie chciała, by uznał, że przez niego wpadła w złość albo uniosła się dumą. Jedno i drugie budziło w ludziach respekt, ale też świadczyło o utracie samokontroli.

- Krótko mówiąc - ciągnęła - nic dobrego mi pan nie przyniesie. Wolałabym odejść, nie robiąc panu krzywdy, a odejdę tak czy inaczej. I zapewniam, że mogę pana skrzywdzić na wiele sposobów, pomimo naszej obecnej... - znowu próbowała wyszarpnąć nadgarstki, lecz ani drgnęły - ...pozycji.

No cóż, zawsze może go kopnąć w...

Niemal mimochodem Colin unieruchomił jej nogi, przytrzymując swoimi stopami.

Niech go diabli!

Stali tak blisko, że jego kolana wciskały się między jej uda. W tak intymnej pozycji z mężczyzną nie była... cóż, nie liczyła dni, jakie upłynęły od tamtego czasu.

Czarci pomiot uniósł kąciki ust w złośliwym uśmiešku.

- Pewnie ma pani rację co do mojej kondycji, panno Greenway. Ale ostatnio przekonałem się, że desperacja to zadziwiająco skuteczny bodziec. Chce pani sprawdzić, jak bardzo jestem zdesperowany?

Widziała już niejednego zdesperowanego człowieka - ba, to właśnie zdesperowani ludzie płacili za jej usługi - ale żaden z nich tak nie wyglądał. Ani nie mówił w taki sposób. Inteligentnie, ze skłonnością do ironizowania i pogroźką ukrytą pod płaszczykiem dobrych manier.

- Potrzebuje mnie pani - rzekł kilka sekund później. To był tylko domysł, lecz, jak się okazało, trafny. - A moja rodzina jest bardzo bogata.

- Potrzebuję, ale tego, żeby mnie pan wypuścił - sprostowała.

- Czyżby? Potrzebuje mnie pani, bo moja rodzina zapłaci za mój bezpieczny powrót. Na pewno się ucieszą, że wrócę do nich cały i zdrowy.

Interesujący moment zawahania.

- Nie jest pan tego pewien.

Uśmiechnął się smutno i tym razem szczerze.

- Rzeczywiście, nie jestem. W każdym razie tego, czy wszyscy się ucieszą.

Ale na pewno zapłacą pani za uratowanie mnie. Bo Eversea są honorowi. - Znowu ta ironia. - Poza tym coś mi mówi, że zależy pani na szybkiej wypłacie.

- Zależy mi na jak najszybszej wypłacie - uściśliła. - Nie mam czasu na...

- No proszę, znowu się zgadzamy. Bo mnie zależy na jak najszybszym powrocie do Pennyroyal Green. To chyba przeznaczenie, co, panno Greenway?

Pani, nie panno, miała na końcu języka. Ale jakie to miało w tej chwili znaczenie?

- A dlaczego się panu tak spieszy? - zapytała. Chciała usłyszeć jakiś konkret, coś, co ją upewni, że jego pośpiech jest tak samo uzasadniony jak jej.

- Muszę jechać do Sussex, żeby nie dopuścić do pewnego ślubu. Ale przedtem muszę udowodnić, że jestem niewinny.

Na litość boską, za takie sentymentalne brednie powinno się ludzi wieszać.

- Czyżby? A kim jest ten wzór cnót? - Ją też było stać na ironię. - Domyślam się, że ma na imię Louisa.

- To nie żaden wzór cnót. To kobieta z krwi i kości. I należy do mnie.

Krótkie, zwięzłe słowa. Słońce wschodzi na wschodzie. W nocy zapada zmrok. Ona należy do mnie. Ton człowieka wypowiadającego oczywistą prawdę. W sercu Madeleine odezwało się wątłe echo bólu. Gwałtownie wciągnęła oddech.

- Jeśli to prawda, w takim razie za kogo wychodzi?

Jej ostry jak brzytwa umysł i cięte riposty mogły stąpić każdy ból.

- Za mojego brata Marcusa.

Aha. Postawił na ucziwość, bo to nie mogło być dla niego przyjemne wyznanie. Ale stwierdziła, że mu nie popuści.

- Więc to pański brat trzyma rękę na rodzinnej fortunie.

Najwyraźniej trafiła w dziesiątkę, bo jego uchwyt nieznacznie się zacieśnił.

- Mój brat ma tę przewagę, że nie siedział w więzieniu.

- Pewnie dlatego, że nie zdarzyło mu się zadźgać człowieka w karczmie.

Posunęła się za daleko. Jego oczy pociemniały i nagle uświadomiła sobie, że wolałaby nie oglądać Colina Eversea w wybuchu złości.

On jednak znowu ją zaskoczył.

Zamknął usta, przełykając to, co chciał powiedzieć, zmarszczył brwi i przez chwilę uważnie jej się przyglądał.

Musiał dojść do jakiegoś ważnego wniosku, bo... niech to licho! uśmiechnął się prawie z czułością. Jakby zobaczył w niej coś, z czego ona nie zdawała sobie sprawy.

- Pewnie tak - potwierdził łagodnie. - Ale z drugiej strony, jak już pani mówiłem, ja też nic takiego nie zrobiłem. Tylko po prostu nie jestem w stanie tego udowodnić. - Znowu ironizował. I chyba starał się ją uspokoić.

Zasmakowała sławetnego uroku Colina Eversea. Ogarnął ją całą, przenikając przez szczeliny w jej zbroi, o których nawet nie wiedziała. Nie miała bladego pojęcia, jak się przed nim bronić. Po raz pierwszy w życiu czuła się całkiem bezbronna.

I to ją przeraziło.

Nie bez wysiłku oderwała od niego wzrok. Pomogło. Otrząsnęła się i przyszła jej do głowy pewna myśl.

- Czy ma pan siostry, panie Eversea? - spytała.

Znieruchomiał na chwilę, wyraźnie zaskoczony. A potem odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Tak, mam dwie siostry - odparł. - Stąd wiem, że kobiety wcale nie są takie wątłe i bezbronne, za jakie zwykle biorą je mężczyźni. Albo za jakie same chcą być uważane, kiedy jest im to na rękę.

Było w tych słowach i uznanie, i przestroga. Właśnie tego się po nim spodziewała.

Nie spodziewała się natomiast, że zaraz potem ją puści.

A już zaczęła się przyzwyczajać do tego więziennego zapaszku.

Rozcierając sobie nadgarstki, popatrzyła na Colina z wyrzutem. Na jego przystojnej twarzy nie było ani śladu poczucia winy. Niech go diabli. Darowała sobie rozcieranie, bo tak naprawdę nadgarstki wcale jej nie bolały.

- Czy zawrzemy dżentelmeńską umowę pod słowem honoru, że będziemy sobie nawzajem pomagać? - spytał.

Nie, tylko nie to. Nigdy nie mogła zrozumieć, czemu mężczyźni są tak idiotycznie przywiązani do honoru. Dla niej pojęcia dobra i zła były płynne, zależne od sytuacji.

- Tak - odparła, hamując zniecierpliwienie. Zawsze może stwierdzić, że dla niej „słowo honoru” znaczy coś zupełnie innego.

- Uściśniemy sobie dłonie?

No tak. Teraz już wiedziała, dlaczego nazywano go Szatanem. Nie miała najmniejszej ochoty podawać mu ręki ani jakiegokolwiek innej kończyny, a on świetnie o tym wiedział. No cóż, niech dowie się i tego, że ona niczego się nie boi. Wyciągnęła rękę, a on ujął ją w swoją dłoń i mocno potrząsnął, jakby ścisnął rękę mężczyzny. Nie poruszyło go, że dotykał nagiej dłoni obcej kobiety; ona natomiast przez dłuższą chwilę mogła myśleć tylko o tym, jakie miał ciepłe palce.

- Nikt nie wie o tym oknie - domyślił się.

- Oczywiście, że nie - potwierdziła.

- Przyniosła pani lampę, żeby nikt się nie domyślił, że tu jest okno - zauważył z podziwem.

Nie on pierwszy był zdumiony jej pomysłowością, ale teraz nie miała czasu na wyjaśnienia. Dla niej to już nie były przelewki.

- Da pan radę się wspiąć? - zapytała szorstko.

- Poradzę sobie - odparł takim samym tonem.

Odstawiła miotłę i popatrzyła na niego z powątpiewaniem. W wyglądzie Colina Eversea zwracał uwagę wysoki wzrost, szerokie ramiona i... cóż, przede wszystkim to, że wyglądał wypisz, wymaluj jak Colin Eversea. Niech no tylko wychylą nosy z tej dziury, a na ulicy zaraz znajdzie się jakaś porzucona gazeta z jego wizerunkiem.

Wszyscy, którzy właśnie wracają do domów - czy to zawiedzeni, czy uradowani, że egzekucja jednak się nie odbyła - pewnie ściskają w rękach te papierzyska niczym drogocenne pamiątki, wiedząc, że nigdy nie zapomną tego dnia.

No i to jego ubranie: ciemny frak z drogiego materiału, sądząc na oko, skrojony przez Westona; jedwabny fular (wymięty, ale jedwabny); imponujące oficerki, ani chybi od Hobby'ego, niezniszczone pobytem w więzieniu. Ich połysk może im ściągnąć na kark jakiegoś pazernego złodziejaska, który, gdy tylko oderwie wzrok od butów, na pewno rozpozna charakterystyczną twarz właściciela, a to będzie oznaczało jedno - kłopoty.

Z drugiej strony, portret w gazecie, zwłaszcza z rogami na głowie, to jedno, a człowiek z krwi i kości to zupełnie co innego.

- Ten frak trzeba będzie... - zaczęła.

Ale Eversea nie był w ciemni bity. Szybko zrzucił frak, którego mosiężne guzy jak nic przyciągnęłyby spojrzenia wszystkich okolicznych złodziei.

- Ful... - zaczęła znowu.

Lecz on już rozwiązywał fular, a potem ściągnął kamizelkę tak skwapliwie, że mimo woli aż się zarumieniła. Dawno nie rozbierał się przy niej żaden mężczyzna, zwłaszcza taki przystojny.

Colin Eversea zwinął frak, kamizelkę i fular, schylił się po sznury, którymi jeszcze przed chwilą był skrepowany, i związał nimi w tobolek resztki swojej pozycji społecznej. Zarzuciwszy pakunek na ramię, oznajmił:

- Ja pójdę przodem.

Doprawdy, ta jego arogancja zaczynała działać jej na nerwy. To nie była żadna propozycja, tylko oczywisty dowód, że jednak jej nie ufa.

Madeleine nie miała w zwyczaju słuchać niczyich rozkazów, ale że była osobą praktyczną, uznała, że szkoda czasu na kłótnie.

- Niech będzie - odburknęła.

Colin wyjął okno z ramy; wyszło bez trudu, a do środka wpadła fala ciepłego ulicznego zaduchu. Rząd baryłek ustawionych za oknem przypominał plecy barczystych strażników.

- Uwaga na beczki - rzuciła półgłosem.

Colin Eversea podciągnął się na rękach i wychynął na światło dzienne, a to wszystko zaledwie osiem minut po tym, gdy ktoś próbował zastrzelić Madeleine Greenway.

Rozdział 4

O mały włos byłby się nie zmieścił w oknie. Udało mu się tylko dlatego, że w więzieniu zrzucił sporo ciała. Wsunął się między dwie cuchnące beczki, podciągnął na rękach i ledwo przecisnął ramiona przez okienną ramę.

Kiedy już się wydostał, zobaczył, że stoi w ciemnej, wąskiej i - sądząc po zapachu - niewymownie brudnej uliczce. Zamrugał w mdłym świetle słońca.

Słońce. Znowu zalała go fala emocji. Dobry Boże, a więc żyje, nie jest już związany i...

Ale na miłość boską, co to za miejsce? Siedlisko marginesu społecznego?

Złowił spojrzeniem jakiś błysk pod odrapaną ścianą domu naprzeciwko. Po bliższych oględzinach stwierdził, że to błyszczą dwoje oczu. Należały do jegomościa, który miał ten sam nieokreślony brudny kolor co ściana. Siedział na ziemi z butelką w ręku i patrzył w górę na Colina z przyjaznym zdumieniem.

- Uszanowanko, szefuniu. - W jego głosie dało się słyszeć umiarkowane zadowolenie. Niewątpliwie uznał Colina za kolejny pijacki zwid.

Colin wahał się przez moment.

- Witam - odparł w końcu uprzejmie. Siła przyzwyczajenia.

Pijaczyna rozpromienił się w uśmiechu. Colin naliczył wszystkiego cztery zęby. Tyle, ile zwykle zostaje kręgli po pierwszym rzucie kulą.

Obejrzał się przez ramię akurat w chwili, kiedy w oknie pojawił się czubek głowy Madeleine Greenway i jej blade dłonie, a tors w muślinowej sukience usiłował się przecisnąć przez wąską ramę.

- Oooooo...! - Kłoszard, interpretując sytuację w niedwuznaczny sposób, był wyraźnie zachwycony. Na widok Madeleine odstawił butelczynę i zaczął bić brawo, zupełnie jakby właśnie obejrzał wyjątkowo interesujące uliczne przedstawienie.

Colin podszedł szybko, żeby pomóc jej się wydostać - kolejny nawyk. Dojrzał na jej twarzy cień niepewności. Zerknęła na jego wyciągniętą rękę i lekko zmarszczyła ciemne brwi.

Cofnął dłoń, trochę zawstydzony, trochę urażony i jednocześnie rozbawiony tym, że czuje się urażony.

Madeleine wyprostowała się, otrzepała suknię i natychmiast dokonała oględzin terenu. Wciąż miała we włosach odłamki drewna. Chciał wyciągnąć jeden z nich i ofiarować jej na pamiątkę, ale zaczęła przeczesywać palcami włosy, zanim uległ tej niemądrej pokusie.

- Chwila... Szefuniu, mogę... mogę o coś spytać? - wybełkotał pijak.

Colin zerknął na Madeleine, która wyglądała, jakby miała ochotę rzucić się do ucieczki.

- Proszę bardzo.

- Nachyl no się. - Pijaczek pokiwał leniwie brudnym paluchem.

Colin znowu zerknął na Madeleine. Jasna karnacja, zaróżowione z irytacji policzki, ciemne oczy ciskające gromy. Gdyby ktoś ją w tej chwili namalował, musiałby zatytułować ten portret *Zniecierpliwienie*.

Pochylił się.

- Słucham pana.

Umorusana ręka błagalnie chwyciła go za koszulę.

- Powiess no... - rozczulił się jego nowy przyjaciel. - Jaka ona... jaka... znasz się... ta twoja sikorka... dobra jesst?

- Czy jest dobra? - Colin udał oburzenie. - Mój dobry człowieku, nie za to jej płacę.

Minęła chwila, zanim jego słowa przeniknęły przez opary ginu.

Pijak puścił koszulę Colina, żeby go trzepnąć po udzie, i zaniósł się głośnym rechotem. Z ust buchał mu piekielny smród, więc Colin się odsunął, ale także się roześmiał. Boże! Jak dobrze się śmiać z takich bzdur.

Kloszard nagle spoważniał.

- Masz ładne zęby, szefuniu - zauważył.

No, tak. Czas stąd znikać.

- Bierz pan jego kapelusz - szepnęła Madeleine, której bynajmniej nie było do śmiechu.

- Jak to?... Przecież nie możemy mu tak po prostu zabrać kapelusza - sprzeciwił się Colin, również szeptem.

- On na pewno woli gin od kapelusza. - Madeleine uklękła, pokazała pijaczkowi pensa, a kiedy jego oczy rozbłyły chciwością, szybko cofnęła rękę. - To za kapelusz - powiedziała twardo.

- A bierz, bierz, gołabeszko ty moja - zakwilił obszarpaniec. Położyła monetę na ziemi i ściągnąwszy mu z głowy kapelusz, podała go Colinowi.

- Zawszony kapelusz - mruknął, biorąc go ostrożnie. - Pierwszy prezent, jaki od pani dostałem. Zachowam go na pamiątkę.

- Wygląda na dosyć czysty - rzuciła ponuro, odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. - Niech go pan wreszcie założy.

Colin ukradkiem powąchał nakrycie głowy; o dziwo, nawet za bardzo nie śmierdziało. Nasadził sobie kapelusz na głowę. Był za duży, zjechał mu aż na oczy, i dobrze. Niestety, jego koszula wciąż była stanowczo za czysta jak na tę zapyziałą okolicę, rzucała się w oczy niczym rozpięty na wietrze żagiel fregaty.

Poszedł za Madeleine w kierunku wylotu uliczki, omijając szerokim łukiem podejrzaną wyglądającą kałużę. Mogło w niej być cokolwiek, a on nie miał ochoty w to wdepnąć.

Zerkał raz po raz na swoją towarzyszkę, chcąc ją w końcu dokładnie obejrzeć, ale łowił kątem oka tylko fragmenty całości, bo szła za szybko. Zauważył buty wyglądające spod skraju sukni: brązowe skórzane buty, w dobrym stanie i o modnym kształcie. Więc raczej nie biedowała. Suknię miała jasną, muślinową i też modnie skrojoną - znał się trochę na tym, w końcu miał dwie siostry, a poza tym nie

raz i nie dwa któraś z dam jego serca wysyłała go do krawcowej z drobiazgowym zleceniem. Suknia miała krój raczej tradycyjny, ale bynajmniej nie pospolity: dwie falbanki na dole, wąskie rękawy, gustowna apaszka zakrywająca kwadratowy dekolt. Chociaż na tej pełnej werwy kobiecie żaden strój nie wydałby mu się pospolity. Cerę miała jasną i bardzo gładką, nawet w tej zacienionej uliczce od jej twarzy bił blask. Na brodzie dojrzał dwie malutkie, okrągłe blizny - ślady po ospie - a nad nimi pełne bladoróżowe usta.

Składał te ukradkowe spostrzeżenia w całość i coraz bardziej żałował, że taka piękność - bo naprawdę była piękna - jest zupełnie pozbawiona kobiecego uroku. Wyglądało na to, że przepelniają ją wyłącznie determinacja i żądza odwetu.

Dotarli do wylotu uliczki i oboje się zatrzymali, tknięci tą samą myślą. Żołnierze ani chybi rozpełzli się po całym Londynie, całkiem jak wszy po jego kapeluszu. Colin, który sam był kiedyś żołnierzem, wiedział, że żołdacy są uparci i zawzięci, a czasem nawet bezwzględni. Nie miał wątpliwości, że w tej chwili władze przesłuchują jego rodzinę. Przez myśl przemknął mu obraz ojca, promieniującego dumą i jowialnym zadowoleniem, że oto znowu ich rodzinie udało się oszukać los. Już miał się uśmiechnąć, ale ten obraz przerwał jakąś tamę i zalała go fala tęsknoty. Za rodziną, za Louisą, za Pennyroyal Green. Za wszystkim, co kochał, a co zostało mu odebrane i czego już nigdy nie spodziewał się zobaczyć. W tym momencie poczuł, że nie zniesie, aby dłużej uważano go za mordercę.

Łapczywie wciągał powietrze dużymi haustami, by sobie na nowo uświadomić, że nie jest już w stęchłej celi, tylko na wolności.

- Ma pani jakąś gotówkę, panno Greenway? - Niecierpliwił się, więc pytanie zabrzmiało raczej oschle.

On nie miał ani pensa, bo przecież zapłacił katu, żeby go luźniej związał i pociągnął za nogi przy wieszaniu. Pomyślawszy to, spojrział w dół i zakręciło mu się w głowie. Wciąż czuł na kostkach nieobecne kajdany, czuł, jak buty obcierają go w miejscach, gdzie miał skute nogi. Ale czuł je, a to znaczyło, że żyje.

Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo przyzwyczał się do myśli o śmierci; teraz musiał się przyzwyczajać do tego, że jednak żyje. Nie było to przyjemne uczucie. Zupełnie jak krew, która zaczyna na nowo krążyć w zdrętwiałych kończynach.

Podniósł wzrok i napotkał ciemne oczy Madeleine Greenway, a w nich cień czegoś nieokreślonego, co zresztą po chwili zniknęło.

- Miałabym gotówkę - powiedziała, zerkając znacząco w stronę uliczki. Podobało mu się brzmienie jej głosu: był taki głęboki i zdecydowany. Szkoda, że pełen urazy. - Ale teraz nie mam nawet na dorożkę, żeby dotrzeć do Tygryskiej Nory. A pan przecież nie może chodzić po ulicach taki... taki...

Zamiast dokończyć, tylko pokręciła głową, jakby chciała się otrząsnąć z jakiegoś koszmaru.

Colin pomyślał z przewrotnym rozbawieniem, że to on jest tym koszmarem. Wyglądał jak dżentelmen i na tym właśnie polegał problem. Do tej pory zwykle uważał swój wygląd raczej za atut.

Obok przejechała dorożka, jakby przypominając im, że są uwięzieni w tej zapyziałej uliczce. Postrzępiona płachta gazety zawirowała wesoło pod ich nogami i z wdziękiem łabędzia wylądowała na powierzchni kałuży.

„Colin Eversea”, głosił nagłówek, a tuż pod nim widniał rysunek szubienicy.

Colin odwrócił głowę, ale u wylotu uliczki, gdzie spojrzał, nie zobaczył nic lepszego. W tłumie mignął mu krwistoczerwony mundur.

A tam, gdzie pojawił się jeden żołnierz, zwykle było ich więcej.

Serce zadudniło mu nieprzyjemnie i zaczęło łomotać w przyspieszonym tempie.

- Pański frak - powiedziała Madeleine Greenway cicho, ale stanowczo.

Bez zastanowienia podał jej przewiązany sznurkiem tobolek i patrzył, na wpół ze zdumieniem, a na wpół ze swoistą satysfakcją, jak zgrabnie rozplątuje węzeł, wyciąga frak i ciągnie - ciągnie z całej siły, jako że krawcy Westona słyną z

rzetelnej roboty i nici nie chciały puścić - aż wreszcie urywa jeden z mosiężnych guzików.

Triumfalnie zacisnęła go w dłoni.

- Sprzedamy to.

Zawróciła do ich znajomego spod ściany, pozbawionego już kapelusza.

- Wiesiałem, sze do mnie wrócisz, gołąbeszko ty moja - rzekł pijak z uczuciem.

Madeleine uklękła.

- Gdzie tu można zdobyć flotę? - Nadal mówiła bardzo cicho.

Gdyby zadała takie pytanie komuś w Pennyroyal Green, zapytany wskazałby niedaleką przystań.

Człowiek spod muru odpowiedział:

- Peffnie u McBride'a. To jesss... - Zamachał ręką przed nosem, jakby czyścił niewidoczną szybę, przez którą chciał zobaczyć następne słowo. - To ap... Toafftekarz - oznajmił wreszcie triumfalnie. „F” zrosiło ją deszczem śliny. - A oprósz tego... ma jeszcze bajzel.

Madeleine, niezrażona, otarła krople śliny z policzka. Milczała. Najwyraźniej zachodziła w głowę, kim też może być toafftekarz. Colin z kolei zachodził w głowę, o jaki bajzel chodzi.

- Aptekarz? - przetłumaczył domyślnie, a panna Greenway zaszczyliła go zdumionym spojrzeniem. Dla Colina to nie było trudne: co jak co, ale język ginu rozumiał doskonale. Tak jak język wódki, piwa, szampana i wszelkie pokrewne dialekty.

- Przesiesz mówię, szefuniu.

- Gdzie znajdziemy tego McBride'a?

- A masz jeszcze jednego pensza? - zainteresował się pijaczyna.

- Gołąbeszko ty moja? - dorzucił kokieteryjnie.

- Przykro mi, ale nie. - Słysząc było, że wcale nie jest jej przykro. - Ale mogę przynieść, jeśli nam powiesz.

- To smutne nie mieć ani pensja - pożałował jej pijak. - No doprze... McBride jesss na ulisy obok. Kolo kfff... - kolejny zamaszysty ruch ręki przed nosem, zupełnie jakby chciał złapać muchę

- ...fffiaciarki. - Przy „f” zrosiła ją nowa porcja śliny.

Tym razem Madeleine zrozumiała, o co chodzi, bo szybko wstała, ocierając policzki.

Spojrzała na Colina, wysokiego mężczyznę w nieprzyzwoicie czystej koszuli i zawieszonym kapeluszu naciągniętym na oczy.

- Cóż, będziemy musieli spróbować - mruknęła na w pół do siebie, a na w pół do niego, z ponurą determinacją.

Wychynęli z zaułka na ulicę St. Giles i wtopili się w ruchliwy, acz brudny i dość monotony tłum. Ominęli kilka kałuż i omal nie przewróciła ich pędząca świnią, a zaraz potem trzech chłopców, którzy ją gonili. Ledwo uniknęli rozdeptania przez gromadę ludzi śpiewających piosenkę o Colinie Eversea, a z piętra czynszowej kamienicy opadła na nich chmura kurzu z dywanu, który trzepała jakaś kobieta - to przynajmniej rozwiązało problem białej koszuli Colina. Strząsnął z siebie najgorsze zwały kurzu, a Madeleine pogroziła kobiecie pięścią; gdyby tego nie zrobiła, wydaliby się mocno podejrzeni.

- Przepraszam, mała. - W głosie kobiety nie było ani śladu skruchy.

- Głowa w dół - syknęła Madeleine ostrzegawczo, bo wydawało jej się, że Colin chciał spojrzeć w górę. Ciągle nie mogła się przyzwycząić do jego nieprzeciętnego wzrostu.

- Przecież trzymam głowę w dole - mruknął. - Inaczej przegapiłbym całą masę ciekawych rzeczy, które leżą na ziemi.

Madeleine omiatała wzrokiem fasady domów, stłoczonych niczym tłum na dzisiejszej egzekucji, brudnych i wyniszczonych tak samo jak ich mieszkańcy.

Dziewczyna z koszem owiniętych w papier fiołków od razu rzuciła się w oczy, podobnie jak żołnierze. Obok dziewczyny dostrzegli ozdobny szyld z napisem „Apteka”, wiszący na dwóch łańcuchach.

Madeleine i Colin wśliznęli się do środka.

W aptece panował zaduch, a półmrok rozświetlały dwie kuliste lampy, tkwiące na dwóch przeciwległych końcach lady jak dwa księżycy Marsa. Nie dawały wiele światła, za to świetnie im wychodziło rzucanie na ścianę niesamowitych cieni, i pewnie po to właśnie tu były. Pod sufitem wisiały pęki ususzonych ziół - szałwia, lawenda, rumianek, ciemiernik i inne, których Madeleine nie potrafiła rozpoznać - a w podpisanych słojach na półkach ciągnących się wzdłuż ścian kryły się bliżej niezidentyfikowane preparaty. Oczy jaszczurek? Zęby smoka?

Na innych półkach na sznurkach pod sufitem stały bądź wisiały czaszki i szkielety zwierząt; ich puste oczodoły i nieszkodliwe zęby wydawały się raczej smutne niż groźne.

Właściciel stał za ladą między lampami i właśnie wręczał pękatą butelkę z ciemnego szkła jegomościowi, którego wysoko postawiony kołnierz i nisko opuszczony kapelusz wskazywały, że podobnie jak Colin nie chce być rozpoznany.

- Do widzenia - mruknął, wkładając brzęczące monety w dłoń aptekarza.

Gwałtownie odwrócił się do drzwi, przy czym omal nie przyłożył laską stojącemu obok Colinowi, który z kolei błyskawicznie obrócił się do ściany, żeby pooglądać tajemnicze preparaty w słoikach.

Madeleine zmarszczyła brwi. Zdołała zobaczyć tylko oczy i kawałek nosa, ale mężczyzna, który właśnie wyszedł, wyglądał znajomo. Właściwie... mogłaby przysiąc, że to znany parlamentarzysta.

Ciekawych klientów miewał pan McBride.

Colin, odwrócony plecami do właściciela apteki i z kapeluszem nasuniętym na oczy, przeszedł kawałek wzdłuż ściany, żeby się przyjrzeć jednemu ze szkieletów.

Madeleine zauważyła, że niepewnie stawia kroki. Kajdany, pomyślała. Był skuty przez parę tygodni i ciągle jeszcze się przyzwyczajają do chodzenia bez nich.

- Witam szanowną panią. - Aptekarz, sądząc po akcencie Szkot, był kościsty, nosił okulary, a z jego czaszki zwisały pojedyncze kosmyki siwych włosów.

- Dzień dobry - odparła Madeleine. - Czy pan McBride?

- We własnej osobie. Czyżby ktoś panią do mnie przysłał, moja droga?

Zawahała się, wyraźnie zaskoczona.

- W pewnym sensie - rzekła niepewnie.

- Czym mogę służyć drogiej pani i... - rzucił dyskretne spojrzenie w kierunku Colina, który odszedł jeszcze kawałek i właśnie przyglądał się czemuś, co kiedyś mogło być szczurem - ...szanownemu panu?

Z jakiegoś powodu wcale nie dziwiło go to, że rozmawia z kobietą, a nie z mężczyzną.

- Przyszliście po moją... specjalność? - zapytał przymilnie.

- A jakąż to ma pan specjalność? - Madeleine zastanawiała się, czy to jakiś umówiony kod, po którym właściciel apteki rozpoznaje klientów. Nie wyglądała na typową złodziejkę z przedmieścia, która szuka pasera, toteż nie dziwiło jej, że McBride zachowuje przezorność.

Przyglądał się jej zza okularów, w których odbijało się światło lamp, po czym najwyraźniej uznał, że jest po prostu ostrożna, bo wyprostował się i zaczął mówić.

- Droga pani, pokornie oznajmiam, że jestem w posiadaniu eliksiru, który może rozwiązać prawie każdy... - zniżył głos, choć poza Madeleine i Colinem w aptece nie było żywej duszy - ...intymny męski problem.

Colin Eversea znieruchomiał nad domniemanymi szczątkami szczura.

To prawda, spieszyło im się, ale Madeleine nie mogła oprzeć się pokusie.

- Czy problemy, o których pan wspomniał, nie są przypadkiem natury... małżeńskiej? - spytała konspiracyjnym szeptem.

- Tak jest, droga pani. Moje eliksiry uratowały już niejedno małżeństwo. Potrafię uwarzyć lekarstwo na prawie każdą... - odchrząknął - ...dolegliwość. - Wskazał ręką półki, jakby było oczywiste, że leżą tam składniki magicznych mikstur. Sięgnął za siebie po zakorkowaną butelkę i podsunął jej pod nos. - Na przykład...

- A co, jeśli... - przerwała mu - jeśli mówimy o małej, maleńkiej kijance? - Na wypadek, gdyby sprawa nie była jasna, odmierzyła palcami odległość jakichś pięciu centymetrów.

Colin Eversea się zakrztusił.

McBride zaniemówił na chwilę, widząc żałośnie mizerną odległość między jej palcami. Potem ostrożnie odstawił butelkę, odchrząknął i wyprostował plecy.

- Maleńka kijanka, mówi pani? - powtórzył takim tonem, jakby rozmawiali o eksperymentach naukowych. Z namysłem postukał palcami o ladę.

W tym czasie Colin Eversea doszedł już do siebie; teraz otwierał i zamykał wydłużone szczęki jakiegoś niezidentyfikowanego stworzenia. Skrzyyyyp, skrzyp. Skrzyyyyp, skrzyp.

- O, tak! Po ciemku prawie go nie widać - potwierdziła. Skrzypienie raptownie ustało. Ktoś tu wyraźnie chciał słyszeć, o czym się rozmawia. - Z uwagi na moją niewieścią skromność wolę, żeby podczas... pożycia... - spuściła oczy, jakby samo brzmienie tego słowa ją zawstydziło - ...nie paliły się w sypialni światła. Ale muszą się palić, bo inaczej nie będzie mowy o żadnym... pożyciu.

McBride w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

- A ile czasu szanowna pani po ślubie?

- Mnie się wydaje, że już całe wieki...

- Tak, tak, nie dziwię się.

- ...ale to dopiero dwa lata.

- I mąż chciałby panią zadowolić?

- O niczym innym nie marzy.

Colin odłożył czaszkę z taką siłą, że szczęki aż trzasnęły. McBride zacmokał w jego kierunku, na poły ostrzegawczo, a na poły ze współczuciem, i znów zwrócił się do Madeleine.

- To mu się chwali, to się chwali. Tyle że dla was obojga to niemałe wyzwanie - rzekł z powagą. - Ale niczego nie pragnę bardziej, niż żeby moi klienci byli zadowoleni. Ostatnio uwarzyłem nową miksturę, która może wam pomóc. Turecki przepis. Jeden z moich klientów, nie mogę podać nazwiska, sama pani rozumie, ale to ktoś naprawdę wysoko postawiony, już kupował i wrócił po następną porcję.

- A na co to pomaga, jeśli wolno spytać? Na rozmiar czy... - dyskretnie zawiesiła głos.

- Na erekcję, szanowna pani. - McBride tak się rozemocjonował reklamą swojego produktu, że porzucił aluzje. - Magia nauki, siła natury i moja skromna praca poprawią stan ekwipunku naszego dżentelmena i dadzą mu... większe pole do popisu.

- Rzeczywiście, to musiałaby być magiczna sztuka - zadumała się Madeleine. - Zastanowimy się nad pańskim eliksirem. On i tak będzie dalej próbował tym, co mu Bozia dała. Ma wszak swoją dumę. Tyle tylko, że słyszeliśmy o panu, więc pomyślałam, że przyjdę i zapytam, a on się zgodził przyjść ze mną.

- To się chwali, jak mówiłem, to mu się chwali. - McBride wyraził aprobatę dla rzekomej galanterii Colina.

- Bardzo panu dziękuję za poradę. A skoro już tu jestem, mam jeszcze jedną sprawę - rzekła Madeleine.

- Świetnie, świetnie. - McBride był ostrożny w optymizmie. Jej pierwszy problem okazał się prawie nie do przezwyciężenia; Bóg jeden wie, czego będzie chciała teraz.

Położyła na ladzie mosiężny guzik od fraka. McBride pochylił się, żeby go obejrzeć, i spojrzał na nią znad okularów, łyskając błękitnymi oczkami.

- Chcę za niego sześć szylingów - powiedziała Madeleine. Za chwilę się okaże, czy pijaczek z zaułka nie wpuścił ich w maliny.

- Dam jednego - odparował natychmiast McBride.

No, w porządku, pomyślała.

- Ma mnie pan za idiotkę? - rzuciła chłodno. - Pięć.

- Pięć! - zachnął się McBride. - Pani szczęście, że przystojna z pani kobieta, bo inaczej... - Aż się zachłysnął z oburzenia. Dawał naprawdę wspaniały popis aktorski. - Trzy i pół.

- Cztery szylingi i ani pensa mniej. Dobrze pan wie, że to wyjątkowo pięknej roboty mosiężny guzik.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

W końcu McBride westchnął i sięgnął do kieszeni fraka po aksamitną sakiewkę. Odliczywszy cztery szylingi, włożył je w wyciągniętą dłoń Madeleine.

- To prawdziwa przyjemność robić z panią interesy, madame. Bardzo pani dziękuję.

- Och, bez przesady - zaproponowała. - Potrzeba nam też dość dużego fraka, czarnego albo granatowego. Ewentualnie płaszcz albo peleryny. Ma pan coś w tym rodzaju?

- Niestety, fraków tu pani nie uświadczy. Mam tylko guziki, łańcuszki od zegarków i metale szlachetne. Od czasu do czasu także książki, ale jak już się jakaś trafi, zostawiam dla jednego znajomego. Rzeczy drobne i cenne, oto moja specjalność. Pani Bandycross na Lorrimer Lane sprzedaje koszule i chustki, ale fraki... - Pokręcił głową.

- Nie wiem, gdzie byście mogli kupić frak, chyba tylko na Bond Street.

Oboje zaśmiali się z tej niedorzecznej propozycji. Bond Street i St. Giles to były dwa różne światy.

- Cóż, dziękuję panu. Pomyślałam, że przynajmniej zapytam.

- Cała przyjemność po mojej stronie, droga pani, doprawdy.

Wymienili ukłony i rozstali się, każde przekonane, że wyszło na swoje - co jest oznaką udanej transakcji.

Colin wyszedł za Madeleine z apteki, prosto w gwar i jasne światło dnia.

Wmieszali się w tłum, przez chwilę nic do siebie nie mówiąc.

- Zawstydziała mnie pani - odezwał się wreszcie.

- Szczerze wątpię - odparowała kwaśno.

Roześmiał się, ale zaraz go uciszyła.

- Przecież właśnie o to pani chodziło, może nie? Naprawdę myśli pani, że jestem aż tak gruboskórny? Że nie można mnie zranić? - nadal mówił z rozbawieniem.

- Dosyć tego - wycedziła przez zęby.

- Dostyć czego?

- Niech pan nie próbuje mnie sobie zjednać, panie Eversea. To... całkiem zbyteczne.

- Bo już sobie panią zjednałem? - podsunął z nadzieją.

- Bo to niemożliwe.

- Ale przecież możemy się traktować jak przyjaciele, prawda? To znaczy, o ile mamy zamiar współpracować.

- Ja nie żartuję. Nie szukam przyjaciół i pan też nie. Chce pan tylko sam sobie coś udowodnić, przekonując mnie do siebie.

Po tej uwadze zapadło milczenie.

Colin uśmiechnął się zagadkowo i odchylił głowę do tyłu, jakby chciał przełknąć jej słowa.

A potem zaczął cicho gwizdać.

Odgwizdał kilka taktów swojej melodyjki, kiedy naprzeciwno nich pojawili się dwaj żołnierze. Gwizdanie raptownie ucichło.

Żołnierze, których dzieliło od Colina i Madeleine niecałe dwadzieścia metrów, na tle wszechobecnej szarości rzucali się w oczy niby para kardynałów w purpurze.

Rozglądali się, omiatając spojrzeniami twarze ludzi z tłumu. Zbliżyli się nieubłaganie.

Po drodze nie było żadnych drzwi ani bocznych uliczek, w których mogliby się schować; zresztą gwałtowne ruchy tylko zwróciłyby na nich uwagę żołnierzy. Madeleine dotknęła ramienia Colina i oboje zwolnili. Ukradkiem ściągnęła z szyi apaszkę, odsłaniając nieprzyzwoicie głęboki dekolt. Włosy zmierzwiła, wyciągając parę szpilek.

- Butelka ginu do ręki i niech pan, na miłość boską, udaje lekko zawianego - szepnęła. - I proszę się o mnie oprzeć.

Naparła piersią na zaskoczonego Colina i objęła go. Błękitnozielone oczy na moment pociemniały, kiedy jego osłupiały wzrok padł na jej dekolt. Bo był to, trzeba przyznać, bardzo atrakcyjny dekolt.

Szybko otrząsnął się z zaskoczenia; rozluźnił się i przygarbił ramiona, zwieszając u boku rękę trzymającą butelkę. Szli ramię w ramię tuż za grupką mężczyzn pograżonych w rozmowie, na tyle blisko, że można by ich wziąć za część tej grupki. Colin lekko powłóczył nogami, ale nie przesadzał z odgrywaniem pijanego.

Świetnie mu idzie, uznała Madeleine. Skoro już musi współpracować ze zbiegłym mordercą, to całe szczęście, że przynajmniej trafił jej się bystry.

- Niech się pan nachyli i coś do mnie mówi - rozkazała przyciszonym głosem.

- Ale co? - syknął.

Roześmiała się, jakby powiedział coś zabawnego.

- Teraz ja coś powiem - rzuciła. Krew pulsowała jej w skroniach.

- A ja na to odpowiem - mruknął, orientując się, o co jej chodzi.

- Mówię coś jeszcze? - powiedziała, naśladowując rytm zwyczajnej rozmowy.

W ten sposób, idąc pod rękę i przerzucając się bezsensownymi zdaniem, wtopili się w tłum, ukryci mimo braku przebrania. Żołnierze w czerwonych

kurtkach rzucili im ledwo przelotne spojrzenie, ale Madeleine poczuła ich wzrok, jak gdyby sparzył jej skórę.

Szli dalej w milczeniu jeszcze przez kilka chwil. Oboje potrzebowali czasu, żeby ochłonać.

- Jakie to dziwne tak się ukrywać na widoku - mruknął Colin, wciąż oszołomiony.

- Niech pan więcej nie mówi głośno takich rzeczy. Ani szeptem. Nawet tutaj, na St. Giles. - Była jednocześnie wściekła, podekscytowana i przerażona. - Niech pan, do licha ciężkiego, nie zachowuje się jak dureń.

Raptownie puściła jego rękę i skinęła na dorożkę, która krótkimi zrywami torowała sobie drogę wśród tłumu. W tej części Londynu dorożki były rzadkością. Na St. Giles nie trafiało się zbyt wielu klientów, których było stać na przejażdżkę.

Woźnica otaksował ich spojrzeniem i zrobił gest, jakby chciał ruszać dalej.

- Mam flotę, kolego - oznajmiła Madeleine, naśladowując gwarę z przedmieścia.

- Pokaż pani. - Dorożkarz wyciągnął dłoń i uniósł siwe brwi. Jak widać, aż za dobrze jej wyszło udawanie podpitej panienci lekkich obyczajów.

Gdy dała mu szylinga, chrząknął z aprobatą i machnięciem ręki zaprosił ich do środka.

- Do doków Kompanii Wschodnioindyjskiej - rzuciła Madeleine.

Roześmiał się, a potem westchnął, jakby potwierdziła coś, czego się spodziewał.

Madeleine zamknęła drzwiczki i zaciągnęła zasłonkę w miniaturowym okienku. Dorożka szarpnęła i ruszyła do przodu.

Dobrze, że wreszcie oddalali się od St. Giles, ale nawet w tej zamkniętej przestrzeni nie czuła się bezpiecznie. Serce ciągle waliło jej jak oszalałe, więc wzięła kilka głębokich oddechów. Podciągnęła gors sukienki, zawiązała apaszkę, zasłaniając dekolt, i opadła na siedzenie.

W dorożce unosił się zapach rumu, potu i taniego tytoniu. Obręcze kół zgrzytały na bruku wąskich uliczek przedmieścia. Ale już niedługo powinni przyspieszyć.

Colin Eversea spoglądał na butelkę ginu, którą trzymał w ręku i obracał ostrożnie, jakby to był rekwizyt teatralny.

- Dobrze wiem, że to nie żarty - powiedział cicho.

I to była ich cała rozmowa w drodze do Tygrysiej Nory.

Rozdział 5

Wszyscy wzdrygnęli się, słysząc dźwięk kopyt dudniących na placu coraz bliżej ich domu. Kobiety zacisnęły powieki. Ich ciasno splecione dłonie na tle czarnych sukni wydawały się prawie białe.

Marcus pomyślał, że pośpiech, z jakim chce im przekazać wieści o Colinie, jest, delikatnie mówiąc, nie na miejscu. W końcu zmarły to zmarły.

Ojciec chyba pomyślał to samo. Obaj podeszli do okna, a tuż za nimi Chase i Ian. Wyjrzel na ulicę i zobaczyli, jak posłaniec, rzuciwszy lejce lokajowi, wbiega po schodach.

Marcus widział promienny uśmiech na jego twarzy, uśmiech od ucha do ucha. Wielkie nieba! To już naprawdę brak taktu.

Ochmistrzyni wpuściła posłańca, który wbiegł po schodach, nim ktokolwiek zdążył go zaanonsować. Krzyczał coś, a kiedy już był na górze, z tych okrzyków wyłoniły się ledwo zrozumiałe słowa:

- Nie ma go! Na Boga, nie ma! Wybuchy! Zniknął! Właściwie nie były to nawet słowa, tylko pojedyncze, pełne entuzjazmu sylaby, którym towarzyszyło wymachiwanie rękami.

Jakub złapał posłańca za ramię.

- Powoli. O co tu, na miłość boską...

- Bożeż ty mój, jaka szkoda, żeście tego nie widzieli... Udręczona rodzina otoczyła go ciasnym kręgiem. Wszyscy wstrzymali oddech.

- Może przejdźmy do sedna, dobrze? - W głosie Jakuba pobrzmiwał radosny ton, jakby już wiedział, co za chwilę usłyszy.

- Naprawdę szkoda, żeście tego nie widzieli - posłaniec nie posiadał się z chęci opowiedzenia im wszystkiego. - Colin wszedł na szafot. Tłumy wiwatowały. Był związany... - Rzut oka na kobiety i zrezygnował z tej części opisu. - I wtedy coś wybuchło... najpierw za szafotem, a później w tłumie. Był dym, zamieszanie, wrzaski... i wtedy... - zrobił efektowną pauzę - ...wtedy Colin zniknął!

Zapadła cisza.

A te przeklęte ptaki dalej śpiewają, pomyślał Marcus. Jak gdyby cały czas wiedziały, co się święci.

- Więc go nie powiesili? - Jakub wreszcie się odezwał.

- Nie powiesili. I nie umarł. Tylko, niech mnie licho, po prostu zniknął.

- Sole trzeźwiące - powiedział Marcus do ochmistrzyni, która weszła do pokoju w ślad za posłańcem. Zbladła tak jak wszyscy i tak samo ciężko oddychała, ale wiedział, że ona akurat nie zemdleje, w przeciwieństwie do obecnych dam, które wyglądały, jakby za chwilę miały się przewrócić. Twarz Louisy całkiem zbieleła.

Tylko matka nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Była blada, lecz jej ciemnoniebieskie oczy lśniły pomimo śladów łez.

Marcus myślał, że ojciec do niej podejdzie, ale nie zrobił tego. Tego ranka panował między nimi dziwny dystans, jakby każde pograżyło się we własnym żalu, którego to drugie nie mogło zrozumieć.

Więc rzeki nie popłyną pod prąd, a słońce nie wzejdzie na zachodzie.

Rodzina Eversea znowu przechytrzyła los.

- Niektórzy mówią, że porwał go diabeł - ciągnął posłaniec. - A inni twierdzą, że jest niewinny i że zabrał go anioł śmierci. Żołnierze szaleją. Podejrzewają raczej rodzinę niż niebiańskie czy piekielne moce. Pewnie lada chwila tu będą.

Jego ostatnie słowa zginęły wśród stukotu kopyt na bruku dziedzińca. Żołnierze właśnie się zjawili.

- Czyli Colin żyje - rzekł Jakub. - To wiadomo na pewno.

- W każdym razie nie zawisł na szubienicy - sprostował posłaniec.

Jakub, który przez ostatnie tygodnie wyraźnie się postarzał i zamknął w sobie, teraz odzyskał radość życia, Ian, Chase i Marcus popatrzyli na ojca.

- Słowo daję, że nie miałem z tym nic wspólnego - mruknął Jakub do najstarszego syna. - Myślisz, że bym ci nie powiedział?

Colin zastanawiał się, gdzie zacząć go szukać. Miał wprawdzie parę ulubionych lokali, ale nie był człowiekiem rutyny. Rzadko wracał w to samo miejsce, bo wolał poznawać nowe. Aby przeczesać cały Londyn, potrzeba kilku batalionów, a przecież żołnierze mieli też inne zajęcia. Tak przynajmniej sam sobie tłumaczył, żeby się pocieszyć.

Teraz, kiedy był całkiem trzeźwy, w głowie mu się nie mieściło, że zaglądał do Tygryskiej Nory. Ściana karczmy od strony ulicy składała się głównie z okien, więc klientów widać było jak na dłoni. Gospoda miała specyficzną klientelę: wielu gościom brakowało kończyn albo zębów, lecz z nawiązką nadrabiali te braki posiadaną bronią. Pistolety rozmaitych maści i noże wszelkich możliwych długości i kształtów były znacznie bardziej zadbane niż ich właściciele. Tu i ówdzie zamiast dłoni widać było hak, obok buta z cholewami drewnianą nogę, a niejedna ręka ucięta przy łokciu wymachiwała w ożywionej dyspucie. Czym piraci na morzu, tym ci ludzie byli na ulicach miasta.

Innymi słowy, nie było to towarzystwo, które chadza do teatru.

Colin dziwił się, że nie wybebeszyli go, kiedy tylko się tu pokazał. Ale w Tygrysięj Norze każdy mężczyzna, który może wypić, cieszy się poważaniem, zwłaszcza gdy jeszcze stawia innym. A jego było na to stać.

- Wejdziemy przez kuchnię - rzuciła chłodno Madeleine.

Ciekawe, że tak dobrze zna rozkład tego miejsca. Ale nie ma się czemu dziwić. Przecież tutaj urzęduje jej pośrednik.

Colin nacisnął głębiej kapelusz i przygarbił plecy, a irytująco pewna siebie Madeleine Greenway, nie oglądając się, ruszyła w kierunku kuchennego wejścia. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Wśliznął się za nią i już po pierwszym wdechu mógł odtworzyć historię tego wnętrza. W powietrzu unosił się zapach każdego wypalonego tu cygara, każdego ognia rozpalonego na kominku, żeby klienci mogli się ogrzać, każdej kropli rozlanej w burdach krwi i tłuszczu kapiącego z mięsiwa na rożnie.

Wąski korytarzyk prowadził do kuchni, gdzie usmolony chłopak leniwie obracał rożen nad paleniskiem. Trudno było rozpoznać, jakie zwierzę piecze się nad ogniem, ale lśniło od roztopionego tłuszczu i zniewalająco pachniało. Chłopak wytarł ręką nos i zerknąwszy w stronę głównej sali, by się upewnić, że nikt na niego nie patrzy, tym samym palcem dotknął kuszącego tłuszczu na pieczeni.

- Młody człowieku - odezwała się Madeleine.

Przerażony podskoczył prawie pod sufit i błyskawicznie odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos.

- Nic zębem nie tykał! - Cofnął dłoń od paleniska i odruchowo wsadził palec do buzi. Kiepski był z niego kłamczuch. Będzie musiał lepiej się postarać, jeśli chce przetrwać w dokach.

Colin ocenił, że ma nie więcej niż siedem lat.

- Czy mógłbyś nam powiedzieć, gdzie znajdziemy pana Crokera? - spytała Madeleine.

Cóż za nieoczekiwane uprzejmy ton. Colin spojrział na nią, oczarowany prawie tak samo jak chłopiec.

Dzieciak patrzył na Madeleine z lubością - miłe głosy stanowiły niewątpliwą rzadkość w jego świecie - ale zarazem badawczo. Z wrodzonym każdemu Anglikowi instynktem chciał rozpoznać jej pozycję społeczną. Musiał bowiem się zorientować, co jej obecność dla niego znaczy i co on ewentualnie może z tego mieć.

Najwyraźniej doszedł do jakiegoś wniosku, bo zdecydował się na uśmiech. I był to - wielkie nieba! - uśmiech doprawdy anielski. Z chłopaka był widać prawdziwy czarus.

- Chodzi o pana Crokera czy panią Croker? - dopytywał się.

- Chodzi o twojego pana, mały. Przyrowadź tu pana Crokera, i to już. - Colin nie bawił się w uprzejmości. W każdym jego słowie dźwięczała lodowata wyniosłość.

Chłopiec stanął na baczność, chwilę przebierał w miejscu nogami i pomknął jak strzała do głównej sali.

No proszę. Oto przykład zastosowania arystokratycznej intonacji.

Madeleine przechyliła głowę w stronę Colina; między jej brwiami pojawiła się zmarszczka niezadowolenia. On zaś tylko zasalutował do przydużego kapelusza. Dobrze wiedział, co powiedzieć, żeby mały pobiegł na jednej nodze, bo sam był kiedyś chłopcem, który wprawdzie kiepsko kłamał, ale bez wysiłku czarował innych. Nie ma sensu tracić czasu na zabieganie o względy jakiegoś dzieciaka.

Odwróciła się i sięgnąwszy do rożna, obróciła je, żeby mięso nie przypiekało się za długo z jednej strony. Coś w tym prostym geście ujęło Colina. Madeleine Greenway, której niestraszne było ryzyko i która nosiła w kieszeni pistolet, wreszcie zrobiła coś kobiecego, coś zwyczajnego. Zaczął się zastanawiać, czy w jego życiu jeszcze kiedyś nastaną zwyczajne dni.

Oboje podnieśli wzrok, bo do drzwi zbliżył się tupot małych stópek i głucho dudnienie ciężkich kroków, a cienki głosik mówił cicho:

- ...wielki, wściekły facet...

Kiedy Croker z chłopakiem weszli do kuchni, Colin dał krok do tyłu, chowając się w cieniu korytarza.

Croker, łysy mężczyzna o krzaczastych brwiach, wyglądał na zmęczonego i poirytowanego. Zaczął wycierać dłonie o przybrudzony fartuch, ale na widok Madeleine zamarł w pół gestu.

Przez jego twarz przetoczył się prawdziwy kalejdoskop sprzecznych emocji - zadowolenie, ulga, przestach, zaskoczenie i oszołomienie.

W końcu zdecydował się na minę pełną obojętnej życzliwości.

- Sio. - Przypomniał sobie o chłopaku. - Idź no pomóc pani Croker ścierać stoły.

Chłopiec pomknął w stronę jadalni. Croker odchrząknął.

- No cóż, pani Greenway... - urwał, gdy kątem oka zobaczył „wielkiego, wściekłego faceta” czającego się w cieniu.

Colin uniósł rondo kapelusza i uśmiechnął się czarująco.

Croker wybałuszył oczy.

Po czym, ku zaskoczeniu Colina, na jego nalaną twarz wypłynął promienny zachwyty. Wyglądał jak księżyc w pełni.

Ale już w następnej chwili zachwyty ustąpił miejsca przerażeniu.

Croker rzucił się do ucieczki.

Colin, obdarzonym szybkim refleksem i dość długimi kończynami, jednym ruchem złapał tłuszczocha za kołnierz i przy okazji unieruchomił mu prawą rękę za plecami. Nauczył się tego sportowego manewru od Marcusa, który nieraz go w taki sposób obezwładnił. W międzyczasie Madeleine wyjęła pistolet i wycelowała w potężne brzuszysko Crokera.

- Gdzie możemy porozmawiać bez świadków, panie Croker? - zamruczał Colin do ucha karczmarza.

- W spizarni - burknął zrezygnowany Croker. Wskazał brodą drzwi z grubych desek, ledwo widoczne z miejsca, w którym stali, bo pomieszczenie kuchenne miało kształt litery L.

Poprowadzili karczmarza w ich stronę, mijając długi drewniany stół, dwa przysadziste piece, rząd garnków i patelni na ścianie oraz kredens, którego blat zajmowały góry pokrojonej cebuli i ziemniaków. Weszli do ciasnego, pachnącego stęchlizną pomieszczenia i starannie zamknęli drzwi.

Colin rozejrzał się, czym by tuje zablokować. Dostrzegł drewniany stoliczek i krzesło, którego oparciem zaklinował klamkę.

Stęchły zapach unosił się z koszy pełnych cebuli i ziemniaków. W rogu leżały duże worki, chyba z mąką, a mniejsze - pewnie z kawą i przyprawami - przytulały się do nich jak gromadka wystraszonych kurcząt.

Colin puścił Crokera, a Madeleine odstepiła o krok. Karczmarz otrząsnął się i poruszył ręką, sprawdzając, czy nadal się zgina.

Spoglądał to na Madeleine, to na Colina, jakby nie mógł się zdecydować, do kogo powinien się najpierw odezwać.

- Pani Greenway - zaczął. - Ja... to znaczy... pani... wciąż żyje - uśmiechnął się niepewnie.

- Czemu to pana tak dziwi, panie Croker? - rzuciła lodowato.

Croker nie odpowiedział na to pytanie, bo sam miał inne, ważniejsze.

- A pan... za przeproszeniem... czy to pan Colin Eversea? Naprawdę?

Colin zdjął kapelusz i ukłonił się, nie mówiąc przy tym ani słowa.

Croker, kompletnie oszołomiony, miętosił pasek fartucha. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, oczy miał jak dwa spodki i przebierał nogami w wielkich buciorach. A kiedy wreszcie się odezwał, w jego głosie brzmiała nutka czci i zachwyty.

- Aż nie wiem, co powiedzieć... jestem pana gorącym wielbicielem - rzekł. - Naprawdę gorącym wielbicielem, panie Eversea.

- Miło mi to słyszeć, panie Croker - odrzekł Colin z powagą. Nie zamierzał pytać, czy to wskazane podziwiać człowieka skazanego za morderstwo, świadomy, iż podziw karczmarza będzie można jakoś wykorzystać.

- Panie Croker, chcielibyśmy się dowiedzieć od pana kilku rzeczy - głos Madeleine zadźwięczał jak stal. Najwyraźniej nie miała cierpliwości do wielbicieli Colina.

Karczmarz, jakby sobie o niej przypomniał, zaczął mówić z wielkim pośpiechem:

- Och, pani Greenway, tak się cieszę, że pani żyje. Wiesz pani przecież, że szczerze podziwiam pani pracę...

Pracę? Colin przyjrzał jej się z nowym zainteresowaniem. Madeleine nie odwracała wzroku od karczmarza.

- Panie Croker - rzekł. - Darujmy sobie komplementy...

- Nigdy żem czegoś takiego nie widział - wszedł jej w słowo Croker, kręcąc głową z niedowierzaniem. Najwyraźniej potrzebował wyrzucić z siebie pokłady tłumionego dotąd podziwu. - Guy Fawkes mógłby się od pani nauczyć tego i owego. Fałszywe ładunki. Czarny proch. Genialne! I nikomu nic się nie stało, jeśli nie liczyć apopleksji i paru skręconych kostek. Istny Wellington w spódnicy, ot co! Jestem dumny, że to ja panią poleciłem do tej roboty. I patrzcie państwo! Pan Eversea jest tutaj, cały i zdrowy. Kto by pomyślał! Ja żem myślał, że to już szczyt wszystkiego, jak w zeszłym roku odzyskała pani ten naszyjnik, co go lord Garrett dał kochance, albo jak pani powstrzymała gang Bridlawa przed...

- Dość tego - wtrąciła kwaśno. - Mój plan może i był genialny, ale jego powodzenie zależało od tego, czy wszystkie elementy się ze sobą zgrają. A ma pan chyba świadomość, że nastąpił pewien przykry zgrzyt. Gdzie są moje pieniądze? Kto do mnie strzelał? A przede wszystkim, czemu mnie pan zdradził?

Croker westchnął i spuścił głowę.

- Cóż, sama pani wie, że u mnie prawie wszystko ma swoją cenę - zaczął, jakby jej o czymś przypominał.

- Jak najbardziej, panie Croker. - Biorąc pod uwagę okoliczności, okazywała nadzwyczajną cierpliwość.

- No więc zagrozili mi, ale przy okazji obiecali dać dwadzieścia pięć funtów. Dwadzieścia pięć funtów! Miały być moje, jak tylko im powiem, gdzie pani będzie czekać z panem Eversea, już w południe, czyli wcześniej, niż pani chciała. Nie wiem, kto tam do pani poszedł. I powiedzieli, że nie będzie już żadnych pieniędzy, więc nie mam dla pani nic więcej. Miałem skrupuły, przysięgam na Boga, bo przecież tak dobrze mi się z panią współpracowało, ale cóż, to było dwadzieścia pięć funtów. Musiałbym chyba rozum stracić, żeby nie...

Madeleine Greenway podniosła rękę - tę z pistoletem - żeby przerwać ten wylew obłudnej szczerości.

- Świetnie pana rozumiem, panie Croker. Naprawdę. Ja za dwadzieścia pięć funtów zrobiłabym to samo.

Colin odwrócił głowę w jej stronę. Naprawdę by to zrobiła?

- Kto do pana przyszedł z tym poleceniem? - chciała wiedzieć. - Mężczyzna, kobieta? Kto?

Croker zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią.

- Ludzie gadają - rzekł wreszcie - że całe wojsko pana szuka, panie Eversea. Że za złapanie pana dadzą nagrodę, tyle że nikt nie słyszał, co to za nagroda. A co do pani, pani Greenway... cóż, ja na pani miejscu nie wracałbym na razie do mieszkania. O ile pani życie miłe.

To powiedziawszy, umilkł, założył dłonie na brzuchu i czekał. Madeleine doskonale wiedziała, na co czeka.

- Nie mam czym panu zapłacić, panie Croker.

Colin z kolei wiedział, że to nie było do końca prawdą. Po opłaceniu dorożki zostało im jeszcze co najmniej trzy szylingi.

Croker westchnął ciężko. Najwyraźniej ogromny podziw, jaki odczuwał dla pani Greenway i pana Colina Eversea, walczył w nim z głęboko zakorzenionym przekonaniem, że nie należy zdradzać za darmo niczego, na czym można zarobić.

Colin nagle doznał natchnienia.

- Panie Croker, jeśli mogę coś zapropro...

Ale karczmarz właśnie pstryknął palcami, a jego twarz rozbłysła entuzjazmem.

- Mam pomysł! Ale najpierw muszę stąd wyjść. Jeśli mnie teraz puścicie, to przysięgam, że wrócę z dobrym rozwiązaniem.

Madeleine i Colin mierzyli go wzrokiem, bez słowa, za to z głębokim powątpiewaniem.

- Przysięgam, że wrócę. - Croker uderzył się w pierś. - I żywej duszy nie powiem, że tu jesteście.

- Nawet za dwadzieścia pięć funtów? - zapytała Madeleine, tylko odrobinę uszczypliwie.

- Nawet za takie pieniądze. Przysięgam.

- Na co, panie Croker? - Madeleine była już tym wszystkim zmęczona. - Na co jest pan gotów przysiąc?

- Na głowę mojej drogiej małżonki. Madeleine ironicznie uniosła brwi.

- Na tę ziemię, na której stoi Tygrysia Nora - poprawił się pospiesznie.

Cisza.

Ciągle mierzyła do karczmarza z pistoletu, a on nie miał pojęcia, że ten pistolet nie ma prawa wypalić. Colin stał w milczeniu z rękami założonymi na piersi.

Croker z rosnącym niepokojem zerkał na drzwi. O tej porze zaczynał się schodzić coraz większy tłum głodnych i spragnionych klientów, gotowych wydawać

pieniądze, wywoływać awantury i prowadzić pokątne interesy, w których chętnie umoczyłyby palce; pracownicy bez dozoru gospodarza ani chybi się objają, a chłopak w kuchni pewnie wyciera nos palcami, a potem tą samą ręką dotyka mięsa, które się piecze na rożnie.

Znowu westchnął.

- Pani Greenway - tłumaczył rozsądnie. - Ja naprawdę chcę wam pomóc. I mam rozwiązanie, które będzie nam wszystkim pasować. Tylko muszę po coś pójść i to tutaj przynieść. Co macie do stracenia? Zaraz zaczną się zastanawiać, czemu mnie tak długo nie ma, i ktoś tu przyjdzie mnie szukać.

Słuszna uwaga.

- Idź pan - powiedział Colin. Madeleine, zaskoczona, odwróciła się do niego i poczuł na sobie żar jej ciemnych oczu.

Croker zerknął na jej pistolet, a potem na Colina z niemą prośbą w oczach. Widocznie uznał, że łatwiej mu będzie negocjować z nim.

- Idź pan - powtórzył Colin i zmierzył Madeleine stanowczym spojrzeniem.

Powoli opuściła rękę z pistoletem. Croker wycofał się do drzwi.

- Zaraz wrócę - szepnął uszczęśliwiony. - Obiecuję. I drzwi się za nim zamknęły.

W tej samej chwili Madeleine, oburzona, naskoczyła na Colina.

- Jak pan śmia...

- A ma pani lepsze wyjście? - spytał tylko.

- Może i nie - przyznała - ale niech pan nie kwestionuje moich decyzji, przynajmniej póki korzysta pan z moich usług...

Na dźwięk skrzypnięcia odwrócili się do drzwi. To karczmarz przeciskał swój wydatny brzuch przez szczelinę. Zamknął drzwi zadkiem, bo w rękach, tak ostrożnie, jakby niósł niemowlę albo materiał wybuchowy, trzymał gazetę. I to jedną z droższych, drukowaną na prawdziwej prasie, ze starannie wykonanymi drzeworytami.

Położył ją na stole i delikatnie wygładził, po czym z kieszeni fartucha wyjął zapieczętowany kałamarz, pióro z tępą końcówką oraz garstkę piasku. Wszystko to postawił na stole obok gazety.

Colin patrzył i oczom nie wierzył.

Nagłówek głosił: „Colin Eversea”. Pod nim widniała jego podobizna, z rogami i w błyszczących oficerkach. Na tej rycinie nie wymachiwał nożem, za to obejmował ramieniem piękną kobietę. Z obfitym biustem, o ile dobrze widział. Croker musiał dać za tę gazetę ładny kawałek grosza.

Colin triumfował w duchu. No proszę, Madeleine Greenway myślała, że nie będzie z niego żadnego pożytku, a właśnie to - złożenie autografu na rycinie - zamierzał zaproponować Crokerowi.

Nawet lepiej, że karczmarz sam na to wpadł. Colin nie miał takiej głowy do interesów jak jego brat Marcus, ale tyle przynajmniej wiedział.

- Panie Eversea - odezwał się Croker - ledwo śmiem pana o to prosić, ale... gdyby pan był tak uprzejmy i się tu podpisał... - Podniósł na Colina błagalne, pełne nadziei spojrzenie.

Pamiętki z egzekucji trafiały czasem do muzeów i prywatnych kolekcji. Kawalki sznura, pośmiertne maski, pukle włosów - wszystko to stanowiło cenny towar. Pewnego dnia - może już całkiem niedługo - pan Croker będzie mógł upłynnić tę gazetę na czarnym rynku za całkiem przyzwoitą sumkę.

A dopóki Colina nie złapią, będzie warta jeszcze więcej.

I właśnie to miało im zapewnić bezpieczeństwo: chciwość powstrzyma Crokera przed pokusą doniesienia na nich władzom. Całe szczęście, że nagroda za wydanie Colina była tylko niepotwierdzoną pogłoską.

- Potrzebujemy koców, jedzenia, wody, prochu i nabojów kaliber pięćdziesiąt... - przeszedł do rzeczy, odliczając na palcach.

Croker pochylił głowę, powtarzając pod nosem listę żądań.

- Zrobione - zgodził się.

- Schronienia na noc... - Colin zgiął kolejny palec.

Croker, usłyszawszy to żądanie, zacmokał.

- Tylko na jedną - rzekł wreszcie. - Możecie zostać tutaj, jeśli wam nie przeszkadza cebula i mąka. Nikt tu nie będzie wchodził. Ale przed świtem musicie zniknąć.

- Zgoda - powiedział Colin. - Zapałki, hubka, krzesiwo, świece... - Zabrakło mu palców.

- I maść z dziurawca - wtrąciła Madeleine.

Croker spojrzał na Colina, oczekując potwierdzenia. Najwidoczniej uznał, że to on tutaj wydaje rozkazy.

Colinowi wydawało się, że od strony Madeleine Greenway dobiegł go zirytowany syk, ale na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

Żądanie przedmiotów codziennego użytku sprawiało mu dziwną przyjemność. Wyglądało to, jakby się wybierali na polowanie. Bo w pewnym sensie tak właśnie było.

- I maść z dziurawca, oczywiście, o ile ją pan ma, panie Croker.

- Nie ma sprawy - zgodził się gospodarz.

- Nikomu ani słowa, że tu jesteśmy - ostrzegł go Colin.

- No co pan, panie Eversea. Nie pisnę ani słówka. Muszę dbać o swoją inwestycję. - Czule pogładził gazetę. - Zresztą bez mojego pozwolenia i tak nikt tu nie wchodzi.

- W takim razie z przyjemnością podpiszę się na pańskiej gazecie jutro rano, kiedy będziemy wychodzili. A teraz proszę nam opowiedzieć o człowieku, który panu zaoferował dwadzieścia pięć funtów, żebyśmy później mogli z panią Greenway... o nim podyskutować - dokończył lekko ironicznie.

- To był służący. - Croker nie dał się długo prosić. - Miał ten... taki kostium, no wie pan. Jak mundur. - Wykonał kilka zamasztych gestów, mających pewnie

sugerować, że strój był przesadnie wymyślny. - I perukę. - Klepnął się dłońmi po bokach łysej czaszki.

Lokaj, pomyślał Colin. Lokaje nigdy nikomu nie zapadają w pamięć, nawet jeśli noszą olśniewające liberie. Ludzie prześlizgują się po nich wzrokiem jak po koronie drzewa o pięknych liściach. Służący stanowią część tła, dzięki czemu idealnie się nadają do wszelkich delikatnych misji.

- Jak wyglądał ten „kostium”?

- Pantalony, krótkie buty ze sprzączkami i obcasami i niebieski frak ze złotymi wyłogami. Ten sam, co zawsze.

Kiedy dotarł do nich sens ostatniego zdania, Madeleine spytała:

- Jak to ten sam?

- To był ten sam chłopak, który wcześniej przynosił pieniądze dla pani - wyjaśnił karczmarz.

- Ta sama osoba, która mi zapłaciła za uratowanie Colina Eversea, chciała mojej śmierci?

- Na to wygląda - potwierdził Croker. - Chociaż co do tej śmierci nie byłbym taki pewien.

- Ktoś do mnie strzelał - powiedziała Madeleine. Karczmarz zacmokał z dezaprobatą.

- Bardzo się cieszę, że nie trafił - stwierdził. W jego mniemaniu nie było nic nadzwyczajnego w samym fakcie, że ludzie do siebie strzelają; to tylko skutki bywały różne. - Pojęcia nie mam, kto tam dziś za mnie poszedł. Może to ten lokaj do pani strzelał. Tak czy inaczej zapłacił mi okrągłą sumkę za to, żebym się z panią nie spotkał. Dwadzieścia pięć funtów - powtórzył po raz kolejny, jakby próbując się usprawiedliwić. - Co miałem zrobić, wyciągnąłem wnioski i spodziewałem się najgorszego.

- Czy ten człowiek miał jakieś cechy szczególne? - spytał Colin.

- To był służący, panie Eversea. Nie taki wyjątkowy człowiek jak pan - odparł Croker przymilnym głosem.

Madeleine Greenway tylko prychnęła, ale Colin nie dawał za wygraną.

- Może miał jakieś blizny albo znamiona na twarzy? Albo był wyjątkowo wysoki lub bardzo niski? O takie szczegóły mi chodzi, panie Croker.

- Miał taką brodę, co... - karczmarz ścisnął sobie brodę w dwie fałdki - ...co wygląda jak tyłek.

- Miał dołek w brodzie?

- Nie dołek, tylko coś jakby rowek, panie Eversea. I niebieskie oczy. Ładnie mu pasowały do kostiumu.

Colin spojrział na niego ze zdumieniem.

- To przez moją żonę - westchnął karczmarz. - Jak się pan kiedyś ożeni, panie Eversea, to też będzie pan mówił, że coś pasuje do tego czy do tamtego. Kobiety w kółko o tym gadają. Moja każe mi oglądać swoje łachy i wydawać opinię. Jeszcze trochę, a babę ze mnie zrobi.

Colin uznał to za mało prawdopodobne, ale powiedział tylko:

- Niebieskie oczy i broda jak tyłek. Dziękuję, panie Croker, bardzo nam to pomoże. A wzrost? Był mniej więcej mojego wzrostu czy raczej taki jak pan?

Lokaje zazwyczaj bywali wysocy - przynajmniej w bogatych rodzinach, które było stać na tych najwyższych i z najzgrabniejszymi łydkami.

A jeśli ten konkretny lokaj służył w domu, o którym Colin myślał - tam na pewno mogli sobie pozwolić na przystojnych służących.

- Raczej pańskiego wzrostu, panie Eversea, ale chyba nie aż taki wysoki.

Colin miał jeszcze jedno pytanie, najważniejsze.

- Przyjrzał się pan może jego pończochom? Karczmarz próbował sobie przypomnieć.

- Jasne, ale chyba nie białe. Jak... mleko bez śmietanki. Jedwabne, o ile dobrze widziałem - dodał, jako że jego wstydlivy sekret dotyczący znajomości mody i tak już wyszedł na jaw.

Czyli lokaj z rezydencji hrabiego Malmseya, pomyślał Colin. Sensowne, zważywszy na jego dawną zażyłość z hrabiną.

- Bardzo dziękuję, panie Croker. Zgaduję, że niedługo znowu pana zobaczymy?

- Tak, panie Eversea. Za moment. - Grubas wycofał się ze spizarni i cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 6

Gdy karczmarz wyszedł, Colin sięgnął po miotłę stojącą w kącie i położył ją poziomo na hakach wkręconych w drzwi, blokując wejście. Krzesło, którym wcześniej podparł klamkę, można było odstawić z powrotem pod stół.

Madeleine czuła się niepewnie w pomieszczeniu, które miało tylko jedno wyjście. Oszacowała rozmiary niewielkiego okna i podeszła bliżej, żeby sprawdzić, jak się otwiera. Uchyliło się bez trudu, wpuszczając do środka zapach doków. Zamknęła okno i odetchnęła z ulgą. W razie potrzeby będzie mogła szybko się stąd wydostać. Gorzej z Colinem Eversea, ale to już nie jej zmartwienie.

Od ładnych paru lat, ilekroć wchodziła do jakiegoś pomieszczenia, natychmiast notowała w głowie wszystkie możliwości wejścia i wyjścia. Kiedy rozpracowywała ten pokój, cały czas czuła na sobie wzrok Colina; na jego przystojnej twarzy malowało się zdziwienie. Miał do czynienia z różnymi kobietami - idealną Louisą Porter, hrabiną, wykwintnymi damami z półświatka - lecz takiej jak ona na pewno jeszcze nie spotkał.

Bo też pewnie nie istniała druga kobieta taka jak ona.

Colin podszedł do kosza z cebulami, wybrał sobie trzy i zaczął nimi żonglować. Jego kunszt wzrastał z minuty na minutę.

- A więc... pani Greenway... - cebule krążyły w kółko - ...zauważyłem, że wyjątkowo swobodnie czuje się pani w St. Giles. Paserka i te rzeczy. Nieźle daje sobie pani radę w tym podejrzanym środowisku. Złodziejski żargon też pani nieobcy.

Zatrzymała się, próbując zinterpretować jego ton: uszczypliwy, ironiczny, lekko rozbawiony. Wyraźnie do czegoś zmierzał.

- Może po prostu wszędzie czuję się swobodnie, panie Eversea - odparła.

Cebule wciąż krążyły w powietrzu. Śledziła je wzrokiem; trudno było oderwać oczy.

- Być może. Ale wydaje mi się, że tu, w dokach, zachowuje się pani... wyjątkowo... swobodnie.

- Niech pan wreszcie, do cholery, zada mi to pytanie - rzuciła rozdrażniona.

Usłyszawszy przekleństwo, cmoknął z dezaprobatą, ale cebule nie przestały krążyć.

- No dobrze. Cóż to za praca, z której pani żyje? Co z pani za kryminalistka? Pewnie bardzo dystygowana, skoro trzeba pani pośrednika. Morderstwo w gospodzie to nie dla pani, prawda?

Mówił lekko, ale gdzieś pod spodem czaiło się napięcie. Obserwowała go uważnie, lecz miała świadomość, że prawie nie zna tego człowieka, więc trudno jej będzie zgadnąć, w jakim jest nastroju, albo przewidzieć, co za chwilę zrobi.

- Ja nie popełniam żadnych przestępstw - odparła. - Ja je tylko planuję.

Przyjmuję rozmaite delikatne zlecenia od osób, które stać na opłacenie moich usług.

- Czyli jest pani najemniczką.

Madeleine nie spodobało się to słowo. Ale po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że oddaje prawdę o niej.

- Można to tak nazwać - przyznała.

- Najemniczka powinna lepiej znać się na prochu. To ją ubodło.
- Zapewniam pana, że umiem obchodzić się z bronią. Z tym prochem to był...

wypadek przy pracy.

- Ale przez ten wypadek mogła pani zginąć - rzucił filozoficznie.
- Na szczęście wyciągnęłam pana spod stryczka, dzięki czemu mógł mnie pan uratować.

Stęknął krótko, co pewnie miało oznaczać śmiech. Cebulowa żonglerki coraz bardziej działała Madeleine na nerwy. Kusiło ją, żeby wyjąć pistolet i zestrzelić jedną z cebul. Co za szkoda, że proch zamókł.

- Czemu pytał pan o pończochy? - rzuciła obojętnie.
- Rano pójdziemy z wizytą na Grosvenor Square - odparł. - Wiem, czyi lokaje noszą takie pończochy. Hrabiego Malmseya. Mówi to pani coś?

- Mnie nic, ale domyślam się, że panu przypomina pewną nocną przygodę sprzed kilku lat.

Colin rzucił jej zagadkowy uśmiezek.

- Czyta pani w gazetach o moich wyczynach, pani Greenway?

Nie odpowiedziała, więc przez chwilę ciszę przerywało tylko ciche pac, pac, pac cebul uderzających o dłonie Colina.

- Więc ktokolwiek chciał panią zabić, chciał zarazem, żebym ja przeżył - spekulował.

- Pańska rodzina? - zasugerowała.

Odwrócił się do niej, łapiąc cebule jedną po drugiej w zgięcie ramienia. Jego dystyngowany głos uderzył w nią niczym rozdrażniona żmija.

- Moja rodzina nigdy nie wynajęłaby pani tylko po to, żeby potem kazać panią zamordować. Zresztą mój ojciec nigdy by nie wynajął kobiety.

Colin celowo wypowiedział ostatnie zdanie z pogardą. Chciał, żeby oczy Madeleine Greenway pociemniały z gniewu. Chciał doprowadzić do wściekłości tę nienaturalnie opanowaną, nieprzeniknioną kobietę. Chciał zderzyć swoją wściekłość

i frustrację z czyjąś złością. Miał już dosyć poczucia, że jest uwięziony w klatce, tego przemieszczania się z jednego zamkniętego pomieszczenia do innego.

Poza tym podejrzewał, że Madeleine ma swoją dumę i że właśnie urażona duma nie pozwoli jej milczeć, dzięki czemu on dowie się tego i owego.

- Może nie jest pan tego świadomy, panie Eversea, ale przygotowanie dzisiejszej akcji wymagało bardzo dużo czasu i namysłu. Musiałam też zadbać, by nie zostawić żadnych śladów, które prowadziłyby do mnie.

Jak widać, podejrzewał słusznie.

- Czyli kat, który mnie związał...

- Został przekupiony. Za pośrednictwem wielu ludzi, z których żaden mnie nie zna. W Newgate wszyscy żyją z łapówek. To akurat było banalne - powiedziała lekko, prawie nonszalancko.

Colin pokiwał głową.

- Rozumiem. Kat kazał mi się przewrócić przy piątym strażniku, żeby...

- ...żeby, kiedy podniesie się dym, był pan niewidoczny dla strażników i tłumu, i żeby moi asystenci, ci, którzy pana nieśli...

- Też opłaceni, jak się domyślam?

- Oczywiście. Żeby mogli pana znieść z szafotu pod osłoną dymu i w ogólnym zamieszaniu, a potem przetransportować na umówione miejsce. Stali w tłumie z samego przodu. Oni i chemik, który sporządził środki dymne, zarobili najwięcej, chociaż nie wiedzieli, dla kogo pracuję.

Dobry Boże. Ona rzeczywiście była Wellingtonem w spódnicy. Pomysłowa i odważna, a zarazem dokładna i precyzyjna. To tej drobnej ciemnowłosej kobiecie zawdzięczał życie. Co za niezwykła istota.

- To Croker przekazał pani zlecenie? - zapytał obojętnym tonem, choć czuł, że narasta w nim poczucie nierzeczywistości.

- W pewnych... powiedzmy sobie, kręgach... wiadomo, że Croker zna ludzi, którzy za odpowiednią zapłatę podejmą się każdego zadania. Kiedy dostał

anonimowy list mówiący o zadaniu wyjątkowo delikatnej natury, umówił mnie z tym człowiekiem, on zaś zlecił mi pana uwolnić. Jak dokładnie mam to zrobić, tego nie powiedział. Udało mi się wytargować dwieście pięćdziesiąt funtów, z czego sto płatne z góry. Jak już wiemy, lokaj przyniósł pieniądze Crokerowi, który od razu wziął swój procent. Resztę wydałam na przygotowania.

- Więc widziała pani człowieka, który panią wynajął?

- Nie. Rozmawiałam z nim, ale stał w cieniu. To normalna procedura, jeśli chodzi o spotkanie z klientem.

- Normalna procedura - powtórzył Colin, który w tej procedurze nie widział nic normalnego.

- Mówił jak ktoś dobrze urodzony, ale szeptem - ciągnęła Madeleine. - Nie mam pojęcia, kto to był, i raczej nie rozpoznałabym głosu, gdybym go jeszcze kiedyś usłyszała.

Kto oprócz rodziny Colina mógł tak desperacko pragnąć, żeby przeżył?

- Czy komuś mogła stać się krzywda? - spytał. - Te wybuchy...

- Nie - odparła chłodno. - W każdym razie nie z powodu eksplozji. One miały wywołać tylko hałas i dym. Ładunki zostały odpalone przez rozmieszczonych w tłumie chłopców, których opłaciłam z własnej kieszeni, chociaż też przez pośredników, a wszystko to ze względu na pana, panie Eversea. Niewykluczone, że ktoś skreślił kostkę albo dostał apopleksji, jak mówił Croker, ale poza tym...

- Albo został zdeptany przez tłum - zażartował ponuro Colin. - Zdeptania też nie można wykluczyć.

- To wzruszające, że tak się pan przejmuje samopoczuciem ludzi, którzy przyszli wiwatować, patrząc, jak pan umiera.

- Myślę, że nie wszyscy cieszyliby się z mojej śmierci.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła cierpko.

Słyszając to, Colin nie mógł się nie uśmiechnąć; złość powoli w nim gasła.

Madeleine była równie niezadowolona z tej sytuacji - i z towarzystwa - jak on, tyle

że on miał jeden ważny powód do zadowolenia: ciągle żył. A przy tym bardzo, ale to bardzo dobrze wychodziło jej natychmiastowe odbijanie piłeczki. Czuł się zmęczony jak po dobrej, wyczerpującej partii tenisa.

- Widzę, że nie sili się pani na uprzejmości, co, pani Greenway? - rzucił lekko. Odwrócił się do kosza i wrzucił tam cebule, które trzymał w rękach.

- Uprzejmość, panie Eversea, będzie kosztować pańską rodzinę dziesięć funtów ekstra, jeśli uda mi się dostarczyć im pana całego i zdrowego.

- W takim razie, jeśli można, chciałbym zobaczyć listę pozostałych usług, jakie ma pani do zaoferowania.

Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć jej uśmiech, olśniewający, przepiękny. Chociaż zniknął równie szybko, jak się pojawił, Colin na jego widok zapomniał oddychać.

Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że się w nią wpatruje i że jednak powinien nabrać powietrza.

Nie uśmiechała się, ale jej oczy wciąż lśniły.

- Na przykład, ile pani bierze za opowiadzenie średnio zabawnej historyjki? - spytał, bo bardzo chciał znowu zobaczyć jej uśmiech. Na zachętę dołożył własny, jeden z tych zmysłowych, które zwykle wywoływały rumieniec nawet u najbardziej cynicznych dam. Za chwilę doda jeszcze jakiś komplement na temat jej oczu.

Madeleine Greenway przechyliła głowę i przyglądała mu się z namysłem, jakby tłumaczyła sobie to, co powiedział, na własny język.

- Och. - W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. - Chce pan powiedzieć jakiś komplement na temat moich oczu, prawda? Że są jak aksamit? Jak niebo o północy? Głębokie, bezdenne jeziorkrrrrrra? - Drwiąco przeciągnęła „r” w pseudofrancuskim arystokratycznym stylu.

Colin musiał przyznać, że jest naprawdę niezła.

Ale on był lepszy.

- Nie - odparł z przekonaniem. - Pani oczy w niczym nie przypominają nieba o północy, pani Greenway. Ani nie przywodzą na myśl jeziora. Opanowała pani do perfekcji sztukę ukrywania swoich uczuć, w czym, jak sędzę, wydatnie pomaga pani to wysokie, blade czoło, które, między nami mówiąc, jest naprawdę okazałe. Ale uznałem, że właśnie takie do pani pasuje. Ma też pani ładne, choć surowo zmarszczone brwi i miękkie kobiece usta, a pani cera odbija światło jak dobrej klasy perły. Może pani spytać którąkolwiek z moich kochanek, że na czym jak na czym, ale akurat na perłach się znam i umiem odróżnić dobrą od wadliwej. Pani twarz składa się z samych kontrastów, dzięki czemu jawi się pani jako osoba tajemnicza. Jeśli jednak nie będzie pani ostrożna, oczy w końcu zawsze panią zdradzą. Bo pani oczy są delikatne jak serce ciemnego kwiatu, a gdy się pani uśmiecha, zapalają się w nich maleńkie iskierki. Rzęsy też nie są brzydkie.

Miała rzęsy jak dwa wachlarze z miękkiego futerka, ale przecież jej tego nie powie.

Poczuł idiotyczną satysfakcję, widząc, że Madeleine Greenway stoi przed nim oniemiała.

Ale i jemu zabrakło konceptu. Jakaś wybuchowa mieszanka zmęczenia, wściekłości i skumulowanego czaru tej kobiety wypchnęła z niego tę przemowę z siłą gejzeru. Jego słowa były obliczone na to, żeby oszołomić i oczarować umysł typowej kobiety. Bóg jeden wie, jaki oddźwięk wywołają w umyśle Madeleine Greenway, która w niczym nie przypominała typowych kobiet.

Przez dłuższą chwilę upajał się swoim triumfem, nie spuszczając z niej wzroku.

Pierwsza przerwała milczenie.

- No cóż, panie Eversea. - Jej głos był cichy, ale opanowany. Colina ogarnął żal i zarazem niechętny podziw. - Doprawdy imponująca przemowa. Powinien mi pan być wdzięczny za natchnienie do niej. Gdyby nie ja, pański urok osobisty mógłby, nie daj Boże, ulec atrofii.

- Pani uważa, że mam urok osobisty? To dobrze wróży.

Ciemne oczy znowu błysnęły rozbawieniem, przez pełne usta znowu przemknął uśmiech. Nie wymyślił sobie tych iskierek; w głębi jej oczu naprawdę zapalały się światełka, kiedy się uśmiechała. Krótko mówiąc, udało mu się przynajmniej na chwilę rozbroić Madeleine Greenway. A z jego doświadczenia wynikało, że następnym krokiem po rozbrojeniu jest podbój. Znał ten schemat doskonale, tak samo jak wiedział, jak naładować muszkiet, jak oszukiwać w kartach i jak unikać wierzycieli. Jednak w tym momencie po prostu chciał się nacieszyć swoją przewagą - przewagą, jaką zwykle miewał nad kobietami - bo dzięki temu czuł, że jego życie wraca do normy.

- Niech mi pani powie, kim pani naprawdę jest, pani Greenway - poprosił.

Zamrugnęła i wyprostowała się lekko. Znowu nabrała do niego dystansu.

- Jestem tym, kim w danej chwili muszę być, panie Eversea. A pan nie jest pierwszym mężczyzną, którego to intryguje, i pewnie nie ostatnim ani też, muszę dodać, nie najbardziej interesującym z nich.

Prowokowała go albo po to, żeby wymusić na nim większą uległość, albo żeby się postarał być bardziej interesujący. Optymistycznie postawił na ten drugi wariant.

- Atrofia - powiedział. - Ma pani niezwykle bogate słownictwo jak na najemniczkę.

- Znaczy tyle co zanik - wyjaśniła uprzejmie. Patrzcie państwo, ona umie podnieść jedną brew. Ktoś szarpnął drzwiami i oboje aż podskoczyli.

Wdzięczna za pretekst, który pozwolił jej odwrócić wzrok od Colina i wziąć się w garść, Madeleine energicznym krokiem podeszła do drzwi i wysunęła miotłę z podtrzymujących je haków. Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem i w szparze pojawiła się owłosiona ręka machająca metalową puszką. Madeleine wyjęła puszkę z grubych palców, a gdy te z powrotem zniknęły w szparze, zamknęła drzwi i wsunęła miotłę w oczka haków.

Na wieczku puszki koślawe litery - skreślone przez kogoś, kto najwyraźniej rzadko potrzebował cokolwiek zapisać - tworzyły podpis: „Maść z dziurawca”. Chociaż Crokerowie nie cieszyli się najlepszą sławą i niewykluczone, że podawali gościom zapiekanki z bezpieczeństwa kotów (przynajmniej taka plotka krążyła po mieście), w tej puszcze maści z dziurawca było coś pokrzepiająco znajomego. Madeleine pomyślała, że chyba w każdym domu, jak Anglia długa i szeroka, jest taka puszka.

Odwróciła się do Colina i zobaczyła, że jej się przygląda.

- Wypadałoby obejrzeć pańskie kostki, panie Eversea. Inaczej będzie się pan guzdrał i z pośpiechu nici.

Colin wytrzeszczył oczy. Ucieszyła się, że zdołała go zaskoczyć, tak jak on do tej pory co rusz ją zaskakiwał. Proszę bardzo, panie Eversea, ja też jestem spostrzegawcza. Jego twarz drgnęła na moment jakimś uczuciem - zakłopotaniem? wstydem? - po czym znowu zakryła ją maska obojętności.

Stał jeszcze chwilę nieruchomo, a potem bez słowa opadł na krzesło i zabrał się do zdejmowania buta.

Bez powodzenia. Minęła prawie minuta, a but wciąż tkwił na jego nodze. Colin Eversea uniósł głowę, rzucił Madeleine nieodgadnione spojrzenie i dalej ciągnął.

Jakiś odruch, zrodzony z niecierpliwości i zakurzonych wspomnień, kazał jej uklęknąć przed nim, wziąć cholewkę w obie ręce i pociągnąć.

Oboje zamarli na moment.

Potem Madeleine niespiesznym ruchem podniosła głowę i z wyzywająco uniesioną brwią spojrzała prosto w te błyszczące zielononiebieskie oczy, ale nic nie powiedziała.

Colin powoli, bardzo powoli wyprostował nogę w jej kierunku. Uśmiechnęła się w duchu; zachowywał się zupełnie jak człowiek, który podaje rękę do powąchania rozdrażnionemu psu. Szarpnęła z całej siły - wiedziała, jak wyglądają

oficerki od Hobby'ego i jak się je zdejmuje - i już za chwilę but został jej w rękach. Odstawiła go na bok. Colin wyciągnął drugą nogę i w ciszy powtórzyli całą procedurę.

Ustawiała buty równo, jeden obok drugiego; wysokie i eleganckie, wyglądały jak para służbiście wyprostowanych lokajów.

Madeleine podniosła wzrok na Colina Eversea i zobaczyła ze zdziwieniem, że zaciska szczęki, wpatrując się w wielki czarny kocioł, który wisiał na ścianie, a na jego policzkach pojawił się rumieniec. Mało prawdopodobne, żeby się zarumienił z wysiłku. Wstydzi się, że potrzebował pomocy czy raczej tego, że właśnie ona była świadkiem jego chwili słabości? Na pewno jest dumnym człowiekiem. Może wciąż jeszcze oswaja się z myślą o tym, że tak długo był zakuty w kajdany.

Nonszalancja, jaką okazywał w więzieniu, była wręcz legendarna. Jeśli wierzyć gazetom, rzucał aforyzmy na lewo i prawo, jak dobry król rzuca monety w tłum wieśniaków. A Anglicy uwielbiają przestępców z fantazją.

Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, ile ta fantazja musiała go kosztować. „Dobrze wiem, że to nie są żarty”, powiedział.

Czekała, nie chcąc go ponaglać. Colin wziął głęboki oddech, wypuścił powietrze i szybkim, niemal wyzywającym ruchem podwinął nogawki spodni, najpierw jedną, potem drugą. Przerwał na chwilę i oparł dłonie o uda, jakby zbierając siły.

Kolejny głęboki oddech i schylił się, żeby opuścić pończochy, znowu najpierw jedną, a potem drugą, powoli i ostrożnie.

Gdy odsłaniał łydki, Madeleine poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz, a włosy na karku lekko się podnoszą.

Za późno zdała sobie sprawę, że to Colin Eversea znowu jest górą.

Fala gorąca zalała jej twarz, szyję i ramiona. Przecież to tylko nogi, na miłość boską, tłumaczyła sobie. Wszyscy mężczyźni je mają, chyba że któryś stracił nogę na wojnie albo na polowaniu. Te konkretne nogi zaczynały się od smukłych kostek,

które przechodziły w silne, umięśnione łydki, pokryte twardymi rudobrazowymi włosami. Jedną przecinała stara, poszarpana blizna; niewątpliwie kryła się za tym jakaś opowieść. Blizny i opowieści stanowiły w jej mniemaniu element podstawowego wyposażenia mężczyzny. Zmarszczyła brwi, przyglądając się tym zdecydowanie męskim, a zarazem atrakcyjnym łydkom. Patrzyła na nie z wyrzutem, bo przypomniały jej, że mimo wszystko jest kobietą. Ten przyspieszony oddech, te wypieki to nie tylko dlatego, że patrzyła na częściowo odsłonięte męskie ciało. Coś w tej niezręcznej, a jednak dziwnie znajomej sytuacji - może troska o kogoś... a może wiedza o tak intymnych szczegółach jak to, że ten ktoś ma bliznę pod kolanem... - chwyciło ją za serce i przywoływało słodko-gorzkie wspomnienia.

Nie śmiała podnieść oczu, pewna, że z rumieńców na twarzy wyczyta całą prawdę o jej zmieszaniu. Była tak blisko niego, że wyraźnie widziała błękitną żyłę biegnącą w górę od kostki. Na tym się skupiła, ale po chwili zaczęła sobie wyobrażać, że ta żyła biegnie wyżej, po wewnętrznej stronie uda, które pewnie jest mocno umięśnione dzięki wielu godzinom spędzonym na koniu, lecz pewnie skóra na nim jest gładza, bo włosy wytarły się od siedzenia w siodle...

Gwałtownie spuściła wzrok z powrotem na jego kostki.

I aż jej się zimno zrobiło na ten widok.

Na każdej odcinał się pas zaróżowionej, pozbawionej włosów skóry, dokładnie szerokości kajdan. Nieleczone, kostki w ciągu paru dni zaczęłyby ropieć, wdałoby się zakażenie i naprawdę mogłoby się to dla niego źle skończyć. W więzieniu nikt się tym nie przejmował, bo przecież Colin Eversea miał zawisnąć na stryczku, nim chore kostki dadzą mu się we znaki. Jeśli jednak przeżyje tę eskapadę, do końca życia będzie nosił pamiątkę pobytu w celi: dwa bezwłose pierścienie skóry. Może nawet zostaną mu blizny.

Odkręciła puszkę z maścią. Starła się zachować obojętność, nie chcąc przysparzać Colinowi kolejnego powodu do zakłopotania i próbując trzymać na

wodzy własne uczucia, lecz mimo to ręka lekko jej zadrżała. Zaciśnęła palce na pokrywce, żeby się opanować.

- Poproszę pański fular - powiedziała bezbarwnym tonem.

- Mój ful... No tak. - Jego odpowiedź była równie beznamiętna.

Sięgnął po tłumoczek z ubraniami, wyciągnął z niego zmięty, ale wciąż śnieżnobiały czworokąt z jedwabiu i sprawnie, pomagając sobie zębami, przedał go na pół. „Byłem w wojsku”, powiedział wcześniej. Wiedział więc co nieco o tym, jak się robi bandaż.

Podał jej dwa pasma białego materiału, jak dwie flagi kapitulującego wojska.

Na powierzchni maści pozostały wgłębienia zrobione czyimiś palcami.

Nabrała jej sporo, wstrzymała oddech i zaczęła smarować obolałą kostkę.

Colin Eversea siedział nieruchomo; tylko napięcie mięśni i odrobinę głośniejszy oddech zdradzały, że coś czuje. Jego skóra parzyła ją w palce. Czowała się nieswojo, dotykając kogoś tak... pełnego życia. Już prawie zapomniała, jak przyjemnie jest dotykać mężczyzny. Mężczyźni są postawni i umięśnieni, a pod ich zaskakująco miękką skórą pokrytą szorstkimi włosami kryją się mocne kości. I zwykle zajmują mnóstwo miejsca. Zwłaszcza ten mężczyzna.

Ale na tym zdartym prawie do żywego ciała kawałku skóry, który Madeleine smarowała chłodną maścią, w ogóle nie było włosów. Starła się skupić tylko na tej prostej czynności, słuchając jego oddechu. Była zdziwiona, że nie padła żadna aluzja do jej pozycji - klęczała między nogami Colina, jakby oddawała mu zupełnie inną intymną przysługę. Spodziewała się, że nie zdoła się powstrzymać przed taką uwagą.

Zerknęła w górę i z zaskoczeniem stwierdziła, że Colin ma zamknięte oczy. Policzki ciągle znaczył mu rumieniec, palce zaciskał na kolanach. Jakoś nie wydawało jej się, że z bólu.

Pomyślała, że musiało minąć sporo czasu - w każdym razie więcej, niż był przyzwyczajony - odkąd dotykała go jakaś kobieta. Ciekawe, czy i jego, tak jak ją,

prześladują natrętne, niestosowne myśli. Może wyobraża sobie, że jej ręce należą do innej kobiety.

A może po prostu oswaja się na nowo z dotykiem nagiej dłoni na skórze.

Opuściła wzrok. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczęła fantazjować na temat Colina Eversea. Chwyciła się bandaża jak koła ratunkowego i delikatnie owinąwszy kostkę, zawiązała luźne końce. Na jej nieposłuszne myśli przydałaby się raczej opaska uciskowa. Nabrała maści na palec i zabrała się do drugiej nogi.

- Pani już to kiedyś robiła - powiedział półgłosem, z wyraźnym rozbawieniem.

Podniosła głowę i zobaczyła, że rumieniec zniknął, a Colin Eversea przygląda jej się ciekawie. Widocznie przeszedł mu wstyd albo zdołał go stłumić.

- Raz czy dwa - przyznała.

- Croker mówił do pani per „pani Greenway”.

- Zgadza się. - W jej głosie znowu pojawiła się nutka sarkazmu. Ten ton wyraźnie mówił: „Lepiej nie dociekaj”.

Miała nadzieję, że nie zapyta.

- Więc istnieje jakiś pan Greenway? Cóż, nadzieja matką głupich.

Nie odpowiedziała. A Colin Eversea nie powtórzył pytania.

- Nikogo nie zabiłem - powiedział zamiast tego. Jakby to był powód, dla którego nie chciała z nim rozmawiać.

No nie, znowu to samo.

- Nic mnie to nie obchodzi, panie Eversea.

Dokończyła rozsmarowywanie maści, pokrywając całą zaognioną ranę. Musiało bardzo go boleć przy chodzeniu, a przecież nawet się nie skrzywił. Gdyby nie zauważyła, że utyka, pewnie nic by nie powiedział.

Ech, mężczyźni.

- Naprawdę nic to pani nie obchodzi? - dopytywał się. Zabawny człowiek. Zupełnie jakby prawdziwym przestępstwem nie było zabójstwo, którego rzekomo się dopuścił, ale właśnie jej obojętność.

- To nie ma żadnego znaczenia. - W piersi narastało jej jakieś dziwne napięcie.
- Przecież widzę, że nie jest pani wszystko jedno - drażył.

Madeleine przysiadła na piętach i uniosła ręce w obronnym geście.

- Panie Eversea...

Oczywiście, że nie było jej wszystko jedno. Ale po prostu nie chciała o tym myśleć. Nie chciała, żeby Colin Eversea miał dla niej jakiegokolwiek znaczenie. A przede wszystkim nie chciała, by się dowiedział, że nie jest jej obojętny, bo była pewna, że ktoś taki jak on nie zawaha się tego wykorzystać. Woląca myśleć o nim jak o kolejnym zleceniu, bo tylko wtedy będzie się mogła od niego odciąć. A tego właśnie pragnęła - odciąć się od wszystkiego, co łączyło ją z Anglią.

Miała jednak przed sobą człowieka, który rozpaczliwie pragnął, żeby go ktoś wysłuchał.

Później nieraz przeklinała się w duchu za ten moment słabości, ale słowa już padły; poczuła je, zupełnie jakby ktoś wyciągał z niej paciorki na sznurku:

- Niech mi pan opowie, jak to się stało.

Milczał chwilę. Wiedziała, że to szlachetne milczenie: dawał jej szansę, żeby wycofała prośbę.

Związała końcówki drugiego bandaża, zakręciła puszkę z maścią, znów przysiadła na piętach i czekała.

- No dobrze - rzekł cicho. - Powiem pani, jak się to wszystko zaczęło. Od Louisy. Louisa Porter to kobieta, którą zamierzam poślubić, jak pani może pamiętać. Pragnę tego od zawsze, już kiedy miałem dziewięć lat, wiedziałem, że Louisa i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Ale kilka tygodni temu Louisa powiedziała mi, że jej ojciec niechętnie patrzy na nasz związek, ponieważ, jak to pani błyskotliwie zauważyła, pani Greenway, to nie ja trzymam rękę na rodzinnych pieniądzach. Mam za to niewątpliwą skłonność do ich wydawania.

- Tak mówią - wtrąciła Madeleine.

Kąciki ust Colina lekko drgnęły na te słowa.

- No więc Louisa i ja... cóż, pokłóciliśmy się. To dziwne, bo właściwie nigdy się nie sprzeczamy. Poszło o jakąś drobnostkę. Ale byłem na nią zły; zraniła moją dumę. Widzi pani, nigdy oficjalnie jej się nie oświadczyłem, ale też nigdy nie przyszło mi do głowy, że ona może nawet pomyśleć o ślubie z kimś innym. A jej rodzina nalegała, żeby szybko wyszła za męża. No i wtedy uznałem, że koniecznie muszę jej pokazać, że nie ma racji - rzucił ironicznie. - Wyjechałem z Pennyroyal Green. Wziąłem konia i pognałem do Londynu na złamanie karku.

- Słyszałam, że to jedyna prędkość, z jaką się pan porusza.

- Widzę, że sporo pani o mnie czytała, pani Greenway.

- Tylko dla rozrywki. Lepsze to niż jakieś okropne powieści.

- Rozrywka! - Spodobało mu się to określenie. - Tak, to bardzo dobrze opisuje moją osobę. W każdym razie piłem, i to tego, w tej właśnie gospodzie. Czasami tu przychodzę. Moi przyjaciele uważają, że to świetny żart. Horacy Peele... - Zerknął na Madeleine, żeby się zorientować, czy wie, o kim mowa.

- Horacy Peele? Ten, co ma psa z trzema nogami?

- Właśnie! - Colin wyraźnie się ucieszył, że najwyraźniej wszyscy znają Horacego. - On też tu był. Pamiętam, że palił fajkę. Straszne paskudztwo, nabita jakimś wyjątkowo podłym tytoniem. Postawiłem mu kolejkę. Lubię Horacego. Ze wszystkiego się śmieje, człowiek czuje się przy nim niesamowicie dowcipny. Daliśmy jego psu, nazywa się Łapaj, napić się z wierzchu kufła, bo dopiero zaczynaliśmy pić. No i Roland Tarbell też był obecny.

- Oczywiście - mruknęła Madeleine. Roland Tarbell musiał być obecny, żeby potem mógł zostać zabity.

- Tarbell był krewnym Redmondów z Pennyroyal Green, ze strony pani Redmond. Wiem, że o zmarłych nie powinno się źle mówić, ale on był wyjątkowo nieprzyjemny nawet jak na tę szacowną rodzinę. Widzi pani, moja rodzina od dawien dawna nie za dobrze żyje z Redmondami. Ponoć zaczęło się od jakiejś ukradzionej krowy.

- Ja słyszałam, że chodziło o świnie. Roześmiał się gardłowo i rzekł:

- W każdym razie niewątpliwie o jakieś zwierzę parzystokopytne. To było wieki temu, ale od tamtej pory tę waśń rodową mamy we krwi. A Roland powiedział coś uwłaczającego o mojej siostrze Olivii.

Mówił to chłodno, nie kryjąc wzburzenia. Ciekawe, pomyślała. Roland już dawno nie żyje, a Colina wciąż boli zniewaga siostry.

- Byłem pijany - przyznał obojętnym tonem. - Wyzwałbym go na pojedynek, chociaż to głupota, ale wtedy on... - uniósł głowę i przez chwilę patrzył gdzieś w dal - ...uderzył mnie. I to mocno. Już podnosiłem rękę, żeby mu oddać, i pewnie rozłożyłbym go na łopatki, kiedy zobaczyłem nóż, dzięki Bogu w samą porę. Błysnął w świetle ognia z kominka.

Mówił teraz cicho, jak gdyby z namysłem.

- Ruszył na mnie z tym nożem. Ja się odsunąłem, on się pośliznął na rozlanym piwie, i to właściwie był koniec całej historii. Wiem, że o zmarłych źle się nie mówi, ale ten idiota nadział się na własny nóż, kiedy próbował zabić mnie.

Spojrzał na Madeleine, ale ona milczała. Próbowwała przyswoić sobie jego słowa, zobaczyć całą scenę oczyma wyobraźni.

- Przewróciłem go na plecy, ale niestety już nie żył. Myślę, że miał szybką śmierć. W każdym razie wiadomo, że nie wolno wyciągać noża z głębokiej rany, jeśli się chce, żeby ranny przeżył. Miałem tyle przytomności umysłu, że go nie wyciągnąłem. Niestety położyłem na nim rękę i tak mnie znaleźli stójkowi, kiedy tam wpadli: z ręką na nożu wystającym z piersi Rolanda Tarbella. Ale przysięgam na Boga, pani Greenway, to nie ja go zabiłem.

Znaczenie jego słów powoli docierało do Madeleine.

Poznała Colina Eversea dopiero dzisiaj rano; słyszała, jak mówi, jak się śmieje, widziała, jak się zachowuje w trudnych okolicznościach, jak ostrożnie podchodzi do ludzi... A teraz miała przed oczyma noc, o której mówił, zupełnie

jakby to się działo w tej chwili, i czuła jego przerażenie, czuła całą absurdalność tamtej sytuacji.

Jego wyjaśnienie było całkiem prawdopodobne. Nawet bardziej niż wersja wydarzeń, którą znała z gazet.

Ponieważ ciągle milczała, Colin ciągnął dalej:

- Horacy Peele i jego pies wszystko widzieli. Horacy próbował nawet powiedzieć stójkowym, że ja nie miałem z tym nic wspólnego, że to był wypadek, że Roland Tarbell sam się tak załatwił. Przecież wszystko dobrze widział. Ale zanim doszło do procesu, Horacy zniknął i od tamtej nocy nikt go nie widział, poza jednym pijaczkiem, który twierdził, że porwał go skrzydlaty, płomienny rydwan. O czym pewnie też pani słyszała. A wszyscy inni świadkowie mówili tylko, że widzieli mnie obok ciała z ręką na nożu i że wcześniej się biliśmy - w jego głosie pojawiła się nutka goryczy. - Resztę historii już pani zna.

Oboje podskoczyli, bo znowu ktoś szarpnął drzwiami.

Madeleine zdała sobie sprawę, że od dobrych paru minut klęczy przed Colinem Eversea. Wstała i podeszła do drzwi, żeby wysunąć miotłę z haków.

Po chwili uchyliły się z cichym skrzypieniem i dobiegł ich szept Crokera:

- Pamiętajcie, że przed świtem ma was tu nie być.

Karczmarz przecisnął przez wąską szparę pakunek, który z delikatnym pacnięciem spadł na ziemię: koce. W ślad za nimi wsunął do środka kilka mniejszych zawiniątek.

- Z Bogiem - szepnął i drzwi się zamknęły.

Madeleine umocowała miotłę i zebrała pakunki z ziemi. Był tam rożek z prochem, paczuszka owiniętych papierem kul - właściwego kalibru, bo Croker miał podobny pistolet jak ona - krzesiwo i zapalki, o które prosili, paszteciki z mięsem i trzy czwarte krawka twardego sera. Z własnej inicjatywy karczmarz dołożył jeszcze bukłak z wodą. Doprawdy niespotykana hojność, jak na Crokera.

Przełamała pasztecik na dwie części i większą podała Colinowi, który, jak zauważyła z rozbawieniem, nie zaprotestował. Jedli w milczeniu.

Madeleine zmiatała okruszki ze stołu na podstawioną dłoń, kiedy Colin wstał gwałtownie. Uniosła głowę i zobaczyła, że zdejmuje worki mąki ze stosu pod ścianą, układa je na podłodze i uklepuje, tworząc coś w rodzaju materaca. Chyba była zbyt zmęczona, żeby trzymać myśli na wodzy, bo poczuła, że niemal hipnotyzuje ją widok jego mięśni poruszających się pod koszulą, jego szerokich pleców opadających ku wąskim biodrom i idealnej proporcji tych długich nóg względem reszty ciała.

Dopiero po chwili zorientowała się, że układa posłanie.

Dla niego łoże z mąki byłoby za krótkie, ale ona zmieściłaby się na nim bez problemu.

Nie może jednak spać, pozostając sam na sam z tym mężczyzną. Colin odwrócił się do niej.

- No to mamy łóżko - oznajmił z satysfakcją. - Może pani z niego skorzystać, a ja będę czuwał.

Kolejne z aroganckich stwierdzeń, które tak ją irytowały. W dodatku wyciągnął rękę po jej pistolet.

- To ja będę czuwać - odparła ze spokojem.

Colin Eversea znieruchomiał i utkwiał w niej te swoje przenikliwe niebieskozielone oczy.

Znowu znaleźli się w impasie; to powoli stawało się dla nich typowe.

Najwyraźniej jedno nie ufało drugiemu, pomimo tych zwierzeń nad puszką z maścią z dziurawca.

Po chwili Colin wykrzywił usta w cynicznym uśmiešku, ale jego oczy pozostały poważne.

Ten człowiek chyba w ogóle nie mruga, pomyślała Madeleine. Do tej pory myślała, że jest w stanie z każdym wygrać walkę na spojrzenia.

Zacząła się przyglądać Colinowi Eversea, jakby oceniała kolejne zlecenie, wypatrując drobiazgów, które mogą się przydać. Miał po żołniersku wyprostowane plecy, ale wydawało jej się - nie, wcale jej się nie wydawało - że lekko chwieje się na nogach. Jego twarz była blada, a podkrążone oczy błyszczały niezdrowo. Mogła się założyć, że nie przespał porządnie żadnej nocy od czasu aresztowania, a w dodatku musiał zmagać się z bólem.

Jednym słowem, był wykończony. Do działania popychała go jakaś nadnaturalna siła zrodzona ze strachu, wściekłości albo desperacji.

Madeleine wiedziała, jak to wykorzystać.

- Niech się pan położy - powiedziała przyciszonym głosem, pełnym zachęty.

Colin szeroko otworzył oczy, zdumiony dwuznacznością tej propozycji.

Madeleine musiała wbić sobie paznokcie w dłoń, żeby się nie zarumienić.

Niestety, okazał się za sprytny i nie dał się nabrać.

- Czemu każe mi się pani położyć, pani Greenway? - spytał z rozbawieniem.

W tej chwili pożałowała, że zbiegły morderca, z którym przyszło jej pracować, jest taki bystry. Oprócz tego poczuła się lekko urażona. W jego pytaniu nie było nawet cienia męsko-damskiej aluzji. Czysta podejrzliwość.

- Bo chcę wiedzieć, czy te worki są na tyle wygodne, żebym mogła na nich przespać całą noc.

Postawiła na ton niewiniątka. Przyszło jej to nie bez trudu. Colin nie zastanawiał długo się nad odpowiedzią.

- To ciekawe, bo nie wygląda mi pani na rozpieszczoną księżniczkę.

- Rani mnie pan do głębi, panie Eversea. - Położyła rękę na sercu. Jego spojrzenie pobiegło za jej dłonią i chyba miał pewien problem, żeby odwrócić wzrok od jej piersi. No, tak już lepiej. - Po prostu zastanawiałam się, czy nie woli pan spać na krześle, bo te worki są pełne robactwa i dlatego to mnie je pan proponuje. Pan bowiem wygląda na rozpieszczone książątko.

Eversea podejrzliwie zmrużył oczy - trudno mu się dziwić - ale potem westchnął głęboko i uległ jej żądaniu. Siadł na brzegu łoża z worków i rozrzucił ręce, jakby chciał powiedzieć: No i widzi pani?

Teraz wystarczyło tylko czekać.

I to wcale nie tak długo, jak myślała. W jego oczach pojawiło się nieobecne spojrzenie, jak gdyby skierowane do wewnątrz. Całe ciało oswajało się z miękkością i sprężystością worków.

Przypominał kota, który położył się w słońcu. Powoli, jakby popychany przez parę niewidzialnych ramion, osuwał się do tyłu i w dół, do tyłu i... w dół. W końcu położył się płasko i znieruchomiał. Worki z mąką lekko się wybrzuszyły, zamykając jego długie ciało jak w kołysce.

- Teraz - powiedziała Madeleine, siadając na krześle i pochylając się nad nim - policzę do dziesięciu. Jeśli wytrzyma pan do tego czasu z otwartymi oczami, pozwolę panu trzymać wartę.

Odpowiedział po długiej chwili, jak gdyby jego głos musiał przebyć długą drogę z krainy snu, zanim wydostał przez usta.

- A niech... mnie... szatan... nie kobieta - mruknął już ledwo zrozumiale.

- Jeden... - zaczęła miękko - dwa...

Jedna jego powieka lekko drgała, bohatersko próbując zostać otwartą. Druga już się poddała i leżała spokojnie zamknięta.

- ...trzy... cztery...

Jego ręka zatrzepotała jak wyrzucona z wody ryba, by po chwili zamrzeć w bezruchu. Niepokorna powieka zamrugała kilka razy, po czym zamknęła się i tak już pozostała.

Z twarzy Colina zeszło całe napięcie, ręce i nogi się rozluźniły... wypuścił powietrze w długim wydechu.

- Niech panią... szlag... - to ostatnie słowo zabrzmiało bardziej jak westchnienie zadowolenia niż jak przekleństwo.

Nie powiedział nic więcej, bo wbrew własnej woli po prostu zasnął.

Madeleine uśmiechnęła się triumfalnie. Tej nocy „szatan, nie kobieta” będzie trzymać wartę.

Niestety, czuwanie w towarzystwie worków ziemniaków i cebul oraz śpiącego zbiega okazało się zaskakująco nudne.

Lampa jarzyła się słabym płomieniem, rzucając na ściany niesamowite cienie zwykłych przedmiotów. Było duszno, ale bliżej świtu na pewno zrobi się znacznie chłodniej. Dobrze, że mieli koce.

Colin Eversea oddychał miarowo i Madeleine musiała się pilnować, żeby jej samej ten dźwięk nie uśpił. Gdyby zamknęła oczy, z łatwością mogłaby sobie wyobrazić, że znajduje się w zupełnie innym miejscu i czasie i że oddech, który słyszy, należy do całkiem innego mężczyzny. To był kolejny powód, dla którego nie odważyła się ich zamknąć.

Za to mogła dokładnie przyjrzeć się Colinowi. Wyobrażała sobie zarys sylwetki długonogiego chłopca, jakim pewnie był, zanim rozrósł się w ramionach i zanim z chłopięcej buzi wyłoniły się rysy dorosłego mężczyzny. Ale Colin Eversea nawet jako chłopiec nie był niezgrabny. To niemożliwe, nie z tą twarzą ani z tymi oczami.

Popatrzyła na jego dłonie i zastanawiała się, która z nich przebiła nożem pierś Rolanda Tarbella. Te smukłe dłonie o długich palcach wyglądały na niezdolne do takiego czynu.

Pomyślała o Louisie Porter. Jeśli Colin rzeczywiście kochał tę kobietę, czemu był taki nieostrożny?

Wystarczyło jedno zdanie - „Niech mi pan opowie, jak to się stało” - i poznała całą historię. Właśnie w ten sposób powstają więzi między ludźmi: poprzez zwierzenia i zaufanie. Teraz przez to jedno zdanie miała w głowie tysiące niechcianych pytań i myśli na jego temat.

Ukryła twarz w dłoniach - luksus, na jaki rzadko sobie pozwalała, ale w tej chwili ciężar jej myśli wydawał się zbyt wielki jak na wytrzymałość jednej wątlej szyi. Zażęknęła za kąpielą, za prywatnością własnego pokoju, za swoim mydełkiem lawendowym i... za lustrem.

Ta ostatnia myśl ją rozdrażniła. Zdawała sobie sprawę ze swojej urody, lecz traktowała ją jak kolejne narzędzie, którymi posługiwała się w pracy, i nie było w tym kobiecej próżności. Ale Colin Eversea spojrział na nią w inny, szczególny sposób. Można nawet powiedzieć, że przejrzał ją na wylot.

Tak, by chciała zobaczyć to, co on widział. Dowiedzieć się, czy przeżycia ostatnich kilku lat znalazły odzwierciedlenie na jej twarzy.

Fakt, że jest piękną kobietą, nieraz ratował jej skórę, zarazem jednak był jej największą słabością. Bardzo starannie maskowała ten czuły punkt swojej zbroi, ale musi jeszcze popracować żeby opanować tę słabość, a wszystko z myślą o przyszłości.

Najpierw zrobi tylko jedną rzecz: wstanie i przykryje Colina Eversea kocem. Nie poruszył się, ale uśmiechnął się lekko przez sen.

Rozdział 7

Colin usiadł gwałtownie na posłaniu i zaczął rzucać się na boki, jakby walczył ze śmiertelnym wrogiem, próbując się uwolnić od tego czegoś, co kępowało jego ruchy. Co to było? Wielka ćma? Nietoperz? Serce waliło mu jak młotem, dłonie miał spocone. Wreszcie wyczuł pod palcami szorstki materiał i przyjrzał mu się tępym wzrokiem. To był koc.

- Widzę, że się pan obudził - dobiegł gdzieś z boku rozbawiony kobiecy głos. Mało powiedziane: obudził. Był rozbudzony jak jeszcze nigdy w życiu.

Ostrożnie odłożył koc. Powoli, w rozbitych, nieposkładanych fragmentach wracała mu świadomość. Czyli jednak nie jest w więzieniu. Jest w...

- Musimy już iść - dorzucił ten sam głos. Przyjemny, ale naglący.

...w spiżarni? Tak, w spiżarni. A kto do niego mówi?

Colin przeczesał palcami włosy i zamrugał, patrząc w stronę, z której dochodził głos. Próbował dogonić myślami to, co widzi wokół siebie. No, tak. Greenway. Madeleine Greenway. Piękna, nieprzystępna kobieta o delikatnych dłoniach, która podstępnie uśpiła go na workach z mąką w spiżarni gospody. Była bardzo blada. Siedziała przy małym stoliku, na którym stała jedna świeca. Nawet w jej nikłym świetle widać było, że ma podkrążone oczy. Bardzo ładne oczy, jak sobie przypominał. Wydawało mu się, że się uśmiecha, ale może to tylko złudzenie. Miło zobaczyć czyjś uśmiech zaraz po przebudzeniu.

Colin wstał z mącznego posłania. Chyba trochę za szybko, bo jego zdrętwiałe ciało eksplodowało tysiącem drobnych ukłuć. Przeciągnął się, żeby się pozbyć tego przykrego uczucia, a potem spojrział na worki z mąką, na których widać było idealnie odcisnięty kształt jego ciała. Gdy Gerard Courvoisier został powieszony za zamordowanie swojego szlachetnie urodzonego chlebobawcy, zrobiono mu pośmiertną maskę z gipsu. Maskę Colina Eversea zrobią pewnie z chleba.

Podziwiał swój odcisk jeszcze przez moment, po czym schylił się i wyrównał dłonią powierzchnię.

W następnej chwili zaświtało mu w głowie straszne podejrzenie. Spojrzał w dół i stwierdził z ulgą, że jednak spał w ubraniu, czego z reguły nie robił - z wyjątkiem, rzecz jasna, tygodni spędzonych w więzieniu.

- Która godzina? - spytał. Czuł się wypoczęty i pełen energii, po raz pierwszy od miesięcy.

- Piąta - odpowiedziała Madeleine głosem, który wyraźnie świadczył, że nie posłużyła jej nieprzespana noc. - Za pół godziny strażę zaczynają obchód, więc pora stąd zniknąć. - Podała mu bukłak. - Woda.

Wziął go, dużymi łykami wypił połowę i wytarł ręką usta. Potem włożył buty i sięgnął po to, co w tej chwili stanowiło cały jego dobytek: resztki jedwabnego fulara, frak pozbawiony jednego guzika i kamizelkę.

Madeleine Greenway zajęła się ładowaniem pistoletu: ubiła proch w lufie, włożyła kulę, zabezpieczyła zamek i schowała broń do kieszeni sukienki. Czuł zdumienie pomieszane z podziwem, widząc, jak ta delikatna kobieta ładuje pistolet z wprawą, z jaką inne damy upinają sobie włosy. Gdy chwyciła za klamkę, pomyślał, że każda inna kobieta na jej miejscu poczekalaby, aż on wyjdzie pierwszy, albo przynajmniej obejrzała się, szukając u niego otuchy.

Madeleine Greenway była jednak tak przyzwyczajona do samodzielnego działania, że nawet się nad tym nie zastanawiała.

Zanim wyszedł, złożył zamaszysty podpis na gazecie i posypał piaskiem. Dał słowo Crokerowi, a poza tym ta gazeta stanowiła gwarancję, że karczmarz będzie milczał.

Wyszli przez kuchnię, o tej porze pustą i cichą, jeśli nie liczyć syczenia dogasającego ognia w palenisku. Mały kuchcik spał przy ogniu, poruszając się niespokojnie od czasu do czasu. Kiedy go mijali, wymamrotał coś przez sen i przekręcił się na bok, twarzą do paleniska.

Colin ze zdziwieniem przyglądał się, jak Madeleine wsuwa monetę do buta chłopaka - dziwne było już samo to, że dzieciak miał buty, choć z jednego przez dziurę wyglądała brudna stopa - prawie się nie zatrzymując. Chłopiec się nie obudził.

Wzrok Colina spoczął na szczupłej sylwetce Madeleine. Z upiętej szpilkami fryzury wysunęło się kilka ciemnych pasm, opadając na kołnierzyk z tyłu sukienki. Jego siostrę Genevieve doprowadziłoby to do szału.

Madeleine, zupełnie jakby odgadła jego myśli, sięgnęła ręką do głowy i poprawiła włosy. Colin uśmiechnął się pod nosem. Więc jednak ma w sobie coś z kobiety, chociaż nie jest podobna do żadnej znanej mu damy.

Wyszli prosto w ponury angielski świt - on i jego nowa partnerka, która nie zamordowała go we śnie ani nie doniosła na niego władzom, za to ładowała broń nie gorzej od zawodowego żołnierza.

W Pennyroyal Green brzask można było porównać do dziewiczego rumieńca i blasku pereł. Ale nie w Londynie. Tutaj zadymione niebo po prostu stopniowo się rozjaśniało, chwilami nabierając żółtawej barwy. Potem robiło się cieplej i stąd było wiadomo, że rozpoczął się dzień.

Teraz w powietrzu nadal wisiał chłód, a pijacy podnosili się spod murów, pod którymi zalegli poprzedniej nocy, niczym ciemne kwiaty wyczuwające powrót słońca skrytego za brudnym oparem. Słysząc było też charakterystyczne klik-klak kopyt konia ciągnącego dorożkę.

Colin przywołał ją ruchem ręki, spokojny, bo jego twarz pozostawała niewidoczna w bladym świetle poranka i w cieniu szerokiego ronda kapelusza.

- Na plac Grosvenor - poleciła Madeleine lekko zawianemu fiakrowi o bardzo czerwonym nosie. Cóż, był dorożkarzem, więc musiał pić, żeby się rozgrzać w nocy. Spojrzał na pieniądze, które mu podała, i nawet okiem nie rzucił na wysokiego mężczyznę, który wsiadł razem z nią i zatrzasnął drzwiczki.

W tym samym czasie kobiety z rodu Eversea - i jedna, która wkrótce też miała należeć do rodziny - wsiadły do powozu i ruszyły z powrotem do Sussex. Mężczyźni woleli podróżować konno.

Pani Eversea zajęła się nanoszeniem poprawek na listę ślubnych gości Louisy, a Olivia i Genevieve rozważały, co należy podać na przyjęciu weselnym.

Jak mogą to robić? - zastanawiała się Louisa Porter. Ale cóż, właśnie taka była rodzina Eversea. Już ochłonęli po przytłaczających emocjach poranka.

- Muszą być śledziki, mamó - przekonywała Genevieve. - To przecież posiłek w ciągu dnia, trzeba podać gościom coś zwyczajnego.

Louisa, chociaż wciąż ledwo mogła mówić, nie była bardziej zaskoczona, że Colin wśród dymu i huku zniknął z szafotu, niż tej nocy, kiedy aresztowano go za morderstwo. Ani przez chwilę nie wierzyła, że Colin mógł zabić człowieka, nawet któregoś z Redmondów, z powodu znieważenia jego siostry Olivii - ale samo oskarżenie wydawało jej się nieuchronną konsekwencją jego stylu życia, pełnego szaleńczych przyjemności i niebezpieczeństw. Serce w niej zamierało na widok szafotu, który wzniesiono na Old Bailey, lecz jakaś jej część po prostu nie wierzyła, że Colin tego dnia zginie.

Przecież nie można założyć słońcu pętli na szyję i powiesić go na szubienicy.

Kochała Colina Eversea od dawna. Wszystko zaczęło się na pikniku w Pennyroyal Green, kiedy oboje mieli po jedenaście lat. Dzień był upalny i wstążki od kapelusika zaczęły ją uwierać, więc je rozwiązała. W następnej chwili Colin zerwał jej kapelusik z głowy i popędził z nim na wzgórze, w stronę morza.

Do dziś pamiętała kalejdoskop doznań, jakie ją zalały: nagły podmuch wiatru we włosach, przyjemne ciepło słońca świecącego prosto na twarz - a mama zawsze ostrzegała, żeby uważała na piegi - oburzenie z powodu tak bezczelnej kradzieży i zadowolenie z powodu tej bezczelnej kradzieży - w końcu kapelusik ukradł ten uroczy Colin Eversea! - no i głęboka troska, bo jej najładniejszy kapelusik właśnie zniknął za wzgórzem w rękach tego okropnego długonogiego chłopca.

Ale to był Colin, a przy nim zawsze zalewała ją fala emocji; wszystkie niezwykle, choć nie wszystkie przyjemne.

Następnego dnia przyniósł jej bukiet polnych kwiatów. Spojrzał na nią pełnymi uwielbienia i psotnych iskerek oczami, przeprosił i szybko zniknął. Colin bardzo wcześnie nauczył się, jak sobie zapewnić efektowne wejście i wyjście, potrafił też wyczuć, jakiego gestu wymaga dana sytuacja.

Jak można było go nie kochać?

Nie potrafiła się temu oprzeć. Przy Colinie czuła się jak jezioro, które odbija promienie słońca. To on był słońcem; ona tylko lśniła w jego blasku.

Starszy brat Colina, Marcus, wymusił na nim zwrot kapelusika i tego samego dnia oddał go Lousie. Marcus Eversea też był przystojny, a także uprzejmy, uważny i nigdy się nie narzucał. Jego jedyną wadą było to, że nie był Colinem.

Oświadczając się Lousie, po raz kolejny - mówiąc w przenośni - oddał jej skradziony kapelusik. Taki właśnie był Marcus.

Nigdy niczym nie zaskakiwał. Z wyjątkiem tego dnia, kiedy poprosił ją o rękę.

Tym jednym gestem rozwiązał wszystkie problemy Louisy. Bracia wreszcie przestali ją traktować z tą dziwną mieszanką serdeczności i obawy - niezamężne siostry bez posagu zawsze stanowią ciężar dla rodziny, niezależnie od tego, czy są ładne i miłe, czy nie. Jej życie będzie teraz wygodne jak ten powóz wiozący ją do Pennyroyal Green. A jedno spojrzenie w oczy Marcusa, kiedy się oświadczał, przekonało ją, że zawsze będzie mogła być pewna jego uczuć, tak jak nigdy nie mogłaby być pewna uczuć Colina.

Ale Colin... Colin nadal żyje.

Kiedy kobiety z rodziny Eversea rozprawały o weselu, które miało się odbyć za tydzień, Louisa pomyślała: Wybacz mi, Marcusie.

Bo wcale nie była pewna, czy ślub się odbędzie.

Colin pomyślał, że jedyne, co łączy hrabinę Malmsey i kobietę siedzącą naprzeciwko niego w dorożce, to to, że obie były dla niego do pewnego stopnia zagadką.

Madeleine Greenway spoglądała na ulice za oknem. Nie odzywała się. Zastanawiał się, jak spędziła tę noc w spiżarni. Patrzyła, jak on wierci się przez sen? Rozważała jego wyznanie? Liczyła, ile ziemniaków jest w koszu? Wspominała historię swojego życia? Zerknął na jej złożone na kolanach dłonie. Założyła rękawiczki, ale dobrze pamiętał dotyk tych dłoni na swojej skórze, obezwładniająco delikatny i obezwładniająco kobiecy, a jednocześnie niesłychanie wprawny. Jej palce lekko zadrżały, kiedy go dotknęła, i - na Boga! - ledwo się wtedy powstrzymał, żeby nie wyciągnąć ręki. Cóż zrobić, jego ciałem rządziły instynkty, które nieraz brały górę nad rozsądkiem, gdy w grę wchodziła kobieta.

- Ma pan jakiś plan? - Madeleine Greenway, nawet zachrypnięta ze zmęczenia, potrafiła mówić ironicznie. Jakże by chciał, żeby zrobiła cokolwiek, co mógłby odczytać jako kokieterię. Do kokieterii był przyzwyczajony, uspokajała go.

- Tak, ale trzeba będzie podjąć pewne ryzyko - odparł. - Na ile znam Eleanor, to znaczy hrabinę, pewnie większą część dnia spędzi, odsypiając skutki picia z nudów, bo Bóg jeden wie, że picie to jedyny sposób na zniesienie comiesięcznego przyjęcia u lorda Crumpa, które było wczoraj, jako że dziś mamy niedzielę. Powinniśmy iść prosto do hrabiny i zapytać o tego lokaja.

- A pan, jak miemam, dobrze... zna Eleanor. - Wspaniałe zdanie. I jaka piękna pauza w kluczowym miejscu.

- O tak, znam ją - przyznał, uśmiechając się od ucha do ucha, bo bardzo lubił hrabinę Malmsey. Była śliczna - miała nieskazitelną cerę, niebieskie oczy, drobne różowe usteczka i imponujący biust, który miał okazję podziwiać podczas niejednego walca - i od czasu do czasu zaskakiwała jakąś ciętą uwagą, co świadczyło, że za błękitnymi oczętami i dużym biustem kryje się całkiem

interesujący umysł. Była młoda, więc jej cięty dowcip uważano raczej za uroczy niż niebezpieczny, jak pazurki u kociaka, i nikt się nim nie przejmował.

Zdołała jednak usidlić hrabiego, który, jak głosiła plotka, był nieuchwytną partią, jako że po śmierci pierwszej żony spoczął na wygodnej pozycji wdowca.

Colin wiedział na temat posepnego hrabiego Malmsey niewiele ponad to, że posiadał wspaniałą kolekcję muszkietów i pistoletów, które od czasu do czasu przynosił do strzelnicy Mantona, trafiał w sam środek tarczy na oczach zachwyconych młodzików, po czym bez słowa wracał do domu.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie hrabia spotkał Eleanor, co czyniło ją tym bardziej zagadkową.

- Czy wie pan, jak dostać się do domu po kryjomu? - Madeleine zadała to pytanie rzeczowym tonem, co potwierdziło podejrzenia Colina, że robiła w życiu gorsze rzeczy niż włamanie do arystokratycznej rezydencji na placu Grosvenor.

- Tak, wiem, jak dostać się do środka - odparł. - I wiem, gdzie znaleźć hrabinę, bo kiedyś założyła się ze mną, że nie zdołam się zakraść do jej sypialni. - Zerknął na Madeleine, żeby zobaczyć jej reakcję; niestety, kompletny brak zaskoczenia. - A kiedy już mi się udało, ta przekłeta kobieta po prostu mnie wyrzuciła.

Wreszcie coś błysnęło w tych ciemnych oczach.

- Chyba nie za często się to panu zdarza, prawda?

Colin zamarł. Czyżby pani Greenway zaczęła z nim flirtować? Trudno powiedzieć.

Na wszelki wypadek odbił piłeczkę.

- Może pani wyobrazić sobie o mnie, co tylko się pani spodoba.

Tylko pokręciła głową i znowu odwróciła się do okna.

Gdy dotarli pod dom hrabiego, Madeleine zapłaciła dorożkarzowi z coraz szczuplejszych zapasów pieniędzy. Colin chyłkiem wymknął się z powozu i zerknął na dom, w którym wiele razy bywał mile widzianym gościem; teraz miał się do niego zakraść po kryjomu.

Trzeba minąć stajnie, ogród, wejść do środka kuchennymi drzwiami, potem na górę schodami dla służby, wzdłuż korytarza, odliczyć cztery kolejne pokoje i voilà! Już było się w srebrno-różowej sypialni hrabiny.

Tak przynajmniej zrobił ostatnio, kiedy się o to założyli.

- Za mną - powiedział do Madeleine.

Stajnie świeciły pustkami, bo jak na plac Grosvenor było jeszcze wcześniej. Mimo to szli ostrożnie, żeby po dziedzińcu nie rozlegało się echo ich kroków. Colin przeskoczył niską furtkę prowadzącą do ogrodu. Bez trudu, choć był świadomy, że tygodnie spędzone w więzieniu nadszarpnęły jego siły. Odsunął zasuwkę i otworzył furtkę, żeby Madeleine nie musiała jej przeskakiwać.

Minęli mały, ale kipiący zielenią ogród i podeszli do kuchennych drzwi - następnej czekającej ich przeszkody. Colin uchylił je, a Madeleine zajrzała do środka i kiwnęła głową na znak, droga wolna. Przynajmniej na razie. Colin miał bowiem wrażenie, że gdzieś dalej słyszy jakieś głosy.

Przemknęli chyłkiem przez kuchnię do kolejnych drzwi, za którymi znajdowały się schody dla służby. Prowadziły do głównego holu, wyłożonego marmurami.

Znalazłszy się na górze, zerknęli w lewo i w prawo, po czym wychynęli na korytarz, starając się nie hałasować butami po marmurowej posadzce. Colin liczył drzwi i kinkiety. Zatrzymał się przy czwartych i przyłożył do nich ucho... Cisza.

Nacisnął klamkę i znalazł się w sypialni hrabiny.

Rozejrzał się po znajomym pokoju: połączana toaletka z polerowanego ciemnego drewna, miękkie fotele, wielkie łóżko nakryte kapą z frędzelkami, a naprzeciwko drzwi olbrzymia szafa. Ani śladu pokojówki. I ani śladu hrabiny, którą spodziewał się zastać w pościeli, odsypiającą nadmiar szampana z poprzedniego wieczoru.

To zupełnie niepodobne do Eleanor.

Zdezorientowany Colin stanął na środku pokoju i zastanawiał się, co powiedzieć Madeleine Greenway, która zdążyła się rozejrzeć po pustej sypialni i właśnie patrzyła na niego.

Nie uśmiechało mu się szukać hrabiny po całym domu.

Pogrążony w myślach, nie usłyszał stukotu pantofelków na korytarzu.

Ale Madeleine usłyszała. Złapała go za ramię i oboje zastygli w bezruchu.

Pośpiesznie rozejrzał się po sypialni. Jego wzrok padł na szafę i już wiedział, co robić: objął Madeleine w pasie i pociągnął do środka. Nie mógł ryzykować zamknięcia drzwi, bo zdradziłyby ich trzask, a poza tym musieli przecież oddychać. Pozostawił je uchylone na kilka centymetrów.

Objął Madeleine, ściskając ją ramieniem tuż pod piersiami, i oboje osunęli się w ciemność wśród chłodnego szelestu jedwabnych sukienek. W samą porę, bo hrabina Malmsey właśnie weszła do pokoju z piosenką na ustach. Troszeczkę fałszowała, a w głosie miała cień nostalgii:

Jeżeli bowiem powiedział ci,

Że już nie ujrzysz Colina Eversea...

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Więc jednak za mną tęskni, pomyślał.

Obejmując jedną kobietę w ciemnych czeluściach szafy, patrzył, jak druga siada przed lustrem toaletki, obraca głowę to w jedną, to w drugą stronę, wyciąga szpilkę z włosów, robi z ust dzióbek i wpina szpilkę na nowo.

Chociaż nigdzie nie było widać pokojówki, na łóżku leżała jaskrawoniebieska suknia dzienna, znacznie bardziej wyszukana niż ta, którą miała na sobie Eleanor. Pewnie jakaś zuchwała służąca sugerowała w ten sposób, co hrabina powinna była włożyć. A ubrana była w białą, mocno wydekoltowaną sukienkę z falbankami z koronki powiewającymi we wszystkich strategicznych miejscach: przy rękawach, wokół dekoltu i na brzegu spódnicy. Wyglądała jak mała ponętna ćma.

Czubek głowy Madeleine sięgał Colinowi do brody, wiedział więc, że ona też widzi hrabinę przez szparę w drzwiach szafy. Ogarnęło go pragnienie, żeby oprzeć policzek o jej głowę i przekonać się, jakie w dotyku są jej włosy.

Ale raczej nie byłaby zadowolona, gdyby jej użył jako podpórki.

Ponieważ mizdrząca się przed lustrem hrabina nie przedstawiała ciekawego widoku, skupił się na innych doznaniach. Pistolet Madeleine uwierał go w udo; ruch jej żeber w górę i w dół przy każdym oddechu wyczuwał ramieniem. Lekko wzmocnił uścisk, zafascynowany tym rytmem, i zaczął oddychać w jednakowym tempie. Zamknął oczy - obiecał sobie, że tylko na moment - i wciągnął jej zapach: lawenda. Lawenda w ciemności, takie było jego pierwsze spotkanie z Madeleine Greenway. Teraz lawenda i ciemność mieszały się z ciepłem jej ciała i ze zmysłowym zapachem, nadzwyczaj kobiecym, wyjątkowym, jej własnym.

Zalała go fala gorąca i omal nie zachwiał się na nogach.

Dobry Boże! Nie otwierał oczu, próbując odzyskać równowagę. Fala czystego pożądania, która zalała go od stóp do głów, oszołomiła go i wprawiła w zakłopotanie. Obejmowanie kobiety nigdy nie wydawało mu się niczym szczególnym, ale też nie spodziewał się już nigdy tego doświadczyć. Teraz wyobrażał sobie, że przesuwa dłonie w dół na jej krągłe biodra, palcami obejmuje pośladki, sięga między uda, odnajdując wszystkie zagłębienia jej ciała, pieszcząc, rozkoszując się i uwodząc po mistrzowsku, jak tyle razy wcześniej z tyloma innymi kobietami. Po to przecież istniała ciemność i kobiece krągłości - żeby dłonie mężczyzny mogły błędzić i trafić do celu, zapewniając tym samym przetrwanie gatunku.

Nagle do drzwi sypialni ktoś zapukał. Colin otworzył oczy.

- Wejdz, Harry - rzuciła chłodno hrabina.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł lokaj. Colin zdołał się otrząsnąć z oszołomienia bliskością kobiety.

Nowo przybyły skłonił się nisko; lampas biegnący wzdłuż jego uda lśnił złotem w świetle lampy. Ależ obcisłe ma te spodnie. Mój ty Boże.

I bładoniebieskie pończochy, rzecz jasna.

Lokaj, ukloniwszy się, sięgnął za siebie i cicho zamknął drzwi. Jedną ręką zasunął zasuwkę, a drugą ściągnął z głowy perukę, odsłaniając strzechę zmierzwionych jasnych włosów.

Podszedł do toaletki i teatralnym gestem położył na niej perukę.

- Och, Harry, jak ty wyglądasz. Chodź no tutaj - śmiała się hrabina, kiwając na niego, żeby się pochylił.

Lokaj posłusznie schylił głowę, a ona przyglądała mu włosy, żeby nie sterczały na wszystkie strony. Wtedy Harry ujął dłoń Eleanor i wycisnął na niej długi, żarliwy pocałunek. Hrabina drugą ręką dotknęła jego policzka.

- Dostałem list od mamy, Norciu - wyznał lokaj, kiedy skończył całować jej dłoń. - Lizbeth wychodzi za męża.

„Norciu”? Colin nie wierzył własnym uszom. Lokaj jest z hrabiną w takiej komitywie? Ba, ten pocałunek wskazywał nawet na coś więcej.

Czuł, że Madeleine jest spięta i czujna. Jej oddech, którego przez ostatnie kilka minut był równie świadom jak własnego, stał się płytszy i szybszy. Przesunął rękę odrobinę w górę, tak że dotykała od dołu jej piersi.

Wstrzymała oddech, kiedy to zrobił. Nie zdziwił się, bo on też na moment przestał oddychać.

- Naprawdę? - Hrabina była zachwycona. - Lizbeth wychodzi za młodego Willsa? Więc w końcu poprosił o jej rękę? Już myślałam, że nigdy się na to nie zdobędzie.

- Wystarczyły mu trzy kufle i już błagał tatkę, żeby mu oddał Lizzie. Ale tatko musiał mu postawić piwo, żeby się ośmielił.

Hrabina i lokaj wybuchnęli śmiechem.

- Och, Harry, to wspaniała nowina. A jak tam Jenny?

- Wielka jak szafa, a wściekła jak niedźwiedzica. Tom mówi, że się jej boi.

- Pewnie się o nią martwi, jak znam Toma. Będzie rodzić w tym miesiącu?

Więc Eleanor - hrabina Malmsey - ma przyjemność znać Toma, kimkolwiek on był? Colin tak wytrzeszczał oczy, że niemal wyszły mu z orbit.

- Za tydzień - potwierdził Harry.

Chwila ciszy.

- Tak lubię dzieci - westchnęła tęsknie śliczna hrabina Malmsey.

Colin przesunął się lekko, żeby pistolet Madeleine nie wbijał mu się w udo. W efekcie jej krągłe pośladki znalazły się dokładnie przed jego kroczem. Był to gest tyleż szalony, co celowy, bo tutaj, w ciemnym, nierealnym świecie wewnątrz szafy, z widokiem na scenkę rodzajową przedstawiającą hrabinę i jej lokaja, wydawał mu się bardzo sensownym posunięciem.

Harry najwidoczniej nie miał nic do powiedzenia na temat dzieci. Zamiast tego zrobił coś, co robią wszyscy mężczyźni świata, stojąc w obliczu kobiecej toaletki: podniósł małą szklaną buteleczkę, obrócił ją w dłoni, wyraźnie nie mając pojęcia, co to takiego, powąchał, zmarszczył nos i odstawił.

- Lizzie i Willsowi będzie bardzo dobrze razem - mówiła hrabina.

- Już im jest razem dobrze - zauważył lokaj rzeczowo. - Tyle że po ślubie będą to robić we własnym domu.

Eleanor parsknęła śmiechem.

- Jesteś taki przyziemny, Harry.

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, Norciu - odparł lokaj pogodnie.

- Ale pewnie masz rację.

Zachichotała, wstała z taboretu i obróciła się na pięcie. Po chwili rozległo się skrzypnięcie i westchnienie: to hrabina opadła na łóżko.

Po kolejnym skrzypnięciu, już nie tak gwałtownym, Colin wyrżał znad ciemnej głowy Madeleine. Zobaczył podeszwy butów Harry'ego i jego bladobłękitne pończochy wyciągnięte obok zgrabnych łydek Eleanor, zatopionych w morzu koronki. Lokaj westchnął głęboko.

Madeleine oddychała coraz szybciej. Nawet nie próbowała odsunąć się od Colina, a żar bijący od jej ciała sprawił, że przełknął nerwowo ślinę.

Przez chwilę nic nie było słychać.

- Wyślę im prezent - oznajmiła wreszcie Eleanor rozmarzonym głosem. - Willsowi i Lizzie.

- Norciu, trza ci bardziej uważać - przestrzegł ją Harry. - Nie trza wysyłać na wieś drogich prezentów.

Hrabina zamilkła na moment.

- Po co mi to wszystko - rzekła tonem obrażonego dziecka - skoro nie idzie się tym podzielić?

Nie idzie? - pomyślał Colin. Nie trzeba było długiej rozmowy, żeby arystokratyczny londyński akcent hrabiny ustąpił miejsca wiejskiemu zaśpiewowi. Historia powoli zaczynała mu się klarować. Jego umysł działał bez zarzutu, analizując scenkę, która rozgrywała się przed jego oczami, chociaż ciało skupiało się na czymś zgoła innym.

- Po co? - Praktyczny Harry był wyraźnie rozbawiony. - Pieniądze to miła rzecz, co, Norciu? Lepiej je mieć, niż ich nie mieć, tak myślę.

Znowu chwila ciszy, a po niej chichot hrabiny. Widać była przyzwyczajona, że Harry sprowadza jej melodramatyczne wzloty na ziemię, i chyba jej to nie przeszkadzało.

- Zrobiłaś, co trza, i nie ma o czym gadać. Co się stało, to się nie odstanie - dorzucił lokaj. - No i załatwiłaś mi pracę. Dobrze zarabiam, to mogę wysyłać pieniądze do domu. Ja kupię prezent, Norciu. Wiesz, że nie trza ci tak ryzykować.

Kolejne westchnienie hrabiny.

- Czasami tak mi ich brakuje, Harry, Tęsknię za wszystkimi w Marble Mile.

- To już tyle lat, Norciu. Miło cię wspominają, ale nikt już o tobie nie mówi. Wiedzą, że nie wrócisz, i cieszą się, że zaszłaś tak wysoko. Nikt nie wie, że byłaś tancerką w Rajskim Jabłuszku. I nikt się nie dowie, jakem Harry.

- Masz rację - przytaknęła cicho. - Wygodnie mi się tu żyje, a Malmsey jest dla mnie bardzo dobry. Przepraszam, Harry, już nie będę narzekać. A jak ci się układa z gospodynią?

Zaczęła się długa rozmowa, przerywana od czasu do czasu cichym śmiechem. Harry wyznał, że gospodyni jest heterą - nawrzeszczała na pokojówkę i doprowadziła ją do płaczu - a kamerdyner, którego bardzo lubił, podkrada pańską brandy, bo męczy go podagra. Co do Eleanor, to zastanawiała się, czy nie sprawić sobie nowego powozu, na przykład ślicznej małej kariolki - na ten temat Harry, jako lokaj, miał wyrobioną opinię (nie kupować) - i martwiła się, że hrabia je za dużo ciężkostrawnych potraw, choć jego zdrowie szwankuje. Rozmowa była bardzo zwyczajna, bardzo nudna i zarazem bardzo intymna.

Zupełnie jak rozmowa męża i żony, których małżeństwo trwa dłużej niż ich osobne życie przed ślubem.

Tylko że to nie byli mąż i żona. To byli hrabina i lokaj.

Colin słuchał, obejmując ramionami ciepłe kobiece ciało, i sam już nie wiedział, co czuje. Rozbawienie? Urażoną dumę? W końcu hrabina wołała od niego zwykłego lokaja. Współczucie? Być może. Jak świat światem, ludzie rzadko mieli możliwość poślubić tego, kogo kochali, a kochankowie nieraz musieli się rozstawać z powodu różnic majątkowych albo społecznych.

Ale kto wie? Może hrabia wziął sobie piękną młodą żonę, która uprzyjemniała mu jesień życia, którą mógł się pochwalić w towarzystwie, która dostarczała mu rozkoszy w łóżku, a także była mu szczerze wdzięczna i naprawdę go lubiła - i z tych właśnie względów był gotów przymknąć oko na pewnego lokaja.

Colin przypomniał sobie wizyty Malmseya na strzelnicy i jakoś nie wydało mu się to prawdopodobne.

Rozmowa hrabiny i lokaja powoli zamierała. Wyciągnął szyję i przez szparę w drzwiach szafy zobaczył, dlaczego: Harry podparł się na łokciu, położył ogorzałą

dłoń na zasłoniętej muślinem piersi i zaczął zataczać palcem kółeczka wokół sutka Eleanor. Dookoła, dookoła.

Colin wstrzymał oddech. Widok palca krążącego wokół sutka był wręcz hipnotyzujący.

- Och tak, właśnie tak, Harry. - Głos Eleanor miał w sobie zmysłową bierność kobiety, która chce być uwiedziona.

- To już tak długo, Norciu - szepnął Harry. Co ciekawe, dotyczyło to wszystkich obecnych.

Madeleine oddychała nierówno. Colin wyczuwał każdy urywany wdech i wydech. Jemu samemu zaczęło kręcić się w głowie. Tknięty nagłym podejrzeniem, schylił się i na chwilę przyłożył brodę do jej skroni. Poczłł szybkie uderzenia pulsu.

Wiedział, że to nie ze strachu jej puls tak przyspieszył. Jak każdy człowiek z krwi i kości w takiej sytuacji, była podniecona.

Chociaż wiedział, że to, co robi, jest szalone, delikatnie przyciągnął Madeleine jeszcze bliżej, tak żeby każdy jego oddech posyłał ciche, ciepłe westchnienia prosto w jej ucho. Wyobrażał sobie, jak to na nią zadziała: dostanie gęsiejszej skórki, zarumieni się, przeszyje ją dreszcz rozkoszy, a między nogami pojawi się wilgotne ciepło.

Tknięty kolejnym impulsem, przesunął w górę rękę, którą ją obejmował w talii, i leciutko, niby przypadkiem, musnął kciukiem pierś.

Natrafił na twarde, nabrzmiały sutek.

Madeleine przestała oddychać.

Colin zagryzł wargi, żeby nie jęknąć głośno.

Udając, że przesuwając rękę z powrotem, znowu trącił kciukiem jej pierś.

Wtedy odchyliła głowę w tył, na jego ramię, nieznacznie wygięła plecy i przycisnęła pośladki do jego lędźwi.

O Boże!

Rozgorączkowany, zapragnął wsunąć rękę za jej dekolt. Już sobie wyobrażał, jak przesuwa dłoń po bladej skórze, dotyka stwardniałego sutka i... i Boże drogi, był coraz bardziej podniecony. Za chwilę Madeleine i tak to poczuje i cała ta gra pozorów - złożona z niby przypadkowych gestów, które wcale nie były przypadkowe - przejdzie na zupełnie inny poziom. To istne szaleństwo. Powinien się powstrzymać.

Ale Colin Eversea nigdy nie należał do ludzi, którym łatwo przychodzi się powstrzymać.

Cały czas obserwował scenę na łóżku: palec lokaja zataczał teraz bardziej zdecydowane, staranne ósemki na piersi hrabiny. Po chwili jego dłoń zniknęła w wycięciu sukni.

Szczęściarz.

- Och, Harry. Musimy być ostrożni.

Powiedziała to omdlewającym tonem, ale jednocześnie sięgnęła za głowę lokaja, żeby przyciągnąć jego usta do swoich; on zaś opuścił rękę, żeby podciągnąć do góry fałdy muślinowej spódnicy.

Reszta potoczyła się sprawnie i szybko, co świadczyło, że nie był to ich pierwszy raz. Hrabina przekreśliła się na łóżku, by ułatwić Harry'emu dostęp do tego, co kryło się pod suknią, a potem w polu widzenia pojawiła się szczupła łydka w jedwabnej pończosze. Hrabina ugięła kolana... no, proszę, jaka piękna podwiązka tam wysoko na udzie... Harry pochylił się nad jej piersiami, nie chcąc ich zaniedbywać...

W tej chwili Madeleine wyrwała się z uścisku Colina i wyskoczyła z szafy.

Rozdział 8

Colin stracił równowagę i wytoczył się z szafy tuż za nią.

Miękki dywan prawie całkiem wygłuszył twarde lądowanie, a jedwabne suknie z cichym szelestem wróciły na swoje miejsca.

Przez jeden krótki moment Colin i Madeleine unikali patrzenia sobie w oczy, kierując wzrok przez połacie kremoworóżowego dywanu w stronę łóżka, na którym hrabina wiła się w objęciach lokaja.

Właśnie zmieniała pozycję, żeby ciaśniej objąć Harry'ego udami. Widocznie coś zwróciło jej uwagę - może błysk lufy pistoletu Madeleine, który odbijał światło lamp - bo nagle zastygła w bezruchu.

I wolno, bardzo wolno uniosła głowę.

Zamarła. Jej błękitne oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Colin uprzejmie dotknął róna kapelusza.

- Norciu? - dobiegło stłumione pytanie spomiędzy piersi hrabiny.

Ponieważ hrabina Malmsey nie odpowiadała, Harry porzucił jej biust i spojrzał na twarz. Po czym błyskawicznie podążył wzrokiem za jej struchlałym spojrzeniem.

W następnym momencie hrabina i lokaj odskoczyli od siebie w przeciwnych kierunkach: ona stoczyła się z łóżka na lewo, a on wylądował na kolanach po prawej. Złapał się toaletki, dźwignął na nogi, chwycił perukę i zasłonił nią wstydlive miejsce, mierząc Madeleine i Colina wściekłym wzrokiem. Drugą ręką pomacał za sobą, szukając jakiejś broni. Niestety, trafił tylko na puszek do pudru.

Zaklął szpetnie i rzucił ozdobne cacko z powrotem.

Colin stał nieruchomo, wiedząc, że gdyby został w tej szafie jeszcze chwilę dłużej, teraz też musiałby się zasłaniać peruką. Zerknął w bok, aby się upewnić, że mu się to nie przyśniło: nie, pod cieniutkim muślinem gorsu sukienki Madeleine

ciągle widać było stwardniałe sutki, a jej twarz zalewał rumieniec. I wyraźnie unikała jego spojrzenia.

Oderwał od niej wzrok, trochę z zażenowaniem, a trochę z żalem, jakby go obudziła ze zmysłowego snu. Dobrze, że przynajmniej ona miała na tyle przytomności umysłu, by się z tego otrząsnąć.

Wziął głęboki oddech, bo potrzebował jasno myśleć.

Na brzegu łóżka pojawiła się najpierw drobna rączka lady Malmsey, a potem jej jasnowłosa główka. Hrabina wstała i spojrzała na intruzów; wyglądała jak zawstydzona biała chmurka.

Ale po chwili w jej oczach błysnęły iskry.

- Colin Eversea! - zawołała z oburzeniem, zupełnie jakby oblał winem jej ulubioną balową suknię.

Nie było wątpliwości, że kiedy zaskoczenie ustąpi miejsca logicznemu myśleniu, hrabina zacznie krzyczeć. Nie była głupia; pomijając lokaja w jej łóżku.

Colin w mgnieniu oka znalazł się za nią. Jedną ręką złapał ją wpół, a drugą zasłonił usta, przezornie unikając ostrych białych ząbków. Była tak drobna, że miał wrażenie, jakby trzymał małego ptaszka. Czuł się jak brutal.

Zauważył, że Madeleine robi to, co wychodziło jej najlepiej: mierzy z pistoletu do lokaja, którego twarz była teraz równie biała jak jego peruka. Pomyślał, że w obecnym stanie rzeczy Harry już nie ma czego zasłaniać.

- Witam, lady Malmsey - powiedział bardzo cicho. - Jeśli obiecasz mi, że nie będziesz krzyczeć, to cię puszcze. A jeżeli chcesz znowu wymówić moje imię, to proszę, zrób to ciszej. Przecież jesteśmy starymi znajomymi, prawda? Potrzebuję twojej pomocy, ale musisz być cicho.

- Colin? Tonapławdęty? - dobiegło zza jego ręki. - Totywyjef? Peruka wysliznęła się z dłoni lokaja i spadła na podłogę jak porzucony piesek salonowy.

- Pan Colin Eversea? - Harry przyjrzał się Colinowi, jak gdyby porównywał człowieka z krwi i kości z tymi wszystkimi rycinami z gazet.

Colin wytrzymał to spojrzenie. Odkrył przy tym, że Harry ma błękitne oczy i dołek w brodzie. Zdjął kapelusz.

- Tak, to ja, Colin Eversea! - potwierdził.

Harry spuścił wzrok, nieśmiało zaszurał nogami i znowu spojrzął na Colina.

- Znaczy się, był pan już w tym domu i wszędzie bym pana poznał, i... Ach, proszę pana! Znaczy się... ach, proszę pana!

Złożył niski, ceremonialny ukłon, jaki pewnie zwykle rezerwował dla hrabiego.

- To prawdziwy zaszczyt, panie Eversea - powiedział, kiedy już się wyprostował.

Madeleine chrząknęła z niedowierzaniem.

A Colin coraz bardziej wątpił, że ten lokaj miał coś wspólnego z intrygą, która posłała go na szafot.

- Ale co pan tu robi? - ciągnął Harry. - Nie chce pan chyba... - zmarszczył brwi - chyba nie chce pan nas okraść? - Zerknął za plecy Colina, jakby wypatrywał worków wypchanych rodowymi srebrami.

Colin został oskarżony o morderstwo, nie o rabunek, więc pytanie lokaja lekko zbiło go z tropu.

- Jestem tu, bo potrzebuję waszej pomocy - odparł. - Eleanor, puszcze cię, jeśli obiecasz, że nie będziesz krzyczeć. Obiecujesz? W końcu jesteśmy dobrymi znajomymi, a teraz cała nasza czwórka znalazła się w równie poważnych tarapatach.

Hrabina namyślała się chwilę, po czym energicznie pokiwała złotą główką.

Gdy Colin zdjął rękę z jej ust, słowa posypały się jak grad:

- Co ty, na miłość boską, robisz w mojej szafie i w ogóle w mojej sypialni? O mój Boże, przecież musisz się wykapać! Tak się cieszę, że żyjesz. Czy to prawda, że zabiłeś tego człowieka?

- Teraz ja będę zadawał pytania - rzekł Colin - a zadam je Harry'emu. Harry, po co poszedłeś do Tygryskiej Nory?

To pytanie wywołało jeszcze większy szok niż zbiegły morderca wyskakujący z szafy. Twarz lokaja przybrała zielonkawe zabarwienie, a ręce wymacały brzeg toaletki, chcąc się o nią podeprzeć.

Colin dobrze znał wyposażenie damskich toaletek, bywał bowiem w sypialniach wielu dam. Niektóre z tych wizyt były w pełni stosowne, a inne rozkosznie niestosowne. Widywał kulki rózu, fiołki z rżniętego kryształu z wodą lawendową albo goździkową, różne pomady, a także - w przypadku swojej siostry - „płyn do loków”, który miał sprawić, że włosy skręcają się w anielskie pukle.

Nie sprawił. Genevieve długo wtedy płakała po kątach.

Harry, zrezygnowany, machnął ręką.

- Ona... znaczy się... Eleanor nic o tym nie wie - powiedział. - Chciałem ją przed tym chronić.

Hrabina gwałtownie odwróciła się w jego stronę.

- Czego znowu nie wiem, Harry? - spytała.

- Może usiądziecie? - zaproponowała Madeleine uprzejmie, ale wskazała przy tym łóżko lufą pistoletu, co nadało jej propozycji zgoła inny wydźwięk.

Hrabina i lokaj usiedli posłusznie: dwa skrzypienia, jedno po drugim. Nie spuszczała wzroku z pistoletu Madeleine. Dłoń Harry'ego przesunęła się po narzucie i odnalazła rękę Eleanor; ich palce splotły się ze sobą w geście solidarności i otuchy.

Przez twarz Madeleine przemknął dziwny cień. Złudzenie optyczne? - zastanawiał się Colin. A może rozbolała ją ręka od trzymania pistoletu? Nie, broń ani drgnęła.

- Gdzie jest Malmsey? - spytał. - W Londynie?

- Nie, w Dover. Ma tam jakieś interesy, ale powiedział, że bym z nim nie jechała, bo tylko bym się nudziła. W porównaniu z Londynem wszędzie jest nudno.

Colin poczuł nieprzepartą tęsknotę za nudą.

- Czy ona musi w nas celować? - spytała lady Malmsey. Kiedy pierwszy szok minął, zyskała na pewności siebie.

Colin zignorował ją i zwrócił się do lokaja.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś odpowiedział na moje pytanie. Bo widzisz, trochę nam się spieszy, a twoja odpowiedź jest dla nas bardzo istotna. Ale, ale, co za grubiaństwo z mojej strony. Pozwólcie, że wam przedstawię... - Zastanawiał się chwilę, czy nie użyć jakiegoś złośliwego określenia, ale doszedł do wniosku, że lepiej, jeśli tych dwoje będzie czuło przed nimi respekt - ...moją współniczkę panią Green.

Colin przyjrzał się Harry'emu. Lokaj wyglądał, jakby jeszcze wczoraj pracował na farmie; jego tężyzna fizyczna kłóciła się z wyszukaną elegancją liberii. Miał twarz człowieka o ograniczonej wyobraźni, lecz solidnym charakterze. Colin często widywał takie twarze w karczmie i w kościele w Pennyroyal Green: należały do ludzi, którzy mieli za dużo pracy, żeby się dorobić jakichś skrzywień charakteru. Ufał takim ludziom znacznie bardziej niż tym o bujnej wyobraźni. Głównie dlatego, że sam na brak wyobraźni nie narzekał.

- Zaczepił mnie, jak żem miał wolne - zaczął Harry. - Z samego rana wyczyściłem wszystkie srebra i skończyłem wcześniej, to mi zostało pół dnia. Pomyślałem, że pójdę do miasta posłać list matce. Szłem piechotą; to ładny kawałek drogi, ale jestem zwyczajny chodzić, a tutaj nie ma dokąd, nie to, co w Marble Mile. Aż tu nagle podchodzi do mnie jakiś człowiek. Zagadał do mnie po imieniu, ale się nie przedstawił. Powiedział tylko... powiedział, że wie o mnie i Norci.

Z ust Eleanor wyrwał się udręczony jęk. Odwróciła głowę od pistoletu, który od paru minut przykuwał jej wzrok.

- Och, Harry! Trzeba mi było powiedzieć! A gdyby ten człowiek szpiegował dla Malmseya? Nie wydaje mi się, żeby Monty... ale jeśli...

- Ja tam myślę, że on nie był szpiegiem - uspokajał ją Harry. - Przecież gdyby szpiegował, to po co by mi o tym mówił? Poszedłby prosto do hrabiego, bo to hrabia ma pieniądze. Albo zaczepiłby ciebie, Norciu, a nie mnie. Jemu wcale nie chodziło

o gotówkę, tylko o „posłańca”, tak powiedział. A ja chciałem cię chronić. Już tyle masz sekretów. Nie chciałem zrzucić na ciebie jeszcze jednego.

Colin zerknął na Madeleine. Zaciskała usta, jakby tłumiała gwałtowne emocje. Ale jej ciemne oczy lśniły dziwną łagodnością.

Hrabina odwróciła wzrok od Harry'ego, obrzuciła badawczym spojrzeniem Madeleine i spytała:

- To twoja nowa kochanka, Colinie?

Ach, te kobiety i ich cholerne wścibstwo, pomyślał, lecz nie odpowiedział.

- Jest pani jego kochanką, madame? - W oczach hrabiny pojawił się złośliwy błysk. Była przyzwyczajona, że ma wszystko pod kontrolą, a teraz nagle ktoś miał nad nią władzę.

- Nie jestem niczyją kochanką - odparła Madeleine bardzo spokojnie. - Ale dziękuję za zainteresowanie.

- Są gorsze określenia, które można usłyszeć na swój temat - rzuciła cierpko hrabina.

Lokaj uspokajająco ścisnął ją za rękę i rzucił Colinowi przepaszające spojrzenie, które mówiło: „Kobiety, sam pan rozumie”.

- Wróćmy do Harry'ego - rzekł Colin, chcąc zapobiec katastrofie.

Madeleine mogłaby na przykład zechcieć uwolnić hrabinę od nadmiaru włosów. Na szczęście była zadziwiająco spokojna.

- Nie przyznałem się do niczego - kontynuował Harry. - Powiedziałem mu, że nie mam pojęcia, o czym mówi, i żeby nie ubliżał hrabinie. Ale zgodziłem się być posłańcem, jako że znam Crokera i Tygrysią Norę i akurat żem się tam wybierał, tylko najpierw chciałem zajść na pocztę.

Ten człowiek przyprawiał rogi hrabiemu, ale Colin już go polubił. Zawsze czuł sympatię do ludzi, którzy mieli choć odrobinę oleju w głowie.

- Nie wiem, jak on mógł się dowiedzieć o mnie i Norci - powiedział Harry.

Colin nie bez żalu musiał zmienić o nim zdanie, biorąc pod uwagę to, że zamykali się na zasuwkę w sypialni hrabiny, i że każdy porządny kamerdyner zachodziłby w głowę, gdzie też się podział jeden z lokajów. Do tego jeszcze to skrzypiące łóżko.

No cóż, miłość bywa ślepa i głucha, co naraża człowieka na tysiące różnych kłopotów, pomyślał ponuro. Jego kłopoty zaczęły się w gospodzie i omal nie skończyły na szubienicy.

- Co to był za jegomość? Dżentelmen? Bandyta? Służący? - dopytywała się Madeleine.

Harry po raz pierwszy spojrzął powyżej wycelowanej w niego lufy pistoletu i na jego twarzy pojawiło się jednocześnie pożądanie, uznanie i przestach. To odruch, pomyślał Colin, reakcja normalnego, zdrowego mężczyzny na kobietę, której nie może mieć i której nigdy nie dorówna. Zastanawiał się, czy Madeleine Greenway zawsze tak działała na mężczyzn, czy też przyszło jej to z czasem.

Harry zaczerpnął powietrza, wypuścił je i odparł:

- Mówił po pańsku, bardzo grzecznie, ale chyba nie był dżentelmenem.

Wyglądał jak... jak adwokat.

- To znaczy?

- Przypominał mi pana Patona, co to jest u hrabiego za mecenasa. I z ubrania, i z tego, jak mówił. Bo ci z wyższych sfer to tak się noszą, jakby wszystkie rozumy pozjadali. - Zastanawiał się chwilę i dodał: - Ten taki nie był.

- Potrafisz go opisać? - spytał Colin. - Jak wyglądał?

- Dobrze odżywiony. - Harry zatoczył ręką półkole sugerujące sterczący brzuch. - W średnim wieku. Miał binokle, więc nie widziałem za dobrze twarzy, a zresztą ani razu nie spojrzął mi prosto w oczy. Ciemne ubranie i takie fikuśne guziki przy kamizelce.

- Fikuśne? - zainteresował się Colin.

- Ano tak. Nie mosiężne i nie srebrne, jak mają niektóre eleganciki, co do nas przychodzą na obiady. Jakby białe... i błyszczące... coś jak malutkie księżycy. Takie duże jak szyling. - Harry złączył w kółko kciuk i palec wskazujący. - Frak miał zapięty do samej góry, a pod szyją fular, ale guziki świeciły się w słońcu, więc je przyuważyłem.

„Jak malutkie księżycy”.

Nieprzyjemne podejrzenie przemknęło Colinowi przez myśl.

- Pani Green... - powiedział - czy byłaby pani łaskawa pokazać Harry'emu spód swojego pistoletu?

Madeleine rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie, zabezpieczyła pistolet i odwróciła do góry nogami, pokazując lokajowi kobiecą sylwetkę z masy perłowej.

Harry nachylił się bliżej.

- Tak, właśnie takie - rzekł stanowczo. - Śliczne, co? Jak księżyc, tylko w środku ma tęczę. - Zerknął z ukosa na hrabinę. Może liczył na nową, ładniejszą liberię z błyszczącymi tęczowo guzikami.

- To masa perłowa, Harry - wyjaśniła Eleanor tonem łagodnej nauczycielki. - Mamy w bibliotece chińskie parawany inkrustowane masą perłową i jeszcze krzesła w salonie Monty'ego. Te czarne, z laki.

- Masa perłowa - powtórzył lokaj. Zdobywanie wiedzy najwyraźniej sprawiało mu przyjemność. - Tak, to było to. Guziki z masy perłowej.

Harry i hrabina wymienili spojrzenie pełne rozbawienia i wręcz dziecięcego zdumienia: jakby ciągle nie mogli uwierzyć, że rozmawiają o takich rzeczach jak chińskie parawany wykładane masą perłową. Trzeba przyznać, że oboje przebyli daleką drogę od Marble Mile.

- I ten człowiek nigdy się nie przedstawił? - drażył Colin. - A może widziałeś, jak wysiadał z powozu? Miał konia? Szedł w jakąś konkretną stronę?

- Zawsze mnie zaczepiał na ulicy, panie Eversea. I miał ze sobą pieniądze, co je miałem zanieść Crokerowi.

- Dwadzieścia pięć funtów?

- Nie zaglądałem, panie Eversea - odparł Harry urażonym tonem. - Były w sakiewce.

- Za każdym razem miał tę samą kamizelkę?

- Dwa razy na pewno.

- A ile razy poszedłeś do Tygryskiej Nory?

- W sumie to trzy, panie Eversea. Dwa razy do Crokera i wtedy niosłem mu pieniądze. A ten trzeci raz to miałem zapłacić Horacemu.

Czas stanął w miejscu. Dopiero po chwili Colin zdołał wykrztusić:

- Komu?!

- No, Horacemu Peele'owi. Temu, co ma psa...

- ...z trzema nogami - dokończył Colin.

Ogarnęło go uczucie triumfu.

A zaraz potem okropne wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg.

Nic tu nie miało sensu. Wyglądało na to, że ta sama osoba, która opłaciła zniknięcie Horacego, przez co Colin został skazany za morderstwo, potem zapłaciła za jego uwolnienie. I za zabicie Madeleine Greenway.

Nie wyglądało to na robotę Redmondów, oni działali z chłodną elegancją. I żaden Eversea nie zdobyłby się na posunięcie tak pozbawione polotu, nie mówiąc już o tym, że nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek z jego rodziny mógł zlecić zabicie kobiety. A Marcus?

Może to Marcus zapłacił Horacemu, żeby zniknął, a potem ruszyło go sumienie?

Cóż, później zastanowi się nad faktami i spróbuje połączyć je w całość. Teraz musi zdobyć jak najwięcej informacji, i to szybko.

- Więc dałeś pieniądze Horacemu Peele'owi. Kiedy dokładnie to się stało?

- Jak już pana wsadzili do więzienia, panie Eversea. Jakies dwa tygodnie temu, we środę, miałem akurat pół dnia wolnego. I wie pan... wtedy był jakoś bardziej

pewny swego. Bo to był pierwszy raz, kiedy żem go widział. A te dwa następne... to jakby go coś gryzło.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszyscy zamarli.

- Szafa! - syknęła w panice hrabina.

Madeleine, Colin i Harry wcisnęli się do szafy i usiłowali zamknąć za sobą drzwi, ale we trójkę trudno im było się zmieścić. Colin musiał objąć Madeleine, co było doprawdy wielkim poświęceniem z jego strony, a kawałek lokaja w postaci poły fraka wystawał na zewnątrz.

Hrabina odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwi.

Dobiegł ich wdzięczny głosik pokojówki.

- Lady Malmsey? Pomóc pani ubrać się na lunch u lady Coversham?

Wyłożyłam tę niebieską suknię.

Niebieska suknia miała obecnie postać zmiętej kupki na podłodze.

- Och, Katie, potwornie boli mnie głowa. Wiesz, jakie nudne są przyjęcia u Crumpów. A w dodatku zawsze podają za mało jedzenia. Wczoraj cały wieczór piłam, żeby jakoś przetrwać, i teraz za to płacę.

Katie zachichotała. Colin pomyślał, że pokojówce przyjemnie jest mieć taką młodą, pełną życia panią, która w dodatku zwykle bywa miła.

- Faktycznie jakoś marnie pani wygląda, lady Malmsey.

- Bo czuję się marnie. Muszę się położyć, więc wyślij lady Coversham przeprosiny. Niestety nie uraczę się dzisiaj przysmakami jej wspaniałej kucharki.

Na tę kolejną wzmiankę o jedzeniu żołądek Colina nie wytrzymał i głośno dał znać o swoim niezadowoleniu. Nawet nie zaburczał, tylko przeciągle zaskomlał.

Taki dźwięk wydaje głodny pies, który patrzy, jak jego pan je.

Między pokojówką i jej panią zapadło zdumione milczenie.

- Ojejku - odezwała się wreszcie lady Malmsey, niezupełnie przyznając się do skomlącego żołądka.

- Czy... czy każe pani podać lunch do pokoju? - Pokojówka była lekko zdezorientowana.

- O tak, bardzo cię proszę, Katie. Przyślij... całego kurczaka, duży kawał szynki, ser i chleb, dobrze? I ciastka.

I wino, błagalnie dodał w myślach Colin.

Kolejna chwila milczenia. Pokojówka wyraźnie nie pojmowała, skąd u hrabiny taki olbrzymi apetyt.

- Przypuszczam, że jak się wyśpię, to zgłodnieję - wyjaśniła lady Malmsey.

Ach, jak cudownie być hrabiną. Nie trzeba mówić do rzeczy ani nikomu się tłumaczyć. Chyba że własnemu mężowi, który cię przyłapie z nogami w powietrzu i lokajem między udami.

- Tak jest, lady Malmsey. Już biegnę, lady Malmsey.

- Tylko migiem - rzuciła Eleanor.

- Oczywiście.

Drzwi się zamknęły i zasuwka wróciła na miejsce. Hrabina odetchnęła z ulgą, a trójka ukrywająca się w szafie wyszła na zewnątrz. Zarumieniona lady Malmsey patrzyła na nich z nieskrywaną uciechą.

- A to się Katie zdziwi, jak wszystko zniknie co do okruszyny - zaśmiała się. - Rozpuści plotkę, że się objadam.

- Serdecznie dziękuję, lady Malmsey - powiedział Colin z wdzięcznością. Całe szczęście, że hrabinę bawią ich tarapaty.

- Proszę cię uprzejmie, Colinie, choć sama nie wiem, czemu miałabym karmić ciebie i twoją... współpracowniczkę, skoro wdarliście się do mojej sypialni.

- Jak to czemu, Norciu? To przecież Colin Eversea - zganił ją lokaj. - A ona... - zerknął niespokojnie na Madeleine.

- ...trzyma naładowany pistolet - dokończyła usłużnie.

Harry rzucił jej niepewny uśmiech i odwrócił się do Eleanor. Też była piękna, ale nie stanowiła dla niego zagadki.

- Nie wydaje mi się, że bycie skazanym za morderstwo to coś godnego podziwu - Colin poczuł się zobowiązany to powiedzieć.

- Ale przecież pan tego nie zrobił, prawda, panie Eversea? Chodzi bardziej o to, jak pan szedł na śmierć. Dumnie, jak prawdziwy dżentelmen. Z uśmiechem na ustach i podniesioną głową, odważnie. Miło było popatrzeć.

Odważnie? Prawda wyglądała inaczej: cały ranek przed niedoszlą egzekucją przeżył jak w transie, z którego wyrwały go dopiero słowa wyszeptane mu do ucha przez kata, a potem został uratowany. Niemniej miło usłyszeć, jak ktoś, choćby zwykły lokaj, mówi z przekonaniem: „Przecież pan tego nie zrobił”.

- Dziękuję ci, Harry - rzekł z powagą.

Wiedział, że ta sprawa wymaga przemyślenia, ale teraz nie miał czasu na rozważania, czy podziw dla zbiegłego przestępcy jest etyczny, czy nie. Poza tym podziw, jaki wzbudzał, stanowił na razie jego jedyny wkład w ich wspólne śledztwo. No, może jeszcze to, że wiedział, jakiego koloru pończochy noszą lokaje hrabiny Malmsey.

Kto jeszcze mógł wiedzieć o hrabinie i lokaju, kto mógł ich szantażować?

- Czy jeszcze ktoś z waszej wioski mieszka w Londynie, lady Malmsey? Ktoś, kto was zna i wie, skąd pochodzicie?

Eleanor i Harry wymienili spojrzenia.

- Tylko Willie August, z tego, co wiem - odparła hrabina. - Ale on by nigdy czegoś takiego... nie, nie wierzę, że mógłby to zrobić.

- Kim jest ten Willie August?

- To mój lekarz. Szepnęłam słówko mężowi, że znam pewnego zdolnego doktora, i tak Willie został naszym lekarzem rodzinnym. A teraz, dzięki swojemu talentowi, no i dzięki temu, że Malmsey go polecił, leczy samego króla. Nie, Willie to przyjaciel. Zawdzięcza mi wszystko i nigdy by nikomu nie powiedział, że pochodzę z Marble Mile.

Madeleine wydała z siebie dziwny, zdławiony dźwięk.

- Lady Malmsey, czy mówi pani o doktorze Williamie Auguście?

- Tym samym, który usunął hrabiemu Lyndonowi guz mózgu? - Colin znał doktora Augusta, choć tylko ze słyszenia. Niektórzy twierdzili, że lepiej by się stało, gdyby doktorowi omsknął się skalpel, kiedy kroił głowę hrabiego, niemniej operacja zakończyła się wielkim sukcesem i humorzasty hrabia do dziś uprzykrza życie wszystkim dookoła, a doktor August zyskał ogromny rozgłos.

- No właśnie, Willie - potwierdził Harry.

- Doktor August, uważany za geniusza medycyny, też jest z Marble Mile, tak samo jak wy dwoje?

Kochankowie zgodnie pokiwali głowami.

- Ciekawa miejscina z tego Marble Mile - zauważył Colin. Hrabina uśmiechnęła się z wyraźną satysfakcją.

Znów ktoś zapukał do drzwi. Madeleine, Harry i Colin schowali się do szafy.

Hrabina otworzyła zasuwkę.

- Dziękuję, Katie - usłyszał Colin jej głos. Potem brzęknęły sztuce na odstawianej tacy, a w szafie rozszedł się kuszący aromat ciepłego jedzenia.

- Proszę bar...

Drzwi zamknęły się za pokojówką i zasuwka wróciła na miejsce.

Hrabina podeszła do szafy.

- Możecie już wyjść. Ale nie powinniście dłużej tu zostawać. Możecie zapakować jedzenie i zabrać ze sobą.

Miała rację, Colin dobrze o tym wiedział. Ale chciał ją jeszcze o coś poprosić.

- Masz może jakiś kapelusz, który mogłabyś pożyczyć mojej współpracownicy? - spytał. - Zwykły, bez żadnych ozdób?

Hrabina wyjęła z szafy wysoki słomkowy kapelusik i wręczyła Colinowi, który z kolei przekazał go Madeleine. Ta rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

Najwyraźniej uznał, że kobieta powinna nosić kapelusz. Miał przecież siostry.

Kiedy zapakował jedzenie w śnieżnobiałe serwetki, które przyniosła służąca, przyszedł czas się pożegnać. O dziwo, zrobiło mu się trochę smutno. Bardzo możliwe, że widział hrabinę po raz ostatni. A przecież była w pewnym sensie uosobieniem jego dawnego życia.

Przechodząc obok toaletki, sięgnął ukradkiem po buteleczkę wody lawendowej i schował do kieszeni fraka; nikt niczego nie zauważył.

Hrabina wzięła go pod rękę i poprowadziła przez korytarz do schodów kuchennych, szczęśliwie akurat pustych. Harry i Madeleine szli o kilka kroków za nimi.

- Colin - rzekła cicho hrabina. - Widzisz, z Harrym znamy się od zawsze. To...

- Nie musisz mi się tłumaczyć, Eleanor.

- Ale... między mną a Harrym... chcę, żebyś wiedział, że... tu nie chodzi tylko o... - Zarumieniła się uroczo.

- Fantastyczny seks? - dokończył złośliwie. I uśmiechnął się do niej.

- Drań z ciebie, Colinie, jak zawsze. - Hrabina próbowała gniewnie zmarszczyć czoło, ale przeszkadzał jej w tym uśmiech.

Roześmiał się.

- Bądź zdrowa, Eleanor.

- Nigdy nie wierzyłam, że zabiłeś tego człowieka - powiedziała ciepło.

- Pochlebiasz mi, naprawdę. Poszłaś oglądać moją egzekucję?

- Owszem i wybiorę się znowu, o ile cię złapią.

- Będę zaszczycony, lady Malmsey.

Znowu się uśmiechnęła i podała mu rękę do pocałowania, co skwapliwie uczynił. Harry i Madeleine przyglądali się ich pożegnaniu, jedno z podziwem i zazdrością, a drugie czujnie, z zagadkowym wyrazem twarzy.

- Niech was Bóg prowadzi - powiedział lokaj, kłaniając się Colinowi i Madeleine.

- Dziękuję, Harry. - Madeleine uśmiechnęła się do niego tak promiennie, że aż wybałuszył na nią oczy.

Colin zmarszczył brwi. No proszę, do zwykłego lokaja to się uśmiecha prawie bez powodu. Ale przynajmniej lekko się obróciła, żeby objąć uśmiechem również lady Malmsey.

Hrabina tylko uniosła jasne brwi. Ją nie tak łatwo było zachwycić, a jej broń przed dojrzałą i nieskończenie bardziej tajemniczą panią Green stanowiła ironia.

- Uważajcie na siebie - powiedziała Madeleine łagodnie.

To zaskoczyło hrabinę. Colin dałby sobie rękę uciąć, że przez jej twarz przemknął ledwo zauważalny wyraz tęsknoty. Pomyślał, że dla hrabiny to musiała być ulga móc choć przez chwilę dzielić ciężar sekretu z kobietą, która w tych trzech prostych słowach pokazała, że ją rozumie.



Rozdział 9

Nie będą - powiedział Colin, kiedy wychodzili przez ogród. Pchnął furtkę i na powrót znaleźli się w stajniach.

- Czego nie będą?

- Uważać. A raczej tylko będzie im się wydawało, że uważają.

- Wiem.

W myślach Madeleine szalała istna burza obrazów uczuć, a zmęczenie nie pozwalało jej poukładać ich w sensowną całość. Przed chwilą mierzyła z pistoletu do hrabiny i lokaja, których nie była w stanie potępić za to, co robią; bezwstydnie przytulała się w szafie do Colina Eversea i w ciągu tych kilku krótkich minut pożądanie zapierało jej dech w piersiach; pozwoliła błądzić po swoim ciele jego wprawnym, delikatnym dłoniom - ba, prawie się o to dopraszała.

Wiedziała, że i on nie był obojętny; słyszała jego przyspieszony oddech, czuła, jak przyciąga ją mocniej do siebie, czuła jego napięcie. Nawet nie była na niego zła; to samo zrobiłby na jego miejscu każdy inny mężczyzna zamknięty w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu z piękną kobietą w ramionach.

Ale teraz, w świetle dnia, całe to zdarzenie wydawało jej się lekko krepujące. Może jeśli będą udawać, że nic niestosownego między nimi nie zaszło, szybciej o tym zapomną.

- A mówiła pani, że do niczego się nie przydam - zauważył kaśliwie.

Madeleine, zaskoczona, dopiero po chwili zorientowała się, o czym mówi.

- Przyznaję - odparła swobodnie - że jak do tej pory reputacja niepoprawnego kobieciarza i najślynniejszego hulaki w Londynie działa na pana korzyść, przynajmniej jeśli chodzi o gromadzenie informacji.

- Proszę nie zapominać o „zbiegłym mordercy”, skoro już wylicza pani moje atuty - odciął się Colin. - Wygląda na to, że ludzie uważają mnie za...

Zawiesił głos i Madeleine myślała, że nie dokończy tego zdania. Spojrzała na niego zaintrygowana.

Colin otrząsnął się z zadumy i uśmiechnął się cierpko.

- ...za bohatera.

Nie była w stanie ocenić jego nastroju, więc nie odpowiedziała.

- Harry zaniósł pieniądze Horacemu Peele'owi do Tygryskiej Nory, a potem Horacy zniknął. - Colin zmienił temat. - Cieszy mnie, że dostał pieniądze.

- Bo to znaczy, że może jeszcze żyje - domyśliła się Madeleine.

- Właśnie - potwierdził. - A poza tym to najlepszy dowód, że jestem niewinny.

Madeleine uważała, że słowo „dowód” to w tym przypadku lekka przesada, powiedziała więc tylko:

- To ja miałam zginąć. Dla pana było w planach coś innego.

Colin zerknął na nią z ukosa i mruknął coś niewyraźnie. Idąc przez starannie zamieciony dziedziniec stajni, minęli świeżo umyty powóz; wypucowane lampy wręcz oślepiały w blasku słońca.

- Biorąc pod uwagę pani tryb życia, pani Greenway... - zaczął, ale znowu urwał w połowie zdania. Pokręcił głową i mówił dalej: - Nic tutaj nie ma sensu. Chyba że pieniądze dla pani i Horacego pochodziły z dwóch różnych źródeł, a człowiek z wymyślnymi guzikami od kamizelki odgrywał tylko rolę posłańca, jak nasz lokaj Harry. Ale kto mógł zapłacić za to, żeby porwać spod szubienicy mężczyznę, a zamordować kobietę?

Madeleine też nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

- Te guziki coś panu mówią - odezwała się po chwili. Chwila wahania. Potem krótki, ironiczny śmiech.

- Obawiam się, że tak.

- Miał pan zamiar w końcu mi powiedzieć, o co chodzi? Dla mnie to też może być ważne.

Colin uniósł brew i spojrzał na nią z ukosa, a jego wzrok mówił: „Nie wysiła się pani na uprzejmość”.

- No dobrze, droga pani Greenway. Mój brat Marcus...

- Ten, który ma się żenić z Louisą?

- Jestem wdzięczny, że mi pani o tym przypomina. Tak, mój brat Marcus, który jest zaręczony z Louisą. Ale wcale się z nią nie ożeni, jeśli tylko zdołamy odkryć, dlaczego... Zresztą mniejsza z tym. Otóż Marcus jest bardzo zamkniętym w sobie i bardzo praktycznym człowiekiem, przynajmniej jak na kogoś z rodziny Eversea. Zarządzanie majątkiem naprawdę sprawia mu przyjemność i świetnie mu idzie. Jest poważny, przez co droczenie się z nim staje się wyjątkowo zabawne. Ale zwykle znosi to cierpliwie. - Głos Colina stawał się coraz cichszy. - Jego jedyną słabością są dobre, szybkie konie. Należy do Klubu Merkuriusza, to grupa bardzo dobrze prosperujących inwestorów. Wkładają pieniądze w import przypraw, budowę kanałów, produkcję cygar. Spotykają się co miesiąc, żeby zdać raport z poprzednich inwestycji i zaplanować nowe.

- A jak się do tego mają guziki?

- Cierpliwości, gołąbeczko ty moja. Teraz opowiadam historię.

Madeleine stłumiła uśmiech.

Colin zatrzymał się zniemacka i usiadł pod ścianą w miejscu, gdzie nikt nie mógł ich zauważyć, bo zasłaniał ich lśniący powóz. Poklepał bruk dziedzińca obok siebie.

- Pora coś przekąsić.

Niepewnie zerknęła na ziemię. Colin zauważył to i wyjął z kieszeni... chusteczkę do nosa. Rozłożył ją i starannie rozprostował.

- Mniej więcej rozmiar pani siedzenia, o ile się nie mylę - oszacował.

Wcale nie chciała się uśmiechnąć, ale on był naprawdę zabawny. Usiadła na chusteczce, skromnie obciągnęła suknię na kolanach i czekała, aż Colin rozwinie węzełek z jedzeniem.

Ukroił kromkę chleba i plaster szynki i podał jej, a potem zrobił taką samą kanapkę dla siebie.

- Ci inwestorzy uwielbiają się ścigać w różnego typu pojazdach. Mają nawet klubowy powóz, z którego mogą korzystać wszyscy członkowie. Jest wspaniały, choć może trochę zbyt ostentacyjny, kazali wymalować na drzwiczkach swój klubowy znak, coś jakby ich herb: dwie uskrzydłone stopy. Wszyscy szczycą się tym, że dobrze powożą, bo rzeczywiście są świetnymi woźnicami. I każdy z nich ma stajnię pełną fantastycznych koni. Nieraz obstawiałem ich konie na wyścigach. Zwykle wygrywałem, choć zdarzało mi się przegrywać. Ale to nieszkodliwa rozrywka. W każdym razie nikomu nic złego się nie dzieje.

- Guziki - przypomniała Madeleine.

- Jednym z ich powodów do dumy - ciągnął, jakby jej nie słyszał - jest coś w rodzaju uniformu: jego część stanowi kamizelka z przykuwającymi uwagę guzikami z masy perłowej. Też trochę ostentacyjne jak na ludzi, którzy zasadniczo są bardzo konserwatywni. I bardzo charakterystyczne. Można powiedzieć, że nie do pomylenia z żadnymi innymi.

Madeleine przyjęła do wiadomości tę rewelację.

- I myśli pan, że Marcus mógł...

- Nic nie myślę - szorstki ton Colina zdradzał, że jest zgoła odwrotnie. - Wiem tylko, że człowiek w kamizelce z takimi guzikami prawdopodobnie należy do Klubu Merkuriusza.

Madeleine nie uwierzyła w te zaprzeczenia. Pewnie już dawno wykiełkowało w nim maleńkie ziarenko podejrzania. Horacy Peele zniknął, a wkrótce potem rozeszła się wieść, że Louisa i Marcus mają się pobrać. Szczerze wątpiła, by Colin miał w więzieniu coś lepszego do roboty, niż zastanawiać się, dlaczego tam wylądował. A że był inteligentny, na pewno przyszło mu do głowy, iż brat chciał wyeliminować go z gry. Co więcej, przypuszczała, że uroki pobytu w Newgate mogą osłabić nawet najsilniejszą rodzinną więź.

- Jakim człowiekiem jest pański brat? - spytała.

- Dobrym - powiedział, ale wyczuła wahanie w jego głosie. - Bliższy mi jest chyba Ian, ale Marcus... to on nauczył mnie, jak się bić. - Ledwo zauważalny uśmiech. - Jesteśmy ze sobą bardzo życzliwi. I zawsze wierzyłem, że będzie mnie bronił do ostatniej kropli krwi. Przecież wyciągnął mnie z rzeki, kiedy się topiłem. Nie znam nikogo, kto byłby bardziej... - urwał, szukając odpowiedniego słowa - ...zdecydowany niż Marcus.

Ciekawe określenie.

- Czy jest bezwzględny?

- Nie. - Tym razem Colin się nie wahał. - Raczej konsekwentny. Jeśli czegoś chce, to stanowczo, krok po kroku to zdobywa. I zawsze mu się udaje. Czy chodzi o wyjątkowo dobrego konia na aukcji, czy o kupno ziemi przylegającej do majątku Eversea, czy o strzelanie z pistoletu. To ostatnie musiał ćwiczyć znacznie dłużej ode mnie. Nie ma takiej łatwości jak Ian ani mojej... właściwie sam nie wiem.

- Fantazji - podsunęła.

- Czyżby? - W jego głosie zabrzmiało rozbawienie. - Tak czy inaczej, Marcus zawsze osiąga cel. Nigdy nie uważałem, że jest bezwzględny. Chociaż z drugiej strony... kiedy w grę wchodzi miłość...

Tego zdania Colin Eversea nie dokończył. Sam trafił do więzienia po części dlatego, że był zakochany. Tak, miłość to ryzykowna sprawa.

- Więc Marcus kocha Louise? - spytała Madeleine.

- Louise kochają wszyscy - odparł.

Ledwo się powstrzymała, żeby nie przewrócić oczami.

- Chodziło mi o to...

- Wiem, o co pani chodziło. I wydaje mi się... - Colin potarł czoło i westchnął. Potem oparł głowę o ścianę, zamknął oczy i zaśmiał się ponuro. - Tak, myślę, że on ją naprawdę kocha. Właściwie to jestem pewien.

- A czy Marcus wiedział o pana związku z Louisą?

- Och, chyba wszyscy w Pennyroyal Green o tym wiedzieli. Louisa ani razu nie była w Londynie podczas sezonu, jej rodziny na to nie stać. Ale mogła do woli przebierać w kawalerach: Redmondowie, Eversea, inne okoliczne rodziny. I cóż... resztę historii już pani zna.

Zacisnął dłoń w pięść i parę razy uderzył nią o udo. Na dłuższą chwilę pograżył się w milczeniu. Potem spytał:

- A pani jest mężatką, pani Greenway?

To pytanie tak ją zaskoczyło, że odpowiedziała bez namysłu:

- Nie.

- Ale była pani zamężna?

- Tak.

Skwitował te lakoniczne odpowiedzi krzywym uśmiechem i nie patrząc, podał jej bukłak.

- Co się stało z pani mężem?

Wzięła łyk wody.

- Nie żyje.

Colin zaczął jej się uważnie przyglądać, jak gdyby szukał szczeliny w murze.

- Żałowała pani, że umarł?

Zaniemówiła. Na moment przestała oddychać i myśleć, tylko patrzyła na niego. Ale może właśnie takie pytanie było potrzebne, żeby odpowiedziała szczerze.

- Tak, panie Eversea - odparła. - Żałowałam. Oddała mu bukłak.

- Jak to się stało? Zginął na wojnie?

- Nie, z wojny wrócił cało. Zabiła go choroba.

- A nie postrzeliła go pani przypadkiem ze swojej spluwy?

Pytanie miało być uszczypliwe, ale Madeleine wyczuła coś jeszcze. Colin Eversea nadal jej nie ufał. Ona wiedziała o nim sporo, a on o niej - prawie nic.

- Ja nigdy nie strzelam przypadkiem - odparła.

Spodobała mu się ta odpowiedź. Uśmiechnął się i rozejrzał dokoła. Dzień był ciepły i wszystkie zapachy Londynu unosiły się nad ziemią. Czuć było gnojówkę i węgiel, ale zza domu dochodził też zapach kwiatów z ogrodu hrabiego.

- Ma pani dzieci, pani Greenway? - spytał Colin. Poruszyła się niespokojnie.

- Wybacz pan, ale nie gustuję w przyjacielskich pogaduszkach.

- Ja tylko prowadzę towarzyską konwersację przy posiłku - powiedział niewinnym tonem, w ogóle na nią nie patrząc. Spoglądał w niebo i mrużył oczy, jakby wypatrywał tam człowieka w kamizelce z perłowymi guzikami.

Nie pozostało jej nic innego, jak znowu mu się przyjrzeć. Włosy, ciemnobrązowe z miedzianym połyskiem, wiły się delikatnie przy skroniach i uszach. Na policzkach pojawił się cień zarostu, za to cienie pod oczami prawie zniknęły. To dzięki nocy przespanej na workach z mąką.

- Ładny dzisiaj dzień, prawda? - rzekła w końcu. - Myślę, że nie będzie padać. Ale przydałoby się trochę wiatru, bo inaczej po południu zrobi się potwornie duszno. Ciekawe, czy lato w tym roku będzie suche.

Przez chwilę patrzył na nią zdezorientowany. Potem w jego oczach błysnęło zrozumienie i wybuchnął śmiechem.

- Racja, pani Greenway. Pogoda to najważniejszy temat towarzyskiej konwersacji.

Zmrużone od śmiechu oczy lśniły, a w kącikach robiły się drobne zmarszczki. Madeleine przeszył dreszcz i powoli, bardzo powoli odwróciła głowę. Nie mogła na niego patrzeć - nie teraz, kiedy właśnie do niej dotarło, jakie te oczy są piękne.

Co się z nią dzieje, na miłość boską? Wzięła głęboki oddech, jakby ta świadomość sprawiała jej fizyczny ból. Zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła rękę i narysowała w pyłe na ziemi coś, co okazało się kwiatkiem.

Colin przyjrzał się krytycznie obrazkowi i oznajmił:

- Ja bym narysował piersi.

Znowu się roześmiała. Potrafił zaskakiwać, a jego urok wciskał się w szczelinę jej zbroi tuż po tym, jak zdołała załatać poprzednią.

Ale gdy spojrzała mu w oczy, tym razem trochę śmieiej, jego uśmiech zgasł. Nie miała wątpliwości, że w tej chwili oboje myślą o tym, co zaszło w szafie. Wspomnienia wróciły gorącą falą; jego oddech na jej karku, jego kciuk muskający jej pierś, bliskość jego silnego ciała za jej plecami, gęsia skórka na jej ramionach i szyi.

Popatrzyła na niego obojętnie i spokojnie odwróciła wzrok.

Przynajmniej miała nadzieję, że zrobiła to spokojnie.

Nie jestem smarkatą panienką, powtarzała sobie, tylko dojrzałą kobietą. Ale nie była z drewna, a on był bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Przecież właśnie na tym zbudował swoją reputację. Mogła mu nie ufać, ale jej ciało reagowało na niego, co na pewno będzie próbował wykorzystać.

Pomyślała, że znacznie łatwiej jej panować nad zmysłami, kiedy na niego nie patrzy.

- Myśli pan, że dalej będzie równie użyteczny? - spytała, nie podnosząc wzroku. - Że znajdziemy tego posłańca z fikuśnymi guzikami?

Colin skończył swoją kanapkę i chciał sięgnąć po chusteczkę, ale przypomniał sobie, że Madeleine na niej siedzi. Użył więc kawałka muslinu, w który zawinięte było jedzenie. Starannie wytarł każdy palec z osobna i odparł:

- Nawet nie wiem, gdzie zacząć szukać. Jeżeli Harry i Eleanor byli ostrożniejsi, niż nam się wydaje, być może tylko doktor August wie o ich romansie. Ale co mogło go skłonić do wykorzystania tej wiedzy? Wątpię, żeby należał do tego Klubu Merkuriusza. Marcus na pewno by się pochwalił, gdyby przyjęli tak znamienitą postać.

- Czy mówiąc o „wykorzystaniu tej wiedzy”, miał pan na myśli doprowadzenie do aresztowania pana pod fałszywymi zarzutami, potem uwolnienia i w końcu zabicia mnie?

- Próbowałem ująć to oględniej - odparł Colin - ale właśnie o to mi chodziło.

Zna pani doktora?

- Tak.

- Osobiście?

- Tak.

Żartobliwie zmarszczył brwi.

- Ma pani imponujący zasób słownictwa, pani Greenway.

- Musimy się udać na Biddlegate Street. On tam mieszka. - To była cała jej odpowiedź.

Nagle poczuła się strasznie zmęczona, i to nawet nie dlatego, że miała za sobą nieprzespaną noc. Posiłek trochę rozjaśnił jej w głowie, ale wciąż nie potrafiła pozbyć się wrażenia, że cała ich wyprawa przypomina walkę z wiatrakami.

Czy jednak mieli jakiś inny wybór? Co będzie z Colinem Eversea, jeśli nie zdołają udowodnić, że jest niewinny?

Co będzie z nią, jeżeli nie zarobi już ani pensa?

Odruchowo sięgnęła do tyłu, żeby dotknąć muru za plecami; potrzebowała chwycić się czegoś pewnego, solidnego. Niemal czuła, jak otchłań niepewnej przyszłości otwiera się, chcąc ją wessać w swoją czelusć.

- Po co pani te pieniądze, pani Greenway? - Colin znowu przybrał ton uprzejmego inkwizytora.

Wyrwana z zamyślenia, odwróciła się do niego gwałtownie.

- Że co, proszę?

- Powiedziała mi pani, że te pieniądze są pani pilnie potrzebne. Po co? Ma pani długi? Ktoś panią szantażuje? Co by pani zrobiła, gdybym nie zaproponował pani współpracy?

Innymi słowy, czemu miałby nadal jej ufać? W końcu krążyła plotka, że za jego głowę wyznaczono nagrodę.

Mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy ta pogłoska jest prawdziwa, a jeśli tak, to ile wynosi nagroda i czy wystarczyłaby na podróż do Ameryki.

- Mam zamiar wyjechać z kraju. A pieniądze były mi potrzebne, żeby wszystko w związku z tym pozatapiać - wyjaśniła sucho. - Bardzo potrzebuję pieniędzy, i to dużo pieniędzy. Te, które miałam, wydałam co do pensa na ratowanie pana.

- Słyszałem, że w Australii jest wyjątkowo pięknie o tej porze roku.

- Bardzo sprytnie. Ale ja myślę o innym kraju: o Ameryce.

- Przed czym pani tak ucieka, pani Greenway?

- I kto to mówi? Człowiek, którego wyciągnęłam spod szubienicy.

Roześmiał się, oparł o mur i popatrzył w niebo.

Znowu znaleźli się w punkcie wyjścia: nie ufali sobie nawzajem. Ale Colin miał uśmiech na ustach, jakby się spodziewał, że to tylko kwestia czasu, kiedy dowie się o Madeleine Greenway wszystkiego, co chce o niej wiedzieć.

No cóż, pomyślała. Pewnie zadawanie jej krepujących pytań to dla niego wspaniała rozrywka, bo pozwala mu zapomnieć, że omal nie zawisnął za zbrodnię, której nie popełnił, że być może za całą sprawą stoi jego brat i że ten brat ma się żenić z kobietą, którą Colin kocha od dziecka.

Na myśl o tym aż ją ścisnęło w dołku. W jego głosie słyszała *to* samo zmęczenie, jakie sama czuła, i zastanawiała się, ile ma to wspólnego z wątpliwościami, czy zdoła udowodnić swoją niewinność - o ile rzeczywiście jest niewinny. Albo z wątpliwościami, czy jeszcze kiedykolwiek będzie w stanie komuś zaufać... i czy ktoś jeszcze kiedyś zaufa jemu.

O ileż łatwiej by było, gdyby Colin Eversea pozostał dla niej tylko kolejnym zleceniem - ale cóż, uparł się, żeby traktować go jak osobę. Chciała potrzebować twarz dłońmi, lecz powstrzymała się; i tak pewnie wygląda jak czupiradło. Od wieków nie przejmowała się swoim wyglądem, więc niepokojące było, że teraz się tym martwi.

Colin wskazał dłonią zawiniątko z jedzeniem i pytająco uniósł brew. Pokręciła głową: nie chciała więcej jeść. Wobec tego zawiązał serwetkę, wstał, podnosząc pakunek, i podał jej rękę.

Wiedziała, że wyciągnął ją nie tylko z uprzejmości, ale też dlatego, że chciał jej znowu dotknąć, świadomy jak na nią działa jego dotyk. A może po prostu pragnął powrotu do normalności, bo w świecie, w jakim się obracał, było normalne, że mężczyzna pomaga wstać kobiecie.

Przez ostatnie lata sama doskonale sobie radziła ze wstawaniem i nie potrzebowała jego pomocy. Ale przyjęła ją, pozwoliła, żeby jej drobna rączka zginęła w jego dużej dłoni.

Kiedy już stała, przytrzymał jej rękę odrobinę dłużej, niż było to konieczne. Na to też pozwoliła, by mu pokazać, że się go nie boi i że niełatwo ją wytrącić z równowagi.

Bo dzisiaj już udało mu się i jedno, i drugie.

Patrzył na nią poważnie, ale jedna brew lekko mu drgnęła: „Widzi pani, pani Greenway? To wcale nie było takie trudne”.

Puścił jej dłoń.

Wyszli ze stajni i Madeleine zaczęła się rozglądać za dorożką. Ona przywołała pojazd, bo lepiej, żeby Colin nie wychylał nosa na plac Świętego Jakuba.

Rozdział 10

Siły policyjne w Anglii były fatalnie zorganizowane; w jednej parafii funkcjonowały sprawnie, a w sąsiedniej praktycznie nie istniały. Taki stan rzeczy bardzo odpowiadał rozmaitej maści złodziejom: wystarczyło ukraść coś w jednym miejscu, przebiec parę ulic i voilà! - już było się całkiem bezpiecznym. Więzienia, publiczne egzekucje i zesłania nie zniechęcały obrotnych przestępców. W Londynie wszystko można było sprzedać i kupić.

Na razie ta sytuacja działała na ich korzyść. Chociaż Colin miał świadomość, że jest poszukiwany i być może wyznaczono za jego głowę niemałą nagrodę - czego wciąż nie udało się potwierdzić - aby uniknąć schwytania, wystarczyło trzymać się z dala od miejsc, w których zwykle bywał, i nie patrzeć w oczy żołnierzom.

Gdy Madeleine przywołała dorożkę, Colin - w wymiętym fraku, w kapeluszu wciśniętym na oczy, z przewiązaniem byle jak fularem i nadzieją, że wygląda jak jeden ze złotych młodzieńców Londynu wracających z nocnej hulanki - wspiął się do środka, ona zaś tłumaczyła woźnicy, dokąd ma ich zawieźć.

Przy ulicy, na której mieszkał doktor, mieściły się rezydencje wielu znanych bankierów, kupców, lekarzy i prawników. Niestety, ledwo parę minut drogi od tego miejsca biegła popularna Rotten Row*, a że dzień był ciepły i pogodny, na aleję na pewno wylegnały otwarte powozy pełne ludzi, z którymi Colin grywał w karty, walczył albo flirtował (z reguły flirt prowadził do czegoś więcej).

* Rotten Row - piaszczysta aleja biegnąca wzdłuż granicy Hyde Parku w Londynie, w XVIII i XIX w. jedno z najmodniejszych miejsc konnych przejażdżek wśród londyńskiej arystokracji (przyp. tłum.).

A nie przypuszczał, by wczorajsza niedoszła egzekucja przeszkodziła komukolwiek pokazać się w towarzystwie i wymienić ploteczki na jego temat.

Och, wiele by dał za czyste ubranie i pustogłową kobietkę, z którą mógłby poflirtować. Ale jeszcze bardziej pragnąłby usiąść naprzeciwko Louisy Porter, przytrzymać jej kłębek wełny i słuchać, jak opowiada o tym, że kury nie niosą się tak dobrze, jak powinny. Chciał rozmawiać, rozmawiać i jeszcze raz rozmawiać, bo to zwykle robił w towarzystwie Louisy, która potrafiła wspaniale słuchać i często się śmiała. Tęsknił za chłodnym powietrzem na łąkach i marzył, żeby móc spacerować po nich z ukochaną.

Marzył też o pistolecie. Zwłaszcza tym, który należał do Madeleine Greenway - piękna sztuka.

Ale rozważania i marzenia nie przyniosły nic dobrego; kiedy już oswoił się z tym, co wie i czego nie wie - choćby na temat pani Greenway - całkiem stracił humor.

- To pani będzie musiała sprawdzić, czy nasz drogi doktor jest w domu. Ja nie bardzo mogę ot, tak zapukać do jego drzwi.

Madeleine wzdrygnęła się. Colin zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. Aha, czyli jednak nie jest z żelaza. Podejrzewał, że przed chwilą drzemała z otwartymi oczami. Jej delikatna cera nabrała szarawego zabarwienia, włosy się rozsypały: jeden kosmyk opadał wzdłuż brody, inny prawie dotykał jej wydatnych warg. Może to skutek incydentu w szafie? Wyglądała, jakby właśnie wróciła ze schadzki z kochankiem. Wątpliwe, żeby się ucieszyła, kiedy jej to powie.

- Wygląda pani, jakby właśnie ktoś pani dogodził - oznajmił. Sam był w złym humorze i miał ochotę go popsuć komuś innemu.

Otworzyła szeroko oczy, a na jej policzkach - cóż za uroczy widok - wykwitły rumieńce.

Nie zaszczyciwszy go odpowiedzią, odwróciła głowę do okna i patrzyła na spokojne o tej porze ulice.

- Niedługo będziemy musieli sprzedać następny guzik - rzekł, niezrażony jej milczeniem. Cały ich majątek wynosił w tej chwili zaledwie szylinga. Szylinga! Duma Colina nie najlepiej to znosiła.

- Może trzeba było poprosić hrabinę o wsparcie.

- Och, ona nigdy nie ma pieniędzy. Ciągłe tonie w długach. Gdybym wymienił sumę, to złapałaby się pani za głowę. Istna hazardzistka z tej naszej hrabiny. Ale mąż załatwia za nią takie sprawy. Jest niewyobrażalnie bogaty, więc to żaden problem, że ona przepada za hazardem.

- Widzę, że naprawdę dobrze ją pan zna.

- Owszem. - Uśmiechnął się. Madeleine odchrząknęła.

- Czy ja naprawdę...

- Czy wygląda pani, jakby przed chwilą ktoś pani dogodził? Obawiam się, że tak. Trochę się pani potargała fryzura.

Zmarszczyła brwi i uniosła rękę do skroni, żeby przygładzić włosy.

- Nie mogę zapukać do drzwi doktora i tak po prostu...

Przerwała, bo Colin wyciągnął rękę i założył jej kosmyk włosów za ucho.

Zrobił to pod wpływem impulsu, chwilowego kaprysu... Nie powinien był tego robić, gdyż w tym momencie stało się coś dziwnego: w chwili, kiedy Colin dotknął jej włosów, czas nagle zwolnił. Jego ręka zawisała w powietrzu, jakby schwytna w niewidzialną sieć, uwiedziona, wręcz porażona ich miękkością.

A zakładając jej włosy za ucho, delikatnie obrysował palcami jego kontur. Na krótką chwilę opuszki jego palców zastygły w bezruchu tuż obok koniuszka jej ucha.

Po czym jego ręka ciężko opadła na kolana. Zupełnie jak Ikar spadający z nieba.

Patrzyli na siebie jak zaczarowani.

Colin nie potrafił określić, jak długo siedzieli w milczeniu, ale widząc, że rumieniec ogarnął także jej szyję, nagle rozpaczliwie zapragnął się dowiedzieć, czy

poróżował również jej dekolt i czy znowu udało mu się sprawić, że jej sutki zmieniły się w twarde kuleczki.

- Teraz lepiej? - zapytała ochryple.

- Nie - odpowiedział.

Uśmiechnęła się kwaśno i odwróciła głowę. Po chwili przełknęła nerwowo.

A on uświadomił sobie, że teraz, kiedy już jej dotknął, będzie szukał kolejnych pretekstów, aby znów to zrobić; to go jeszcze bardziej wytrąciło z równowagi i całkiem popsuło mu humor.

Dorożka zatrzymała się przed dużym, ale jednocześnie krzepiąco zwyczajnym domem. Pięć schodków prowadziło do solidnych drzwi z mosiężną kołatką, za którymi, jeśli im się poszczęści, zastaną doktora Augusta i poznają kilka odpowiedzi.

Pojazd zakołysał się, kiedy woźnica zsiadał z kozła. Po chwili otwierał drzwiczki, żeby podać rękę Madeleine, która zwinnie zeskoczyła na ziemię.

Dorożkarz zajrzał do środka i obrzucił wzrokiem Colina, który naciągnął kapelusz głębiej na oczy i opuścił się na siedzeniu.

- Jest bardzo chory - wyjaśniła Madeleine półgłosem. - Musimy zobaczyć się z doktorem.

- Chory? - zaniepokoił się dorożkarz. - To zaraźliwe, madame?

- Nie. To taki... - jeszcze bardziej ściszyła głos, choć w zasięgu słuchu nie było żywego ducha - ...męski problem.

Colin westchnął. Cóż, dzięki temu przynajmniej unikną dalszych pytań.

Pewnie woźnica śmieje się w duchu, ale raczej nie będzie się dopytywał o szczegóły.

- Czy byłby pan łaskaw zaczekać, aż sprawdzę, czy doktor jest w domu? - ciągnęła Madeleine.

- A...ależ oczywiście, madame - zająknął się dorożkarz. Drzwiczki się zamknęły.

Colin natychmiast usiadł prosto i lekko odsunął zasłonkę, żeby obserwować, jak Madeleine swoim zwykłym energicznym krokiem wspina się na schodki. Uśmiechnął się pod nosem. Ciekawe, czy tej kobiecie kiedykolwiek zdarza się nie postępować rozmyślnie i celowo.

- Aaaaaa! - Przerażony rzucił się do tyłu i opuścił zasłonkę, kiedy nagle w okienku zamajaczyła twarz dorożkarza.

Mężczyzna zastukał do drzwi.

Colin naciągnął kapelusz na oczy, skrzyżował ręce na piersi i zignorował pukanie.

- Proszę pana - powiedział dorożkarz, przykładając usta do szczeliny w okienku.

Colin udawał, że go nie słyszy. Przychodziło mu to z niemałym trudem, bo sprzeciwiało się wszystkiemu, co wpajano mu od dziecka. Mężczyźni z rodu Eversea bywali lekkoduchami, ale dobre maniere mieli wszczepione tak mocno, jak inni ludzie pewne choroby dziedziczne.

- Panie kolego - odezwał się dorożkarz trochę głośniejszym głosem.

Cóż, jednak będzie musiał zareagować. Usiadł ostrożnie, jakby ta prosta czynność sprawiała mu ból. Serce waliło mu jak młotem.

Chryste, nie miał przecież pistoletu. Naprawdę będzie się musiał o to zatroszczyć.

- Tak? - wystękał zmienionym głosem. Ale nie otworzył drzwi. Jeśli woźnica spróbuje z nim odjechać albo będzie chciał go wyciągnąć z dorożki, Colin zamachnie się nogą i kopnie go w kolana. Niezła sztuczka. Marcus go nauczył.

Dorożkarz przycisnął twarz do okienka, które zaparowało, kiedy zaczął mówić.

- Jedź pan do McBride'a w St. Giles. Nieciekawa okolica, ale możesz mi pan wierzyć: on znajdzie radę na każdą jedną męską chorobę. Ten tutaj... - wskazał kciukiem za siebie - ...i tak nie zdziała więcej od McBride'a, słowo daję.

Przekazawszy tę cenną informację, woźnica skinął zachęcająco głową i wdrapał się z powrotem na kozioł. Dorożka zachybotwała się pod jego ciężarem.

I znowu zapanowała cisza.

Colin przymknął oczy i westchnął, rozmyślając o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Przez ostatnie tygodnie jego duma zdrowo ucierpiała. Zabawny jest ten świat, pełen niesprawiedliwości, rozpacz i przemocy. Ale też nieoczekiwanej uprzejmości i życzliwych ludzi, gotowych udzielić przyjacielskiej rady.

I niebezpiecznych, rozkosznych pokus.

Był ciekaw, co by się stało, gdyby podniósł głowę i pokazał dorożkarzowi twarz - w razie gdyby woźnica od razu go nie rozpoznał, mógł przyłożyć palce do głowy na kształt diabelskich rogów. Czy dorożkarz rozpromieniłby się w zachwycie i podziwie dla pana Colina Eversea i zaoferowałby im darmową przejażdżkę po Londynie? A może wyjąłby z kieszeni pistolet i zaciągnął Colina na najbliższy posterunek straży, licząc na nagrodę?

Szkoda, że nie może go zapytać, czy wie, jaką nagrodę dają za złapanie Colina Eversea.

Zabawny jest ten świat.

Colin znowu odsunął zasłonkę i zobaczył, że Madeleine schodzi po schodach. Odgarnęła włosy za ucho i... z niewiadomej przyczyny ten gest wzbudził poruszenie w łędźwiach Colina. Na chwilę stracił oddech.

Kiedy znalazła się na dole, spojrzała w okienko dorożki i lekko pokręciła głową. Colin rozwinął swój tobołek i zaczął odrywać srebrny guzik od kamizelki. Poczul ukłucie żalu, gdy nitka puściła.

Taka piękna kamizelka. I droga. Nie żeby za nią zapłacił - wziął na kredyt - ale to przecież bez znaczenia.

Woźnica zeskoczył z kozła - Colin poznał to po tym, że dorożka skrzypnęła i zakołysała się gwałtownie - żeby pomóc urodziwej damie wsiąść do środka. Zanim do niej podszedł, Colin otworzył drzwiczki, chwycił Madeleine za rękę i

wcisnąwszy guzik w obciągniętą rękawiczką dłoń, rzucił się z powrotem na siedzenie.

Madeleine błyskawicznie zorientowała się, o co chodzi.

- Obawiam się, że nie mamy gotówki - rzekła słodko do woźnicy. - Ale może zgodzi się pan przyjąć to? Jest srebrny. - Pokazała mu guzik.

- Za taki guzik zawiozę was aż do Surrey* - oświadczył dorożkarz.

- Naprawdę? - w głosie Madeleine zabrzmiało autentyczne zainteresowanie.

- No, może nie. Ale to wspaniały guzik. Dokąd państwo teraz życzą?

- Do szpitala Edderly. Będziemy tam czekać na doktora.

* Surrey - hrabstwo w Anglii leżące kilkadziesiąt kilometrów na południowy zachód od Londynu (przyp. tłum.).

Słońce zaczynało zniżać się ku zachodowi i sylwetki budynków stawały się coraz mniej wyraźne na tle nieba. Dorożkarz zapalił latarnie, bo wiedział, że się ściemni, zanim dojadą na miejsce.

Dawniej nocne ciemności oznaczały dla Colina czas zabawy, nierzadko do białego rana. Teraz cieszył się z zapadnięcia zmroku, bo tylko w ciemności mógł czuć się bezpiecznie.

Zerknął na siedzącą naprzeciwko Madeleine. Głowa jej się kiwała jak więdnąca róża. Po ciemku, wąskimi uliczkami, torując sobie drogę wśród pojazdów pełnych balowiczów zaczynających nocne życie i ludzi pracy wracających do domów, dotrą do szpitala w Southwark najwcześniej za godzinę.

- Proszę się zdrzemnąć - powiedział - a ja w tym czasie zaopiekuję się pani pistoletem.

Mimo zmęczenia Madeleine odparła stanowczo:

- Nie. Wyśpię się, kiedy...

- Kiedy co? Przecież nie wiadomo, kiedy znajdziemy jakieś schronienie, gdzie będzie mogła się pani wyspać. Proszę wykorzystać okazję i teraz się zdrzemnąć. Jaki będę miał z pani pożytek, jeżeli będzie się pani przewracać ze zmęczenia?

Musiała przyznać mu rację. Poza tym była naprawdę bardzo zmęczona.

- Proszę się nie obawiać - ciągnął. - No bo co ja mogę zdziałać tym pistoletem? Przecież wolę używać noża, jeśli wierzyć gazetom, które jak dotąd były pani głównym źródłem informacji na mój temat.

Popatrzyła na niego. Jej oczy lśniły w ciemnościach jak oczy dzikiego zwierzęcia. Wytrzymał spojrzenie. Sięgnęła do kieszeni i podała mu pistolet.

- Należał do mojego męża - powiedziała ni z tego, ni z owego.

Po czym odchyliła się na siedzenie i głowę oparła o okno. Chwilę później już spała, o ile można było sądzić po włosach powiewających wokół ust przy każdym oddechu.

Colin spojrział na pistolet, który należał do jej męża.

Pogładził kciukiem dekorację z masy perłowej. Obrazek był ładny, choć niekoniecznie skromny. Teraz, kiedy mógł mu się przyjrzeć z bliska, dostrzegł, że przedstawia syrenę, nagą od pasa w górę, z włosami opadającymi na plecy niczym pasma wodorostów.

Więc Madeleine Greenway była żoną człowieka, który miał pistolet z wizerunkiem syreny. Pomyślał, że to może świadczyć o poczuciu humoru, i przez chwilę wydawało mu się, że wie, jaki to był człowiek. Ktoś, z kim przyjemnie by się było napić albo od czasu do czasu rozegrać partyjkę krykieta. Madeleine wyrażała się jak dama; może była córką kupca albo bogatego wieśniaka, otrzymała odpowiednie wykształcenie i dobrze wyszła za mąż.

Więc po co te tajemnice?

Żałował, że nie może przeniknąć do jej myśli podczas snu i poznać jej sekretów. Kim jest? Złodziejką do wynajęcia? Morderczynią? Czy rzeczywiście tylko „planowała”, jak twierdziła? Zorganizowanie jego uwolnienia było wyczynem

godnym najszczerzego podziwu - i stryczka, gdyby ją złapano. Guy Fawkes też nie mógł liczyć na ulaskawienie, kiedy zabawiał się z prochem.

Ale przecież to, co zrobiła - chociaż wbrew wyrokowi angielskiego sądu - nie było zdradą stanu. Ta sprytna i niezwykle odważna kobieta zdołała naprawić wielką niesprawiedliwość. Ktoś ją w tym celu wynajął.

I zupełnie nie interesowało ją, że Colin jest niewinny. Interesowały ją wyłącznie pieniądze.

Właśnie przejeżdżali przez most Westminsterki - a raczej przeciskali się przez gąszcz innych pojazdów - który od paru lat miał gazowe oświetlenie. Colin odchylił zasłonkę i wyjrzał. Latarnie rzucały rozedrgane światło na powierzchnię rzeki, z której unosił się charakterystyczny fetor.

Naprawdę przydałby się deszcz, pomyślał. Szkoda, że pani Greenway śpi i nie porozmawia z nim o pogodzie.

Bo co do fetoru, on sam raczej nie pachniał zbyt pięknie. Za parę dni urosnie mu broda i zgromadzi na sobie tyle brudu, że nawet najbliższa rodzina go nie pozna. Będzie mógł usiąść pod murem obok znajomego pijaczka na St. Giles i cieszyć się anonimowością do końca swoich dni.

Nie podobał mu się ten tok myślenia, więc postanowił sprawdzić pewne przypuszczenie, a przy okazji pozwolić sobie na drobną złośliwość. Nachylił się i bardzo, bardzo powoli dotknął kolana Madeleine.

Zareagowała błyskawicznie. Złapała go za nadgarstek, zanim na dobre otworzyła oczy.

Ale kiedy już je otworzyła, sprawiała wrażenie zaskoczonej faktem, że ścisła jego rękę.

Uśmiechnął się.

- Niezła sztuczka - pochwalił.

- Co to miało być, pani Eversea? - wymruczała leniwie, jakby jeszcze niezupełnie się rozbudziła.

On jednak podejrzewał, że tak naprawdę w ogóle nie spała. W jej pytaniu wychwytał zgryźliwe nuty.

- Chciałem panią potrzymać za rękę, pani Greenway. Pomyślałem, że to będzie bardzo romantyczne.

Cofnęła dłoń, jakby dotknęła zdechłego szczura. Tylko się roześmiała.

- Co pan chciał zrobić? - nie dawała za wygraną.

- Nie wierzyłem, że pani śpi, i chciałem to sprawdzić.

- Spałam - rzuciła sucho.

Odchrząknęła i pokręciła głową, żeby rozruszać mięśnie karku.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko obserwował jej profil. Nagle ogarnęła go złość.

- Ja nie zabijam, kiedy przyjdzie mi na to ochota, pani Greenway - rzekł gniewnie. - Żeby zabić, muszę być rozdrażniony, pijany jak bela i mieć przed sobą jednego z Redmondów. Więc jest pani ze mną całkiem bezpieczna. Może pani spać spokojnie.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Proszę sobie nie robić żartów. Co w takim razie miał robić?

- Nie zabiłem Rolanda Tarbella - powiedział z naciskiem.

Zmierzyła go wzrokiem i odparła:

- Przecież pozwoliłam panu wziąć mój pistolet.

Odetchnął z ulgą. Może nie był to dowód najwyższego zaufania, ale zawsze coś.

- Ja przy pani zasnąłem - przypomniał.

- Jak zdmuchnięta świeczka - potwierdziła nie bez satysfakcji. - Czy mi się zdaje, panie Eversea, czy jest pan urażony, że ja nie spałam tak twardo?

- Nie jestem - skłamał, chociaż bardziej poirytowany niż urażony.

Starał się nie ulec posępnemu nastrojowi i narastającemu rozdrażnieniu. Bo bardzo chciał, żeby ktoś znowu mu zaufał. Ktoś oprócz lokaja Harry'ego.

Zostawili za sobą światła mostu.

- Rzadko dobrze sypiam - wyznała Madeleine tak cicho, że trudno było stwierdzić, czy nie mówi do siebie.

Colin wolałby żarliwą deklarację wiary w jego niewinność. Ale przez to jedno zdanie pani Greenway powiedziała mu coś o sobie i drzwi do jej wnętrza uchyliły się o kolejny milimetr. Prawdę mówiąc, nie był pewien, czy chce je całkiem otworzyć, bo Bóg jeden wie, co się za nimi kryje i dlaczego ona nie może spać po nocach.

Przynajmniej wiedział teraz, że nie jest pozbawiona sumienia.

I że prawdopodobnie nie zdobędzie jej zaufania, dopóki sam jej nie zaufa.

- Proszę, to pani spluwa. - Oddał jej pistolet.

Zawahała się, nim wyciągnęła rękę. Zaraz jednak zobaczył w mroku jej olśniewający uśmiech i wzięła od niego pistolet.

- Dziękuję, że pan go przypilnował. Ironicznie uniósł rękę do kapelusza.

Za parę chwil skręcili w ulicę Świętego Tomasza i wkrótce zamajaczyły przed nimi pięknie kute żelazne bramy szpitala Edderly.

Colin nigdy nie był w tym szpitalu, ale znał wielu ludzi, którzy do niego trafiali. Jedni wracali do domów mniej więcej wyleczeni, ale inni już nigdy nie wyszli, bo tak właśnie działa medycyna.

Nie zdejmował fraka, bo był ciemny tak jak noc, a jemu zależało, żeby się nie rzucać w oczy. Zanim wysiadł z dorożki, podciągnął kołnierz pod brodę i głębiej nacisnął kapelusz na oczy.

Woźnica już zdążył podać rękę wysiadającej Madeleine.

Wydał im kilka szylingów w ramach reszty za srebrny guzik i na pożegnanie zwrócił się do Colina życzliwym, acz bardzo poważnym tonem.

- Powodzenia we... wszystkim... panie kolego.

Colina w pierwszej chwili zdziwił delikatny nacisk na słowo „wszystkim”, ale przypomniał sobie, że cierpi rzekomo na „męski problem”. Biedny dorożkarz pewnie myśli, że odrobinę przesadza, skoro z czymś takim przyjechał aż do szpitala.

No, ale jeśli ktoś ma do towarzystwa taką kobietę jak Madeleine Greenway, chęć szybkiego rozwiązania „męskiego problemu” może się wydawać w pełni uzasadniona.

- Dziękuję panu - odparł równie poważnie.

Dorożkarz zajął się już następnym klientem, który nawet nie spojrzał na Colina i Madeleine, a oni oboje zostali przed bramą, żeby czekać na doktora.

- Pozna go pani nawet po ciemku? - spytał Colin.

- Wysoki, przystojny, dobrze ubrany, laska ze złotą gałką, o ile dobrze pamiętam; wiecznie czymś zaabsorbowany, mała niemodna bródka - wyrecytowała cicho.

- Przystojny? - chciał wiedzieć. - Jak lokaj Harry czy raczej jak Colin Eversea?

- Nikt nie jest tak przystojny, jak Colin Eversea - odpowiedziała bez namysłu.
- Nawet on sam.

Colin skrył uśmiech zachwytu.

- A ta mała niemodna bródka? Taka jak moja?

- Pański zarost trudno jeszcze nazwać brodą.

- Aha! Widzę, że śledzi pani rozwój mojego zarostu.

- Ja obserwuję wyłącznie pana, panie Eversea.

Te słowa, wymruczane z wytrawną ironią, tak niebezpiecznie przypominały flirt, że Colinowi na chwilę zabrakło powietrza. Tak mówiła kobieta, która poślubiła mężczyznę z syreną na pistolecie.

Ujął ją pod rękę, trochę po to, żeby się z nią podroczyć, a trochę dlatego, że chciał udawać zwykłą parę małżeńską, dzięki czemu nie będą się rzucać w oczy.

Madeleine zeszywniała, a on opuścił głowę, żeby ukryć kolejny uśmiech, no i żeby zasłonić twarz przed ciekawskimi spojrzzeniami.

Szczęśliwie na dziedzińcu szpitala cały czas coś się działo - podjeżdżały powozy, ludzie wsiadali i wysiadali, dorożki stały, czekając na pasażerów - jednym słowem, mogli spokojnie udawać małżeńską parę, która czeka na kogoś z najbliższych.

O ile tylko nie będą musieli czekać zbyt długo.

- A jeśli doktor wcale nie wyjdzie? Może się z nim minęliśmy? - mruknął Colin.

- Na pewno nie. Doktor ma dzisiaj wykład, tak mi powiedział kamerdyner, a potem idzie do klubu i prawdopodobnie wróci do domu dość późno. Mężczyźni to niewolnicy przyzwyczajeni. - Zerknęła na Colina z ukosa. - Przynajmniej większość z nich.

Gdyby w tej chwili oboje nie wpatrywali się w bramę szpitala, pewnie by przegapili Augusta. Opis Madeleine pasował do niego jak ulał: wysoki, przystojny, bardzo czymś zaabsorbowany, mała bródka. Wyszedł za bramę i z nieobecny wyrazem twarzy naciągnął rękawiczki, przekładając z jednej ręki do drugiej laskę ze złotą gałką. Nawet nie spojrzął na dorożki, tylko zerknął w prawo i w lewo, a potem ruszył na południe ulicą Świętego Tomasza w takim tempie, że gdyby nie błysk złotej gałki, pewnie by go zgubili w ciemnościach.

- W tamtym rejonie nie ma żadnego klubu dla dżentelmenów - mruknął Colin.

- Kto jak kto, ale ja coś bym o tym wiedział.

Nie było innego wyjścia - pobiegli za nim.

Rozdział 11

Doktor August wyglądał na człowieka, któremu bardzo się spieszy. I szedł sam, co w Londynie, zwłaszcza po zmroku, nigdy nie było rozsądne.

Początkowo Colin myślał, że idzie w stronę London Bridge, którym wracało się do miasta; ale nie - trzymał się ulicy Świętego Tomasza. Minął szereg sklepów, o tej porze już zamkniętych, a potem podupadające gospody i karczmy, gdzie nocne życie dopiero nabierało tempa, wciśnięte między ściany szacownych niegdyś domostw, których właściciele jeden po drugim wyprowadzali się do bardziej ekskluzywnych dzielnic miasta.

Co kilka kroków oglądał się przez ramię - bardzo dyskretnie - wreszcie skreślił w lewo, w uliczkę, przy której były chyba wyłącznie nocne lokale.

Colin trzymał Madeleine pod rękę, próbując nadażyć za doktorem i jednocześnie omijając, o ile się dało, plamy światła rzucane tu i ówdzie przez lampy uliczne. Do Southwark nie dotarło jeszcze jasne światło latarni gazowych. Pod prowizorycznym bandażem z fulara piekły go kostki, a wszystkie kości domagały się odpoczynku po całym dniu spędzonym w ciągłym ruchu. Ale nie było mowy o tym, żeby zwolnić.

Skreślił za róg uliczki w samą porę, by zobaczyć, jak doktor znika na schodach prowadzących w dół, do drzwi gospody Pod Lwem. Tak głosił napis wymalowany na szyldzie dużymi, blaknącymi czerwonymi literami i oświetlony lampą, która wisiała na haku obok i ledwo rozpraszała panujące wokoło ciemności.

- Teraz ja mogę się na coś przydać - szepnęła Madeleine. - Znam to miejsce.

- A panią tam znają? Możemy tam wejść?

Zawahała się.

- Chyba lepiej poczekać.

Schowali się w cieniu wąskiego zaułka między ścianą gospody a sąsiednim domem, poza kręgiem światła latarni.

Przez kilka chwil było cicho. Potem na ulicy pojawili się inni przechodnie; od czasu do czasu z trzaskiem otwierały się drzwi którejś karczmy. Przejechało też kilka powozów, dość skromnych - w każdym razie żaden nie miał herbu na drzwiach - i dorożek.

Colin wsadził rękę do kieszeni i wyciągnął kilka monet, które dostali jako resztę od dorożkarza. Potrząsnął nimi, ciesząc ucho delikatnym pobrzękiwaniem metalu.

- Może po kufelku, gołąbeczko ty moja? - mruknął. Niestety kufelek był w tej chwili luksusem, na jaki nie mogli sobie pozwolić, i oboje o tym wiedzieli.

Roześmiała się cicho. Ach, ten śmiech. Jak muzyka.

- Oj tak, miałabym ochotę na kufelek.

- Widzę, że jest pani amatorką piwa? - Wyobraził sobie, jak Madeleine wychyla kufel pienistego napitku.

- Od czasu do czasu - powiedziała ze śmiechem. - Za to prawdziwym amatorem piwa był mój mąż. Co tydzień chodziliśmy Pod Czarnego Kota. A kilka razy byliśmy i tutaj, Pod Lwem. Kiedyś...

Co jest, do licha?! Już zaczynała mówić bardziej otwarcie i nagle przerwała.

Cóż, nie zamierzał naciskać. Sam zaczął mówić szeptem.

- W Pennyroyal też jest gospoda. Pod Świniakiem i Ostem. Sami warzą piwo, najlepsze na świecie. Mają ciemne i jasne. A to ciemne smakuje jak... och, pani Greenway, musi go pani kiedyś spróbować. Jest w nim aromat torfu i nocy, i wszystko, co najlepsze, z naszych łąk. Nawet nieboszczyk, gdyby się go napił, chybaby wstał i zaczął śpiewać. Mógłbym je jeść łyżką zamiast obiadu. Ale Louisa po piwie kicha.

Madeleine znowu się roześmiała, na szczęście w porę zatkała sobie usta pięścią.

- Za to ponczem nie pogardzi - ciągnął Colin. - Właśnie dzięki temu udało mi się jej skraść pierwszego całusa. Była Gwiazdka i trochę za dużo wypła. Między nami mówiąc, ja wlewałem w nią kolejne kieliszki, ale nie protestowała. Nawet prosiła o więcej. A potem...

Teraz on urwał w pół zdania.

Bo to wszystko wydawało mu się takie odległe. Jakby z innej planety. Doskonale pamiętał tamtą chwilę: Louisa miała zaróżowione policzki, a jej wargi były takie miękkie. Sam pocałunek okazał się bardzo niewinny.

Nerwowo wsunął pieniądze z powrotem do kieszeni, jakby to one przywołały wspomnienie, którego jasny blask mógł zdradzić ich kryjówkę.

Chwilę później zobaczyli, że doktor August wychodzi z gospody. Był w niej tak krótko, że na pewno nie zdążył się nawet napić. Colin chwycił Madeleine w ramiona, wcisnął jej twarz w klapę swojego fraka i całym ciałem przyparł ją do muru. Gdyby nawet ktoś ich zauważył, pomyślałby, że to jakaś para ogarnięta miłosnym zapalem albo że właśnie dokonuje się standardowa transakcja wymiany czułości na pieniądze. Tak czy inaczej żaden dżentelmen nie będzie się zbytnio przyglądał; nie wspominając o tym, iż miał cudowny pretekst, by znowu poczuć w ramionach smukłe ciało Madeleine Greenway, obecnie zeszywniałe z oburzenia.

Oczekali, aż kroki doktora ucichną.

Wtedy Colin ją puścił - czy raczej odsunął od siebie na długość ramienia - a ona wbiła w niego rozszerzone spojrzenie. Wyglądała jak mała, potargana sowa z wybaluszonymi oczami. Nie był w stanie powstrzymać uśmiechu.

Już mieli ruszać za doktorem, gdy usłyszeli inne kroki.

Colin czym prędzej z powrotem chwycił Madeleine w objęcia. Przedtem jednak zdołał rzucić okiem na mężczyznę, który wyszedł z karczmy. Zupełnie nie ta sama klasa co pan doktor. Zwalista sylwetka, nalana twarz, przyciasne ubranie.

- Panie doktorze. - W jego wymowie pobrzmiwał wyraźny akcent z nadrzecznej dzielnicy.

Doktor przystanął. I usłyszeli, że zawraca w stronę gospody.

- Jak za cztery duże i dwa małe to całkiem przyzwoita cena - powiedział cicho zwalisty mężczyzna. Zabrzmiało to jednocześnie jak wyrzut i zachęta. - Może się pan jeszcze zastanowisz.

- Przykro mi, Hull, ale małych w Londynie nie brakuje - szorstko odparł doktor. Mówił równie cicho jak tamten. - Już o tym rozmawialiśmy. Nie chcę żadnych małych. Za tę cenę umówiliśmy się na sześć dużych. Albo bierzesz to, co ci dają za cztery duże, albo szukasz sobie innego kupca. Nie ma o czym dyskutować.

Cisza.

Colin czuł, że Madeleine całkiem znieruchomiała w jego objęciach. Była czymś zbulwersowana albo przerażona.

- To co ja teraz zrobię z tymi małymi? - jęknął grubas.

- To nie mój problem - rzucił doktor August i ruszył z powrotem w stronę szpitala.

- Panie kolego! - zawołał tamten głośniej.

Doktor zatrzymał się. Usłyszeli, jak się obraca, ale stał w miejscu.

- Panie doktorze - poprawił się Hull, być może z powodu groźnej miny medyka. - Niech będzie - znowu zniżył głos. - Dobijemy targu.

Colin wyjrzał znad czubka głowy Madeleine. Doktor zrobił kilka kroków do przodu i podał rękę kanciastemu mężczyźnie. Ale to nie był uścisk dłoni dżentelmenów dobijających interesu. Kiedy zwalisty cofał rękę, zaszeleściły w niej banknoty.

- Przywieź ich dziś w nocy, jak zwykle - mruknął doktor. - Będę czekał.

Ruszył w stronę szpitala, a tamten odszedł w przeciwnym kierunku. Wkrótce zniknął w ciemnościach. Sylwetka doktora malała coraz bardziej, to oświetlona, to znów niewidoczna w mroku, kiedy wychodził poza krąg światła latarni.

- O co chodzi? - szepnął Colin do ucha Madeleine. Chciał wiedzieć, czemu tak nagle zeszywniała.

- Duże... małe... Panie Eversea, wydaje mi się... - Przełknęła, żeby uspokoić drżący głos. - On chyba mówił o zwłokach.

Colin zmarszczył brwi.

- Nasz doktorek rozmawiał z hieną cmentarną?

- Tak - potwierdziła. - Duże i małe to dorośli i dzieci. Zwłoki dorosłych i dzieci.

W Londynie wszystko było na sprzedaż. Nawet ciała. Hieny cmentarne - rabusie grobów - wykopywali świeże zwłoki i sprzedawali lekarzom chcącym przeprowadzić sekcję.

Wyglądało na to, że doktor August jest jednym z takich lekarzy.

No, no. To był sekret takiego samego kalibru jak romans hrabiny z lokajem - o ile nie większego.

Kiedy doktor oddalił się na dwanaście kroków i dwie latarnie - Colin je liczył - zyskał dwa cienie w postaci pięknej najemniczki i uciekiniera spod szubienicy.

Idąc za nim, dotarli do tylnej bramy szpitala, przed którą znajdował się rozległy dziedziniec, a wokół niego solidne ogrodzenie z kutego żelaza.

Z nieprzyjemnie sterczącymi ostrymi kolcami na czubku.

Byli jakieś cztery, pięć metrów od doktora, kiedy dobiegł ich charakterystyczny szczęk odwodzonego kurka w pistolecie.

- Dość tego - głos doktora lekko drżał, ale raczej ze złości niż ze strachu. - Nic więcej ode mnie nie dostaniecie. A jeśli nie znikniecie, zanim doliczę do trzech, będę strzelał bez żadnych skrępowań. Raz...

- Panie doktorze - powiedziała cicho Madeleine.

August przestał liczyć. Milczał chwilę, zapewne zdumiony, że usłyszał kobiecy głos.

- Proszę się pokazać - rzekł wreszcie.

- Panie doktorze, nazywam się Madeleine Greenway. Znamy się. Może pan pamiętać... epidemia ospy? Pięć lat temu?

Doktor nie opuścił pistoletu, ale kiedy znów się odezwał, mówił już znacznie spokojniej. Choć nie do końca przyjaznym tonem.

- Pamiętam panią, pani Greenway. Czego pani ode mnie chce? Dlaczego mnie pani śledziła?

Zawahała się.

- Nie jestem sama.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł szorstko. - Czego pani i pani towarzyszy możecie ode mnie chcieć? Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia w szpitalu.

- Chcielibyśmy, żeby pan nam poświęcił parę minut. Mamy kilka pytań. Nie chcemy panu zrobić nic złego. - Madeleine mówiła bardzo spokojnie.

- Zapytam po raz kolejny: co to za „my”, do diaska?

Doktor August najwyraźniej nie był człowiekiem cierpliwym. Colin wziął głęboki oddech i zanim wszedł w krąg światła latarni, wolno uniósł rondo kapelusza - uznał, iż nie powinien wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, żeby doktorowi przypadkiem nie drgnął palec na cynglu.

Medyk przyjrzał mu się, a potem zmarszczył brwi. Chyba ze zdziwienia.

Na jego twarz wypłynął uśmiech, do którego Colin już zaczynał się przyzwyczajać. Ale w uśmiechu doktora, oprócz podziwu, była też domieszka cynizmu.

- Mój Boże, toż to pan Colin Eversea. Cały Londyn pana szuka.

Colin się uklonił - te jego przekłete dobre maniery! - chociaż wiedział, że nie powinien spuszczać z doktora wzroku.

August nie odwzajemnił ukłonu. Nadal mierzył do nich z pistoletu. Madeleine na razie miała swój w kieszeni.

- Czy my się znamy, panie doktorze? - spytał Colin.

- Oficjalnie nie, panie Eversea. Ale wykupiłem bilet do sądu na pański proces. I widziałem pana na szafocie z okna domu na Old Bailey. Oczywiście tylko przez

moment, bo potem rozpętało się piekło. No i, rzecz jasna, w gazetach pojawiały się owe nadzwyczaj interesujące ryciny.

- Rzecz jasna - przyznał Colin.

- Niezwykły wyczyn ta pana ucieczka - zauważył doktor.

- Zgadzam się w zupełności, panie doktorze.

- Choć muszę powiedzieć, że nie mam pojęcia, w jaki sposób... - urwał i zwrócił się do Madeleine. - Pani Greenway, widzę, że obraca się pani w zupełnie innym towarzystwie, niż kiedy widzieliśmy się ostatnio.

- Tak - powiedziała tylko.

Jedno jedyne słowo, a jakże wymowne.

- Jak się pani miewa? - zapytał doktor tonem nieco łagodniejszym, lecz niepozbanionym śladu groźby.

- Dziękuję, dobrze - odparła.

To była jak najbardziej stosowna odpowiedź, ale Colin omal nie wybuchnął śmiechem.

- Cieszę się - rzucił szorstko doktor. - Ale...

- Panie doktorze, wybaczy pan, że przerywam, ale czy możemy zamienić z panem słówko? To bardzo pilne.

Doktor zawahał się.

- Jak już mówiłem, ja też mam coś pilnego do załatwienia. Czego ode mnie chcecie? Jest pan ranny, panie Eversea? Nie mam pojęcia, co innego mogłoby was tutaj sprowadzić. A gdyby przyszło wam do głowy wziąć mnie siłą, to będę miał szansę zostać prawdziwym bohaterem. Zacznę wykrzykiwać pana nazwisko i ściągnę tu jakiegoś żołnierza albo strażnika.

Ulica, na której stali, nie była zanadto uczęszczana, ale gdyby doktor rzeczywiście zaczął krzyczeć, Madeleine i Colin mogliby mieć spore problemy.

- Cztery duże i dwa małe, panie doktorze? - powiedziała Madeleine.

Efekt tych słów był natychmiastowy. Doktor odrzucił głowę do tyłu, zupełnie jakby dostał w twarz.

- Czego ode mnie chcecie? - wychrypiał. - Przecież nie wiecie, o co chodzi. Niemożliwe, żebyście wiedzieli.

Colin uznał, że czas załagodzić sytuację za pomocą nieskazitelnych manier i arystokratycznego tonu. Odezwał się łagodnie i rzeczowo:

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, doktorze. Przysięgam, że nie chcemy pana szantażować, wyłudzać pieniędzy ani w żaden sposób skrzywdzić. Wczoraj ktoś próbował zabić panią Greenway, ktoś też chciał się upewnić, że ja zawisnę za zbrodnię, której nie popełniłem, i wydaje nam się, że pan może nam pomóc poznać prawdę. Więcej nie mogę powiedzieć, dopóki nie zgodzi się pan porozmawiać z nami na osobności.

Doktor zerknął przez ramię na dziedziniec za żelaznymi prętami ogrodzenia. Ani żywej duszy.

- A jeżeli odmówię?

Zamiast odpowiedzi, Madeleine odbezpieczyła pistolet.

Ten dźwięk - zgrzyt i stuk zamka, który zmieniał bezużyteczny kawałek metalu w zabójczą broń - przenikał człowieka do szpiku kości.

Doktor nie pozostał na niego obojętny. Wprawdzie nie opuścił swojego pistoletu, ale głośno przełknął ślinę. Zerknął na lufę pistoletu Madeleine, a potem na jej twarz, ledwo widoczną w świetle latarni, i zobaczył na niej tylko chłodną pewność siebie.

Westchnął ciężko.

- Możemy porozmawiać w moim gabinecie.

Minęli bramę i dziedziniec i weszli tylnym wejściem do budynku szpitala. Doktor August poprowadził ich korytarzem do małego gabinetu, a kiedy znaleźli się w środku, zamknął drzwi na klucz.

Ani on, ani Madeleine nie opuścili pistoletów.

Colin znowu miał okazję obserwować, jak Madeleine jednym spojrzeniem ogarnia całe pomieszczenie, lokalizując możliwe drogi ucieczki i zapamiętując szczegóły: stół pośrodku, półki pełne słoików o niezidentyfikowanej zawartości, zasłonięte żaluzjami okno w ścianie naprzeciwko drzwi. Podeszła do niego. Otwierało się na zewnątrz, na boczną uliczkę, i kiedy je uchyliła, do środka wpadł podmuch wiatru niosący zapach znad rzeki. Zamknęła okno, ale zostawiła uchylone żaluzje. Przez szpary wpadało mdłe światło latarni.

Colin stał pod drzwiami po jednej stronie stołu, a doktor naprzeciwko, z pistoletem wycelowanym tak, że gdyby wypalił, zastrzeliłby go na miejscu. Madeleine nie spuszczała lufy z doktora.

- Zakładam, panie doktorze, że podobnie jak wszyscy w tym mieście zna pan moją historię. Mówiąc w skrócie, uważam, że ktoś zapłacił Horacemu Peele'owi za zniknięcie w noc po moim aresztowaniu, dzięki czemu zostałem skazany. Ten, kto przekupił Horacego, później zapłacił pani Greenway za zorganizowanie mojego uwolnienia, po czym próbował ją zabić. A cała sprawa, o ile nasze przypuszczenia są słuszne, opiera się na szantażu.

Słowo „szantaż” wywarło dziwnie paraliżujący wpływ na doktora. Jakby kompletnie zaniemówił.

- Nasz wspólny znajomy powiedział mi coś, co sugeruje, że pan też jest szantażowany - dodał Colin.

Doktor jeszcze przez dłuższą chwilę nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Odwrócił się powoli do Madeleine, która niedbale opierała się o ścianę i celowała w niego.

- Przyznaję, pani Greenway, że jestem ogromnie zaskoczony - rzekł wreszcie.
- Pani mąż... Przecież miała pani sklep. Pochodzi pani z dobrej rodziny. Kiedy straciła pani męża i dziecko...

Madeleine Greenway straciła nie tylko męża, ale i dziecko? Colin wpatrywał się w nią oszołomiony, zastanawiając się, jak się czuje teraz, kiedy jej sekret ujrzał światło dzienne.

- Straciłam sklep - przerwała szorstko doktorowi - bo byłam zbyt chora, żeby się nim zajmować. Ale to w tej chwili nieważne. Chcemy wiedzieć, czy ktoś pana szantażował z jakiegokolwiek powodu. I chyba nie muszę podkreślać, jakie to dla nas ważne.

Colin nie mógł oderwać od niej wzroku. Jak, u licha, z wdowy stała się najemniczką?

- Czemu przyszliście właśnie do mnie? - spytał doktor. - Wspominaliście o jakichś wspólnych znajomych.

Colin wreszcie oderwał spojrzenie od Madeleine i zwrócił się do doktora.

- Marble Mile - powiedział cicho. - Harry.

Doktor August w milczeniu przeanalizował te informacje i wyciągnął poprawne wnioski.

- O Boże - głos miał schrypnięty z emocji. - A więc stało się. Ich też ktoś szantażował? Harry'ego i Eleanor? Obawiałem się, że do tego dojdzie, ale... powiedzcie!

- Owszem, ktoś użył szantażu, żeby wykorzystać Harry'ego jako posłańca.

Doktor westchnął i pokręcił głową.

- Nie chciałem, żeby do tego doszło. Nie chciałem ich zdradzić. Ale szantaż jest skuteczną bronią właśnie dlatego, że stawka jest wysoka i szantażysta dobrze o tym wie. Nie miałem wyboru, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Skoro już wiecie, że mam pewien sekret, mogę wyznać prawdę: tak, szantażowano mnie. Sam jestem sobie winien, a wszystko zaczęło się od tego, że desperacko chciałem zdobyć pana Pallatine'a.

Powiedział to z takim żarem w głosie, że Madeleine i Colin starali się nie patrzeć sobie w oczy. Oboje myśleli o tym samym: czy przypadkiem nie mają tu do czynienia z trójkątem miłosnym zgoła innego rodzaju.

Jeśli doktor zauważył ich zażenowanie, nie dał tego po sobie poznać.

Nadal pewnie trzymając pistolet i nie spuszczać wzroku z Madeleine i Colina, pstryknął zapalniczką, zapalił świeczkę, a potem przykrył ją szklanym klosikiem. Płomień oświetlił część gabinetu, ale nie był na tyle jasny, żeby ktoś z zewnątrz mógł zauważyć, że doktor jest u siebie. Dla pewności Madeleine podeszła do okna i zasunęła żaluzje.

Colin rozejrzał się po pokoju. Na półkach stały równe rzędy szklanych butelek i słoiki pełne jakichś sproszkowanych substancji, obok leżały starannie poskładane kawałki bawełnianej gazy, a w cieniu majaczyły różne lekarskie sprzęty i...

Chryste Panie! W kącie był duch!

Na granicy światła i mroku zamajaczyła unosząca się w powietrzu bezkształtna biała plama. Colina przeszedł dreszcz.

Doktor August natomiast pewnym krokiem zbliżył się do ducha i zaczął go ciągnąć.

Ach, więc to nie duch. To prześcieradło. Zakrywało coś, co górowało nad doktorem i Colinem, sięgając prawie do sufitu.

Jeszcze kilka pociągnięć i prześcieradło spłynęło na podłogę. Ale to, co wyłoniło się spod niego, wcale nie było lepsze od ducha:

Był to olbrzymich rozmiarów kompletny ludzki szkielet.

- Pan Pallatine - oznajmił doktor zrezygnowanym tonem.

Rozdział 12

Pan Pallatine był brązowawy i lekko się błyszczał. Palcami stóp prawie dotykał ziemi, a głowę miał spuszczoną na piersi, tak że podbródkiem niemal dotykał mostka. Innymi słowy, zwyczajny ludzki szkielet, tylko bardzo, bardzo wysoki.

- Tak chciałem go zdobyć - wyznał doktor, patrząc na kościotrupa wzrokiem, jakim inni oglądają *Mona Lisę*. Spojrzał na nich dwoje i uśmiechnął się z przekąsem. - Uważacie mnie pewnie za nekrofila.

Ponieważ Colin nie mógł zaprzeczyć, przynajmniej dopóki nie dowie się czegoś więcej, nic nie odpowiedział.

Doktor westchnął.

- Pozwólcie państwo, że wytłumaczę. Jako lekarz i wykładowca medycyny jestem zobowiązany posuwać do przodu stan wiedzy medycznej, a żeby to zrobić, potrzebuję ciał do sekcji, najlepiej ciał osób, które zmarły na jakieś interesujące choroby.

Ech, ci lekarze. Colin pokręcił głową. Tylko oni mogą twierdzić, że choroby są „interesujące”.

- Na przykład wątpię, żebym w pańskim ciele znalazł coś interesującego, panie Eversea. Owszem, przystojny z pana mężczyzna, ale nie widzę w panu nic wyjątkowego i wygląda mi pan na całkiem zdrowego. Nadałby się pan do studiów ogólnych, ale raczej niczego by pan nie wniósł do rozwoju nauki. Bez obrazy.

- Nie czuję się urażony, doktorze. - Colin sam się sobie dziwił, że mówi tak spokojnie.

- Oczywiście i tak chętnie bym pana przyjął. - Na twarzy doktora pojawił się cień uśmiechu. Wisielczy humor w najczystszej postaci, jako że jedynymi ciałami,

na jakich chirurdzy mogli legalnie dokonywać sekcji, były zwłoki straconych przestępców, o ile nie upomniała się o nie rodzina.

A w Londynie znacznie więcej osób studiowało medycynę, niż ginęło na szafocie.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt. - Colin odwzajemnił uśmiech. - Jestem świadomy, że moje ciało mogłoby trafić w gorsze ręce.

Nadal może, pomyślał, lecz nie powiedział tego głośno.

- Ale Jonasz Pallatine... jego pożądaliby wszyscy - ciągnął tęsknym głosem doktor. - Każdy lekarz w tym kraju chciał go dostać w swoje ręce.

- Jonasz Pallatine? - nazwisko brzmiało dziwnie znajomo. - Jonasz Olbrzym? Ten, co jeździł z cyrkiem?

- Ten sam - potwierdził doktor. - Pan Pallatine mierzył sporo ponad dwa metry, jak sami państwo widzicie. Zmarło mu się w zeszłym roku. Cudowny wybryk natury i bardzo miły człowiek, ale jakoś nie chciał się przysłużyć dla dobra nauki.

Dobro nauki, jak podejrzewał Colin, polegało na tym, że człowiek godził się na to, by po śmierci lekarze szperali w jego szczątkach.

- Widział go pan za życia? - spytał doktor August.

- Owszem, widziałem. Przyjechał z cyrkiem do Pennyroyal Green, kiedy byłem mały. Bardzo miło się ze mną przywitał, a potem całymi tygodniami śniło mi się, że moi bracia zamienili się w olbrzymy i chcą mnie zjeść. Zabawne, bo to w końcu ja wyrosłem na najwyższego z nich wszystkich.

Przyjemnie było zobaczyć, jak Madeleine Greenway patrzy na niego z niedowierzaniem. Sam nie wiedział, czemu zażartował w raczej ponurej sytuacji. Po prostu tak wyszło.

Doktor August był ewidentnie zwolennikiem faktów, nie fanaberii - trochę jak Marcus - a Colin uwielbiał się droczyć z takimi ludźmi. Tyle że doktor w tej chwili

wyraźnie nie miał nastroju do żartów. Posłał mu lekko zdezorientowane spojrzenie i mówił dalej:

- No cóż, jestem chirurgiem i wykładam dla studentów tu, w szpitalu. Ciężko pracowałem, żeby sobie wyrobić renomę eksperta.

- Ciekawe, że w ustach doktora zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, a nie jak przechwałka. - Ale pozycja specjalisty wymaga ciągłej pracy i postępu. Pewnie słyszeliście państwo, że usunąłem hrabiemu Lyndonowi guz mózgu?

Colin i Madeleine zgodnie pokiwali głowami.

- Mój ojciec był wioskowym lekarzem w Marble Mile, a ja wyjechałem studiować medycynę do Edynburga. Częścią mojej pracy jako lekarza jest poszerzanie wiedzy medycznej i przekazywanie jej innym. Pana Pallatine'a poznałem dzięki jego podróżom, w cyrku można spotkać najrozmaitsze ciekawe indywidua, i dowiedziałem się, że zawsze miał słabe serce. Przypuszczałem, że te dolegliwości wiązały się z jego ponadprzeciętnym wzrostem, bo słyszałem wcześniej o podobnych przypadkach. Bardzo chciałem zbadać jego serce, chyba rozumiecie. Miałem wręcz obsesję na tym punkcie. Kiedy serce zaczęło mu dolegać poważniej i stało się jasne, że już niedługo pożyje, najwyżej parę tygodni, zacząłem obserwować go uważniej. Za wszelką cenę chciałem go dostać jako pierwszy. A pan Pallatine... cóż, nie bardzo mu się to podobało.

Colin wyobraził sobie tego sympatycznego wielkoluda otoczonego stadem naukowców, którzy krążyli wokół niego jak sępy, żeby się rzucić na jego szczątki.

Podejrzewał, że jemu też by się to nie podobało.

- Pan Pallatine był nadmiernie przywiązany do swojego ciała - ciągnął doktor.
- A przecież na co nam ono, kiedy już zejdziemy z tego padołu łez? Może natychmiast się przyczynić do uratowania życia wielu ludziom.

- Wydaje mi się, że nie wszyscy patrzą na to z tak praktycznego punktu widzenia - wtrąciła Madeleine.

To, co powiedziała, samo w sobie nie było naganą, ale Colin znał ją na tyle długo - całe półtora dnia - że rozpoznał ten charakterystyczny ton w jej głosie. Odwrócił wzrok od doktora, żeby na nią spojrzeć. W ciemności jej twarz wydawała unosić się w powietrzu, jakby pozbawiona ciała. Była bardzo blada, bez jednej kropli krwi. Dziwne, że wystarczył dwupółmetrowy kościotrup, by wytrącić z równowagi kogoś tak opanowanego jak Madeleine Greenway. Może nawiedziły ją jakieś przykre wspomnienia z przeszłości.

- Grabarze w końcu zaczęliby protestować, gdyby wszyscy chcieli oddać swoje doczesne szczątki medykom - zauważył Colin.

Doktor August docenił żart, unosząc jedną brew.

- Cóż, może okazywałem za dużo zapału... Pan Pallatine zaczął mi utrudniać dostęp do swojego domu - wspominał z żalem. - W końcu w ogóle zakazał mnie wpuszczać. Musiałem przekupić jedną ze służących, która informowała mnie o jego stanie zdrowia. Kiedy wreszcie zmarł... zawiadomiła mnie o tym. Zdobyłem ciało. A że służącej pewnie brakowało pieniędzy, które wcześniej dostawała ode mnie za informacje o swoim panu, powiedziała mi o rabusiach grobów. Zdaje się, że jej mąż się tym trudni. I całkiem nieźle zarabia na sprzedaży zwłok.

- Ech, ci służący - westchnął Colin. - Trzeba na nich uważać. - Nadal nie był przekonany, czy dobry pan doktor jest całkiem zdrowy na umyśle.

- Proszę pamiętać, że to była moja obsesja - przypomniał im August. - Zasadniczo brzydzę się hienami cmentarnymi. To wyrzutki społeczne, kompletne dno, a nasze społeczeństwo i bez tego, jak pewnie miał się pan okazję przekonać w ostatnich tygodniach, panie Eversea, liczy sobie wiele godnych pogardy warstw. Rozumiem przerażenie, jakie ogarnia ludzi na myśl, że wieczny odpoczynek ich najbliższych może zostać zakłócony przez rabusia z łopata. Ale jak... - w uniesieniu podniósł głos, zaraz jednak urwał, westchnął i potarł oczy. - Jak, na Boga, chirurg może podnosić swoje umiejętności, poszerzać wiedzę, ratować ludzkie życie, jeśli

studenci w szpitalach nie mają na czym ćwiczyć? Pomyślcie tylko, ilu cierpieniom można byłoby zaradzić albo zapobiec...

Spojrzał na Madeleine. Nie było w tym spojrzeniu żalu ani współczucia. Raczej wspomnienie tego, co wydarzyło się przed pięcioma laty, i prośba o zrozumienie.

Madeleine nie skinęła głową, nie uniosła brwi, nie westchnęła. Czekwała.

- Gdyby ktoś z waszych najbliższych musiał być operowany - podjął doktor - nie wolelibyście, żeby zrobił to lekarz, który miał doświadczenie w krojeniu ludzkiego ciała, a nie kukły z masy papierowej? Bo niektórzy z naszych studentów do tego właśnie są zmuszeni. Mamy za mało ciał, a prawo zabrania nam zdobywać je legalnie. Niech mnie Bóg broni, żebym naraził kogoś na śmierć tylko dlatego, że brakuje mi doświadczenia i umiejętności. Musicie sobie to uświadomić, zanim mnie potępicie za kupowanie zwłok. Prawda jest taka, że hieny cmentarne istnieją, bo jest na nie zapotrzebowanie.

- Nie przyszliśmy tu po to, żeby pana potępić, doktorze - powiedziała cicho Madeleine. - Chcemy tylko uzyskać odpowiedzi.

- Czy wiedział o panu ktoś oprócz tej służącej? - zapytał Colin.

- Tylko ta służąca, Mary Poe, i jeszcze pewien... dżentelmen - doktor wypowiedział to słowo z ironią - z którym dobijam interesu, kiedy kupuję ciała. Nazywa się Critchley.

- Jak do tego doszło, doktorze? W którym momencie zaczęto pana szantażować?

- Pewnego wieczoru siedziałem tutaj, w moim gabinecie, a on po prostu pojawił się w drzwiach. Niewysoki, krępy. Przerzedzone włosy, okulary. Prawdę mówiąc, wyglądał tak zwyczajnie, że nie wierzyłem własnym uszom, kiedy powiedział... to, co powiedział. Aż się roześmiałem, chyba z zaskoczenia. Kazałem mu powtórzyć. I... to już nie było zabawne. Powiedział, bardzo rzeczowym tonem, że wie wszystko o moich interesach z rabusiami grobów. I że gdyby te informacje

wyszły na jaw, moja reputacja, moja rodzina, moje życie, wszystko ległoby w gruzach.

- Właśnie dzięki temu szantaż jest taki skuteczny - zauważył Colin.

- Dokładnie tak, panie Eversea - potwierdził doktor. - Gdy w zamian za milczenie ten człowiek zaproponował mi zapłacenie pewnej sumy i podał astronomiczną kwotę, powiedziałem, że nie mam tyle pieniędzy. Wtedy zasugerował, żebym mu zdradził jakiś sekret. Stwierdził, że skoro leczyłem królów i hrabiów, muszę znać jakąś tajemnicę wartą sporo pieniędzy. Cóż, akurat znałem pewien sekret, który mu mogłem zdradzić. Nigdy bym nie wyjawiał żadnej tajemnicy królów i hrabiów, a zapewniam, że znam i takie. Ale skoro rozmawialiście z Eleanor, to już wiecie, co mu powiedziałem. Może cygaro, panie Eversea?

Colin nawet nie mrugnął na tę nagłą zmianę tematu, chociaż aż się w nim gotowało.

- Dziękuję - rzekł. - Z przyjemnością zapalę.

- Pani Greenway, cygara są w tym pudełku za panią, jeśli można prosić.

Zaproponowałbym pani brandy, ale nie napełniłem karafki. Widzę, że jest pusta.

- Nic nie szkodzi, doktorze, nie mam ochoty ani na brandy, ani na cygaro. -

Otworzyła pudełko, wyjęła z niego dwa cygara i przycięła je. Doktor uniósł klosz lampy i obaj odpalili cygara od płomienia świecy.

Przez chwilę w milczeniu delektowali się aromatycznym dymem.

- Zwrócił pan może uwagę, doktorze, na guziki kamizelki tego dżentelmena? - spytał Colin.

Doktor znieruchomiał.

- Słucham, panie Eversea?

Colin poczuł rozbawienie na myśl, że ze wszystkich tematów, jakie poruszyli w ciągu ostatnich paru minut, akurat ten wstrząsnął doktorem.

- Rzeczywiście, miał na sobie kamizelkę z pięknymi guzikami z masy perłowej. - Doktor August spojrział na pana Pallatine'a, który błyszczał w swoim

kącie, choć niezupełnie perłowym blaskiem. - Zastanawiałem się nawet, dlaczego ktoś, kogo stać na taką kamizelkę, ucieka się do szantażu. Zwróciłem uwagę na guziki, bo odbijały światło.

- Zauważył pan jakieś inne charakterystyczne cechy?

- Poza tym, co już powiedziałem? Nie, panie Eversea. Może tylko to, że sprawiał wrażenie... poirytowanego. Jakby robił to niechętnie.

Colin zaciągnął się cygarem, jakby chwytał w płuca czysty tlen. To był smak jego dawnego życia: powroty z klubów nad ranem, noce w domach publicznych, spokojne wieczory w Pennyroyal Green, kiedy siedział z braćmi w jednym pokoju, a kobiety plotkowały w sąsiednim.

- Doskonale cygaro - powiedział. Doktor skinął głową, dziękując za uznanie.

- Pozwalam sobie na ten luksus.

Przez chwilę palili w milczeniu. Cygara wymierzone w sufit, pistolety wymierzone w Colina i doktora Augusta.

- Wie pan, że podobno wart jest stu funtów nagrody, panie Eversea? Jeszcze nie podali tego w gazetach, więc na razie to tylko plotki. Powiedziała mi o tym jedna pielęgniarka, która z kolei usłyszała to od kogoś na ulicy. Sto funtów... - Doktor pokręcił głową.

- Sto funtów? Moi dłużnicy na pewno się ucieszą. Doktor uśmiechnął się pod nosem.

- Za sto funtów kupiłbym mnóstwo ciał.

Colin, który na ogół miał celną ripostę w każdej sytuacji, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie wierzę, że zabił pan Rolanda Tarbella, panie Eversea - rzekł doktor takim tonem, jakby stawiał diagnozę.

- Nie? - Colinowi serce zaczęło mocniej bić, ale jego „nie?” było arcydziełem nonszalancji.

- Nie wygląda pan na obłąkanego, a proszę mi wierzyć, miałem w życiu do czynienia z niejednym szaleńcem. Ten łańcuch szantażu jest wielce interesujący, rzekłbym nawet: szatańsko sprytny. Pański proces trwał śmiesznie krótko. No i przecież, gdyby był pan winny, po co tkwiłby pan w Londynie?

- Bo żołnierze kontrolują wszystkie drogi wyjazdowe. - Colin uznał, że kiedy widzi wycelowaną w siebie broń, robi się wyjątkowo elokwentny.

- Sto funtów. - Doktor uśmiechnął się z cygarem w zębach i zaciągnął, aż rozżarzony czubek błysnął wściekłą czerwienią.

Colin czuł, że puls mu przyśpiesza, i nagle zaczął dostrzegać wokół siebie najdrobniejsze detale. Widział, jak palec Madeleine drży na cynglu. Ciekawe, czy zdołałby wyrwać pistolet doktorowi? Może kopnąć go w krocze i równocześnie złapać za nadgarstek?

Wypuścił dym, który zamajaczył nad jego głową niby duch, by po chwili rozwiać się bez śladu. Boski smak. Fakt, że to mogło być ostatnie cygaro w jego życiu, tylko dodawał pikanterii całej sytuacji.

- Doniesie pan na mnie władzom, doktorze? - zapytał z wystudiowaną obojętnością. - Nie zdoła pan nas zatrzymać.

Groźba zawisła w powietrzu, jak przed chwilą dym z cygara.

Znowu zapadło milczenie. Można by je określić jako swobodne, gdyby nie to, że dwie z trzech osób obecnych w pomieszczeniu trzymały odbezpieczoną broń.

Doktor zerknął na pana Pallatine'a, jakby szukał u niego rady.

Wreszcie zaśmiał się krótko. Colinowi nie spodobał się ten śmiech.

- Ten człowiek zmusił mnie do zdradzenia przyjaciół, panie Eversea. A informację, której mu udzieliłem, wykorzystano do tego, by uratować panu skórę. Ale ja zrobiłem to po to, żeby ratować własną skórę. A może również życie setek, jeśli nie tysięcy ludzi, bo do tego dążę jako lekarz. Możemy się spierać, czy moje życie jest więcej warte od pańskiego, lecz w tej chwili tylko pańskie ma konkretną cenę.

Doktor odchylił się do tyłu. Jego pistolet był zwyczajny: mosiądz i polerowany orzech. Żadnych syren.

- Gdyby pan został złapany i zdradził mój sekret, żałowałbym, że nie zastrzeliłem pana tu i teraz. Jako zwolennikowi logicznego myślenia trudno mi nie brać pod uwagę takiego rozwiązania. Mógłbym to zrobić, bo wiem, że chociaż pani Greenway zaskakująco swobodnie posługuje się bronią, na pewno do mnie nie strzeli.

Ostatnie słowa powiedział łagodnym, niemal przeprasającym tonem, jakby ujawniał kolejny sekret. Zerknął na Madeleine, która patrzyła na niego z kamiennym wyrazem twarzy. Jej jedyną odpowiedzią był lekko uniesiony podbródek.

- Mam sposoby na pozbycie się ciała, panie Eversea. - Gest w stronę pana Pallatine'a. - Sąd miałby więc tylko słowo pani Greenway przeciwko mojemu.

- Biorąc pod uwagę treść naszej dzisiejszej rozmowy, doktorze, nie jestem zaskoczony - odparł Colin w kolejnym przypiływie elokwencji.

Zaczął gorączkowo planować: jest szybki, ale czy zdoła się uchylić przed kulą wystrzeloną z tak bliska?

Gdy doktor August pochylił się i przystawił mu lufę do piersi, krew zaszumiała mu w uszach, wprawiana w ruch przez szaleńczo bijące serce. Pomyślał, że doktor zna wszystkie reakcje ludzkiego ciała na strach, musi więc wiedzieć, co się z nim w tej chwili dzieje. Mimo że na zewnątrz był wcieleniem obojętności.

- Może pan wierzyć lub nie, panie Eversea - ciągnął medyk - ale nie mówię tego, żeby pana przestraszyć, tylko po to, by pan wiedział, że rozumiem, o co toczy się gra. Znam swoje możliwości i wiem, jakie mogą być konsekwencje.

- Zapewniam pana, że ja też, doktorze. August skinął głową.

- Nie wątpię, panie Eversea, ale sprawa wygląda tak: nie podoba mi się to, jak ktoś z nami pogrywa, nie wierzę, że zabił pan Rolanda Tarbella, i nie potrzebuję więcej pieniędzy. Mam swoją pracę, mam dom, rodzinę. Wydaje mi się, że z nas dwóch to pan ma silniejszą motywację, aby znaleźć sprawcę tego bałaganu.

Zabezpieczył pistolet i wręczył go Colinowi.

- Może się panu przydać - oznajmił.

Colin był zadowolony, że ma w ustach cygaro, bo mógł jego dymem zamaskować westchnienie ulgi. Wprawdzie nie powiesili go wczoraj rano, ale w ciągu ostatnich kilku minut postarzał się o dobrych parę lat.

Niedbałym ruchem wziął pistolet doktora. Chociaż serce wciąż waliło mu jak oszalałe, jakaś jego częśćka wołała: Nareszcie!

Gdy tylko ścisnął pistolet w dłoni, Madeleine zabezpieczyła swój i schowała do kieszeni. Zauważył, że na sekundę przymknęła oczy.

Czyżby miała jakiś szczególny powód do zachowania lojalności wobec doktora? A może obawiała się, że doktor do niego strzeli? Czemu jednak, u diabła, miałyby się o niego martwić? Zwłaszcza że ponoć był wart sto funtów.

- Nie trzymam prochu i kul w gabinecie, ma pan więc jeden strzał - rzekł doktor. - Mam nadzieję, że nie będzie musiał go pan oddawać. Ale bardzo proszę, niech pan znajdzie tego, kto za tym stoi. I niech go pan powstrzyma.

- Dziękuję, doktorze. Jeśli Bóg da, oddam panu pistolet. I zachowam pański sekret... o ile sekrety można zachować.

Doktor uśmiechnął się.

- Ja również, panie Eversea. I jeszcze jedno: dzisiaj mógł się pan poruszać po Londynie w miarę bezpiecznie, ale nie liczyłbym na to w przyszłości. Pogłoska o nagrodzie szybko się rozejdzie, a nigdzie nie brak chciwców. Możecie tu zostać na noc, jeśli nie macie gdzie się podziać. Rano was wyprowadzę, żebyście mogli dostać się niezauważeni tam, dokąd chcecie. Gwarantuję, że dziś w nocy będziecie bezpieczni. A cała... reszta... zależy od was.

Colin zwrócił się do Madeleine.

- Zostajemy?

Uznał, że wypada zapytać ją o zdanie. Poza tym chciał się upewnić, że nadal będą działać razem.

Pokiwała głową, jakby jeszcze nie odzyskała głosu.

Colin mocno uściskał rękę doktora. Ten uklonił się Madeleine i odwrócił do drzwi.

- Doktorze... - zawołała lekko schrypniętym głosem.

Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

- Czy mógłby pan zerknąć na kostki pana Eversea?

Colin spojrzał na Madeleine i ledwo zauważalnie pokręcił głową. Miał już dość ciągłego przypominania o więzieniu i o tym, jaki jest słaby. Sam da sobie radę.

- Kajdany? - zapytał doktor August i wyraźnie poweselał. Dopiero teraz Colin Eversea okazał się dla niego interesujący. - Ściągamy buty, panie Eversea. I proszę na stół.

Przesunął lampę, żeby mieć lepsze światło, i pomógł Colinowi zdjąć buty. Madeleine patrzyła ze swojego miejsca pod ścianą, jak rozwija prowizoryczny bandaż zrobiony z fulara.

- Goi się - orzekł - ale będzie pan potrzebował bandaża, żeby buty nie obcierały, bo inaczej zostaną blizny.

Sięgnął na półkę po gazę i buteleczkę pełną jakiegoś ciemnego, ostro pachnącego płynu, którym przemył kostki Colina. Zapiekle, ale to, co pomaga, zwykle też piecze. Colin z zainteresowaniem obserwował te zabiegi.

Doktor posmarował rany maścią dziurawcową z własnych zapasów i zabandażował kostki. Colin od razu poczuł ulgę.

- Dziękuję panu - rzekł.

- Jakies inne rany albo kontuzje wymagające lekarskiego oka? - spytał doktor.

- Na razie nie. - Colin uśmiechnął się krzywo.

Doktor odwzajemnił uśmiech. „Czas pokaże”, zawisły w powietrzu niewypowiedziane słowa.

- Powodzenia, panie Eversea. Coś mi się wydaje, że pan ma dziewięć żywotów, jak kot. Według mojego rachunku zostało panu siedem. Dobrej nocy, pani

Greenway. Rano pewnie zechcecie odwiedzić służącą pana Pallatine'a. Wróćę przed świtem, żeby was wyprowadzić. Dobrze, żebyście już nie spali i byli gotowi do drogi.

- Czy w nocy na pewno nikt tu nie zajrzy?

- Nie powinien, ale musicie być ostrożni. Jak gdyby trzeba im było o tym przypominać.

Rozdział 13

Doktor wyszedł i zostali sami. Zapanowała głucha cisza. Colin zablokował drzwi krzesłem. Powoli wchodzi mi to w krew, pomyślał.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Madeleine Greenway osuwa się po ścianie na podłogę, jakby do tej pory tylko siła woli utrzymywała ją w pionie.

Przyglądał się jej niepewnie. Kiedy tak siedziała w półmroku z pięknym pistoletem swojego męża na kolanach, zupełnie nie wyglądała na kobietę, która zagrała na nosie królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości, wykradając spod szubienicy jego pożałowania godną, acz niezaprzeczalnie przystojną osobę. Była taka drobna, zmęczona i blada. Nawet nie próbował zgadywać, co się dzieje w jej myślach i sercu. Przypominała kogoś, kto próbuje przeczekać atak bólu starej rany; oddycha miarowo, bo wie, że ból w końcu minie. I wierzy, że wtedy wrócą mu siły.

„Za dużo małych”, powiedział doktor rabusiowi grobów, i taka była brutalna rzeczywistość. Dzieci tak często umierały na wszelkie możliwe choroby, że ich rodziny zastępowały żałobę swoistym religijnym pragmatyzmem: „Niech się dzieje wola Boża”. Prawie wszystkie znane Colinowi rodziny były liczne, ale też prawie wszystkie, łącznie z jego własną, miały na rodzinnym cmentarzu przynajmniej jeden maleńki grób. Wdów też nie brakowało. Takie czasy.

Tyle że Madeleine Greenway przed pięcioma laty zaważył się cały świat. Straciła wszystko, co kochała; wszystko, co miała.

Ta świadomość nie dawała mu spokoju. Chciał podejść i pogłaskać ją po głowie. Nie wiedział jednak, komu ma w ten sposób dodać otuchy: jej czy sobie. Kusiło go, żeby rozejrzeć się po gabinecie - zajrzeć do słoików, uścisnąć rękę panu Pallatine'owi i niby oficjalnie przedstawić go pani Greenway - ale nie był pewien, czy jej by się to spodobało. Ian pewnie by się uśmieł. Olivia chyba też. Louisa zmyłaby mu głowę.

Może wystarczy, że będzie do niej mówił. Na jakikolwiek temat.

- Myśli pani, że doktor August jest szalony? - spytał. Madeleine podniosła na niego wzrok.

- Może trochę. Jak wszyscy geniusze.

- Więc uważa go pani za geniusza? - Colin poczuł przypływ niewytłumaczalnej zazdrości. On też by chciał być geniuszem, nieważne w jakiej dziedzinie. - Zauważyła pani może, że powiedział: „Zostało panu jeszcze siedem żywotów”? Sądzi pani, że rzeczywiście byłby w stanie mnie zabić?

Przechyliła głowę na bok, namyślając się chwilę.

- Trudno powiedzieć, co dany człowiek zrobi, a czego nie - odparła cicho. - August ma rodzinę, którą chce chronić. I karierę naukową. Ale chyba uważa, że postąpił z panem słusznie. Podejrzewam, że nasz doktor ma bardzo specyficzne poglądy na to, co słuszne, a co nie.

Colin zastanowił się nad tym.

- Myśli pani, że słusznie robił, nachodząc Pallatine'a? I że skupowanie ciał też jest słuszne?

- Nie potrafię tego ocenić. Wiem tylko, że to wybitny lekarz, a ludzie wybitni często miewają obsesję na punkcie tego, co robią; czasem nawet zdarza im się tracić zdrowy rozsądek i naruszać prawo. Ale wszystko, co robi, służy dobru medycyny.

Nie uważam, żeby był złym człowiekiem. Nie znam nikogo, kto nie miałby żadnych tajemnic i byłby czysty jak łąza.

Colin też nie znał nikogo takiego. Może jedną Louise Porter. Ciekawe, pomyślał, co jeszcze kryje przeszłość pani Greenway.

- Czy przynajmniej był dla pani... miły? - Zadał to pytanie z pełną świadomością, że może nie uzyskać nic więcej niż typową dla niej jednosylabową odpowiedź.

Wyczuwał, że Madeleine nie znosi litości. I nie był w stanie sobie wyobrazić, co ktoś taki jak doktor August mógł powiedzieć młodej kobiecie, której rodzina umarła na ospę, a ona wyzdrowiała i musi żyć dalej, straciwszy wszystko, co kochała. Doktor raczej nie należał do osób subtelnych.

Milczała tak długo, że już myślał, iż mu nie odpowie. Musiała jednak po prostu zastanawiać się nad odpowiedzią, bo kiedy się odezwała, w głosie miała zadumę.

- Nie oczekiwałam, żeby był dla mnie miły, panie Eversea, tylko żeby dobrze wykonał swoją pracę. Ale nie był... niemiły. Wiem, że zrobił dla nas wszystko, co mógł. Robił to w interesie nauki i pewnie trochę dla własnej satysfakcji, ale również dlatego, że w pewnym sensie zależy mu na ludziach. Tyle że nie jest księdzem, lecz ciałą, a nie dusze. Kiedy ja wyzdrowiałam, a mój mąż i dziecko umarli... - urwała, być może zbierając siły, żeby mówić dalej. - Wydaje mi się, że doktor August też wtedy na swój sposób cierpiał. Nie jest całkiem pozbawiony uczuć. Tylko czasem trudno go zrozumieć. To było już tak dawno - dodała. - Pięć lat temu.

Tak otwarta i wylewna jeszcze nigdy wobec niego nie była.

Colin na moment znieruchomiał, jakby dostał coś bardzo delikatnego i bał się to zniszczyć. Nie był pewien, czy chce poznać całą jej historię, bo wiedział, że wtedy zaangażuje się jeszcze bardziej, a tego wolał uniknąć.

Nie mógł jednak się powstrzymać.

- Pięć lat to wcale nie tak dużo czasu - rzekł cicho. - Bitwa pod Waterloo była pięć lat temu. Czasem wydaje się, jakby to było wczoraj.

Zacisnęła w pięść leżącą na udzie dłoni. Może marzy o tym, żeby się zwinąć w kłębek i pobyc chwilę sama. A on przypomina jej o wszystkim, o czym chciałyby zapomnieć.

- To było bardzo dawno - powtórzyła, jakby to mogło odsunąć od niej wspomnienia.

- Ma pani jakąś rodzinę?

- Tak, paru kuzynów, ale nikogo naprawdę bliskiego. Moją rodziną byli mąż i mój synek.

A więc została sama. Colin poczuł ciężar tego słowa - „sama” - jakby do żołądka wpadł mu kawał twardego, zimnego marmuru.

Przestąpił z nogi na nogę, szukając wygodniejszej pozycji. Relacje rodzinne bywały skomplikowane. Pomyślał o swoim bracie Marcusie, który kiedyś uratował mu życie, a teraz, z powodu miłości do kobiety, być może chciał mu je odebrać. Odepchnął od siebie tę myśl. Cokolwiek by się działo, rodzina pozostanie jego opoką. Nie potrafiłby żyć, gdyby zabrakło kogoś z nich.

- A jak została pani najemniczką, pani Greenway? - spytał.

Roześmiała się.

- Czy zdarza się panu nie mówić prosto z mostu?

- Ja tylko...

- Pan tylko podtrzymuje konwersację. Rozumiem.

Uśmiechnęła się przy tym nieznacznie, co sprawiło, że on też się uśmiechnął. Uśmiech to dobra rzecz, a zwłaszcza uśmiech Madeleine Greenway.

- Dobrze. Powiem panu i może wreszcie przestanie mnie pan wypytywać. Tak naprawdę doszło do tego przypadkiem. I po prostu byłam dobra w tym, co robiłam. Po śmierci męża zostałam bez grosza, widzi pan, chorowanie jest bardzo kosztowne, a że długo leżałam chora, straciłam sklep. Miałam masę długów i wyglądało na to,

że niedługo przeniosę się na stałe do Marshalsea*. Ale znałam Crokera, bo Tygryś Nora zamawiała u nas sery. Kiedyś wspomniał mi, że pewien dżentelmen ma problem: chciał odzyskać naszyjnik swojej żony, który przypadkowo podarował kochance. Powiedziałam mu, jak ja bym się do tego zabrała, widzi pan, zawsze byłam dobra w planowaniu, to dzięki temu nasz sklep dobrze prosperował, i... cóż, dostałam zlecenie, żeby odzyskać ten naszyjnik. Może mi pan wierzyć lub nie, ale są ludzie, którym nie przeszkadza, kto wykonuje jakąś pracę: kobieta czy mężczyzna, o ile zadowala ich końcowy rezultat. Najczęściej to ludzie bardzo zdesperowani. Udało mi się. Odzyskałam ten naszyjnik. Rozeszła się plotka o moich... talentach. Zaczęłam dostawać następne zlecenia. Spłaciłam długi i od tamtej pory cały czas miałam zajęcie. Ciekawe i dochodowe.

* Marshalsea - znane w epoce wiktoriańskiej więzienie, w którym osadzano niewypłacalnych dłużników. Mieszkali tam z całymi rodzinami, często do końca życia (przyp. tłum.).

- I niebezpieczne - uzupełnił. Podniosła na niego wzrok.

- To prawda - przyznała bez emocji.

I nagle zrozumiał, że ona się tym nie przejmowała. Ba, nawet pragnęła niebezpieczeństwa. W obliczu wszystkiego, co utraciła, ta praca była dla niej nie tylko źródłem dochodu, ale też lekarstwem dla duszy.

Colin przypomniał sobie, jak się czuł uczepiony pękniętej drabinki pod oknem hrabiny. Jego uratował ogrodnik, zanim spadł i skrzył sobie kark, a Madeleine uchwyciła się ręki Crokera, zanim spadła ze swojej - mówiąc w przenośni - pękniętej drabinki.

Nikt bardziej od niego nie był świadomy, w jak krótkim czasie można utracić całe dotychczasowe życie.

„Byłam dobra w tym, co robiłam”. Przypomniawszy sobie, jak Madeleine Greenway wrzuciła monetę do buta chłopca z gospody i jak delikatnie opatrywała jego rany, choć знаła go zbyt krótko, by móc mu zaufać. Przypomniawszy sobie zepsuty proch w jej pistolecie. Kobieta górowała w niej nad najemniczką. I to ją mogło w końcu zgubić.

Dlatego chciała to wszystko jak najszybciej zostawić za sobą.

Ale nie mogła - przez niego. Wydała wszystkie pieniądze, żeby go uratować. Nie zdziwiłby się, gdyby patrząc na niego, widziała jedynie sto funtów nagrody.

Panowała cisza, tylko wosk ze świecy kapał i syczał. Pan Pallatine błyszczał przyjemnym bursztynowym blaskiem i nawet zaczął wyglądać dość sympatycznie.

Czy to oznacza, że człowiek do wszystkiego jest w stanie się przyzwyczaić?

- Może porównamy spluwy, pani Greenway? Moja jest większa. - Wyciągnął swój nowy pistolet.

Jedna ciemna brew uniosła się.

- A moja ładniejsza - odparła Madeleine.

Znowu zapadła cisza. Starał się nie przyglądać jej natarczywie, ale nie było to łatwe, bo jej twarz była o wiele ciekawsza niż wszystko inne w tym pomieszczeniu. Pomyślał, że nabrała wyrazu pod wpływem doświadczeń z minionych lat. Jak krajobraz, który zmieniają czas i pogoda. Miejscami groźny, nieprzystępny, a miejscami łagodny, jak trawiaste wzgórza w Sussex. Colin, urodzony odkrywca, nie mógł się oprzeć ciekawości.

Szkoda, że nie ma pojęcia, co jej powiedzieć. Gdyby Madeleine Greenway była którąś z jego siostr, Genevieve albo Olivią, skłonnymi odpowiednio do płaczu i wybuchów złości, po prostu by ją objął. Gdyby była Louisą, zaproponowałby spacer po łąkach i powiedział jakiś żart - to zwykle pomagało jej się uspokoić.

Ale Madeleine Greenway wyrobiła sobie wewnętrzną siłę. Zastanawiał się, czy jeszcze w ogóle potrafi okazywać słabość. Pewnie od dawna nie mogła sobie na to pozwolić.

Ja będę twoją siłą.

Ta myśl pojawiła się nagle i wytrąciła go z równowagi. Nigdy dotąd nikt nie wymagał od niego tego rodzaju siły. Żadna kobieta w jego życiu - nawet Louisa Porter - nie znalazła się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Wiązało się to z ich pozycją społeczną.

Miał ochotę osunąć się na podłogę obok Madeleine i wziąć ją w ramiona, bo był pewien, że jeśli zacznie ją pocieszać, skończy się na tym, że będą się kochać. Pani Greenway miała żelazną samokontrolę, ale było to opanowanie wyćwiczone, a namiętność leżała w jej naturze. On zaś potrafił wyczuć, kiedy kobieta skłonna jest mu się poddać, i miał umiejętność uwiedzenia jej we właściwym momencie. Podejrzewał, że kochając się z Madeleine, zapewniłby sobie jej lojalność.

Wyobraził sobie, jakby się do tego zabrał: przechyliłby głowę Madeleine lekko do tyłu i przytrzymał dłonią, a potem objąłby wargami jej usta i poznał ich słodki smak. Powoli, bardzo powoli wodziłby palcami po jedwabistej skórze jej szyi, a potem zsunąłby dłonie w dół, żeby odsłonić jej piersi, móc ich dotknąć rękami, językiem. Potem przechyliłby ją na koc, który rozłożyli na podłodze, podciągnąłby jej spódnicę aż do bioder i położyłby się między jej nogami, cały czas patrząc prosto w te ciemne oczy. Ona objęłaby go za szyję i przyciągnęła do siebie...

Niemal jęknął, ogarnięty pożądaniem. Chryste. To już tak długo. Za długo.

Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić. I podjął decyzję.

Sięgnął do kieszeni fraka, oparł się o ścianę i osunął na podłogę obok niej, zachowując mniej więcej pół metra odstepu. Położył zaciśnięte dłonie na kolanach.

Rzuciła mu drwiące spojrzenie spod rzęs i ledwo widoczny smutny uśmiech.

- Niech pani wyciągnie rękę, pani Greenway - poprosił cicho. Spojrzała na niego pytająco.

- Po co?

- Chcę pani powróżyc.

Parsknęła z niedowierzaniem, ale wyciągnęła rękę, otwartą dłonią do góry.

A on położył na niej kryształowy flakonik z wodą lawendową.

Zamarła. Przez chwilę wpatrywała się w buteleczkę z niepewnym wyrazem twarzy.

- Och! - W połowie westchnienie, a w połowie śmiech.

Colinowi ten dźwięk wydał się cudowny, bo wiedział, że udało mu się ją całkowicie zaskoczyć, że po raz pierwszy była przy nim naprawdę sobą. To był najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek miał okazję komuś zrobić.

- Ukradłem to hrabinie.

Przez moment nie była w stanie wydać z siebie głosu. Płomień świecy migotał, odbijając się od kryształowych ścianek buteleczki, a Madeleine wpatrywała się w nią jak urzeczona.

Wreszcie odzyskała panowanie nad sobą.

- Kradzież. Brawo, należy się panu pochwała.

- Drobiazg, nie ma o czym mówić. Pani przecież kupiła mi ten piękny kapelusz.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i razem podziwiali flakonik.

A potem Madeleine wolno odwróciła głowę w jego stronę; uśmiech zniknął z jej twarzy. Ich spojrzenia spotkały się i Colin poczuł, że wzdłuż kręgosłupa przebiega mu jakby iskra - ostre, naglące pożądanie. Teraz. Powinien to zrobić teraz. Sięgnie ręką, żeby delikatnie ująć jej policzek, nachyli się i...

Wciągnął powietrze, wypuścił je i powoli odwrócił głowę.

Znowu siedzieli w ciszy.

Wreszcie Colin splótł ręce przed sobą i przeciągnął się.

- Będziemy to robić na zmianę - oświadczył tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Jak przewidywał, zirytowała się, słysząc rozkazujący ton.

- Co będziemy robić na...

- Spać. Chwila namysłu.

- Dobrze, ale pan pierwszy - stwierdziła, co też było do przewidzenia.

Udawał, że się zastanawia.

- W porządku - zgodził się, niby to niechętnie. - Tylko niech pani nie dotyka mojego gnata, jak będę spał.

- Ani mi się śni, panie Eversea.

Mimo woli oboje byli rozbawieni tą grą słów. Colin uśmiechał się, rozkładając koc; na jej ustach też błąkał się uśmieszek.

Był bardzo zadowolony, że udało mu się pomóc Madeleine Greenway odzyskać trochę siły.

Zawinał się w koc i wyciągnął na podłozie, prostując długie nogi w samych pończochach. Miał nadzieję, że jego stopy pachną trochę lepiej po tym, jak doktor je przemył, Madeleine bowiem musiała wytrzymać w ich towarzystwie w ciasnym pomieszczeniu, a nie była jednym z jego braci.

- Tylko niech mnie pani obudzi na moją wartę - ostrzegł.

- Obudzę - obiecała rozbawiona.

Spod niedomkniętych powiek obserwował Madeleine. Patrzył na jej profil, na prosty nos i na pełną dolną wargę, taką uroczą w półmroku. Udawał, że śpi - tę sztuczkę nietrudno opanować, kiedy jest się najmłodszym z gromadki dokuczliwych braci - oddychał miarowo, a powieki opuścił, zostawiając jedynie małe szparki.

Długo siedziała prawie bez ruchu, tylko od czasu do czasu obracała w rękach buteleczkę. Kryształowe ścianki mrugały jak lusterka, których przemytnicy używają, żeby przywoływać statki.

Poruszyła się zaledwie dwa razy. Raz, żeby otworzyć flakonik i przysunąć go do nosa. Nabrała kilka kropel na palec, musnęła nim szyję i starannie zamknęła buteleczkę. A drugi raz, znacznie później, szybkim ruchem otarła kącik oka. Kiedy cofała rękę, dostrzegł, że jej palec lśni tak samo jak mała kryształowa buteleczka.

Jeszcze długo potem Colin nie mógł zasnąć.

Rozdział 14

Pańska trumna już czeka, panie Eversea.

Colin uznał, że jeśli ujdzie z tego z życiem, będzie wspominał doktora Augusta z wdzięcznością, ale raczej nie będzie go zapraszać na obiady. Podejrzewał, że specyficzne poczucie humoru doktora byłoby źródłem wielu krępujących incydentów.

Była to prosta sosnowa trumna, świeżo zbita, jeszcze ociekająca żywicą. Taka, w jakich chowano przestępców powieszonych na Old Bailey, jeśli o ciała nie upomniwała się rodzina; i w jakich tysiące ludzi każdego roku wyruszało w ostatnią drogę na cmentarz dla biedoty. W każdym szpitalu robiono dziesiątki takich trumien.

No i nikt się nie zdziwi na widok trumny wywożonej ze szpitala. Doktor naprawdę miał głowę na karku.

Kazał dostarczyć trumnę przed świtem, i oto teraz stała przed drzwiami jego gabinetu. Madeleine miała odgrywać rolę krewnej, która przyjechała zabrać ciało - temu też nikt nie będzie się dziwił. Władze miasta były zadowolone, kiedy po ciało zjawiali się jacyś krewni, bo pochówki biedoty mocno obciążały budżet Londynu.

- Udało mi się wywiercić szydłem dziurę z boku do oddychania, panie Eversea. Musi pan trzymać głowę z lewej strony, to się pan nie udusi. Ale lepiej niech pan nie kicha, bo pielęgniarze, którzy będą pana nieśli, padną trupem z przerażenia i polarnie pan sobie wszystkie kończyny. Myślę, że ma pan zostać wywieziony na cmentarz dla biedaków. Będą tu lada chwila.

Colin i Madeleine zajrzeli do trumny. Doktor kazał wyłożyć ją słomą, jakby Colin był nośną kurą szykującą się do wysiadania jaj.

Madeleine patrzyła, jak Colin układa się w trumnie. Nie był to przyjemny widok. Z drugiej strony, cieszyła się, że zostanie sam na sam z własnymi myślami.

Zgodnie z obietnicą obudziła Colina na jego wartość. Podniósł się bez słowa, zasalutował jej z zaspanym uśmiechem, po czym oparł się o ścianę, a ona opadła na koc. Nawet zdołała zasnąć, ale był to płytki sen, pełen żywych, niemal gorączkowych obrazów, w których przewijała się twarz Colina Eversea. Nie czuła się wypoczęta.

Za to pachniała lawendą.

Podniosła rękę do twarzy, udając, że odgarnia włosy za ucho, i ukradkiem przesunęła wewnątrz nadgarstka pod nosem. Za każdym razem, kiedy to robiła, na nowo czuła w piersi maleńką eksplozję zadowolenia. Patrzcie państwo, Colin Eversea ukradł dla niej wodę lawendową hrabiny.

Zauważył, jak pachnie. Uświadomiła sobie, że Colin Eversea ma niepokojący talent do zauważania drobiazgów.

Wyobrażała go sobie zupełnie inaczej. Chociaż nie, nieprawda. Był dokładnie taki, jak go sobie wyobrażała, czytając o nim w gazecie: irytujący, niefrasobliwy, arogancki i niezaprzeczalnie ujmujący. Nie spodziewała się jednak, że jego inteligencja nie jest tylko powierzchowna, cięty dowcip jest po części mechanizmem obronnym, a urok wypływa między innymi z tej niezwyklej spostrzegawczości; nie spodziewała się po nim... szlachetności.

Madeleine opłakała swoją rodzinę pięć lat temu. Teraz smutek już nie rządził jej sercem, poza nielicznymi chwilami słabości, kiedy wracał z całą siłą. Pozostał w niej cień, który czynił ją głębszą, pełniejszą osobą. Tragedia, którą przeżyła, dała jej łagodność, ale też siłę.

A teraz on o wszystkim wiedział. Colin Eversea był świadkiem jej chwili słabości i zachował się z ogromnym wyczuciem: rozbawił ją, a potem dał jej flakonik wody lawendowej. Gdyby tej nocy jej dotknął choćby jednym palcem, oddałaby mu się. Jemu, który wiedział, jak uwodzić kobiety i który robił to niemal zawodowo. Ani przez chwilę nie wątpiła, że jej pragnął. Nie była przecież naiwna.

Ale jej nie dotknął.

Tego ranka, kiedy zjedli na śniadanie część zapasów podarowanych przez hrabinę i pobieżnie się obmyli - właściwie ochlapali wodą z miednicy doktora i wytarli gazą - Madeleine rozpuściła swoje długie ciemne włosy. Przeczesała je palcami, zanim upięła je z powrotem, pomagając sobie lusterkiem znalezionym w gabinecie.

Colin bez śladu skrepowania przyglądał jej się w milczeniu wygłodniałym wzrokiem.

Najpierw udawała, że tego nie widzi. A kiedy już dłużej nie mogła udawać, posłała mu ironiczne spojrzenie.

- Byłbym gotów zapłacić, żeby móc patrzeć, jak pani to robi - powiedział, a żar w jego głosie ugodził Madeleine niczym strzała i przeniknął od stóp do głów. Przez jedną słodką chwilę nie była w stanie oddychać.

Takie proste słowa, takie zwyczajne. Ale brzmiało w nich pożądanie. Urok Colin Eversea był niebezpieczny. Zwłaszcza dla niej.

Zanim wieko trumny zamknęło się nad nim, zobaczyła, że unosi brwi i uśmiecha się. To nie była przyjemna chwila, ale Madeleine odczuła swego rodzaju ulgę. Bo naprawdę potrzebowała побыć sama z własnymi myślami.

Jako pogrążona w żałobie krewna trzymała się blisko trumny, starając się sprawiać wrażenie zasmuconej, a nie przerażonej. Ręce miała jak sople lodu i pewnie była bardzo blada.

Dwaj mężczyźni, którym doktor polecił wynieść trumnę, nie byli zainteresowani jej zawartością ani towarzyszącą im kobietą. Mieli ciekawsze sprawy do omówienia.

- Sto funtów za Colina Eversea! - powiedział jeden. - Dasz wiarę?

Sto funtów za Colina Eversea. To był drugi, równoległy tor, którym biegły jej myśli. Sto funtów i znowu będzie wolna.

Mężczyźni ledwo zerknęli na Madeleine, wykonując ponury obowiązek umieszczenia trumny na wozie; szczęśliwie żaden z nich nie zauważył wywierconych z boku dziurek, które zresztą zasłaniała słoma.

Spełniwszy swoje zadanie, odeszli, tupiąc ciężkimi buciorami.

Człowiek, który był wart stu funtów, leżał bez ruchu w drewnianym pudle.

Doktor August podczas ładowania trumny na wóz zachowywał się uprzejmie i obojętnie. Ale kiedy pomagał Madeleine wspiąć się na kozioł, wcisnął jej do ręki kilka jednofuntowych banknotów. Pięć, policzyła za chwilę, wsuwając je niepostrzeżenie do rękawa.

Złapała wodze, żeby popędzić konie, które miały ciągnąć wóz - ciekawe, czy były własnością szpitala? - odwróciła głowę i zobaczyła, że doktor porusza ustami w bezgłośnym pożegnaniu.

„Z Bogiem”.

Marcus Eversea obudził się jak zwykle wczesnym rankiem. Uderzyła go panująca w domu cisza. Został sam w miejskiej rezydencji, bo cała rodzina, w stanie ciężkiego szoku - ten i ów Eversea dokonywał rzeczy niezwykłych, ale jeszcze żaden nie zniknął spod szubienicy w kłębach dymu - wróciła do Pennyroyal Green, żeby przygotowywać jego ślub.

Marcus pozostał w Londynie, nie był bowiem w stanie walczyć z siłą własnej natury.

Był miłośnikiem handlu i ekspertem od finansów, a w tym tygodniu Klub Merkuriusza organizował ważne spotkanie w sprawie oficjalnego przyjęcia nowego członka. Nie zamierzał go opuścić.

Zwłaszcza że, jako przedstawiciel rodu Eversea, był bardzo podejrzliwy, gdy w grę wchodził którykolwiek z Redmondów. A ów nowy członek klubu prowadził interesy Isaiaha Redmonda.

Zdarzało się niezmiernie rzadko, żeby ktoś pokroju pana Baxtera i o jego pozycji społecznej zostawał pełnoprawnym członkiem klubu, ale - może dlatego, że

sam Isaiah Redmond zaproponował jego przyjęcie, a może dlatego, że od początku istnienia klubu Baxter nieoficjalnie pełnił funkcję jego sekretarza i bardzo sumiennie wywiązywał się ze swoich obowiązków - nikt nie wyraził sprzeciwu, a przynajmniej nie otwarcie. Właściwie już od paru miesięcy Baxter był nieformalnie członkiem klubu i korzystał z wszelkich przywilejów: wygodna klubowa jadalnia i biura; piękny, nowoczesny powóz; wstęp na salony, gdzie go nie przyjmowano jako zwykłego pośrednika w interesach; możliwość inwestowania w interesy bogaczy i dzięki temu znacznego pomnożenia własnego majątku.

Marcus zaczął się zastanawiać, czy sam ma coś przeciwko temu. Nie był przecież uprzedzony do ludzi z niższych warstw społecznych i robił z nimi interesy.

Ale mimo wszystko.

Wypadałoby przejrzeć dokumenty księgowe klubu. Rzędy cyfr działały na Marcusa uspokajająco, więc może odwróca jego uwagę od tej przejmującej świadomości, że Colin najprawdopodobniej wciąż żyje. Być może właśnie w tej chwili przemyka ukradkiem coraz bliżej do Pennyroyal Green i do błękitnookiej, złotowłosej kobiety, która tak czy inaczej wyjdzie za któregoś z braci Eversea.

Marcus wiedział, że skoro Colin nie został stracony, powinien dać Louisie szansę zwrócenia mu słowa. Ale na samą myśl o tym odczuwał wręcz fizyczny ból, tak silny, że robiło mu się ciemno przed oczami.

Zakochał się w Louisie Porter na pewnym pikniku, kiedy miał trzynaście lat. Colin zabrał jej kapelusik, a on go odzyskał i kiedy potem wręczał dziewczynce, nie wiadomo dlaczego - może to był jej nieśmiały uśmiech, a może rozbawienie lśniąca w błękitnych oczach? - razem z kapeluszem oddał jej swoje serce. Nikt na świecie nie wiedział, jak głęboko ją kochał. Chyba każdy chłopak w Sussex przez jakiś czas durzył się w Louisie, a całe Pennyroyal Green z przyjemnością obserwowało, jak Colin zdobywa dziewczynę, bo robił to z wielką fantazją. Jak wszystko, czego się dotknął.

Ale Marcus kochał ją mocniej od wszystkich.

I kochał na zawsze.

Czegokolwiek zapragnął, zdobywał to dzięki wyteżonej pracy i determinacji. Marcus wiedział, że jest przystojny i że - wedle wszelkich możliwych kryteriów - stanowi doskonałą partię. Ale nie był Colinem i mimo całej swojej determinacji nie mógł sprawić, by Louisa go pokochała.

Nigdy dotąd nie pozwalał sobie na sentymentalne uniesienia, teraz jednak czuł, że jeśli Louisa zerwie zaręczyny, jego serce tego nie zniesie.

Pół godziny jazdy galopem przez ulice Londynu - o tej porze jeszcze niezatłoczone - i wreszcie opuścił go melodramatyczny nastrój. W kolumnadzie przed wejściem do Klubu Merkuriusza powitał Marcusa lekko śnięty kamerdyner. Przyniesiono mu książki i zapadłszy się w jeden z wygodnych foteli w salonie, zaczął je przeglądać.

Już po kilku pierwszych stronach - Marcus lubował się w równych słupkach liczb tak samo jak Colin lubował się w poezji - humor zdecydowanie mu się poprawił. Księgowość była prowadzona niezwykle starannie. Nakreślone zamasytym, wyraźnym pismem, przesuwają się przed jego oczami kolumny dat, zakupów, wydatków, nazwisk kupców i pracowników.

Jakieś przeczucie kazało mu otworzyć stronę z dnia, w którym całe jego życie się zmieniło. Dnia, kiedy zginął Roland Tarbell, a Colina zabrali do Newgate.

Według zapisków tego dnia do kuchni dostarczono węgiel, jaja i mleko; wypłacono należność rymarzowi, który naprawiał uprzęże (w zeszłym roku klub kupił piękny nowy powóz). Dla rodziny Eversea ta data była równoznaczna z kataklizmem, tymczasem wszędzie indziej toczyło się zwykłe życie.

To naprawdę nie w porządku.

Marcus przewrócił kartkę. Nazajutrz po morderstwie kilku pracowników klubu pobrało pensje: sam pan Baxter, jakaś pani Lund, Robert Bell, Martha Cuthbert, niejaka Daisy Poe i paru lokajów. Zaczął wertować księgę. Zauważył, że pensje wypłacano zwykle w tym samym dniu tygodnia i że pensja pana Baxtera w

ciągu ubiegłego roku poszła o dobre kilkaset funtów w górę. A zaczęło się to tuż po morderstwie.

W zamyśleniu stukał palcem w otwartą księgę. To nie musi nic znaczyć, to tylko on dzielił życie na okres „przed morderstwem” i „po morderstwie”.

Ale, co ciekawe, wiedział, że Robert Bell powozi zaprzęgiem pani Redmond. Znał tego człowieka; niewielu było w mieście dobrych woźniców, a że wśród arystokratycznej młodzieży panowała moda na powożenie własnymi pojazdami, musieli się tego uczyć od ludzi, którzy zajmowali się tym zawodowo. Marcus sam wziął od Roberta Bella kilka lekcji w Hyde Parku, dzięki czemu teraz całkiem nieźle radził sobie z lejcami.

Z drugiej strony, Robert Bell to popularne nazwisko. Może to jakiś lokaj albo stajenny. W klubie, który od swoich członków wymagał umiejętności powożenia, chyba nikt nie zatrudniał stangreta.

Zastanawiające.

Marcus postanowił sprawdzić, kiedy pojawiło się nazwisko Roberta Bella. Pierwszą wzmiankę znalazł trzy miesiące wcześniej. Ale Bell dostawał wypłatę w różnych terminach, nie zawsze wtedy, co reszta personelu.

Dziwne. Nieregularne pobory wskazywały, że Robert Bell nie jest zwykłym pracownikiem klubu.

Marcus zamknął księgę. Był zadowolony ze staranności zapisków, a jednocześnie czuł jakiś niepokój. Skupił się na tym wrażeniu, próbując określić je dokładniej: przypominało niepewność, która dręczyła go w związku z Louisą, odkąd Colin w kłębach dymu zniknął spod szubienicy.

Ale już za parę chwil był pewien, że to uczucie nie ma nic wspólnego z Louisą. To był raczej... przymus, jakieś przynaglenie. Do czego - nie wiedział. Przypomniał sobie tamten dzień, kiedy coś kazało mu bieć, ile sił w nogach, przez łąki nad brzeg Ouse... Dotarł tam w samą porę, żeby wyciągnąć z rzeki Colina, zanim się utopił.

Minęło ładnych parę lat, odkąd Madeleine ostatnio miała lejce w rękach. Szybko jednak przypomniała sobie, jak się powozi, a poza tym koń wiedział, co do niego należy, i tylko od czasu do czasu strzygł uszami, czekając na polecenia. Nim dojechali do London Bridge, była już całkiem spokojna. Narastający upał działał na nią trochę usypiająco. Dobrze, że ma kapelusik - kolejna rzecz, o którą zatroszczył się Colin Eversea - bo chronił ją przed słońcem i przed ewentualnymi spojrzeciami ciekawskich.

Obawiała się tylko, że w gwarze miasta budzącego się do życia i poprzez turkot kół wozu na bruku nie usłyszy, jeśli Colin zacznie skrobać w wieko trumny, gdyby nie mógł oddychać.

Ledwie to pomyślała, z przerażenia sama prawie straciła oddech.

Ale zaraz pojawiła się kolejna myśl.

Sto funtów. Wystarczyłoby na podróż do Ameryki i ostatnią ratę za farmę, którą tam kupiła. Mogłaby podjechać na posterunek policji i wręczyć im Colina w pudełku, niczym ponury prezent. Colin Eversea wstałby z trumny, wskazał na nią palcem i powiedział: „Ona to zrobiła! To ona wystrychnęła was na dudków, wyciągając mnie spod szubienicy na oczach tysięcy ludzi!”

Ale nikt by mu nie uwierzył - kobieta miałaby dokonać czegoś takiego?! Pomyśleliby, że oszalał. A ona, z płaczem i załamywaniem rąk, kłamałaby jak z nut. Dzięki temu wyszłaby stamtąd o sto funtów bogatsza i już za tydzień mogłaby czuć na twarzy morską bryzę i nie martwić się, że zniecacka wyskoczą skądś żołnierze albo znowu ktoś będzie mierzył do niej z pistoletu. Mogłaby zdobyć nowe wspomnienia, a stare - również te, w których figurował Colin Eversea - z czasem całkiem by zbladły.

Tylko że to nie była już do końca prawda. Bo teraz, siedząc na koźle, czuła się dziwnie na widoku i dobrze wiedziała, skąd to uczucie się wzięło. Przez lata uważała, że w swojej anonimowości jest całkiem bezpieczna, a teraz czuła się... po prostu samotna i - jak to bywa z samotnymi kobietami - bezbronna. A wszystko to z

winy Colina Eversea. Do tej pory odpowiadała jej anonimowość i pozostawanie w cieniu, bo nie musiała martwić się o nikogo, tylko powoli, systematycznie zdobywała pieniądze na rozpoczęcie nowego życia.

Teraz czuła dziwną wewnętrzną presję, prawie... przyciąganie. Czuła się jak nasionko, które ma za złe słońcu, że na nie świeci, bo wie, że nie ma innego wyjścia, niż wykiełkować, przebić twardą skorupę ziemi, pod którą czuło się bezpieczne, i zakwitnąć.

I wtedy zostać zdeptanym.

Koń znowu zastrzygł uszami; widać udzieliło mu się jej napięcie. Mruknęła do niego przepaszająco.

Przejazd przez London Bridge trwał wieki. Pod mostem płynęły brudne wody Tamizy, a przytłaczający odór rzeki unosił się w powietrzu. Jej wóz toczył się obok innych wozów, wwożących do miasta różnorakie towary - drewno na opał, kapustę, kurczaki w klatkach - obok powozów i dorożek wiozących z Southwark pasażerów, którzy mieli coś do załatwienia w mieście. Ludzie oglądali się za nią, patrzyli na jej ładunek i czym prędzej odwracali wzrok.

Madeleine nigdzie nie dostrzegła żołnierzy, konnych ani pieszych. To miłe ze strony angielskiej armii, że ubiera swoich żołnierzy w czerwone mundury. Dzięki temu o wiele łatwiej ich wypatrzeć. Minęła ją lśniąca kolaska: błyszcząły polerowane obręcze kół, wstążki od kapelusików dwóch ślicznych młodych dam i gałki lasek dwóch dżentelmenów siedzących naprzeciwko. Jak na arystokrację, dziwnie wczesna godzina na przejażdżkę, pomyślała. Chyba że wracają z nocnej imprezy, ale wtedy raczej nie jechaliby otwartym powozem. Była gotowa się założyć, że Colin Eversea zna każdą z tych osób. Przypomniała sobie, jak swobodnie rozmawiał z hrabiną i z jaką szczerą sympatią się nawzajem traktowali.

Ona nigdy nie poznała życia wyższych sfer i nigdy nawet o tym nie marzyła. W zwykłych okolicznościach raczej nie miałaby okazji poznać Colina Eversea. Jej

życie wypełniała praca; czuła się spełniona i znajdowała czas na skromne rozrywki. Miała wszystko, czego pragnęła, i była szczęśliwa. Dopóki wszystkiego nie straciła.

A potem była bardzo, ale to bardzo zapracowana.

Sto funtów.

Słońce prażyło ją w kark nawet mimo kapelusza i czuła wilgoć pod pachami. Nic nie zapowiadało deszczu, a przecież o tej porze roku powinni już mieć za sobą przynajmniej jedną porządną ulewę. Pomyślała o sukienkach, które wiszą w szafie w jej wynajętym pokoju. Wszystkie o wiele czystsze, lżejsze i... ładniejsze niż ta, którą na sobie miała. Pamiątki z jej dawnego życia leżały starannie zapakowane w kufrze, przygotowane do podróży przez ocean. Nagle zapragnęła mieć je przy sobie. Ale Croker na pewno miał rację: niebezpiecznie byłoby teraz tam wracać.

Kierując się wskazówkami doktora Augusta, Madeleine skręciła w Gracechurch Street. Trumna przesunęła się lekko na zakręcie i serce podskoczyło jej do gardła. Czy Colin się nie poobija?

Przejechała wzdłuż Gracechurch Street, minęła śliczny zadrzewiony placyk, który wyglądał jak Holland Park* w miniaturze, i skręciła w Lichen Lane. Zatrzymała konie przed posesją numer 12, nie zsiadła, lecz prawie sfrunęła z kozła i pobiegłszy na tył wozu, wetknęła palec w jedną z dziurek wywierconych z boku trumny. Czuła się jak idiotka, a jednocześnie umierała ze strachu, choć nie minęło nawet pół godziny, odkąd nad Colinem zamknęło się wieko.

* Holland Park - gęsto zadrzewiony park w dzielnicy Chelsea w Londynie (przyp. tłum.).

Złapał ją za palec i ścisnął uspokajająco. Musiała być zmęczona, bo coś zaczęło dławić ją w gardle. Ale na pewno nie łyzy.

Miała nadzieję, że nikt się nie zdziwi na widok kobiety rozmawiającej z trumną. Oby.

- Wrócę tak szybko, jak się da - szepnęła.

Wchodząc po schodkach domu oznaczonego numerem 12, żałowała, że rano mogła zobaczyć w lusterku tylko swoją twarz i nie ma pojęcia, jak wygląda od stóp do głów. Sukienka pewnie jest koszmarnie pognieciona, bo miała ją na sobie od dwóch dni, i spała w niej przez dwie noce. Przy tej ulicy, w cieniu wiekowych drzew, stały domy szacownych, zamożnych ludzi i Madeleine chciała wyglądać jak jedna z nich.

Zerknęła przez ramię. Było jeszcze wcześniej i dochodząca służba właśnie docierała do domów swoich państwa. Energicznym krokiem przemierzali ulicę i wchodzili po schodach.

Madeleine chwyciła kołatkę, zastukała dwa razy i czekała z uchem przy drzwiach. Odskoczyła, słysząc zbliżający się stukot kobiecych pantofli na marmurowej posadzce.

Kiedy drzwi się otworzyły, stanęła oko w oko nie z gospodynią, ale z kobietą, która mogła być tylko panią domu. Miała pociągłą twarz, szare oczy, gęste jasne włosy zwinięte w ogromny węzeł z tyłu głowy i bladozieloną suknię z guziczkami na gorsie.

Przez chwilę patrzyła na Madeleine, a potem w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia i - co dziwne - jakby desperacji.

- Jeszcze jedna - jęknęła.

Madeleine zamrugała.

- Bardzo panią prze...

Kobieta wzięła głęboki oddech i powiedziała drżącym, ale pełnym godności głosem:

- Droga pani, dobrze wiem, że mój Jonasz miał gorącą krew. Jego praca wymagała częstych wyjazdów, a zdaję sobie sprawę, że mężczyźni mają pewne potrzeby. To był krzyż, który musiałam dźwigać. Ale jak by się pani czuła na moim miejscu, skoro nagle w różnych zakątkach kraju zaczęli się pojawiać chłopcy o

ponaddwumetrowym wzroście? Wyobraża sobie pani moje upokorzenie? Teraz wszyscy się dowiedzą. Wie pani, jak to jest zastanawiać się, czy każde wyjątkowo wysokie dziecko to owoc niewierności pani męża? Kobiety go kochały. Wiele kobiet, jak się ostatnio przekonałam, bo przyjeżdżają tu w odwiedziny. Pani wygląda mi na taką w jego typie - dorzuciła z lekką goryczą.

- Ale ja...

- Nasza córka ma ponad metr osiemdziesiąt. Jaka jest szansa, że uda mi się znaleźć dla niej męża, któremu będzie mogła patrzeć w oczy, zamiast nosić go pod pachą? - Głos pani Pallatine zrobił się ironiczny.

Madeleine nie wiedziała, co powiedzieć.

- Metr osiemdziesiąt to słuszny wzrost - wyjąkała. - Ale obawiam się, że zaszło pewne...

- Jonasz zostawił tylko tyle pieniędzy, żeby starczyło na moje utrzymanie i posag naszej córki. Nic pani nie uzyska. Kilka kobiet już próbowało i wszystkie odesłałam z kwitkiem. Może się pani zabierać razem ze swoim niepospolicie wysokim dzieckiem, madame. Życzę powodzenia. Występy w cyrku są bardzo dochodowe, jak widać po naszym pięknym domu, ale ciągłe podróże to dla mężczyzn tylko pokusa, żeby znaleźć sobie kogoś na boku. Życzę miłego dnia.

Madeleine musiała złapać za klamkę, bo drzwi już się zamykały.

- Pani Pallatine - wyjaśniała gorączkowo - nie chodzi mi o pieniądze. Nie mam żadnego... niepospolicie wysokiego dziecka.

Pani Pallatine wyjrzała na ulicę. Zobaczyła wóz z trumną i na jej twarzy pojawił się kolejny zaskakujący wyraz - tym razem cynizmu.

- Ach, już rozumiem. Niestety muszę panią rozczarować. Nie zamierzam brać ślubu z kolejnym wyjątkowo wysokim mężczyzną. Ani z wyjątkowo niskim czy też z wyjątkowymi pod jakimkolwiek innym względem. Mam zamiar wyjść za pana Bella, adwokata, który jest zbudowany całkiem normalnie. Przestańcie wreszcie kręcić się tu jak sępy, bo nie będzie żadnych nowych ciał...

- Pani Pallatine, ja nie przyszedłam po ciało, tylko... z ciałem.

Pani Pallatine zamarła i przyglądała się Madeleine bez słowa. Najwyraźniej wyczerpała już wszystkie pomysły. Wreszcie zrobiła minę pełną ulgi.

Ku zadowoleniu Madeleine, która wreszcie mogła wyjaśnić cel swojej wizyty.

- Jestem tu - powiedziała - bo o ile mi wiadomo, zatrudnia pani służącą imieniem Mary, z którą chciałam porozmawiać w sprawie tego ciała.

- Są u mnie nawet dwie Mary, obie straszne flejtuchy - odparła pani Pallatine.

- Którą życzy pani sobie widzieć? W tej chwili powinny pracować, ale jedna na pewno jeszcze śpi, a druga narzuca się jakiemuś mężczyźnie. Dzisiaj mamy poniedziałek, więc prawdopodobnie jest to węglarz. Czego pani chce od Mary?

- Ten człowiek w trumnie był jej krewnym i chcę spytać, czy życzy sobie zająć się ciałem. Jeśli nie, zawiozę go na cmentarz dla biedoty. Jestem ze szpitala Edderly.

- Czyżby? - Pani Pallatine przyjrzała jej się uważniej i lekko zmarszczyła brwi.

- Tak, przysłała mnie doktor... - Madeleine w samą porę uświadomiła sobie, że w tym domu lepiej nie wymieniać nazwiska doktora Augusta - ...Smythe.

- Czy zajmuje się pani dostarczaniem ludziom ciał do domów? - W głosie pani Pallatine nie było podejrzliwości, raczej fascynacja. Najwyraźniej nigdy o czymś podobnym nie słyszała, i trudno się dziwić.

- Nie, ale w tym przypadku dostaliśmy wiadomość dosłownie w ostatniej chwili, kiedy już wyjeżdżaliśmy na cmentarz. A że pani dom jest po drodze, polecono mi tu zajrzeć i zapytać, w razie gdyby trzeba było zmienić plany. Szpital Edderly dokłada wszelkich starań, żeby odnaleźć krewnych pacjentów, którzy umierają pod naszą opieką. Władze zawsze są zadowolone, jeśli krewni przejmują ciało. Czy to nie smutne, kiedy ktoś musi samotnie odchodzić z tego świata?

W uszach samej Madeleine ta historia brzmiała absurdalnie, ale liczyła na swoje zdolności aktorskie i wzmiankę o władzach. Bo czemu szanująca się kobieta - a miała nadzieję, że na taką wygląda - jeździłaby po mieście z trumną na wozie?

Pani Pallatine westchnęła.

- Zaraz przyślę obie Mary. Proszę to z nimi wyjaśnić. Może pani wejdzie, pani...

- Lepiej zostanę przy trumnie - powiedziała Madeleine.

- No tak, ma pani rację. Z tymi złodziejami ciał nigdy nic nie wiadomo.

Co Madeleine mogła na to powiedzieć?

- No właśnie - odparła poważnym tonem.

W tej samej chwili Colin pomyślał, że od paru tygodni przebywa w coraz ciaśniej szych i coraz ciemniejszych pomieszczeniach. W trumnie nie było mu szczególnie niewygodnie, ale nie mógł też powiedzieć, że jest mu wygodnie. Nie był w stanie poruszyć się w żadną stronę o więcej niż parę centymetrów, a kiedy wyciągał rękę, podskakiwało wieko. Słoma go łaskotała i czuł, że pot spływa mu po plecach. No i jeszcze ta ciągła obawa, że może będzie musiał w ułamku sekundy poderwać się do działania.

Z drugiej strony, strach ostatnio ciągle mu towarzyszył i prawie się do niego przyzwyczał.

Zaczął planować, co zrobi, jeśli wieko się podniesie i zamiast Madeleine zobaczy nad sobą kogoś innego. Przez chwilę wyobrażał sobie, że patrzy w błękitne oczy Louisy, ale jej twarz nawet w wyobraźni miała wyraz takiego przerażenia, że dał sobie spokój. Skrzyżował ręce na piersiach. W jednej trzymał pistolet, który był w stanie dość szybko odbezpieczyć. Może nawet zdołałby wsadzić napastnikowi palce w oczy albo...

Madeleine zaryzykowała podniesienie wieka o kilka centymetrów. Zobaczył dwoje oczu ocienionych gęstymi rzęsami.

- Dzień dobry - szepnęła.

- Witam panią - odpowiedział również szeptem.
- U pani Pallatine pracują dwie Mary. Zaraz tu przyjdą. Może pan odдыchać?
- O tyle, o ile.
- Czego więcej można chcieć od życia?

Uśmiechnął się i zobaczył, że jej oczy też mrużą się w uśmiechu. Dostrzegł w nich znajome iskierki i wieko opadło.

Przez ścianki jego sosnowego więzienia przeniknął ostry kobiecy głos:

- To moje, powiadam ci, Mary. Już cię tu nie ma.
- A skąd niby wiesz, że twoje? - odpowiedział drugi głos, bardziej jęśliwy.

Dwie Mary, pomyślał Colin.

- Bo wiem. - Pierwsza Mary mówiła z pogrózką w głosie. Bardzo przekonujące, stwierdził Colin.

Za chwilę druga Mary pisnęła i usłyszał, jak wbiega po schodach do domu.

Trochę go bawiło, że mówi się o nim per „ciało” i że Mary, która została, tak zażarcie o nie walczyła. Domyślał się, dlaczego: kiedy patrzyła na trumnę, widziała banknoty.

I tu ją mieli.

Serce zaczęło mu dudnić na znajomą już nutę, więc tylko przekreślił głowę w bok, żeby mieć ucho bliżej wywierconych dziurek.

- Jesteś absolutnie pewna, Mary? - spytała Madeleine. - Powiedziano mi, że mogę przywieźć ciało, a ty już będziesz wiedziała, co z nim zrobić.

- O, tak. - Mary natychmiast zrobiła się rzeczowa i konkretna.

- Trza pani mojego starego, Critchleya. To była niezła historyjka, paniusiu, ale nie trza było przywozić ciała w biały dzień. Za dwa funty powiem pani, gdzie szukać Critchleya. Dostaniesz pani za niego cztery funty, jeśli to duży, a Critchley już go dalej opchnie doktorom i może jeszcze coś pani dołoży, bo zrobiła pani za niego część roboty. Ale, ale... niech no zajrzę do środka? - powiedziała podejrzliwym tonem.

- Nie dam sobie wcisnąć trumny pełnej kamieni...

Wiek odeskoczyło i nad Colinem zamajaczyła puciołowata twarz. Niestety nie zdążył w porę zamknąć oczu. Usta dziewczyny ułożyły się w olbrzymie „O” i wydobył się z nich zaczątek krzyku, który zapowiadał takie natężenie dźwięku, że Colin omal sam nie wrzasnął.

W polu widzenia pojawiła się ręka Madeleine, która zatkała dziewczynie usta i odciągnęła ją w tył; wieko opadło.

Znając Madeleine, podejrzewał, że wsadziła służącej pistolet pod zębra. Ale nie poradzi sobie sama.

Colin ostrożnie uniósł wieko.

- Ja chcę tylko nieżywych - mówiła Mary.

Czarujące dziewczę, pomyślał. A żywy jestem wart sto funtów, miał już na końcu języka.

Głos Madeleine był cichy i przekonujący.

- Mary, pojedziesz teraz z nami na krótką przejażdżkę. Obiecuję, że tego nie pożałujesz. Jeśli jednak zaczniesz krzyczeć, to ty i Critchley możecie mieć poważne kłopoty, bo wiemy wszystko o rabusiach grobów.

- Ale jak pojedę, to pani Pallatine na pewno mnie wyrzuci - opierała się służąca.

- No cóż, Mary. - Madeleine była wcieleniem rozsądku. - Mamy pistolety i pieniądze, ale jest nam wszystko jedno, czego użyjemy, żeby dostać od ciebie to, czego chcemy. Wybieraj.

Colin uniósł się w trumnie, ale nie na tyle, żeby go było widać nad burtami wozu. Odgarnął włosy z czoła, zmrużył oczy w słońcu i odbezpieczył pistolet.

Ten dźwięk zwrócił uwagę Mary, która odwróciła głowę i wbiła w niego wzrok.

- A pan to kto, do diabła... Przecież... Czy pan... - Rozdziawiła usta. - Łomatkobosko, toż to Colin Eversea!

Jej głos wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż przeszedł w cienki pisk.

Colin zaprezentował swój najlepszy rozbrajający uśmiech.

Z twarzy służącej wyparowała cała złość, a na jej miejscu pojawił się wyraz dziewczęcej nieśmiałości. Była to nalana twarz o szeroko rozstawionych małych błękitnych oczkach, które przypominały Colinowi rodzyнки wciśnięte w świąteczny pudding.

Ale patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby to on był świątecznym puddingiem.

- Colin Eversea - westchnęła z uwielbieniem. - Kupiłam bilet na pana proces, słowo daję. Odkładałam z pensji. Patrzyłam na pana cały dzień. Critchleyowi się to nie spodobało, o nie.

- Chcemy ci zadać kilka pytań - powiedział łagodnie. - A za odpowiedzi dostaniesz od nas... - za plecami Mary Madeleine pomachała banknotem - ...funta.

- No to pytajcie. - Mary zrobiła się nader chętna do współpracy. - Pani Pallatine płaci mi tyle, co kot napłakał.

Rozdział 15

Kiedy Mary wsiadła do wozu, Colin zamknął wieko trumny, a Madeleine szarpnęła lejcami. Podjechali za róg ulicy, do małego skwerku porośniętego drzewami.

Jedyną osobą, którą tam zastali, była piastunka szamocząca się z małym chłopcem. Mocno trzymała go za rękę, a dzieciak wił się i skakał wokół niej, cały czas głośno marudząc. Dobrze. Kobieta nie będzie zwracać na nich uwagi.

Muszą jednak załatwić sprawę, zanim ulica na dobre się rozbudzi, czyli bardzo szybko.

Colin wy dostał się z trumny, zeskoczył z wozu i zaczął wciągać wielkimi haustami powietrze, jakby mógł się nawdychać na zapas.

Rozejrzał się po parku. Był maleńki, ale uroczy. Wśród dębów i brzoź rosły kwiaty posadzone w równych rzędkach, a wzdłuż żwirowej ścieżki stało kilka ławeczek. Odwrócił się z powrotem do wozu i napotkał pełne uwielbienia spojrzenie Mary.

Zerknął kątem oka na Madeleine. Nawet zmęczona i w pomiętej sukni wydawała mu się piękna. W krótkiej wymianie spojrzeń ustalili, że to on będzie mówił.

- No więc, Mary - zaczął - wiemy, że doktor August zapłacił ci za informacje na temat pana Pallatine'a, a ty potem powiedziałaś mu o rabusiach grobów.

- Och, tak, panie Eversea. Doktor August płacił mi bardzo przyzwoicie, dopóki panu Pallatine'owi nie wysiadło serce. No to mu powiedziałam o Critchleyu. Critchley to mój stary - mruknęła od niechcenia, po czym posłała Colinowi promienny uśmiech, niewątpliwie oznaczający, że gdyby tylko powiedział słówko, ona chętnie wymieni Critchleya na niego. - Doktor August to porządny klient, tak mówi Critchley. Nieźle płaci za duże - dorzuciła usłużnie.

- Czy Critchley pracuje dla kogoś jeszcze oprócz doktora Augusta?

- Sprzedaje ciała doktorowi Augustowi i innym doktorom z Edynburga, do szkoły.

- Z Edynburga? Jak, na Boga... - Colin wolał nie myśleć, w jakim stanie docierają tam ciała. - Jak je dostarcza do Edynburga?

- Ma do tego szybki powóz - wyjaśniła Mary. - W nocy wywozi je aż do Baraniego Folwarku w Marble Mile w jakieś cztery, pięć godzin. Potem ładują je na statek i wiozą dalej do Szkocji.

- Szybki powóz? - wtrąciła się Madeleine. - To nie żaden wóz ani dorożka?

- A skąd - prychnęła Mary. - Szybki jak dyliżans pocztowy, w środku ma siedzenia ze skóry, na zewnątrz cały się błyszczy, a konie, gniadosze, wszystkie cztery! Tak mi mówił Critchley, bo ja z nim je widziała tylko po ciemku. To jest powóz z Klubu Merkuriusza.

Colinowiomal nie stanęło serce.

- Pamiętasz może coś więcej? Zauważyłaś na drzwiach jakiś herb albo malunek?

- Nie mogę powiedzieć, panie Eversea.

- Nie możesz czy nie chcesz? - drażył Colin. Madeleine posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Jak często Critchley jeździ do Marble Mile? - chciał wiedzieć Colin.

- Raz na miesiąc. Jak jest pełnia, bo wtedy łatwiej wykopywać ciała. Więcej światła, rozumiecie państwo.

Madeleine i Colin oczyma wyobraźni ujrzeni tę ponurą scenę i oboje na moment zaniemówili.

- Eeee... rozumiem. Kiedy ostatnio tam pojechał? W więzieniu nie bardzo da się śledzić fazy księżyca, więc nie wiem, kiedy była pełnia.

- Chyba niedługo znowu się wybierze, panie Eversea. Ostatnio jechał ponad dwa tygodnie temu.

Colin poczuł, że pocałował mu się ręce. Nagły przyptyw nadziei sprawił, że zrobiło mu się słabo.

- Ale co to był za dzień, Mary?

Najwyraźniej powiedział to ze zbyt dużym naciskiem, bo dziewczyna cofnęła się o krok i zmarszczyła brwi, zerkając na funtowy banknot, który trzymała w ręku, jakby się zastanawiała, na ile się zgodzić za tę cenę. Potem znowu spojrzała na niego.

Cholera. Chyba będzie musiał pocałować tę dziewczynę, żeby wyciągnąć z niej więcej informacji. Na razie, rzucił jej kolejny przyjazny uśmiech, co nie było łatwe, bo w środku aż się gotował z niecierpliwości.

- Pamiętasz, jaki był wtedy dzień tygodnia? - zapytał słodkim głosem.

- Zdaje mi się, że wtorek. Pamiętam, jak żem poszła na targ kupić ten ser, co Critchley go tak bardzo lubi, ale jego nie było w domu, więc...

Jeszcze przez chwilę gadała o serze i paru innych rzeczach, ale Colin jej nie słuchał. Bo w tej chwili już wiedział: Horacy Peele został wywieziony do małej romantycznej chatki w Marble Mile szybkim powozem pełnym zwłok następnego dnia po tym, jak zginął Roland Tarbell.

Może więc Horacy jeszcze żyje. Po co bowiem ktoś zadawałby sobie trud wywożenia go aż do Marble Mile, gdyby planował go zabić? W Londynie wszystko można kupić, nawet czyjaś śmierć. O wiele łatwiej byłoby zamordować Horacego tutaj.

Możliwe zatem, że osoba, z którą mają do czynienia, nie jest całkiem zła.

Ale może być... zdeterminowana.

Colin wziął głęboki oddech, próbując nie dopuścić do siebie myśli, która mogłaby mu odebrać promyk nadziei.

- Powiedz, Mary, czy jest jeszcze ktoś, kto wie, czym zajmuje się Critchley?

- Tylko moja siostra. Kiedyś też pracowała u pani Pallatine, ale znalazła se lepszą pracę. Bo moja siostra jest ładna. - W głosie Mary nie było zazdrości. Powiedziała to tak, jakby uroda jej siostry wszystko wyjaśniała.

I prawdopodobnie tak było. Chociaż, pomyślał Colin, jakoś trudno w to uwierzyć.

- A gdzie teraz pracuje? - spytał.

- Och, została służącą w Klubie Merkuriusza. I ma tam nawet kochanka.

Colin zacisnął powieki i w duchu odśpiewał dziękczynne alleluja.

Po czym, zaskakując wszystkich i w tym siebie, schylił się i pocałował Mary Poe w policzek.

Dziewczyna przycisnęła dłoń do purpurowej teraz twarzy, jakby mogła tam zatrzymać jego pocałunek już na zawsze.

- Nic nie mów Critchleyowi - szepnął Colin. - I nie wspominaj nikomu innemu, że mnie widziałaś.

- Pan jest niepoprawny - stwierdziła Madeleine, kiedy odwieźli Mary Poe do domu pani Pallatine i wrócili do parku, żeby omówić to, czego się dowiedzieli. Miała już dość mówienia do trumny. Było to zarazem absurdalne i makabryczne.

Sto funtów, pomyślała znowu. Zdobyłaby pieniądze i jednocześnie pozbyłaby się tego dręczącego naporu sprzecznych uczuć.

- Pani też by chciała całusa, pani Greenway? - spytał z szelmowskim uśmiechem, który sprawił, że jej serce stopniało. Wszystko w niej wyrywało się do niego, a jednocześnie miała ochotę uciekać jak najdalej.

Colin wyszedł z trumny i oparł się o nią, leżąc na wozie.

- Czemu miałabym chcieć czegoś, co pan rozdaje za darmo na lewo i prawo? - odparła chłodno.

- Za darmo? - zachnął się. - Ten pocałunek to była inwestycja. Kupiłem za niego lojalność i milczenie. Miejmy nadzieję.

- Myśli pan, że zdoła się powstrzymać, żeby nie pochwalić się tym pocałunkiem?

- Och, nawet jeśli coś powie, i tak nikt jej nie uwierzy - odparł Colin. - A ten cały Critchley nie wygląda mi na przyjemnego człowieka. Gdyby mu powiedziała, to założę się, że raczej by się nie ucieszył.

Sto funtów. Ta myśl ciągle była przy niej. Głośno powiedziała coś innego.

- Więc jej siostra pracuje w Klubie Merkuriusza, do którego należy pański brat Marcus.

- Tak - burknął, ale przypomniawszy sobie o dobrych manierach, dodał grzeczniej: - Podobnie jak Isaiah Redmond i wielu innych.

A emblemat na ich powozie przedstawia parę uskrzydłonych stóp, za którymi ciągną się płomienie. Domyślam się, że ma to symbolizować szybkość. Merkury był posłańcem bogów.

- Ognisty rydwan - powiedziała cicho Madeleine.

Przez chwilę zastanawiali się w milczeniu, jak też potoczyłyby się zdarzenia, gdyby pewien pijak wypowiedział się nieco bardziej konkretnie, a mniej poetycko.

- Horacego Peele'a wywieziono tamtej nocy do Marble Mile w powozie należącym do Klubu Merkuriusza. - Colin mówił na wpuł do siebie. - Muszę więc jechać do Marble Mile.

Dawniej dojechałyby tam w kilka godzin szybkim powozem, ale teraz Marble Mile równie dobrze mogłoby leżeć w Ameryce, zważywszy na prędkość ich obecnego środka transportu. Nie wspominając o tym, że Colin był zbiegłym przestępcą. I że w trumnie ledwo dało się oddychać.

- Przecież nie możemy tak jechać, pan w trumnie, a ja na koźle tego żalósnego wozu. Może spróbowalby się pan zakraść do Klubu Merkuriusza, żeby zobaczyć, czy...

Poderwał głowę i warknął:

- Cztery dni, pani Greenway.

Madeleine zamilkła, zdezorientowana.

Wpatrywał się w nią przez moment niewidzącym wzrokiem; oczy miał zamglone i pełne wściekłości. Potem westchnął, oparł czoło na dłoni i potarł je, jakby chciał wydobyć dzina z czarodziejskiej lampy.

Wtedy pojęła, o czym mówił: za cztery dni Marcus, który być może zaaranżował zniknięcie Horacego Peele'a, poślubi kobietę, którą kocha jego brat, i zacznie żyć życiem, które należało się jemu.

- Proszę o wybaczenie, pani Greenway - powiedział Colin sztywno. - Chodziło mi o to, że mogę spędzić te cztery dni, wałęsając się po Londynie i być może nie dowiadując się niczego, albo też jechać prosto do Marble Mile, być może odnaleźć tam Horacego Peele'a i... skończyć z tym wszystkim.

Być może, być może, być może.

Marble Mile było o jakieś pół dnia drogi dyliżansem. Podróż w obie strony zajmie dwa dni, jeśli nie dłużej. I Bóg jeden wie, gdzie jest Barani Folwark. Niełatwy wybór.

- Poza tym mój terminarz na najbliższe dni nie jest wypełniony - dorzucił Colin.

Madeleine zastanawiała się, skąd u niego ta umiejętność obracania wszystkiego w żart, kiedy sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Wzruszało ją to głęboko, chociaż sama nie wiedziała dlaczego.

- Pozostaje jeszcze drobna sprawa znalezienia osoby, która do pani strzelała, pani Greenway - dodał. - I nie zapłaciła pani.

- Chwilowo zależy mi po prostu na tym, żeby ktoś mi zapłacił. Jak już mówiłam, pilnie potrzebuję tych pieniędzy. - I potrzebuję się wykapać, dodała w myśli. Chcę wrócić do swojego mieszkania. Chcę moich ubrań. Chcę znowu móc decydować o własnym życiu. I chcę stąd wyjechać.

- A ja jestem wart sto funtów. Tak przynajmniej mówią. - Colin podniósł głowę i wbił w nią wzrok.

To była próba i Madeleine o tym wiedziała, ale jego bezpośredniość trochę ją zaskoczyła.

Wytrzymała jego spojrzenie. Był bardzo blady, twarz pokrywał mu rudobrazowy zarost, a oczy miał podkrążone ze zmęczenia. Ale patrzył na nią stanowczo, bez zmrużenia powiek. Nie było w tym spojrzeniu wyzwania ani kokieterii, ani ciepła.

Szukał w jej oczach odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze głośno nie zadał. Tak samo jak ona miał już dosyć niepewności.

Czy zastrzeliłby ją, gdyby próbowała go wydać za nagrodę? Wiedział o niej kilka ważnych rzeczy, na przykład to, że nikt by po niej specjalnie nie płakał, a może nawet nikt nie zauważyłby jej śmierci.

Zerknęła w dół. Colin Eversea sprawiał wrażenie rozluźnionego, a obie ręce, w tym tę z pistoletem, opierał na kolanach. Ale to nic nie znaczy. Widziała już, jak szybko potrafi działać.

Nagle, ku zdumieniu Madeleine, Colin zabezpieczył pistolet i podał go jej kolbą do przodu.

- Niech pani zdecyduje - powiedział po prostu. Wpatrywała się w wyciągnięty w jej stronę pistolet, jak gdyby stanął w płomieniach.

Wreszcie sięgnęła po niego ostrożnie, a Colin puścił pistolet bez protestów.

Był cięższy niż jej kieszonkowa broń, przyjemnie duży i dawał pewność, że nawet z odległości pięćdziesięciu kroków można nim zrobić człowiekowi dziurę w piersiach.

Czyżby Colin Eversea zdał się na jej łaskę?

Nie wiadomo. W końcu jest diabelnie szybki. Na pewno już obmyślił, jak ją rozbroić, gdyby chciała do niego strzelić.

Tymczasem marudzenie chłopczyka z piastunką zmieniło się w prawdziwy atak złości. Rzucił się na trawę i z głośnym płaczem zaczął się tarzać po ziemi. Zagłuszał wszystko, ptaki nie miały przy nim szans. Dźwięk jego zawodzenia

stanowił dziwaczne tło dla ich cichej, napiętej wymiany zdań. To był dźwięk z jej przeszłości. Miała nadzieję, że pewnego dnia znów go usłyszy. Dzieci. Poczwała bolesny skurcz serca.

- Słyszałam, że dramatyczne gesty to pana specjalność - powiedziała w końcu lekkim tonem.

Kąciki jego ust lekko drgnęły, ale w oczach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

- Dramatyczne gesty to często najlepszy sposób na wyrażenie tego, co się czuje - odparł zaskakująco poważnie.

Sto funtów.

Madeleine spojrzała nad ramieniem Colina w stronę chłopca i jego piastunki. I nagle pomyślała, że ona i Colin Eversea mają w tej chwili jedną wspólną cechę: oboje są bardzo - z naciskiem na „bardzo” - samotni.

Nie wiedzieć czemu, przypomniało jej się, jak uścisnęła mu rękę w piwnicy spalonej gospody w St. Giles. Dżentelmeńska umowa. Mogłaby się tym zasłonić. Ale prawda wyglądała tak, że tkwiła zawieszona między swoim dawnym a nowym życiem, a do tego była ciekawa, jak się to wszystko skończy. Poza tym Colin Eversea wrósł w nią już tak mocno, że nie wiedziała, jak się od niego uwolnić, nie narażając się na ból.

I przynajmniej na razie nie chciała dłużej być sama.

- Chcę dwustu funtów od pańskiej rodziny.

- Załatwione - rzucił Colin sucho.

Ale uśmiechnął się przy tym, jakby dobrze wiedział, jaki tok myśli doprowadził ją do tego stwierdzenia, którym chciała ocalić resztki dumy. I wziął pistolet, który mu oddała.

Niebezpieczny człowiek.

Czemu więc ona też się do niego uśmiecha?

- Jedziemy do Marble Mile - zdecydowała.

Rozlano brandy i każdy klubowicz miał w ręku kieliszek. Isaiah Redmond powoli podniósł się z fotela - Marcus zawsze podejrzewał, że wstaje tak wolno, by wszyscy zdążyli pomyśleć: Wielkie nieba, jakiż on wysoki! - i przemówił:

- Panowie, chciałbym was serdecznie powitać na comiesięcznym zebraniu Klubu Merkuriusza. Bardzo mnie cieszy, że wszyscy członkowie mogli przybyć na dzisiejsze spotkanie.

Marcus podniósł kieliszek do ust, żeby zasłonić swoją kwaśną minę. Słowa Isaiaha zawierały wyraźną aluzję do tego, iż jeden z członków klubu miał powód, aby być tego wieczoru gdzie indziej, jako że jego brat przed zaledwie dwoma dniami w spektakularny sposób zniknął spod szubienicy i w tej chwili mógł się znajdować dosłownie wszędzie. Dla niektórych rodzin byłby to powód, żeby przestać się pokazywać publicznie. Ale dla rodziny Eversea był to dzień jak co dzień.

Wszyscy pozostali albo byli zbyt dobrze wychowani, żeby spojrzeć na Marcusa, albo wypili za dużo brandy, by zrozumieć podtekst Redmonda. Chociaż na pewno aż się pała, żeby porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Marcus miał nadzieję, że nie będzie musiał nikogo wyzywać na pojedynek, kiedy już padną jakieś słowa na jego temat - co nie było wykluczone, zwłaszcza gdy poleje się więcej brandy i alkohol usunie zahamowania, które kazały wielu osobom rozsądnie milczeć.

Niewykluczone, przyznał sam przed sobą, że trochę przesadza. Ale mało prawdopodobne. Przesada - nie mówiąc już o pojedynkach - była domeną Colina.

Zmusił się do myślenia o czym innym. Salon klubu, ciepłe, przyjemne pomieszczenie w męskim stylu, nigdy mu się specjalnie nie podobał, głównie dlatego, że wystrój wnętrza był pomysłem Isaiaha Redmonda. W starannie wypolerowanym blacie stołu z ciemnego orzecha odbijały się łysiejące czaszki, kieliszki, perłowe guziki i okulary. Trzy lampy gazowe - ostentacyjne podkreślenie bogactwa i nowoczesnych poglądów Redmonda - zalewały światłem całe

pomieszczenie i sprawiały, że mosiężny żyrandol z kryształami stawał się tylko ozdobą.

To mu przypomniało, jaki będzie temat dzisiejszego zebrania. Mieli rozmawiać o oświetleniu gazowym.

- Pierwszy punkt naszego spotkania to oficjalne powitanie nowego członka klubu. Panie Baxter, czy mogę prosić, żeby powstał pan z miejsca?

Pan Baxter w pozycji stojącej przypominał literę D na dwóch cienkich nóżkach. Jego starannie dobrany, stonowany strój sprawiał wrażenie całkiem nowego, a kamizelka była idealnie dopasowana do imponującej krzywizny brzucha. Guziki z masy perłowej ani trochę się nie naciągały. Na nosie miał grube okulary, zza których prawie nie było widać oczu.

- Jak wszystkim wiadomo, pan Baxter jest moim wspólnikiem... Wszystkim wiadomo było również, że Redmond chciał powiedzieć „pośrednikiem”.

- ...już od wielu lat. Jego rady zawsze były bardzo cenne i nieraz pomogły mi podjąć słuszną decyzję w inwestycjach. Wielokrotnie poświęcał czas i siły dla naszego klubu i dlatego jesteśmy zachwyceni, że możemy pana wreszcie oficjalnie przyjąć do naszego grona, panie Baxter.

„Zachwyceni” to zbyt wiele powiedziane. „Zadowoleni” - być może, o ile Baxter będzie w stanie dokładać się finansowo i podejmować dobre decyzje w inwestycjach. A jeśli sprawnie radzi sobie na koźle, tym lepiej.

Wokół stołu rozległy się uprzejme oklaski.

- Wybiera się pan z nami do parku w tę sobotę, panie Baxter? Ścigamy się na czas w klubowym powozie, może uda się panu któregoś z nas pobić. - Mężczyźnie, który się odezwał, aż zaświeciły się oczy na myśl o zawodach.

- Och, wciąż jeszcze uczę się powozić dużymi pojazdami, panie Bradshaw. Ale mam za to śliczną nową kariolkę i nią mogę się z panem pościgać.

Bradshaw skinął głową.

- Z przyjemnością, panie Baxter.

Kilku dżentelmenów zaśmiało się uprzejmie, ten i ów rzucił jakąś uwagę o kariolkach i o targach koni w Tattarsall's, ale Marcus, choć interesowały go zarówno kariolki, jak i konie, tylko się uśmiechał i w ogóle nie słuchał, bo właśnie się zastanawiał, co go zaniepokoiło w słowach Baxtera.

„Wciąż jeszcze uczę się powozić dużymi pojazdami”.

Dziwne, że Baxter nie radzi sobie z dużymi powozami, takimi jak ten należący do klubu. Cóż, wzbogacił się nie tak dawno, może jeszcze nie miał okazji takim jeździć. Teraz jako członek klubu będzie mógł z niego korzystać, ilekroć mu się zamarzy.

Ale musiałyby wynająć woźnicę.

Rozdział 16

Colin wyszedł z trumny, dopiero gdy po długiej, mozolnej jeździe przez miasto dotarli do St. Giles. Zostawili konie i wóz pod opieką rezolutnego, aczkolwiek niezmiernie umorusanego chłopaczka, na zachętę dając mu monetę, a Madeleine tak skokietowała dorożkarza, że za trzy funty zgodził się na kurs aż do zajazdu dla dyliżansów na obrzeżach Marble Mile.

Zgodził się, bo jak mówił, tam bez trudu znajdzie pasażerów na powrót.

Wsiadła, a Colin zaczekał, aż woźnica się odwróci, i chyłkiem wskoczył za nią. Znowu znaleźli się we dwoje w ciasnej, zamkniętej przestrzeni, tyle że tym razem byli w ruchu i w szybkim tempie oddalali się od miasta.

Dorożka była stara, pozbawiona resorów i, jak większość londyńskich dorożek, miała na drzwiach ślad po usuniętym herbie. Colin zabawiał się domysłami, czy aby pojazd nie należał kiedyś do hrabiego Malmseya.

- Chce pani usłyszeć coś zabawnego? - zapytał po długiej chwili milczenia.

- Chętnie - odparła Madeleine.

Uśmiechnął się samymi kącikami ust.

- Na pewno zauważyła pani, że ludzie uważają mnie za kogoś w rodzaju bohatera.

- Czyżby?

Skrzywił się.

- Zabawne jest to, że przez całe życie starałem się jakoś... wyróżnić. Wszyscy moi bracia są pod jakimś względem wyjątkowi. Marcus zna się na zarabianiu pieniędzy. Ian i Chase są bohaterami wojennymi. Widzi pani, obaj wrócili do domu ciężko ranni. A ja wyszedłem z wojny bez szwanku i tym sposobem bohaterstwo przeszło mi koło nosa. Ojciec woli ich ode mnie.

- Myśli pan, że ma jakiś powód?

Znowu leciutko się uśmiechnął. Ciekawe, że nawet nie zaprzeczyła. Każda inna kobieta zaczęłaby go pocieszać, że na pewno tak nie jest.

- Myślę, że zawsze tak było. - Nigdy nikomu tego nie powiedział i nie było mu łatwo to zrobić. - Dziewczęta, Olivia i Genevieve, są najmłodsze, pewnie dlatego ojciec je rozpieszcza. No i są do niego bardzo podobne, tylko ładniejsze. A kiedy ja się urodziłem, miał już trzech synów. Zabawne, bo od dzieciństwa robiłem różne rzeczy tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę. A później zaczęło mi sprawiać przyjemność szukanie nowych doznań i sprawdzanie, jak daleko mogę się posunąć. Nie potrafiłem się powstrzymać. Czasami sprawy przybierają nieoczekiwany obrót i tak właśnie było ze mną: ani się obejrzałem, a już zwisiałem z połamanej drabinki pod oknem lady Malmsey. Madeleine Greenway roześmiała się.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Że to czysta ironia losu, że ludzie uważają mnie za bohatera akurat z powodu czegoś, czego nie zrobiłem. I to czegoś... tak potwornego.

Colin nie mógł tego znieść i trudno mu było o tym mówić. Zwłaszcza że miał w rodzinie prawdziwych bohaterów.

Ale chciał usłyszeć, co myśli na ten temat Madeleine Greenway.

Odezwała się dopiero po chwili.

- Był pan na wojnie i narażał życie dla kraju. Wrócił pan do domu cało i zdrowo, a przy okazji udało się panu nie narazić na niesławę, przynajmniej w gazetach o tym nie pisali, a znając życie, gdyby okrył się pan hańbą, na pewno by o tym wspomnieli, bo przecież uwielbiają o panu pisać. Przetrvanie na wojnie wymaga sporego talentu i umiejętności. Jest pan świetnym obserwatorem i może właśnie to pomogło panu być dobrym żołnierzem i nieraz uratowało życie panu i innym.

On sam nigdy w ten sposób o tym nie myślał. Parsknął lekceważąco.

- Mnie też uratował pan życie - dodała cicho. - Nie zostałam zastrzelona tylko dlatego, że pan coś zauważył. Może nie mam racji?

- Och, to był tylko instynkt. Taki męski odruch, żeby przewrócić kobietę na ziemię i rzucić się na nią całym ciałem. Rozumie pani, miałem długą przerwę. Więzienie i tym podobne.

Z uśmiechem odchyliła głowę na oparcie. Jej ciemne włosy znowu wymknęły się spod szpilek i cienkimi wężykami spływały po szyi. A to diabolicznie, żeby tak człowieka kusić. Doprawdy, powinna bardziej się troszczyć o fryzurę. Te luźne kosmyki przyciągały wzrok i przypominały mu, że niedawno dotykał jej ucha, chłodnego i jedwabistego, jej nagiej dłoni i twardego sutka, chociaż przez muślin sukienki. Jeśli nie przestanie o tym myśleć, zaraz zrobi mu się za ciasno w spodniach, więc może lepiej posłuchać, co mówi Madeleine.

A mówiła tak:

- Przecież mógł pan zginąć, kiedy rzucił się pan na mnie. Wtedy wszystkie moje wysiłki, żeby pana uwolnić, poszłyby na marne.

- No dobrze, niech będzie. Zachowałem się bohatersko - ustąpił. - I proszę mi wybaczyć, że okazałem taki samolubny brak poszanowania dla pani wysiłków.

Znowu się roześmiała. Dziwne, ale ilekroć się śmiała, on czuł ogromne zadowolenie, zupełnie nieadekwatne do sytuacji. Miała uroczy śmiech, szczery i niepoahamowany.

Jeszcze nigdy nie musiał się tak wysilać, żeby kogoś oczarować. Sięgał do żelaznych rezerw w głębi serca, umysłu i duszy.

Ta kobieta go wykończy.

- Czasem bohaterstwem jest zachowanie godności w obliczu najbardziej niesprzyjających okoliczności. - Mówiąc to, nie patrzyła na niego. Wyglądała przez okno powozu.

Przyglądał jej się przez chwilę, po czym spytał z szerokim uśmiechem:

- Czyżby powiedziała mi pani komplement, pani Greenway?

- Ależ skąd, nawet mi to nie przyszło do głowy - odparła. Wciąż odwracała wzrok

I tak mijała im droga. Próby rozmowy przeplatały się z chwilami drzemki, aż wreszcie dotarli do zajazdu dylizansów pocztowych. Madeleine zapłaciła woźnicy, a Colin przyczał się w cieniu, czekając, aż wypyta kogoś z miejscowych, jak trafić na Barani Folwark. („Prosto tą drogą jakieś dwa, trzy kilometry, minąć farmę, potem małą gospodę, a jak już ujdiesz pani jeszcze ze dwa kilometry i miniesz takie pięknie rozrośnięte dęby, to zobaczysz pani folwark przy drodze, jego nie da się przegapić. Jak pani trafisz na taki dąb, co to ma narośl na pniu i wygląda jak stary dziad, znaczy, żeś pani zaszła za daleko. Ale choroba wi, kto tam teraz mieszka na folwarku”).

Niestety, tubylec ich oszukał.

Czy raczej, ściślej rzecz ujmując, nie doszacował, jak to często bywa z ludźmi ze wsi, przyzwyczajonymi do chodzenia na piechotę; odległości nic dla nich nie znaczą.

Madeleine i Colin szli i szli, a słońce coraz niżej i niżej opuszczało się na łożę z postrzępionych chmur, które z różowych stawały się fioletowe. Trzy wyjątkowo rezolutne gwiazdy już mrugały na niebie.

Widać też było cienki rąbek księżyca, który rzucał tyle światła co lampa zza uchylonych drzwi.

Innymi słowy, nie najlepsza noc na wykopywanie zwłok.

Za godzinę całkiem się ściemni, a dotąd nie napotkali żadnych śladów świadczących, że zbliżają się do Marble Mile. Nie minęli też żadnej gospody. Przed nimi i za nimi ciągnęły się pola i łąki, na których świerszcze już zaczęły swój wieczorny koncert.

Rozmowa się nie kleiła i ciążyła im pełna napięcia cisza, tak dotkliwa, że niemal było ją słyszeć. Żadne nie chciało przyznać, że sytuacja robi się niewesoła.

- Mieliśmy minąć jakąś farmę - powiedział Colin, głównie do siebie, jako że Madeleine o tym wiedziała.

Gdy na całkiem już granatowym niebie pojawiły się kolejne gwiazdy, zobaczyli stodołę. A właściwie to Colin zobaczył. Dojrzał duży, ciemny kształt mający w oddali, ale od razu się domyślił, co to takiego.

Bez słowa zdjął frak i okrył nim ramiona Madeleine.

Frak pachniał sosnowymi deskami trumny i samym Colinem; poczuła, jakby okrył ją nie ubraniem, lecz własnym ciałem.

Ale on nawet na nią nie patrzył.

- Przenocujemy tutaj - szepnął, wskazując palcem. - Niech pani idzie za mną. Madeleine zawahała się.

- To wiejskie obejście. Mogą mieć psy.

I to nie wychudzone, skradające się lękliwie londyńskie kundły, dodała w duchu. Tutaj mogli spotkać odpasione wiejskie brytany, które nie patyczkują się z obcymi.

Colin spojrział na nią z takim zdumieniem, że nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy go kopnąć w kostkę.

- Oczywiście, że mają psy, więc... - Przyłożył palec do ust i zmarszczył brwi tak mocno, że zbiegły się w pojedynczą kreskę.

W porządku. Od tej chwili absolutna cisza.

Przekradli się przez pole do stodoły, przemykając od drzewa do drzewa, a potem wzdłuż ściany budynku. Colin uchylił drzwi i wśliznęli się do środka.

Uderzyła ich mieszanina zwierzęcych zapachów. Przez chwilę nic nie widzieli w ciemnościach, ale gdy ich oczy przyzwyczyły się do mroku panującego wewnątrz, dojrzeli sylwetki zwierząt. Koń pociągowy, prawie tak wysoki jak Colin, obrzucił ich aksamitnym spojrzeniem, szybko jednak stracił zainteresowanie i znowu opuścił łeb. Krowy w czterech następnych boksach przyglądały im się obojętnie, zajęte przeżuwaniami siana.

Colin zamachnął się i wrzucił na stryszek pakunek z kocami. Zawiniątko wylądowało z cichym szelestem. Madeleine oszacowała wzrokiem wysokość stryszku, postawiła stopę na trzecim stopniu drabiny i podciągnęła się w górę.

Gdy drabina zatrzeszczała pod jej ciężarem jak zreumatyzowany staruszek, zamarła, zacisnęła powieki i czekała na ujadanie psów.

Wypuściła powietrze po kilku długich sekundach. Żadnego ujadania. Słysząc było tylko chrzęst siana przeżuwanego przez krowie szczęki, od czasu do czasu uderzenie ogona o mięsisty zadek i chór świerszczy na zewnątrz. Słyszając granie świerszczy, pomyślała Madeleine, człowiek ma złudne wrażenie, że nie może go spotkać nic nieprzyjemnego.

Odwróciła głowę i spojrzała na Colina z niemym pytaniem w oczach.

Przez chwilę podziwiał stanowczą linię jej podbródka. Potem objął wzrokiem całą sylwetkę i uznał, że zanim Madeleine wdrapie się na górę, będzie musiała stanąć jeszcze co najmniej na dwóch szczeblach. A Bóg jeden wie, jakie dźwięki te szczeble wtedy wydadzą. Niewiele myśląc, złapał ją za pośladki - które, nawiasem

mówiąc, okazały się przyjemnie jędrne - podsadził do góry i na koniec dla fasonu ścisnął ją za pupę.

Madeleine chwyciła się desek, przerzuciła przez nie nogę i po chwili zniknęła mu z oczu.

Colin odsunął się i rozważał, jak zabrać się do rzeczy. Miał na tyle długie nogi, że bez problemu sięgnie do czwartego szczebla, ale nie mógł ryzykować, że drabina pod nim zaskrzypi. Zamiast więc stawać na szczeblu, odepchnął się od niego stopą i szybko podciągnął do góry na rękach. Szczebel wydał tylko krótkie, jakby zdziwione skrzypnięcie, a on wylądował na sianie w kompletnej ciemności.

Przez moment leżał bez ruchu, ciężko dysząc. Do licha. Więzienie zrujnowało mu kondycję.

Duma nie pozwalała mu długo odpoczywać, więc podparł się na rękach, choć tak naprawdę wolałby jeszcze poleżeć. Madeleine klęczała tuż przed nim. W mroku jej twarz była błękitnawym owalem, a oczy przypominały aksamitne cienie. Dostrzegł błysk zębów. Krzywi się czy uśmiecha? Optymistycznie postawił na uśmiech.

Pomacał obok siebie w poszukiwaniu zawiniątka, które tu wcześniej wrzucił; zamierzał rozłożyć koc i zrobić coś w rodzaju łóżka. Na szczęście dla nich ciepło gorącego dnia uniosło się do góry i zgromadziło właśnie na stryszku, otaczając ich jakby puchowym kokonem. Siano drapało Colina w plecy. Przez szpary między deskami sączyło się światło księżycy i rzucało wokół nich granatowe cienie.

Usiadł prosto, trącił Madeleine w ramię, żeby na niego spojrzała, po czym wskazał na nią i złożył dłonie pod głową. W języku gestów oznaczało to: „Pani kładzie się pierwsza”.

Zwinął koc w rulon na tyle długi, żeby oboje mogli oprzeć na nim głowy, nie zgniatając się nawzajem, poklepał go i wykonał kolejny wymowny gest: „Łoże dla damy”.

Po chwili wahania Madeleine z równie przesadnym dostojeństwem skinęła głową. Przesunęła się ostrożnie, żeby podłoga stryżku nie zaskrzypiała albo siano zanadto nie zaszeleściło, wyciągnęła wygodnie i westchnęła z zadowoleniem.

Colin obserwował ją wygłodniałym wzrokiem, bo też był to wspaniały widok: jej piersi powoli uniosły się i opadły pod cienkim muślinem. Zastanawiał się, czy westchnęła właśnie po to, żeby miał na co popatrzeć, szybko jednak doszedł do wniosku, iż przemawia przez niego nadmierny optymizm i ledwo trzymana w ryzach żądza.

Położył się obok niej, zachowując przyzwoitą odległość, udręczony myślą, że wystarczyłoby sięgnąć ręką i mógłby dotknąć jej piersi.

Tak bardzo pragnął przekreślić się na bok i pokazać jej, na czym polega jego geniusz.

Ale... chciał też, żeby zasnęła twardo i wreszcie straciła swoją zwykłą czujność. Bo to by znaczyło, że mu ufa, a tego pragnął równie mocno, jak pożądał jej ciała. Tak go zaskoczyła ta myśl, że nawet się nie zdziwił własną szlachetnością.

Wziął oddech i poczuł zapach lawendy. Uśmiechnął się kącikami ust. Ten zapach tylko bardziej rozgrzał mu krew.

Pod nimi zwierzęta oddychały miarowo, raz po raz przestępując z nogi na nogę; Colin leżał bez ruchu i słuchał, jak grają świerszcze i jak krowy żują siano. Próbował nie myśleć o pajakach, które bardzo lubią ciemne miejsca, takie jak stryżki w stodołach. Swędziały go kostki - oznaka, że rany się goją - ale się nie podrapał.

Znajome wiejskie zapachy obudziły w nim tęsknotę. Rozpaczliwie zapragnął znaleźć się w Pennyroyal Green, w domu. Tęsknił za prostotą i spokojem, za Louisą Porter, za życiem, które na niego czekało, a które odebrała mu rażąca niesprawiedliwość losu.

Wściekłość, którą tłumił tak długo, wreszcie podniosła łeb i zatopiła w nim swoje pazury.

Nie spodziewał się takiego ataku złości. Przestał oddychać, dłonie zacisnął w pięści, wszystkie mięśnie napięły się i zeszywniały. Walczył, żeby się opanować, jakby miał do czynienia z rzeczywistym przeciwnikiem, ale jego wrogiem było abstrakcyjne pojęcie: niesprawiedliwość. Musiał pozwolić, żeby fala wściekłości po prostu się przez niego przetoczyła. Było to nowe doświadczenie, przed aresztowaniem nigdy nie miał w sobie tyle gniewu i teraz nie bardzo wiedział, jak sobie z nim radzić.

Przez ten natłok myśli przedarł się do jego świadomości jeden dźwięk: cichy, miarowy oddech Madeleine. Wdech i wydech. Jak fala, która bije o brzeg i wraca do morza.

„Czasem bohaterstwem jest zachowanie godności w najbardziej niesprzyjających okolicznościach”.

Colin skupił się na jej oddechu i dopasował do niego własny; gorączka wściekłości zaczęła powoli opadać. Pomyślał, że uspokoi się, jeśli wyobrazi sobie, że to Louisa leży obok niego z rozrzuconymi na poduszce złotymi włosami i oddycha cichutko. Ale nie potrafił. Nie potrafił wyobrazić sobie Louisy Porter leżącej na sianie w stodole, Louisy, która dałaby się podsadzić na stryszek i jeszcze na dokładkę ścisnąć za pośladki.

Spokój nie przychodził. Po części dlatego, że Colin nie wiedział, czy wytrzyma jeszcze choćby minutę, zanim ulegnie pokusie i dotknie Madeleine. Oparł się na łokciu, ugiął nogę w kolanie i spojrzał na śpiącą kobietę.

Serce aż mu podskoczyło.

Bo okazało się, że Madeleine Greenway wcale nie śpi.

Madeleine tylko udawała, że śpi. Tak naprawdę słuchała, jak Colin Eversea... myśli. Gdy mężczyźni coś leży na sercu, jego oddech brzmi inaczej, a w powietrzu czuje się promieniujące od niego napięcie.

Takie rzeczy poznaje się dopiero po dłuższej znajomości. Ale ona czuła się, jakby znała Colina od zawsze.

Gdy tylko usłyszała szelest, podniosła oczy napotkała jego spojrzenie. Serce zabiło jej radośnie.

Kiedy patrzyli na siebie - ona leżąc na plecach, a on podparty na łokciu i z nogą ugiętą w kolanie - nie miała najmniejszych wątpliwości, że Colin Eversea pragnie jej tak mocno, jak tylko mężczyzna może pragnąć kobiety.

Ale chciał, żeby to ona wybrała.

Wybrała więc.

Uniosła rękę i położyła na jego udzie.

Colin wstrzymał oddech. Czują, jak cały drży pod jej dotykiem, czują jego napięte mięśnie, kiedy powoli wypuszczał powietrze. Jego lśniące oczy wciąż były w niej utkwione, jak dwie gwiazdy w ciemnościach.

Madeleine rozkoszowała się dotykiem twardych mięśni pod jej dłonią, napawała się tą chwilą bolesnego oczekiwania; wiedziała, że chociaż Colin aż dygocze z niecierpliwości, wszystko zależy od niej, i to ona zdecyduje, co się teraz stanie.

Oto, co zdecydowała: przesunęła dłoń w górę po jego udzie i stanowczym ruchem zacisnęła ją na wypukłości ukrytej pod spodniami.

Colin wzdrygnął się, odrzucił głowę i z sykiem wciągnął powietrze. Widać ten moment oczekiwania podziałał na niego równie mocno jak na nią: jego męskość była twarda, a pod jej dłonią jeszcze rosła i twardniała. Madeleine ogarnęło gwałtowne pożądanie, które rozlało się po całym jej ciele.

Zapagnęła położyć się na nim, objąć go nogami, mieć go w sobie - już, teraz.

Ale zarazem chciała najpierw dać mu tyle rozkoszy, że nie będzie w stanie jej znieść.

Otworzyła oczy i przez długą chwilę wpatrywali się w siebie z niemym wyzwaniem. Wokół panowała cisza, wszechogarniająca i przez to niewyobrażalnie zmysłowa. To, co oboje mieli za chwilę zrobić, było niebezpieczne z wielu

powodów, choćby z powodu różnych dźwięków, które człowiek wydaje mimo woli w ferworze namiętności, tych jęków i westchnień.

Jej ręka przesuwała się, odkrywając kontury jego ciała, a Colin lekko rozsunął uda, żeby ułatwić jej dostęp i żeby ulżyć szybko nabrzmiewającej męskości. Czuła, jak jego brzuch unosi się i opada pod dotykiem jej dłoni, coraz śmielszym i coraz konkretniej skupionym na jednym punkcie. Zapragnęła go dotknąć, sięgnęła więc po omacku do guzików spodni i odkryła, że ręka Colina już tam jest, już próbuje je odpinać. Połączyli wysiłki. Była to istna tortura, konieczność zachowania ciszy oznaczała bowiem, że muszą to robić o wiele wolniej, niżby chcieli, a oboje już dygotali z pożądania.

Ogarnęła ją idiotyczna satysfakcja, kiedy odpięli pierwszy guzik. Zabrała się do następnego, a on odpiął jeszcze jeden.

Wreszcie Colin był wolny od krępującego ubrania, a jego członek, rozgrzany i gładki, trafił prosto do ręki Madeleine. Słodki zapach pożądania unosił się w powietrzu.

Wciąż patrząc mu w oczy, zamknęła dłoń wokół jego męskości i powoli przesunęła w dół.

Colin znowu odrzucił głowę, napinając mięśnie szyi. Widząc jego rozkosz, sama też ją poczuła i zaczęła oddychać szybciej. Przesuwała dłoń w górę i w dół, napawając się twardą męskością, siłą i żarem, jakie od niego biły. Głowa opadła mu na piersi. Oddychał płytko i szybko, ramiona unosiły mu się i opadały. Wyraźnie powstrzymywał się, żeby nie dyszeć.

Bo tego odgłosu raczej nikt nie wziąłby za dźwięki myszy harcujących na górze.

To szaleństwo. Już za chwilę żadne z nich nie będzie w stanie usłyszeć nawet stada wielkich psów wbiegających z ujadaniem do stodoły. Wieśniacy z widłami albo oddział kawalerii też ich nie wzruszą. Ale cóż, pomyślała Madeleine, jest wiele gorszych sposobów na to, by umrzeć, niż kochanie się na stryszku w stodole z

Colinem Eversea. A ona miała wrażenie, przynajmniej w tej chwili, że umrze, jeśli nie będzie go miała.

Wykonała kolejny ruch dłonią, tym razem pieścąc leniwie jedwabisty rowek na czubku jego męskości. Głowa Colin znowu poleciała do tyłu i zaczął poruszać biodrami w pierwotnym rytmie namiętności - najwyraźniej jego ciało zbuntowało się przeciwko rozsądkowi. Zbuntowało się? Raczej zakuło rozsądek w kajdany i zamknęło w głębokim lochu.

Ruch jego bioder sprawił, że deski stryszku zajęczały ze starości. Skrzyyyyyyp. Oboje zamarli.

Madeleine wstrzymała oddech. Odczekała kilka dudniących uderzeń serca.

Nadal słyszała jedynie krew buzującą jej w żyłach. I granie świerszczy. Poza tym nic.

Wpuściła oddech i przygryzła wargi, żeby powstrzymać śmiech.

Colin zaryzykował cichy szept.

- Mad. - W tym jednym słowie kryło się przesywające pragnienie i zachwyty.

Wsunął palce pod jej dekolt i trafił na gładki, twardy węzełek sutka i chłodny jedwab skóry. Włożył rękę pod pierś, żeby wyciągnąć ją spod sukienki.

Powstrzymała go jedną dłonią; cofnęła też drugą i Colin natychmiast pożałował tej straty.

Powoli, bardzo powoli, żeby te piekielne deski znowu nie zaskrzypiały, a słoma nie szeleściła, obróciła się na bok, plecami w jego stronę.

Zrozumiał: palcami drżącymi z niecierpliwością i wstrzymywanego pożądania Colin rozplątał sznurówki sukni, rozsunał jej brzegi i westchnął z podziwem, bo jego oczom ukazała się lśniąca naga skóra. Przesunął dłoń w dół, między łopatkami, rozkoszując się jej ciepłem i gładkością, czując, jak pod jego dotykiem dostaje gęsiej skórki. Pochylił się, chcąc musnąć rowek między łopatkami wargami i językiem.

Ale Madeleine, jak zwykle skupiona na konkretnym celu, wolniutko się podniosła i obróciła twarzą ku niemu; zsunęła obiema rękami gors sukienki, żeby uwolnić piersi.

Zrobiła to zbyt niecierpliwie: materiał, zsuwając się po jej skórze, wydał odgłos podobny do westchnienia satysfakcji.

W ciszy, w której byli zanurzeni, ten dźwięk zabrzmiał wręcz ogłuszająco.

Znieruchomieli i przestali oddychać. Colin mógłby przysiąc, że nawet krew zatrzymała mu się w żyłach. Zaczął nasłuchiwać. Nic. Tylko świerszcze wygrywały kolejne nuty swojej niekończącej się symfonii.

A Madeleine już leżała, oparta na łokciach, z głową odrzuconą do tyłu i z odsłoniętymi piersiami. Ledwo się powstrzymał, żeby się na nią nie rzucić.

Pochylił się, podpierając się drżącym z wysiłku ramieniem, i wzięwszy w usta jeden sutek, leciutko go przygryzł. Usłyszał jej zaskoczone westchnienie i poczuł, jak drgnęła. Obrócił głowę, żeby potrzeć szorstkim od zarostu policzkiem gładką skórę piersi; czuł przy tym, jak szybko bije jej serce.

Zacząła podciągać spódnicę. Pomógł jej to zrobić bezgłośnie, co oznaczało, że posuwali się naprzód bardzo powoli, a każda mijająca sekunda tylko potęgowała jego pożądanie, aż w końcu wydawało mu się, że nigdy w życiu nie pragnął niczego tak mocno.

Miał wrażenie, że umrze, zanim doczeka się zaspokojenia.

Ale cóż to by była za cudowna śmierć.

Ściągnął spodnie do kolan, bo tylko tyle potrzebował odsłonić, żeby osiągnąć to, do czego zmierzali. Zerknął w dół i zobaczył pod sobą jasny brzuch Madeleine, jej długie, zgrabne nogi, a między nimi trójkącik ciemnych loczków. Kolana podnosiły się wolniutko przy akompaniamencie cichego szelestu siana. Przesunął się powoli, żeby ukłęknać między nimi.

Kiedy to zrobił, dłonie Madeleine wsunęły się pod jego koszulę, muskając ramiona i tors, delikatne, ale pożądliwe; pieściły go, wywołując w całym ciele dreszcze żądy.

Omal nie stracił zmysłów.

Rozpaczliwie chciał poczuć całym sobą każdy centymetr jej ciała; chciał je pieścić i całować. Zarazem jednak zdawał sobie sprawę, że muszą osiągnąć spełnienie w bardzo ograniczony sposób.

Madeleine, również świadoma tych ograniczeń, wyprężyła się pod nim niecierpliwie. Oddychając chrapliwie, podparł się na jednej ręce. Przesunął przy tym ciężar ciała i te przekłete deski znowu zaskrzypiały. Ale potrzebował wolnej ręki, żeby trafić tam, dokąd pragnął. Przecież, do cholery, nie zatrzyma się w takiej chwili.

O Boże! Miał wrażenie, że oszaleje, kiedy tak wchodził w nią milimetr po milimetrze.

Nie spuszczał z niej wzroku: patrzył na jej lśniące, ciemne oczy, patrzył, jak westchnienia unoszą jej piersi, i wiedział, że Madeleine czuje każdy jego centymetr tak samo, jak on czuł każdy gorący, ciasny skrawek jej wnętrza. Przygryzła wargę, a ciemne oczy skryły się pod trzepoczącymi powiekami.

Cofnął się - bardzo powoli - nachylił się mocniej, żeby kolejne posunięcie dotknęło Madeleine tam, gdzie jej ciało najbardziej potrzebowało pieczyoty. Zobaczył, że odrzuciła głowę w tył. Więc dobrze zgadywał. Utrzymanie kontroli kosztowało go tyle wysiłku, że poczuł, jak pot spływa mu po plecach między pośladki. Znowu wsunął się w Madeleine, która była teraz jego prywatnym, gorącym rajem. Cofnął się i pchnął mocniej, a ona rozłożyła szerzej nogi, żeby głębiej go w siebie przyjąć. Znowu w niej zatonął, i jeszcze raz.

Nie minęła chwila, a wolny rytm posunięć całkiem wymknął mu się spod kontroli. Jakby z oddali docierały do niego jęk Madeleine, skrzypienie desek podłogi i szelest siana; ich ciała splatały się w coraz szybszym tańcu.

Wreszcie Madeleine odrzuciła głowę do tyłu i wyprężyła się w łuk. W samą porę położył jej rękę na ustach, bo inaczej zdradziłby ich jej krzyk. Ugryzła go w chwili, kiedy osiągnęła spełnienie; on zanurzał się w nią raz po razie, aż rozkosz eksplodowała w nim oślepiającą bielą, a zakończenie każdego nerwu zamieniło się w lont zapalnika.

Słyszał własny chrapliwy oddech i chciał się z niej wysunąć, zanim skończy, ale zupełnie stracił panowanie nad sobą. Wstrząsnął nim dreszcz najwyższej rozkoszy, po czym ukrył twarz między piersiami Madeleine.

Wciąż był w niej, ale teraz spokojny i spełniony.

Dłonie Madeleine schodziły coraz niżej w dół jego bioder, aż wreszcie dotyk zniknął.

Gdy wreszcie wysunął się z niej, powoli i cicho, wygładziła spódnicę i podniosła gors sukienki, ostrożnie, bez najlżejszego szmeru.

Zapinając spodnie, czuł się dziwnie samotny, bo odpinali je razem.

Skóra na piersi szczypała go w miejscach, gdzie przejechały po niej paznokcie Madeleine. Napawał się tym wrażeniem, bo te zadrapania były jedynym realnym śladem dopiero co doznanej rozkoszy.

Opuścił się ostrożnie na plecy i zebrał siły, żeby odwrócić się i spojrzeć na nią.

Madeleine zrobiła gest, jakby podkładała poduszkę pod głowę: Śpij.

Był mężczyzną. Wiedziała, że to niemożliwe, by po czymś takim nie chciało mu się spać.

Nie protestował. Po prostu poddał się zmęczeniu.

Zasnął natychmiast i spał jak zabity.

Rozdział 17

Kiedy Colin spał w stodole jak zabity, oficjalna część spotkania Klubu Merkuriusza zakończyła się; klubowicze zaczęli swobodnie krążyć po salonie, pykając z cygar i fajek i dolewając sobie brandy. Wkrótce twarze niemal zniknęły za błękitnawym dymem, a rozmowy zeszyły na temat rodziny, majątków, rozrywek, kochanek i nawet - o dziwo - książek. Wszak był to klub ludzi interesów, a nie salon literacki.

Marcus zapalił cygaro i przysiadł się do Baxtera.

- Chciałem pana serdecznie powitać w naszym klubie - zagaił. - Uderzyło mnie, że mamy identyczną opinię na temat oświetlenia gazowego w Londynie.

- Mnie też to uderzyło, panie Eversea. - Baxter zerknął na Isaiaha Redmonda, jakby oczekując pozwolenia na rozmowę z członkiem rodziny Eversea. Ale Redmond był zatopiony w rozmowie z kimś innym.

- Myślę, że w następnej kolejności zajmiemy się kolejną - ciągnął Marcus. - Słyszałem, że w północnej Anglii ma ruszyć produkcja parowozów.

- Naprawdę? - ucieszył się Baxter. - Całkowicie się z panem zgadzam. Na następnym zebraniu powinniśmy poruszyć tę kwestię.

- Jak najbardziej. Już nie mogę się doczekać.

Marcus, uznawszy, że udało mu się nawiązać strategiczną zażyłość, zaryzykował zmianę tematu.

- Chętnie przewiozę pana naszym klubowym powozem, panie Baxter. Nie lubię się chwalić, ale podobno jestem nie najgorszym woźnicą. Brałem lekcje u mistrza. Teraz pracuje on jako stangret pani Redmond. Nazywa się Bell. Korzystał pan kiedyś z jego usług?

- Nie, panie Eversea - odparł Baxter. - Nie miałem tej przyjemności.

Zza okularów zupełnie nie było widać jego oczu.

- Och, powozi fenomenalnie. To nie dżentelmen, jak pan czy ja, ale z lejcami radzi sobie znakomicie. Jeśli pan chce, mogę pana nauczyć tego i owego.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie Eversea, naprawdę bardzo uprzejmy. - Głos Baxtera ścichł, a głowa, jak kurek na dachu, obróciła się w stronę, gdzie stał Isaiah Redmond. - Z ogromną przyjemnością skorzystam z pańskiej propozycji.

- Świetnie. Ale to dopiero po moim ślubie. - Marcus uśmiechnął się nieśmiało.

- Czy dobrze pamiętam, że żeni się pan za parę dni?

- Tak, za parę dni, w Sussex. Już nic mi nie stanie na przeszkodzie.

Światło brzasku wśliznęło się na stryszek przez szpary w deskach i niczym delikatne szturchnięcie obudziło Colina, zanim Madeleine zdążyła to zrobić. Czuwała przy nim przez całą noc. Na szczęście nie chrapał, ale wiercił się przez sen, a chwilami cały się spinał. Mogła sobie tylko wyobrażać, co za koszmary go dręczą.

Przytulił ją do siebie przez sen i oparł brodę na jej głowie. Nie było jej wygodnie, ale za nic na świecie nie dałaby się stąd ruszyć.

Nagle drgnął i obudził się. Na jej widok zrobił zaskoczoną minę, ale już po chwili całkiem odzyskał przytomność i uśmiechnął się z czystą satysfakcją. Madeleine poczerwieniała. Cicho zeszli po drabinie i wyszli ze stodoły.

Colin zatrzymał się na moment przy studni, żeby napełnić wodą bukłak.

Potem podjęli wędrówkę w poszukiwaniu Baraniego Folwarku. Oboje starali się odsuwać od siebie myśl, że być może zmierzają donikąd, że kończą im się pieniądze i że nie mają pojęcia, co zrobią, kiedy zostaną w Marble Mile z pustymi rękami.

Po kilku minutach marszu Colin odchrząknął.

- Chcesz porozmawiać o...

- Nie - przerwała.

Szli dalej, a promienie wschodzącego słońca wyglądały na bladym niebie jak plama z ponczu na świątecznym obrusie. Powietrze pachniało zielenią i czystością,

ale po porannym chłodzie trudno było oceniać, czy i ten dzień będzie upalny. Wokół nich rozciągał się płaski wiejski krajobraz, pełen rozłożystych dębów, gęstych żywopłotów i wąskich ścieżek.

Colin, dziwnie pobudzony, zachowywał się, można by powiedzieć... swawolnie.

- Mnie było dobrze. - Nie dawał za wygraną.

Madeleine nadal milczała. Zerknęła na niego spod oka i wydało jej się, że dostrzega na jego wargach szelmowski uśmiezek.

- I to bardzo - dodał tonem pełnym komicznego zachwytu. - Bardzo, ale to bardzo dobrze.

Madeleine pomyślała, że jeśli będzie udawać głuchą, może on w końcu zamilknie.

- W pewnym momencie nawet omal nie zemdlałem - zwierzył się. Tego nie mogła odpuścić.

- Co w pana przypadku nie jest niczym szczególnym.

- Ależ pani Greenway, czy to ładnie tak mówić?

Zupełnie nie wyglądał na obrażonego, raczej na rozbawionego. I trudno się dziwić - niewiele rzeczy jest w stanie zepsuć humor mężczyźnie, który po raz pierwszy od dłuższego czasu uprawiał seks.

Madeleine usłyszała nad głową ćwierkanie i podniosła wzrok. Dwa ptaki goniły się po niebie z rozpostartymi skrzydłami. Ciekawe, czy to miłość czy kłótnia?

- Jaki był twój mąż? - spytał Colin zniechęca.

A niech go... Tymi swoimi pytaniami w końcu doprowadzi ją do szału.

- Mój mąż... - z rozmarzeniem zawiesiła głos - ...to był święty człowiek. A interes miał... bo ja wiem... ze dwa razy taki jak ty.

- Ależ pani Greenway! To całkiem do pani niepodobne. Tak sobie ze mnie żartować! - Odwrócił się i teraz szedł tyłem, patrząc na nią ze szczerym zachwytem.

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Jej docinki w najmniejszym stopniu nie przytłumiły jego beztroskiej wesołości. Odwrócił się z powrotem i znowu szedł o kilka kroków przed nią.

Może to nieeleganckie porównanie sprawi, że wreszcie przestanie mówić. Madeleine chciała, żeby był cicho i dał jej szansę na zdecydowanie, czy będzie o nim myśleć, czy nie. Niestety, już po paru minutach podjął wątek.

- Jak myślisz, czym to wytłumaczyć? - zastanawiał się na głos.

- Czym co wytłumaczyć? - warknęła.

Zignorował pytanie.

- Moim zdaniem to dlatego, że oboje od dawna tego nie robiliśmy, ty, rzecz jasna, o wiele dłużej niż ja. A wszystko zaczęło się od hrabiny i lokaja. Dla mnie to zawsze była bardzo podniecająca fantazja: dama i jej służący... Może oboje się tym podnieciliśmy i tak nam już zostało. Podniecił cię widok hrabiny i lokaja, Mad?

Milczała, więc drażył dalej:

- Nie uważasz, że to bardzo podniecająca fantazja? I chyba dosyć powszechna. Zupełnie jak w brukowym teatrze. Byłaś kiedyś w brukowym tea...

- Colin! - przerwała mu ze śmiechem. - Przestań wreszcie.

Obrócił się na pięcie i znowu zaczął iść tyłem.

- Colin! - wykrzyknął zachwycony. - Powiedziała do mnie „Colin”!

- Przestań. Ja naprawdę...

- Colin! - przedrzeźniał ją.

Próbowała zachować powagę.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Stało się i tyle.

- W porządku.

Odwrócił się ku drodze i znowu ruszyli naprzód.

- Myślę, że oboje musieliśmy po prostu... odreagować - powiedziała niepewnie. - To nieustanne napięcie i ciągłe niebezpieczeństwo...

- Pewnie tak - przyznał.

Zapadła błogosławiona cisza i Madeleine wreszcie się odprężyła. Zaczęła nawet liczyć kroki. Nie była przyzwyczajona iść, nie wiedząc, dokąd zmierza, więc męczyła ją ta sytuacja. Czuła się jak we śnie, podążając polną ścieżką do gospody, o której tylko słyszała. Martwiła się również o swoje buty. W jednym przecierała się podeszwą, czuła więc pod stopą każdy kamyk na drodze.

Czuła też między nogami to, co wydarzyło się ubiegłej nocy, ale nie była w stanie tego analizować ani wyciągać wniosków. Pamiętała tylko piękne oczy Colina utkwione w jej twarzy, jego usta na jej piersiach, jego szczupłe, rozpalone ciało pod jej dłońmi, jego pożądanie i wreszcie eksplozję rozkoszy. Ta rozkosz była tak dojmująca, tak głęboka, tak...

- Colin! - pisnął znowu dziewczęcym głosem.

Ten niepoprawny, złośliwy mężczyzna chyba lubował się w dręczeniu bezbronnych kobiet.

Nie wytrzymała. Wybuchnęła śmiechem.

A gdy już zaczęła się śmiać, wydawało jej się, że nigdy nie przestanie. Krztusiła się, zgięła się wpół, zatkała nawet ręką usta, żeby nie wypłoszyć ptaków z pobliskiego żywopłotu i okolicznych wieśniaków z domów.

Colin obrócił się i patrzył na nią badawczo, jakby sprawdzał wynik jakiegoś eksperymentu. Znowu szedł tyłem, roześmiany od ucha do ucha, a jego oczy błyszczały w słońcu. Wydawało się, że patrzenie na nią sprawia mu przyjemność.

Tak się śmiała, że aż się potknęła o występ na drodze.

- Uważaj na wyboje, Mad - zawołał.

Zostały im tylko cztery dni, żeby udowodnić niewinność Colina, pomyślała. I może właśnie przez ten wyścig z czasem zebrało im się na śmiech. Pośpiech wzmaga intensywność każdego doznania.

Co za bzdura. Przecież dobrze wiedziała, co czuje: czystą radość.

Był początek lata i w żywopłotach kwitły dzikie róże. Kasztany, buki i dęby trzymały straż nad drogą. Ptaki furkotały wśród zieleni. Tuż przed nimi, za

najbliższym zakrętem, widać było rozłożyste konary wielkiego starego dębu, który królował na poboczu.

- Wiesz, czego jeszcze nie zrobiłem? - spytał nagle Colin. Zatrzymał się, czekając, aż Madeleine do niego dołączy.

Otarła łzy śmiechu i niezbyt subtelnie pociągnęła nosem.

- Jeśli wierzyć gazetom, niewiele jest takich rzeczy.

- Jeszcze cię nie pocałowałem.

Złapał ją za rękę i pociągnął za wielki dąb, nim zdążyła choćby pisnąć.

Potężne drzewo rzuciło błogosławiony cień, jego gałęzie rozpościerały się na wszystkie strony jak ramiona ośmiornicy. Byli teraz niewidoczni z drogi, za to pewna owca pasąca się nieopodal przestała skubać trawę i zaczęła im się przyglądać z łagodnym zainteresowaniem. Colin obrócił Madeleine, przygniótł do pnia i nachylił się, żeby popatrzeć na nią z góry. Patrzy na gwiazdy w moich oczach czy na moje czoło? - zastanawiała się.

- Nie... - szepnęła.

- Czego mam nie robić, Mad? - spytał ze śmiechem. Opuścił ręce, objął ją w pasie i znajomym ruchem przycisnął biodra do jej bioder, żeby poczuła wypukłość jego męskości. - Czego mam nie robić? - powtórzył.

Kiedy uniósł dłonie do jej twarzy, przytuliła go. Znow chciała poczuć jego ciało na swoim.

Musnął palcami jej policzki. Zamknęła oczy, bo patrzył na nią, jakby znał ją na wylot, a nie chciała, żeby poznał ją mężczyzna, który - o ile wierzyć plotkom - znał z bardzo bliska prawie każdą kobietę w Londynie.

Chciała za to, żeby ją pocałował.

Pieścił koniuszki jej uszu, szyję, potem kark, a jej głowa sama przechyliła się do tyłu, prosto w jego dłonie.

Ujął ją delikatnie i lekko, leciutko dotknął wargami jej szyi.

- Och, Mad - westchnął. - Czy masz pojęcie, jak bardzo cię pragnąłem?

- Oczywiście - szepnęła.

Uśmiechnął się. Przesunął ustami po jej szyi w stronę ucha, a potem w kierunku warg. Usta miała rozchylone, a oczy wciąż zamknięte.

- Teraz cię wycałuję jak się patrzy - zamruczał.

Jej ciało wiedziało, gdzie chce być dotykane i jak chce się dopasować do niego. Nagle ogarnęło ją dziwne wrażenie, że przeżywa najdoskonalszy moment swojego życia. Lecz i tak pocałunek stał się swego rodzaju pojedyńkiem między nimi, po części dlatego, że ona czuła się bezpiecznie tylko wtedy, kiedy o coś walczyła. Ich wargi splatały się, zderzały, pocierały o siebie. Madeleine drżała z niepokoju, bo zbyt późno przypomniała sobie, że pocałunek potrafi wydobyć z człowieka najbardziej skrywane odczucia. Pocałunek może się okazać bardziej niebezpieczny niż sam akt miłosny.

- Ciii - szepnął, choć przecież nie odezwała się ani słowem. Zupełnie jakby chciał uciszyć szalejącą w niej burzę. - Ciii.

Jego dłonie głaskały ją uspokajająco; pieścił ustami jej wargi, rozchyłał je językiem. Poczula na plecach deszcz srebrzystych iskerek i westchnęła przeciągle. Była w tym westchnieniu rozkosz, ale też niewypowiedziany smutek. Wyrwało się prosto z jej serca.

Przesunęła dłonie w górę, chwyciła go za ramiona i przyciągnęła bliżej. Rozchyliła wargi i pozwoliła, by jego język delikatnie wkraść się do jej ust; ciepły, aksamitnie miękki, splótł się z jej własnym w subtelnym tańcu.

Nagle Colin odsunął się i spojrzał jej w oczy, jakby w nich szukał odpowiedzi, jak zareagowała na jego pocałunek. Jego oczy zaszyły mgłą pożądania.

Znów zaczął ją całować, jeszcze bardziej namiętnie. Splotła dłonie na jego karku, a on przygarnął ją do siebie, przygniatając do jej ud swoją twardą męskość, tak cudownie różną od miękkich ust i języka. Pogłębił pocałunek, a ona nie pozostała w tyle; ich języki spotkały się i zwały ze sobą. Jęknął cicho; czuła, jak ten

dźwięk wibruje pod jej dłońmi. Cofnął język i lekko przygryzł jej wargę, co było równie zaskakujące, jak zmysłowe.

Przywarł do jej ust, a Madeleine czerpała z tego pocałunku tyle samo rozkoszy, co on. Wszystko w niej topniało i rozsypywało się w pył, aż wreszcie z przerażeniem i uniesieniem zarazem odkryła, że w tej chwili nie istnieje dla niej nic poza tym oszalamiającym pocałunkiem.

Wtedy Colin oderwał wargi od jej ust i przytulił policzek do jej twarzy, drapiąc zarostem jej delikatną skórę; czuła na szyi jego gorący, zdyszany oddech.

Milczał przez długą chwilę. Uścisk jego ramion stopniowo słabł.

Kiedy ją puścił, Madeleine miała dziwne poczucie, że coś traci, i zdezorientowana przyłgnęła do niego jeszcze na moment.

- To tylko pocałunek - szepnął oszołomiony.

Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

Stali blisko siebie, ale już nie tak blisko, jak przed chwilą, próbując odzyskać dech.

Colin uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Miała wrażenie, że się zastanawia, czy powinien się odezwać.

- Kochałaś go, Mad?

To pytanie tak ją zaskoczyło, że nie miała czasu ukryć prawdy i była pewna, że na jej twarzy wszystko widać. Czemu on to robi? Delikatnie potarł kciukiem dwie maleńkie blizny na jej brodzie.

- Życie bywa diabelnie ciężkie, prawda? - powiedział cicho.

Spojrzała na niego bez słowa.

- Diabelnie ciężkie - przytaknęła po chwili zmienionym głosem. Uśmiechnął się do niej, tak jak tylko on potrafił.

A kiedy wziął ją za rękę i pociągnął na drogę, miała wrażenie, że spada z chmur prosto na ziemię.

Następne chwile upływały im w milczeniu; tylko ptaki ćwierkały jak obłąkane. Kto by pomyślał, że takie małe stworzenia mogą robić tyle hałasu.

Szczęśliwie nie spotkali żadnych podróżnych, pewnie było jeszcze za wcześnie. Colin wysforował się o parę kroków do przodu i wspiał się na niewielki wzgórek w nadziei, że wypatrzy jakieś znaki przy drodze.

- Colin! - powiedział do siebie, wybornie naśladowując jej głos, po czym zaśmiał się cicho i ruszył dalej.

Już prawie zniknął za wzgórzem, kiedy schyliła się po kamyczek i rzuciła w niego.

- Auu! - zawołał z niezmaconą wesołością, ale nawet się nie obejrzał.



Rozdział 18

Dzień dobry, panowie - przywitał Marcus żołnierzy, którzy pełnili straż wokół miejskiej rezydencji Eversea. Wyniósł im talerz ciasteczek z makiem i każdego poczęstował.

Wyglądali na bardzo znudzonych, i trudno się dziwić. Czyżby naprawdę się spodziewali, że Colin zjawi się w domu rodzinnym?

- Dzień dobry, panie Eversea.
- Jakież słuchy o moim bracie?
- Nic a nic, panie Eversea.
- I bardzo dobrze - odpowiedział.

Roześmiali się wszyscy.

- Sto funtów, panie Eversea! Colin jest wart majątek!
- Słyszałem. Ale wy możecie tylko pomarzyć o nagrodzie. Znalezienie Colina to przecież wasz obowiązek. Co za pech, prawda? Aha, i chciałem jeszcze powiedzieć, że mój brat jest niewinny.

Powtarzał im to co rano, odkąd Colin zniknął. Był to już niemal rytuał.

- Skoro pan tak twierdzi, sir - odpowiedzieli uprzejmie. Żołnierze byli zabawni.

- A dokąd się pan wybiera, panie Eversea?
- Do pana Redmonda. Będziemy rozmawiać o latarniach gazowych.
- Doskonale, sir!

Droga nie była daleka, bo dom Redmondów też stał przy placu Świętego Jakuba. Marcus dojechał do stajni, rzucił cugle i ruszył do powozowni.

Pan Bell siedział z nogami na stole, kapeluszem nasuniętym na oczy i błękitną kurtką przerzuconą przez oparcie krzesła. Cicho pochrapywał.

- Dzień dobry, panie Bell.

Zaskoczony mężczyzna omal nie spadł z krzesła; Marcus w samą porę je przytrzymał.

Bell zerwał się na nogi, wytarł ręce o nieskazitelnie czyste spodnie, a kiedy zorientował się, że ma przed sobą Marcusa Eversea, jego smagła twarz gwałtownie zbladła. Ale nie zapomniał się uklonić.

Marcus Odkłonił się uprzejmie.

- Mam do pana pytanie, panie Bell. Czy ktoś panu ostatnio zapłacił, żeby jeździł pan powozem Klubu Merkuriusza?

Chwila milczenia.

- Czemu miałbym to robić?

Klasyczna gra na zwłokę w wykonaniu człowieka, który nie umie ani grać na zwłokę, ani kłamać.

Marcus podszedł do niego. Bell cofnął się o krok.

- Wiem, że Baxter panu zapłacił nazajutrz po śmierci Rolanda Tarbella i w dniu, kiedy mieli wieszać mojego brata. Czego chciał?

Do tej pory nie miał pewności, ale nabrał jej, kiedy zobaczył, że Bell rozgląda się gorączkowo, jakby szukał drogi ucieczki albo spodziewał się czyjejś pomocy.

Marcus chwycił go za klapy, zanim mężczyzna zdążył się ruszyć.

Przez ułamek sekundy Bell był bardziej zdumiony niż przestraszony, ale strach szybko wziął górę; spojrzał niepewnie na rękę ściskającą go za gardło.

- Czego chciał, panie Bell? - powtórzył Marcus.

Bell przełknął z trudem, bo kołnierz wpijał mu się w szyję.

- Nie wiem, ile Baxter panu zapłacił, ale ja dam dwa razy tyle, jeśli mi pan powie - dodał Marcus odrobinę uprzejmie.

- Żebym zawiózł panią Redmond do St. Giles i zabrał pasażerów do Marble Mile - wykrztusił Bell.

- Do St. Giles? Miał pan zawieźć panią Redmond do St. Giles?

Bell pokiwał głową.

Marcus stwierdził, że dziwić będzie się później.

- A dokąd konkretnie w Marble Mile zawiózł pan tych pasażerów?

- Na Barani Folwark. Za gospodą.

Marcus rozluźnił chwyt, a Bell podniósł rękę, żeby rozmasować obolałe gardło i poprawić fular.

- Kogo pan tam zawiózł, panie Bell?

- Słowo daję, że nie wiem, proszę pana. Wolałem nie pytać, bo mi się to wydało dziwne, ale zapłata była bardzo porządna. Wiem tylko, że w Southwark załadowali mi jakieś paczki i jeszcze zatrzymałem się w dokach, żeby zabrać z karczmy jednego człowieka.

- Tylko jednego?

- Tak, człowieka i psa.

Prawie cały dzień szli w palącym słońcu, zatrzymując się tylko, żeby coś przegryźć i żeby Madeleine mogła zmienić Colinowi opatrunki. Wreszcie dotarli nie do Baraniego Folwarku, lecz do z dawna wyglądanej gospody.

Stanęli, żeby jej się przyjrzeć z pewnej odległości.

- Łóżko - powiedział Colin takim głosem, jakby właśnie znalazł świętego Graala.

W milczeniu rozważali, co zrobić.

- Jak myślisz, czy ten Barani Folwark w ogóle istnieje? - zapytała Madeleine. Na tym etapie jej pytanie wcale nie wydawało się nieuzasadnione.

- Słyszeliśmy o nim od więcej niż jednej osoby, Mad. Znajdziemy go. Ale nie możemy iść przez całą noc, a poza tym chcę się wreszcie przespać w łóżku. Ile nam zostało pieniędzy?

- Funt.

- Świetnie. W takim razie możemy sobie pozwolić na rozrzutność i zapłacić szylinga czy dwa za łóżko.

W gospodzie nie było tłumów: kilku sennych staruszków grało w szachy przy kominku, a w jadalni jakaś para siedziała nad miską czegoś, co wyglądało na gulasz. Madeleine zapłaciła za pokój, Colin zaś stał z boku i starał się nie rzucać w oczy. Jakimś cudem nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Kiedy już znaleźli się w pokoju, zamknął drzwi na klucz i, rzecz jasna, zablokował je krzesłem, a Madeleine obejrzała okno i oceniła odległość, jaka dzieliła ich od ziemi. Uznała, że w razie potrzeby można będzie przez nie wyskoczyć bez narażania się na większe kontuzje.

Na środku pokoju samotnie stał ów cudowny wynalazek zwany łóżkiem.

Zbliżyli się do niego ostrożnie, zupełnie jakby mogło się przestraszyć i uciec, gdyby podeszli zbyt szybko. Padli na nie w ubraniach, położyli się na plecach i zgodnie westchnęli.

Po czym zapadła cisza.

Madeleine spodziewała się, że rzucą się na siebie i zaczną zdzierać z siebie ubrania, ale jakoś żadne z nich się do tego nie paliło. Zmęczenie całego dnia - i całej podróży - opadało z nich powoli i wsiąkało w materac. Przez chwilę mogli udawać, że Colin wcale nie jest zbiegłym przestępcą, za którego głowę wyznaczono nagrodę.

- Co będziesz robić w Ameryce, Mad? - zapytał po dłuższej chwili.

- Och, pewnie wyjdę za mąż, jak tylko się uda - odparła szczerze.

- Za mąż! - Był tak autentycznie zdumiony, że nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy roześmiać.

- A czemu nie? - spytała rzeczowo. - Tak nakazuje rozsądek.

- Rozsądek?!

- Oczywiście. To dziki kraj. Będę prowadzić farmę, przyda mi się pomoc.

- Za kogo zamierzasz wyjść? - chciał wiedzieć.

- Pewnie za jakiegoś Amerykanina. Może za farmera.

- Amerykański farmer! - prychnął z takim oburzeniem, że nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Masz coś przeciwko Amerykanom? Albo farmerom? Potrzebują żon tak samo jak Anglicy. A nawet bardziej.

Wyraźnie szukał jakichś argumentów.

- Tam, w Ameryce, bardzo rzadko się kąpią - stwierdził Colin półzartem.

- Za to ty pachniesz fiołkami.

- Chciałbym móc się wykapać - wymamrotał ponuro.

Przez jakiś czas leżał, patrząc w sufit, i chyba pobielane deski podziały na niego uspokajająco.

- Niech ci będzie, lubię Amerykanów - oświadczył niechętnie.

- Są w porządku.

- Zgadzam się w zupełności - przytaknęła Madeleine z fałszywym entuzjazmem. Lubiała się z nim drażnić.

Znowu cisza.

- Nie masz pojęcia o prowadzeniu farmy - powiedział Colin. Zabrzmiało to jak przestroga.

A skąd ty to możesz wiedzieć? - chciała się oburzyć, ale ponieważ miał rację, tylko niecierpliwie machnęła ręką.

- Szybko się uczę. Na szczęście umiem strzelać z muszkietu, więc poradzę sobie z Indianami i niedźwiedziami. Ale dziękuję ci za troskę.

Znowu zamilkł. Obróciła się w jego stronę. Niebieskawozielone oczy Colina zamgliły się w zadumie, niewątpliwie nad tą odległą zamorską krainą i jej niedomytymi mieszkańcami. Uśmiechnął się; pewnie wyobrażał ją sobie, jak walczy z niedźwiedziem albo z Indianinem.

- My też mamy farmę - powiedział w zamyśleniu. - Na łąkach, niedaleko Pennyroyal Green. Szczerze mówiąc, zawsze marzyłem, że kiedyś tam zamieszkać. Owce. Wełna. Myślę, że ojciec chętnie by mi ją oddał.

- Ty na gospodarstwie? Myślałam, że twój dom jest w Londynie.

- Mój dom jest tam, gdzie jest Louisa - sprostował machinalnie.

- Gdziekolwiek by była...

No tak, oczywiście. Na myśl o tym wzorze cnót imieniem Louisa Madeleine ogarnęło nagle rozdrażnienie.

- Jaka ona jest?

- Louisa? - Zdziwił się tym pytaniem, co z kolei Madeleine wydało się zabawne, bo sam bez przerwy o wszystko ją wypytywał. - Cóż, oczywiście jest piękna.

- Oczywiście.

Wyczuł ironię, więc spojrział na nią spod oka i już otworzył usta, żeby coś odpowiedzieć, ale nagle zmienił zdanie. Splótł dłonie na piersi i skupił się na opisie.

- Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że jest bardzo subtelna i marzycielska... bo ma takie wielkie błękitne oczy. Właściwie bardziej szafirowe niż błękitne. Każdej wiosny, kiedy kwitną dzwonki, przychodzi mi na myśl, że Louisa jest jak wiosna, z tymi niebieskimi oczami i z włosami złotymi jak słońce. Ale tak naprawdę Louisa jest bardzo praktyczna. I umie wspaniale słuchać. Lubi czytać. I spacerować po łąkach.

Madeleine uznała, że Louisa jest mdła i nudna. Ale zdawała sobie sprawę, że zakochani wszystko widzą w jasnych barwach, ona zaś nie kochała Louisy.

- A potrafi cię rozśmieszyć? Zastanowił się.

- Na pewno dużo się śmieje, kiedy jestem przy niej - przyznał wreszcie.

Czy Colin Eversea chciał, żeby jego przyszła żona śmiała się z niego, a nie z nim? Był najbardziej irytującym człowiekiem, jakiego znała, ale miał przy tym wyborne poczucie humoru. Umiał go użyć, żeby odwrócić od czegoś uwagę albo kogoś o czymś przekonać. A jeśli człowiek uważnie mu się przyjrzał, widać było, że pod ciętym dowcipem skrywa się wrażliwa osobowość.

Może jednak wcale nie chciał, żeby ktoś go dobrze rozumiał, bo ludzie, którzy umieją nas przejrzeć na wylot, mogą być niewygodni. Chyba że sami się na to zgodzimy; wtedy ani się człowiek obejrzy, a już leży na łóżku w gospodzie obok

takiej osoby. Tak, Colin też był bardzo spostrzegawczy. Zauważał wszystko i w każdych okolicznościach.

Uśmiechnęła się do siebie. Ten człowiek ją wykończy.

A potem zapytała, bo nie mogła się powstrzymać:

- Czy ty z nią... Czy wy kiedyś...

- Baraszkowaliśmy na sianie? - Spojrzał na nią kątem oka. - Nie - powiedział rozbawiony. - Oczywiście, że nie. Louisa jest da...

Urwał. Bardzo rozsądnie.

- Ach, tak - mruknęła Madeleine.

Przynajmniej nie był na tyle głupi, żeby ją przeproszać, bo to tylko pogorszyłoby sytuację. Ale i tak zapanowała niezręczna cisza.

Tłumaczyła sobie, że nie powinna się tym przejmować. W końcu rzeczywiście baraszkowała na sianie. Ba, musiała nawet przyznać, że sama zainicjowała owe igraszki. Była kiedyś mężatką. Umiała strzelać z pistoletu i muszkietu. Nie mogła zmienić tego, kim była i kim się stała, i chyba nawet tego nie chciała. A teraz leżała na łóżku obok Colina Eversea i przy odrobinie szczęścia pobaraszkują także tutaj.

Za parę tygodni - o ile znajdą Horacego Peele'a i rodzina Colina zapłaci jej za dostarczenie go całego i zdrowego - będzie już w Ameryce i tam będzie mogła być, kim tylko zechce. Ciągle jeszcze młoda, zdrowa i urodziwa.

A do tego Colin Eversea jakimś cudem pomógł jej odzyskać... samą siebie. Zamarła na moment, przytłoczona ogromem tego odkrycia.

- Ale się całowaliśmy - wyznał, co pewnie w jego mniemaniu miało jej poprawić humor i sprawić, że nie będzie się czuła jak ulicznica.

- Skoro tak mówisz - powiedziała z takim rozdrażnieniem, że aż się sama zdziwiła. Zupełnie, jakby ktoś inny mówił jej ustami.

Colin Eversea obrócił głowę w jej stronę, ale Madeleine uparcie patrzyła w sufit. Czowała na sobie jego wzrok.

Wzięła głęboki wdech, udając, że oddycha powietrzem Ameryki, i zaraz poczuła się lepiej.

A przynajmniej powiedziała sobie, że czuje się lepiej.

- Jakim człowiekiem był twój mąż? - zapytał cicho.

Spojrzała na niego, ale teraz on z kolei wpatrywał się w sufit. Sądząc po ich zachowaniu, można by pomyśleć, że było tam widać coś wyjątkowo ciekawego.

- Był uprzejmy i zabawny, silny i uparty, był po prostu sobą. Kiedy się pobraliśmy, byliśmy bardzo młodzi. Właściwie prawie się nie znaliśmy. I z biegiem lat uczyliśmy się siebie nawzajem.

- Uczyliście się siebie - powtórzył w zadumie, jakby spodobało mu się to określenie. - A wiesz, co ja o nim słyszałem? - szepnął.

Madeleine zmartwiała. Dobry Boże, czyżby Colin Eversea naprawdę znał jej męża?

- Słyszałem... - konspiracyjnie zawiesił głos - ...że miał bardzo, ale to bardzo długi interes.

Roześmiała się, a on razem z nią.

Kiedy znowu zapadła cisza, nie była już tak męcząca. Pomimo napiętej atmosfery, jaka znaczyła ich podróż, Madeleine czuła się odprężona jak jeszcze nigdy w życiu.

- Colin... a jeśli twój brat i Louisa już się pobrali? Poczuła, że znieruchomiał. Ale zaraz prychnął lekceważąco.

- Na pewno nie. Matka nigdy by na to nie pozwoliła. Ona chce mieć porządne wesele, sprosć do Pennyroyal Green wszystkich ważnych krewnych z okolicy. Co prawda na pewno nie planowała, że jej najmłodszy syn zostanie w tym czasie skazany na śmierć albo że ucieknie spod szubienicy, ale moja matka... - urwał, jakby dopiero w tym momencie zdał sobie z czegoś sprawę. - Moja matka ma do nas ogromną cierpliwość. Zawsze znosiła wszystkie nasze wybryki, a w mojej rodzinie

to nie byle co. Matka wszystko przetrzyma. I doczeka się tego wesela, ja ci to mówię. Ale jestem pewien, że jeszcze się nie odbyło.

Długo leżeli w milczeniu, rozkoszując się tym, że wreszcie mają pod sobą łóżko - łóżko! Ale z łózkami jest taki problem, że zwykle robi się na nich jedno z dwojga: albo się śpi, albo uprawia seks. A to łóżko było wyjątkowo wygodne.

Colin obrócił się do Madeleine i zobaczył, że dzielnie walczy, by nie zamknąć opadających powiek. Postanowił, że choćby się waliło i paliło, tej nocy to ona będzie spała, i to twardo.

- Zaśpiewać ci? - spytał znienacka.

- Zaśpiewać? - powtórzyła, jakby słyszała to słowo po raz pierwszy w życiu.

- Czemu nie?

- Jak chcesz - zgodziła się.

Więc zaśpiewał jej melodyjną irlandzką piosenkę, której nauczył się w wojsku. Opowiadała o tragedii i o śmierci. Ale z tego, co wiedział, chyba wszystkie irlandzkie piosenki mówiły o tragedii i śmierci.

- No proszę, jaki masz ładny głos - mruknęła sennie.

- Pewnie, że ładny - potwierdził z dumą. Uniosła kąciki ust, ale nie otworzyła oczu.

Pod nimi w gospodzie toczyło się życie. Słysząc było, jak odsuwane krzesła szorują po podłodze. Od czasu do czasu coś metalowego upadło z brzękiem na podłogę. Przypomniawszy sobie zajazd Pod Świniakiem i Ostem w Pennyroyal Green, goście siedzących przy kominku, starego Culpeppera i Cooke'a pochylonych nad szachownicą. Był ciekaw, czy Marietta Endicott z pensji dla panienek zajrzała tego wieczoru na kufelek. Czy żołnierze stacjonują wokół jego domu i czy jego ojca bawi ta sytuacja. Czy Louisa stoi w oknie i wypatruje go w ciemnościach, czy może gra na fortepianie dla Marcusa, który nie przepadał za muzyką, ale z przyjemnością patrzył na wszystko, co robiła.

Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zdoła pomyśleć o bracie i nie poczuć przy tym w brzuchu bolesnego skurczu.

Ogarnęła go nagła ochota, żeby pogłodzić czoło Madeleine w miejscu, gdzie zaczynały się włosy. Układały się w klin, który nadawał jej twarzy kształt serca. W świetle lampy dojrzał jedną cieniuteńką zmarszczkę, dowód, że nie była już podlotkiem. Podobała mu się ta zmarszczka. Wyobrażał sobie, że gładząc jej czoło, odsuwa od niej wszystkie myśli o tym, co było i co będzie. Może wreszcie będzie myślała tylko o nim. Wiedział, że to samolubne, ale tego właśnie chciał.

Właściwie było mu tak dobrze, że nie pragnął niczego więcej.

- Miło... - westchnęła.

- Mhm - odpowiedział, nie przerywając głaskania.

- No i? - odezwała się po chwili, tym razem głośniejszym głosem, co go zaskoczyło.

- Co: „no i”?

- Zaśpiewasz coś jeszcze?

Zatrzymał dłoń w pół ruchu. Podparł się na łokciu i spojrzał na nią z góry. Odczekał chwilę, udając, że się zastanawia.

- Niech będzie - odparł cicho. - A co mam zaśpiewać? Kołysankę?

Przyśpiewkę biesiadną? Czy może jakąś pieśń wojskową?

- Poproszę *Balladę o Colinie Eversea*.

Ach, tak. Madeleine nigdy nie była zbyt zmęczona na przekomarzenie się.

Zaśpiewał więc swoim miękkim tenorem, zmieniając rubaszną uliczną piosenkę o własnej niechlubnej śmierci w subtelną kołysankę. Prześpiewał balladę do samego końca, patrząc, jak uśmiech gaśnie na twarzy Madeleine i jak ogarnia ją sen. Wcześniej zamierzał tej nocy kochać się z nią do upadłego, a zamiast tego śpiewał jej, dopóki nie zasnęła. Jej czoło opadło mu ciężko na ramię, a biodro przycisnęło się do niego. Kiedy już miał pewność, że śpi naprawdę głębokim snem, delikatnie ją objął i z uczuciem ulgi - a zarazem triumfu - oparł na czubku jej głowy

swoją zmęczoną głowę. Wciągał w nozdrza zapach jej włosów, a jej równy oddech w końcu ukołysał go do snu.

Miał znowu sześć lat i stał pod grubymi konarami starego drzewa, które rosło nad rzeczką. Musiał się zapierać nogami o mulisty brzeg, bo ten niewielki dopływ Ouse miał zaskakująco bystry nurt, który omal nie wyrwał mu wędki z rąk. Dokładnie to samo zrobiłaby matka albo jeden z gromady - zawsze miał wrażenie, że jest ich cała gromada - jego starszych braci: wyrwaliby mu wędkę, po czym użyliby jej zamiast różgi. Ostrzegali go przecież, żeby sam tu nie przychodził, ale dotąd nie zorientowali się, że dla małego Colina ostrzeżenie było równoznaczne z rzuceniem wyzwania. Mówili mu też, że w tej rzeczce nie ma ryb, on jednak miał nadzieję, że jakaś zbuntowana ryba odłączy się od rodziny i tu przyplynie, a wtedy on ją złapie i wszyscy będą się dziwili, jak ją przyniesie do domu na kolację, i...

Poczuł, że coś szarpnęło za wędkę, i nagle się obudził. Przez moment leżał nieruchomo zdezorientowany, bo chociaż pod sobą miał łóżko, a nie korzenie drzewa, słyszał plusk wody. Zamrugał i obrócił głowę w stronę, z której dobiegał ten dźwięk.

Przez okiennice do pokoju wpadało mdłe światło, co oznaczało, że niedługo będzie świtać. Madeleine stała przy miednicy i próbowała się umyć, nie robiąc przy tym hałasu; zanurzyła szmatkę w wodzie, wykręciła ją i uniosła do twarzy.

Przypuszczał, że lada chwila zorientuje się, że on już nie śpi, tak bardzo była wyczulona na otoczenie. Leżał więc bez ruchu i oddychał miarowo, chcąc jeszcze przez moment po prostu na nią patrzeć.

Stała plecami do niego. Opuściła gors sukienki, żeby móc się umyć pod pachami. W bladym świetle brzasku jej skóra wydawała się całkiem biała. Pomyślał, jaka jest miękka, i tknięty irracjonalnym strachem, na chwilę przestał oddychać. Przy takim trybie życia powinna mieć zbroję zamiast skóry albo może skorupę jak żółw.

Fakt, że tak nie było, napawał go idiotycznym zadowoleniem.

Zsunął się z łóżka i po dwóch krokach stał już za nią. Znieruchomiła, ale zanim zdążyła się odwrócić, on sięgnął po szmatkę i delikatnie wyciągnął ją spomiędzy jej palców.

Zerknęła na niego przez ramię, unosząc brwi w niemym pytaniu. Ale nie protestowała. W miednicy pływały kawałki lodu. Ominął je, zanurzył szmatkę w wodzie i wykręciwszy, żeby nie kapła, zamknął ją w dłoni i pochuchał. Pewnie wiele to nie pomogło, ale chociaż trochę się ogrzała.

Wsunął drugą rękę pod miękkie gęste włosy Madeleine, odgarnął je i przetał szmatką jej kark, jednocześnie przywierając do niej całym ciałem.

Wtuliła się w niego, a z jej ust wydobyło się pełne satysfakcji „mmmm”. Potem, zmysłowo jak kotka, przechyliła głowę do tyłu, prosto w jego dłoń. Jakby o coś prosiła.

Nie zamierzał odmawiać. Przytrzymując jej głowę jedną ręką, z palcami wplecionymi w gęstwinę włosów, drugą delikatnie przeciągał szmatką wokół uszu, starannie wnikając w każde załamanie skóry i rozgrzewając ją ciepłym oddechem. Mył ją i jednocześnie uwodził. I chciał mieć pewność, że dla niej to jest całkiem jasne.

Kiedy przeciągnął szmatkę wzdłuż szczupłej kolumny jej szyi, poczuł pod palcami szalone tempo jej pulsu, zobaczył rozlewający się rumieniec, usłyszał przyspieszony oddech - i zrozumiał, że ona już wie.

Stanął przed nią; ręce miała splecione na piersiach, może ze skromności, a może z zimna. Ujął ją za nadgarstki i powoli podniósł obie jej ręce nad głowę.

Patrząc jej głęboko w oczy, przesunął moką szmatkę od szczupłego nadgarstka aż do zagłębienia pod pachą, które dokładnie przetał.

Zaśmiała się ochryple.

- Cóż za skrupulatność.

- Skrupulatność - wymruczał - to moja dewiza.

Zajął się drugą ręką; Madeleine czuła, że policzki jej płoną, a po chwili żar rozlał się na resztę jej ciała. Pragnęła jego dotyku, kiedy więc przeciągnął szmatką po jej piersiach, wydała cichy jęk ulgi.

Skrupulatność rzeczywiście była jego dewizą. Obrysował kontur jej piersi szorstką stroną gałganka, skupiając się na różowej powierzchni sutków, a potem pochylił głowę, żeby jeden z nich wziąć do ust.

- Och... - westchnęła.

Wsunęła palce w jego włosy, ale na krótko, bo on całował ją coraz niżej, muskał ustami jej żebra, brzuch, aż wreszcie...

- Ja już dla ciebie śpiewałem, teraz twoja kolej, Mad.

Jego usta zatrzymały się między jej nogami. Przycisnął wargi do jej łona, a potem odsunął się nieco i wypuścił strumień ciepłego powietrza. Przemknęło po jej pobudzonej skórze niby gorący jedwab; wyjątkowe wrażenie, które sprawiło, że dostała gęsiej skórki i oddech zamarł jej w krtani. Kciukami delikatnie rozdzielił fałdy skóry i jego język, jedwabisty i gorący, silny i wilgotny... wdarł się w nią gwałtownie.

Znowu jęknęła.

Ten gardłowy jęk, ten odgłos rozkoszy płynący z głębi trzewi to ja, pomyślała, usiłując wyrównać oddech, odzyskać kontrolę nad sobą.

Rozkosz niemal ją oślepiła.

- Śliczna piosenka, Mad - zamruczał Colin, a ona poczuła to mruczenie jako delikatne wibracje. - Poproszę o następną zwrotkę.

Dmuchał chłodnym powietrzem tam, gdzie była najbardziej rozgrzana, nabrzmiała i wrażliwa. Aż się zachłysnęła, kiedy jego język zagłębił się w niej znowu, a potem przesunął po niej całą płaszczyznę.

- Ja... przestań... Col... - To były urywki bardziej uczuć niż słów. O dobry Boże, wcale nie chciała, żeby przestał, tylko po prostu nie wiedziała, czy to zniesie, i trochę się tego bała. Nigdy wcześniej nie doświadczyła tak całkowitej utraty

panowania nad sobą, tak zupełnej utraty wszelkiego rozsądku. Do tej pory zawsze, nawet w ferworze namiętności, zachowywała przytomność umysłu.

Colin powiódł dłońmi po jej udach, muskając delikatną skórę, i objął ją za pośladki, żeby przycisnąć ją mocniej do swoich ust.

- Chcę widzieć, jak przeżywasz rozkosz, Mad - wyszeptał chrapliwie.

Na ślepo poszukała dłońmi jego głowy, wplotła palce we włosy, musnęła chłodne koniuszki uszu, chwyciła za nagie ramiona. Z jej ust wydarł się zdławiony śmiech, jakby sama nie wierzyła, że można czuć tak ogromną rozkosz. Każdy ruch jego języka popychał ją coraz dalej w stronę boskiego szaleństwa. Na samą myśl o tym, co dla niej robi, znowu jęknęła.

Zobaczyła jego męskość, nabrzmiałą i sterczącą, i wiedziała, że nie jest w tym szaleństwie sama.

Dziki poryw uniesienia pozbawił ją tchu. Oddychała płytko, nierówno i zaczęła się poruszać w rytm jego warg i języka. Przynaglała go westchnieniami, urywanymi słowami i szepcząc jego imię. Cały świat zniknął, liczyła się tylko jego ciemna głowa, jego usta i rozkosz, jaką jej dawał.

Już wstrząsały nią drgawki spełnienia, gdy Colin przerwał, wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko.

Przesunął jej ręce za głowę i przycisnął ją do materaca twardymi udami. Była zupełnie bezbronna i po raz pierwszy w życiu chciała czuć się bezbronna.

- Moja.

To słowo wyrwało mu się mimo woli, jak westchnienie. A potem uniósł się na łokciach i wszedł w nią jednym płynnym ruchem.

Madeleine aż krzyknęła z zaskoczenia. Wszedł w nią tak głęboko, że czuła się wypełniona do granic możliwości. I, Boże mój, wydawało jej się, że niczego więcej nie pragnie.

Colin nie bawił się w subtelności, po prostu brał ją, a ona tego właśnie chciała. Wypreżala się na spotkanie każdego pchnięcia jego bioder, gotowa oddać mu się

cała. Oplotła nogami jego plecy, objęła ramiona i tak przyłgnęli do siebie w szalonym rytmie.

Colin ani na chwilę nie spuścił z niej rozgorączkowanych oczu, widziała więc, jak zachodzą mgłą rozkoszy, kiedy osiągnął szczyt i znieruchomiał, szepcząc jej imię.

- Podobał mi się ten twój krzyk, Mad.

Chciała dać mu klapsa, ale ledwo miała siłę unieść rękę. On chciał się zaśmiać, ale wyszło mu tylko ciche stęknienie. Oboje byli kompletnie wykończeni.

- Pomyślałam, że ktoś tu kogoś morduje - mruknęła, trochę zdenerwowana.

- Raczej pomyślałam, że ktoś ci dogodził - odparł, bardzo z siebie zadowolony. -

Zresztą wątpię, żeby ktoś coś usłyszał. To był bardzo krótki krzyk.

Cóż, miał rację: naprawdę jej dogodził.

Odwróciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Wyglądał o dziesięć lat młodziej niż wczoraj, ale nadal był za chudy; leżał obok niej całkiem nagi, a wargi wygiął w lekkim półuśmiechu, jakby pełny uśmiech był dla niego zbyt dużym wysiłkiem. Oczy miał zamknięte, jego długie rzęsy rzucały cienie na policzki. Włosy, pociemniałe od potu, były potargane.

Chcieli zarzucić mu pętlę na szyję i podciąć mu nogi, a tysiące ludzi stałoby i patrzyło, jak uchodzi z niego życie.

Wzdrygnęła się i usiadła, zwijając się w pół, bo żołądek jej się ścisnął w bólu nie do zniesienia. Oplotła rękami kolana.

- Mad?

Zerknęła na niego przez ramię.

- Musimy już iść - powiedziała stanowczo. - Zostało mało czasu.

Powinniśmy...

- Nie - odparł cicho.

O dziwo, zabrzmiało to bardzo rozsądnie. Mimo leniwego samozadowolenia i ogromnego znużenia zdołał zebrać siły na to, żeby usiąść i otoczyć ją ramionami.

Czuła pod piersiami ciepło jego dłoni. Zaciśnęła powieki. Pod wpływem jego dotyku rozsądek ulatniał się jak dym; chciała go uchwycić, ale wymykał jej się, bo nie wiedziała, za co ma złapać.

- Jeszcze nie - powiedział. Jego szept owionął jej kark jak pieśczoła, a chwilę później poczuła na szyi jego wargi. - Jeszcze nie - powtórzył z ustami przy jej uchu i z delikatnością prawdziwego konesera dotknął ją tam językiem.

Niech cię szlag, powiedziałyby, gdyby tylko zdołała odzyskać mowę. Wiedział, że nie będzie się opierała - poznawał to po jej stwardniałych sutkach, po gęszej skórcie i przyspieszonym pulsie na szyi.

- Właśnie tak - zamruczał.

Pchnął ją delikatnie do przodu, aż oparła się czołem o narzutę, a sam zsunął dłonie wzdłuż jej pleców, obejmując pośladki i unosząc je w górę.

Jedną ręką przytrzymał ją za plecy, a drugą wsunął między nogi, wzdłuż szczeliny jej kobiecości. Wiedziała, że jego palce natrafią na wilgoć. Oddychając ciężko, podłożyła sobie ręce pod głowę. Szorstka narzuta przyjemnie drażniła jej sutki.

- Boże, Madeleine. - Zabrzmiało to, jakby on też był na granicy obłądu.

Wsunął palec między jej nogi i lekko, jakby się z nią droczył, powiódł nim wzdłuż, zatrzymując się na moment, żeby musnąć jej kędziorki.

- Colin - wykrztusiła.

Palec zniknął. Zaraz jednak poczuła na jego miejscu krągłą główkę jego męskości. Kolanami rozsunął jej nogi, ale znowu tylko się z nią droczył. Przeciągnął nabrzmiętym członkiem wzdłuż szczeliny i - a to drań! - wycofał się.

Dyszając, odwróciła głowę.

- Niech cię cholera...

- O co ci chodzi? - mruknął niewinnie.

Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Colin, błagam cię. Bła...

Wszedł w nią.

Zachwiała się, ale jego mocne dłonie przytrzymały ją w talii. Przeciągnął rękami wzdłuż jej pleców, kiedy powoli się z niej wysuwał. Wysyczała przekleństwo.

Głuche stęknienie, które mu się wyrwało, to pewnie miał być śmiech.

Znowu wszedł w nią leniwie i powoli się wycofał. I jeszcze raz.

Ale słyszała, jak ciężko przy tym oddychał. Wcale nie panował nad sobą tak dobrze, jak mu się wydawało.

Kolejny ruch. Głęboki i równy, ale już szybszy. I następny.

- Tak - usłyszała własny głos. - Tak.

Przyspieszył posłusznie, a im szybciej się poruszał, tym większą rozkosz jej sprawiał. W końcu wbijał się w nią w szaleńczym tempie, a Madeleine przynaglała go słowami, których nigdy by się po sobie nie spodziewała, oszalałymi słowami nieposkromionej żądz.

- O Boże, Mad... - wydyszał.

Ale ona nie słyszała. To przyszło znikąd i zewsząd jednocześnie, narastająca fala, która przełamała się i spadła na nią z tak straszliwą mocą, że całe jej ciało wyprężyło się, a z gardła wydarł się krzyk, który zginął w grubej tkaninie narzuty.

Pochłonął ją płomień spełnienia.

Colin znieruchomiał i ochryplym z namiętności głosem wykrzyczał jej imię.

Potem opadł obok niej na łóżko, twarzą w dół, z jedną ręką przerzuconą przez jej plecy.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Leniwie sięgnął ręką, żeby odgarnąć jej włosy z oczu.

Madeleine przysunęła się bliżej i wtuliła głowę w jego pierś. Objęła go nieśmiało. Tym gestem szukała u niego opieki i obrony, po raz pierwszy od lat.

Colin jednak nie wiedział, że tym, przed kim chciała się bronić, jest on sam.

A niech to diabli. Zakochała się.

Zakochała się tak szaleńczo, że już nawet nie pamiętała, jak czuła się przedtem, kiedy go nie знаła. Przez chwilę napawała się tym cudownym i zarazem przerażającym uczuciem.

Zamknął ją w objęciach i mocno przytulił. Całował jej szyję, usta, powieki, wreszcie usta. Trwali tak, całując się delikatnie, przez całe wieki, a może tylko przez kilka sekund; pocałunki bez rozchylania warg, bardziej czułe niż namiętne.

A potem po prostu się obejmowali. Bardzo uważając, żeby nie patrzeć sobie w oczy.

- Teraz to już naprawdę musimy iść - powiedział cicho.

Wstał, obmył się pośpiesznie, a potem bez jednego słowa ubrali się i wyszli.



Rozdział 19

Barani Folwark miał się znajdować jakiś kilometr czy dwa za gospodą, a kiedy miną dąb z wielką naroślą na pniu, to będzie znaczyło, że doszli za daleko. Okolica była spokojna i nadal nie spotkali żadnych podróżnych. Na szczęście nie minęli też dębu z naroślą w kształcie starego człowieka, za to widzieli po drodze kilka drzew o fantazyjnie powykręcanych pniach, których kształty nie przywodziły na myśl niczego konkretnego.

- Patrz, Mad! - zawołał Colin, wskazując jedną z nich. - Zupełnie jak mój profil. Mam taki sam garb na nosie.

Odwrócił się bokiem, żeby jej to zademonstrować.

- Bzdura - obruszyła się. - Masz tylko mały garbik. Ten na drzewie jest znacznie większy. Twój nos jest arystokratyczny.

- Arystokratyczny? - Parsknął śmiechem. - Zbytek życzliwości, a to do ciebie tak niepodobne, że zaczynam się niepokoić, więc przestań.

Nie wiadomo czemu te słowa ją zaboląły.

- Coś ty powie... Więc uważasz, że ja nie jestem...

Ten przeklęty człowiek przez kilka ostatnich dni zdzierał z niej wszystkie maski, odsłaniając jej prawdziwą naturę, pełną kobiecej delikatności. A teraz mówi, że to do niej niepodobne, żeby była życzliwa?

Ledwie to pomyślała, zdała sobie sprawę, że jej reakcja jest przesadna, ale teraz czuła się jakby bardziej odsłonięta i wrażliwa. Wszystko, co mówił i myślał Colin, było dla niej ważne.

Dostrzegłszy wyraz jej twarzy, natychmiast się zatrzymał i wziął ją za rękę.

- Wiesz przecież, że ja tylko żartuję, Madeleine - powiedział cicho, ale z naciskiem. - Musisz to wiedzieć. Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile w tobie jest dobroci i życzliwości? Czy masz pojęcie?

W jego głosie było słycać szczerosc i... irytacje. To na nia byl zly czy na siebie samego?

Przez chwile stali w milczeniu.

- Wiem, ze tylko zartujesz - odparla wreszcie. Puscił jej rękę.

Patrzyli na siebie zakłopotani i z jakiegoś powodu poirytowani, choć tak naprawdę czuli coś zupełnie innego i oboje o tym wiedzieli.

Niewątpliwie ulży im, kiedy ta niezwykła podróż dobiegnie końca.

Parę minut później napotkali pierwszego podróżnego, który był ubrany jak okoliczni wieśniacy. Może to w jego stodole wczoraj spali? Sam był szeroki jak stodoła i poruszał się z prędkością zupełnie niepasującą do niespiesznego wiejskiego stylu życia. Kiedy ich zobaczył, zatrzymał się, a to, co powiedział, sprawiło, że zastygli w bezruchu.

- Czyżby to był... dobry Boże, toż to Colin Eversea! I to tutaj w Marble Mile! Właśnie wróciłem z Londynu, sir.

Uśmiechał się od ucha do ucha. Miał olbrzymią głowę, dziobatą twarz i nos w kształcie kartofla. Colin podziwiał jego imponujące rozmiary...

Nagle mężczyzna wyciągnął pistolet.

Zanim Colin zdążył sięgnąć po własny, potężne ramię owinęło się jak wąż wokół talii Madeleine, a lufa znalazła tuż przy jej skroni.

- Na Boga, będę sławny i bogaty! Mój ty Boże, toż to dziś rano znalazłem na ziemi pensa i pomyślałem sobie: Willu Hunt, czeka cię szczęśliwy dzień. Pomyślałem sobie życzenie, no i proszę, spełniło się.

Powietrze, które Colin wciągnął w płuca, było gorzkie i miało smak spalenizny. Jego ręka na pistolecie lekko drgnęła.

- Niech pan odłoży ten pistolet, panie Eversea, i pójdzie ze mną - powiedział Hunt - albo ona skończy z dziurą w czaszce. Ja nie mam, rozumiesz pan, żadnych skrupułów. A jeśli pan nie wierzy... - Jego ręka podpełzła wyżej i rozpląszczyła się,

niczym wielki pajak, na piersi Madeleine. - No, no, całkiem niezłe - mruknął z aprobatą.

Mimo czerwonej mgły, która zasnęła mu oczy, Colin widział wszystko wokół tak wyraźnie, jakby było wyrżnięte w kryształ. Dostrzegał każdy szczegół: ciemne oczy Madeleine, lśniące ze strachu i gniewu; jej pobladłą twarz; jej palce dzielnie próbujące walczyć z włochatym ramieniem, które ją oplatało; jej pistolet, bezużytecznie uwięziony gdzieś w kieszeni. Czas jakby zwolnił, tak że był w stanie z całkowitą jasnością ocenić sytuację, mimo metalicznego smaku wściekłości, który palił mu gardło.

Ten człowiek był bezdusznym prymitywem.

Niebezpiecznym, ale głupim.

- Proszę uprzejmie, niech pan strzela, panie Hunt. Ale wtedy ja odstrzelę panu jaja. O, przepraszam, pomyliłem się. Chciałem powiedzieć, że strzelę w pańskiego konia.

Mężczyzna zmarszczył brwi, a potem otworzył szeroko oczy, zastanawiając się pewnie: Jakiego konia?

Trwało to ułamek sekundy. Lecz ani Colinowi, ani Madeleine nie trzeba było więcej.

On złapał rękę trzymającą pistolet i wykręcił do tyłu, a ona ugryzła Hunta w przedramię. Zaatakowany z dwóch stron, wrzasnął i rozluźnił chwyt. Colin złapał go za spodnie i podciągnął je do góry tak mocno, żeby porządnie zaboląło, zakładając, że miał cokolwiek między nogami.

To załatwiło sprawę. Will Hunt znowu wrzasnął i wypuścił pistolet, który, dzięki Bogu, nie wypalił.

Colin w mgnieniu oka przystawił mu lufę do czoła, nie puszczając spodni.

- Mam tylko jedną kulę, panie Hunt - oznajmił z lodowatą uprzejmością. - I nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż odstrzelić panu głowę. Ma pan jakieś interesujące schorzenia?

- Co? Nie! Ja... - Hunt stękał z bólu.

- Czyli po śmierci nie przyda się pan na nic, podobnie jak za życia. Szkoda.

- Panie Eversea... - Hunt trząsał się jak galareta. Krople potu spływały po dziobatej twarzy.

- Chce pan umrzeć już teraz czy może dopiero za parę sekund? - spytał Colin obojętnie, jakby siedział przy stole i podawał komuś sól.

- Przestań - dobiegł go z krainy zdrowego rozsądku łagodny głos Madeleine.

Ale nie słuchał jej. Podobała mu się ta czerwona mgła wściekłości i znęcanie się nad Huntem. Jakoś nie mógł przestać.

- Sto funtów to bardzo dużo pieniędzy, prawda, panie Hunt? Właściwie nawet pana rozumiem. Ale widzi pan, ja nie zabiłem Rolanda Tarbella. A pan nie zdołałby mnie złapać, gdyby próbował zrobić to honorowo, jak mężczyzna. Wtedy byłbym skłonny pana szanować. Za to teraz kusi mnie, żeby zastrzelić pana ot tak, dla przyjemności. Co za ironia losu, że właśnie pan może zrobić ze mnie mordercę. I muszę powiedzieć, że nie jestem pewien, czy miałbym wyrzuty sumienia. Chyba nawet nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mnie za to powiesili.

- Colin - w głosie Madeleine pojawił się cień niepokoju.

- Zwiąż mu ręce, Mad - rozkazał jej, jakby była jego podwładną.

- Niech pan złączy ręce za plecami, panie Hunt, tylko powoli.

Hunt zrobił, co mu kazano, trzęsąc się od stóp do głów.

Madeleine, spięta, ale z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, wyciągnęła sznury z zawiniątka i zniknęła za szerokimi plecami mężczyzny. Colin widział tylko jej łokcie, kiedy zaciągała węzeł. Hunt skrzywił się z bólu.

No, proszę: umiała porządnie zawiązać sznur, a nie tylko go rozwiązać.

- A teraz niech pan usiądzie, panie Hunt - powiedział Colin. Hunt zawahał się, i to był jego błąd.

Colin kopnął go w nogi, a gdy ten osunął się na kolana, pchnął go na bok, uklęknął nad nim i znowu przyłożył mu pistolet do czoła.

- Zwiąż mu nogi, Madeleine - polecił.

- Ale ja... - wyjąkał Hunt.

- Umrze pan z głodu? Zamarznie? Zjedzą pana wiewiórki? Chyba nie. Raczej ktoś tu pana znajdzie za dzień czy dwa. Albo sam się pan uwolni. Może ktoś się do pana dobierze, kiedy będzie pan leżał związany i bezbronny. Ale niech się pan nie waży drgnąć. Bo zastrzelę.

Madeleine związała kostki mężczyzny i mocno zaciągnęła węzeł.

Colin wstał. Poruszał się jak we śnie i cały się trząsał, kiedy patrzył na Hunta związanego tymi samymi sznurami, które kępowały go w drodze na szubienicę.

- Idziemy, Mad - rzucił.

I odeszli, a skrepowany Hunt został na poboczu, niczym kamień milowy znaczący ich szlak.

Colin stawiał tak długie kroki, że Madeleine musiała prawie biec, by za nim nadążyć.

Wreszcie zatrzymał się gwałtownie i osunął na głaz leżący przy drodze. Rozejrzał się, jakby ze zdziwieniem, że dzień jest piękny i słoneczny, po czym zmarszczył gniewnie brwi, schował twarz w dłoniach i westchnął przeciągle.

- Chciałem go zabić - wyznał. - I naprawdę sprawiłoby mi to przyjemność. Wiem, że wyładowałem na nim własne frustracje. Ale to, co ci zrobił... to, jak cię dotykał...

Zadrżał, wciąż jeszcze wściekły, ale bardziej zażenowany, i podniósł na nią wzrok.

- Krótko mówiąc, to nie był mój najlepszy moment.

Próbował ratować sytuację dowcipem, który zawsze mu pomagał znosić ciężkie chwile, ale nie wyszło mu to zbyt dobrze. Żałowała, że sam nie widzi, jaki jest silny.

Oparła się o głaz tuż obok niego i odparła:

- Być może uratowałeś mi życie, Colinie. Po raz kolejny. I ocaliłeś własne. A przecież każdy ma prawo bronić swojego życia. Ten człowiek... on był okropny. Wcale nie uważam, że zrobiłeś coś strasznego. Doskonale cię rozumiem.

Wyciągnął rękę i objął ją za szyję.

- A jak ty się czujesz? - spytał. - Nic ci nie jest?

- Nie, wszystko w porządku. Trochę mnie pomacał, ale jakoś to przeżyję.

Sama bym go zabiła, gdybyś się nie wtrącił.

Colin cofnął rękę.

- Nie byłoby żadnego macania, gdybyś nie była tu ze mną, Mad - odparł ponuro. - A ta... agresja... Przedtem nie miałem jej w sobie. Dopiero teraz...

Więzienie, Tarbell... - Machnął ręką z niesmakiem.

- Stałem się jakimś potworem, który czerpie przyjemność ze znęcania się nad innymi.

- Daj spokój - rzuciła niemal beztrosko. - Myślę, że każdy ma w sobie coś takiego. Wszyscy rodzimy się z różnymi cechami charakteru. Niektóre są dobre, a inne złe i nigdy nie wiadomo, co sprawi, że któraś z nich się ujawni. Czasami te dobre cechy wpędzają nas w kłopoty, a te złe pomagają nam się z nich wydobyć.

- Ciekawa teoria - przyznał. - Powiem ci, kiedy ją zrozumiem.

- Jestem pewna, że już ją rozumiesz - odparła. Uśmiechnął się krzywo.

- Może i tak, ale to znaczy, że mogłem zabić Rolanda Tarbella. Wzdrygnęła się, jakby usłyszała bluźnierstwo.

- Nie mogłeś tego zrobić - zawołała. - Nie zabiłeś Rolanda Tarbella.

Teraz uśmiechnął się szczerze.

- Naprawdę myślisz, że nie zabiłem Tarbella?

- Tak.

- Od kiedy?

- Od zawsze.

- Kłamczucha.

- Ach, Colinie, jesteś naprawdę wyjątkowy - rzekła tak cicho, że sama nie wiedziała, czy rzeczywiście wypowiedziała te słowa, czy znowu tylko je pomyślała. Próbowała obrócić to w żart. Ale nie była w stanie, patrząc na niego, więc odwróciła głowę w stronę drogi.

Chciała powiedzieć mu to chociaż raz, zanim się rozstaną. Chciała, żeby wiedział, co o nim myśli.

Wyczuła, że Colin na nią patrzy. I tak siedzieli dłuższą chwilę w milczeniu: on jej się przyglądał, a ona udawała, że tego nie widzi.

- Chcę, żebyś mnie pocałowała - oświadczył w końcu.

Nie chciała mu odmawiać, obróciła się więc, pochyliła ku niemu i pocałowała go w czoło.

Co zrobić z miłością, pomyślała, kiedy trzeba skrywać ją w sobie? Kiedy wiesz, że nic z tego nie będzie, że dany jest ci tylko krótki czas, kiedy nie możesz jej wyznać? Kiedy masz wrażenie, że zaraz pęknieś od jej nadmiaru?

Wtedy, odpowiedziała sobie w duchu, całujesz ukochanego człowieka w czoło.

Po czym pocałowała go w usta, bo akurat były blisko. I były takie piękne i takie namiętne.

Colin objął ją. Czowała, że każdy jego mięsień wciąż drży z napięcia. Przytulała go, dopóki się nie uspokoił.

- Dziękuję, że znowu uratowałeś mi życie - powiedziała.

- Nie ma za co, najemniczko.

Uśmiechnęła się.

- Mad, zostały nam tylko dwa dni.

Tylko dwa dni na to, żeby Colin zdołał powstrzymać Louise Porter, kobietę, którą kochał całe życie, przed poślubieniem jego brata, a potem sam mógł się z nią ożenić i żyć długo i szczęśliwie na farmie w Pennyroyal Green.

- Więc chodźmy poszukać Horacego Peele'a - odparła cicho Madeleine. - Jesteśmy już bardzo blisko, Colinie.

Rozdział 20

Uszli jeszcze z pół kilometra i wreszcie zobaczyli znak informujący, że zbliżają się do Baraniego Folwarku. Nazwa była wyryta na desce, która zwisała na łańcuchach ze słupa porośniętego jaskrawo kwitnącym powojem. Sam dom był w nie najgorszym stanie, trochę podniszczony, ale urokliwy, i - jak to angielskie folwarki - przypominał mały dworek: miał pięterko i spadzisty dach. Wznosił się pomiędzy dwoma niewielkimi pagórkami, a przed nim znajdował się niewielki ogródek.

O stan trawnika dbały raczej kozy niż ogrodnicy, a podwórko i ułożoną z kamieni ścieżkę zarastały polne kwiaty. Wśród gałęzi drzew ćwierkały ptaki, którym jak zawsze było wszystko jedno, gdzie i dla kogo śpiewają.

Było to bardzo przyjemne miejsce, więc świadomość, że właśnie tutaj ukrywa się świadek jednej z najgłośniejszych zbrodni ostatniej dekady i że to tu przeładowuje się zwłoki w drodze do Szkocji, stanowiła przykry zgrzyt. Z drugiej strony, może właśnie dlatego wybrano akurat ten folwark na ów ponury proceder.

Oboje machinalnie sięgnęli po pistolety.

Zanim Madeleine zdążyła się zorientować, co się dzieje, ze wzgórza rzuciło się na nią coś wielkiego, czarnego i błyszczącego. Mignęły jej lśniące oczy i zaśliniony różowy jęzor. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle, a to coś skoczyło na nią i zamknęło paszczę na jej przedramieniu.

Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że nie czuje bólu. Najmniejszego. A przecież na jej ręce zaciskał szczęki wielki, groźny pies.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że pies tylko międli przyjaźnie jej dłoń i patrzy na nią rozradowanymi oczami.

Prawie w ogóle nie miał zębów.

- Dobry piesek, już starczy - powiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Zwierzak najwyraźniej wiedział, co to znaczy, bo puścił ją, odsunął się o krok i dał wyraz psiej radości, machając nie tylko ogonem, ale wręcz całym zadkiem. Cały czas skakał - właściwie balansował - na trzech łapach.

Madeleine ukryła twarz w dłoniach, nie wiedząc, czy się śmiać, czy płakać, i opadła na kolana.

Pies ogromnie się ucieszył, bo znalazła się na takiej wysokości, że dało się ją porządnie wylizać. Madeleine próbowała zasłaniać się przed mokrym jęzorem, który wciskał się dosłownie wszędzie.

Poczuła na ramieniu dłoń Colina i resztki przestachu wyparowały z niej. W jego towarzystwie wszystko wydawało się po prostu kolejną przygodą, jeszcze bardziej barwną, jeszcze bardziej... pełną życia. Uświadomiła sobie, że nie powinna się do tego przyzwyczajać. Znowu zrobiła się spięta.

Colin opuścił rękę.

- Jak się masz, Łapaj. Cieszę się, że cię widzę - powiedział do psa, drapiąc go za kosmatymi uszami. - A gdzie Horacy? Jest gdzieś tutaj? Cały i zdrowy?

- Łapaj! Gdzieś ty się znowu podział, Łapaj? - usłyszeli zaniepokojony głos, a po chwili Horacy wyszedł z za węgła domu.

Pies w kilku susach znalazł się przy panu, który pogłaskał go po łbie.

Wyraz jego twarzy na widok Colina przypominał minę Crokera, kiedy stwierdził, że Madeleine żyje.

Ten sam promienny zachwył.

- Colin... Colin Eversea? To ty żyjesz? A mówili mi, że nie! Że cię powiesili! No ale gdyby cię powiesili, to jakim cudem mógłbyś być tutaj? Przecież wcale tak dużo nie wypilem. - Horacy mówił sam do siebie, próbując się połapać w sytuacji. -

I to tylko te popłuczyny, które podają Pod Zającem i Żółwiem. Znaczy... a może ty jesteś duchem?

Jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. Przerażony, rzucił się do ucieczki.

Colin wyciągnął rękę, chwycił go za ubranie i przytrzymał. Horacy dopiero po kilku sekundach zorientował się, że stoi w miejscu. W końcu się poddał i obejrzał przez ramię.

- Nie rób mi krzywdy, kolego. Jestem dobrym chrześcijaninem, słowo daję.

- Och, na litość boską, Horacy. Nie jestem duchem i nie szukam odwetu.

- Jakiego odwetu, u licha? - obruszył się Horacy. - Tu nikt taki nie mieszka.

Jesteśmy tylko ja i Łapaj. Poszedł, znikaj!

Colin westchnął.

- Gdybym był duchem, to nie mógłbym cię trzymać za ubranie - tłumaczył cierpliwie. - Przyjechałem, żeby cię zabrać do Londynu. Potrzebuję twojej pomocy.

Ty przecież wiesz, że nikogo nie zabiłem. Pomożesz przyjacielowi, prawda?

Horacy trochę się uspokoił.

- Colin? Naprawdę jesteś cały i zdrowy?

- Naprawdę. Nie słyszałeś o mojej ucieczce spod szubienicy?

- Nie mamy tu gazet z Londynu, kolego. Już od paru tygodni.

- Tylko wozy pełne zwłok?

- Paskudny interes - przytaknął Horacy. - Ale robią na tym ładny kawałek grosza. Jakżeś mnie tu znalazł, Eversea? On mi nie daruje, jak cię tutaj zastanie.

- Taki już, widzisz, jestem sprytny.

Cóż za interesujące podsumowanie ich podróży, pomyślała Madeleine.

- Pojedziesz ze mną do Londynu, Horacy? To bardzo pilne, musimy wyjechać natychmiast.

- Boję się, że on mi coś zrobi. Już mi groził, że zabije Łapaja.

- To musi być bardzo zły człowiek - powiedział Colin, choć nie był pewien, o kim mowa.

- Święta racja, Eversea. Nie chciałem, żeby spotkało cię coś złego, bo jesteś moim przyjacielem i nie tknąłeś tego skurczysyna Tarbella. Przecież wszystko widziałem. Ale ten cały Critchley dobrze mi zapłacił, to co mogłem powiedzieć? Matula potrzebowała na nowy dach. To wysłałem jej pieniądze. No i przywieźli mnie tutaj. Kazał mi tu siedzieć, bo inaczej, powiedział, matuli albo Łapajowi stanie się coś złego. No i tak już siedzę ze trzy tygodnie. Nie jestem z siebie dumny, Eversea. Ale bałem się.

- Nie pozwolę nikomu skrzywdzić ciebie ani Łapaja, Horacy, przysięgam. A twojej mamie kupimy nowy dach, nowe meble i nowego... może chciałyby mieć osiołka?

- Pewnie, że tak - ucieszył się Horacy. Na myśl o osiołku popadł w lekkie rozmarzenie.

- No to dostanie osiołka. Będzie miała wszystko, czego potrzebuje, żeby sobie wygodnie żyć w...

- W Upper Finster.

- Właśnie, w Upper Finster. Urocze miasteczko.

- O, tak. - Horacy się rozpromienił.

A Madeleine dałaby sobie rękę uciąć, że Colin nigdy w życiu nie słyszał o Upper Finster.

- Ale musisz z nami pojechać, i to natychmiast. To bardzo pilna sprawa. Proszę cię. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? Przysięgam ci na wszystko, co dla mnie drogie, że tobie ani twoim bliskim nie stanie się żadna krzywda.

Ta krótka przemowa miała w sobie coś wyjątkowo przekonującego. Madeleine zastanawiała się, czy tydzień temu zabrzmiałoby to tak samo. Colin Eversea był teraz innym człowiekiem, tego była pewna.

- Jesteśmy przyjaciółmi, Eversea - przytaknął żarliwie Horacy. Dopiero w tym momencie dostrzegł Madeleine; twarz mu się rozjaśniła i uklonił jej się.

- Proszę, proszę, toż to pani Greenway! Madeleine dygnęła.

- Miło cię znowu widzieć, Horacy.
- Bywała pani Pod Czarnym Kotem ze swoim mężem.
- Zgadza się.
- A gdzie pani teraz chodzi na kufelek?
- Jeszcze trochę, a będę pić piwo za oceanem, w Ameryce. Niedługo

wyjeżdżam z Anglii.

Colin skierował na nią wzrok; wiedziała, że tutaj, wśród zieleni, jego oczy nabrały intensywnie szmaragdowej barwy i czuła je na sobie jak dwie latarnie. Ale nie odwróciła głowy w jego stronę.

On więc spojrzął znów na Horacego.

- Ameryka! Dobra nasza! Przygoda! - Horacy był zachwycony.

- O, tak. Nie ma to jak przygoda - odparła Madeleine ironicznie.

- No to jak? Idziemy? Strasznie tu nudno, ani się napić nie ma gdzie, ani kobiety nie uświadczysz. Za przeproszeniem, pani Greenway - dodał pośpiesznie.

- Nic się nie stało, Horacy.

- To ja tylko pójdę po rzeczy i możemy...

Urwał. Bo wszyscy troje usłyszeli, a raczej poczuli, charakterystyczne dudnienie końskich kopyt, stłumione przez trawę i miękką ziemię.

Odwrócili głowy w stronę, skąd dobiegał ten dźwięk, i zobaczyli ich natychmiast, bo też trudno było ich przegapić.

Ze wzgórza za domem zjeżdżali trzej kawalerzyści w czerwonych kurtkach, z połyskującymi w słońcu bagnetami.

Zatrzymawszy się, żołnierze zeskoczyli z koni i w mgnieniu oka wycelowali w nich karabiny.

- Niech pan zabezpieczy pistolet, panie Eversea, rzuci go na ziemię i kopnie w moją stronę. Nie chciałbym do pana strzelać, ale będę zmuszony to zrobić, jeśli pan nie posłucha. Madame, proszę, żeby zrobiła pani to samo, o ile pani potrafi.

Cholemi angielscy żołnierze, uprzejmi nawet wtedy, kiedy aresztują zbiegłego kryminalistę. Co do Madeleine, potraktowali ją łagodnie, myśląc może, że to Colin dał jej pistolet. I jako groźny przestępca pewnie jeszcze ją zmusił, żeby go używała.

Kusiło go, żeby powiedzieć: „Zdziwilibyście się, gdybyście wiedzieli, co ona potrafi”.

Ale stał twardo w miejscu. Nie zabezpieczył pistoletu, tylko wolno opuścił rękę. Niełatwo było mu się na to zdobyć, bo miał przed oczyma trzy muszkiety wycelowane w okolice serca.

Za to Madeleine... trzymała swój pistolet uniesiony i wymierzony prosto w dowódcę.

Och, Mad.

Serce podskoczyło mu do gardła. Gdyby coś jej się stało, gdyby przypadkiem...

- Mad - powiedział cicho.

Rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie. Wydawała się niezwykle spokojna i zdecydowana, a jej ręka ani drgnęła.

- Panie Eversea - w głosie żołnierza zabrzmiał ton groźby. - Madame. Jeśli nie zabezpieczycie państwo pistoletów i nie rzucicie ich na ziemię, obawiam się, że nie będę miał innego wyjścia, niż zastosować się do rozkazu, który mówi, że mamy pojmać pana Eversea żywego albo martwego. Liczę do pięciu.

O Boże, tylko nie to, pomyślał Colin. Kolejne odliczanie do pięciu.

To nie może się tak skończyć. Nie po to dotarli tak daleko, tyle się dowiedzieli, tyle znieśli. Nie mógł się z tym pogodzić.

- Jeden... - zaczął odliczać żołnierz.

Colin stał nieruchomo, a obok niego człowiek, który miał klucz do jego wolności, i jego trójnogi pies.

Wiedział, że jeśli powie: „Jestem niewinny, a ten człowiek może to poświadczyć”, i wskaże Horacego, żołnierze prawdopodobnie go zastrzelą. Każdy, kto trafiał do Newgate, był niewinny. A przynajmniej tak twierdził.

Nie było wykluczone, że żołnierze go wysłuchają. Lecz tak czy inaczej zostanie pojmany. Czeką go celi w areszcie i ciągnące się w nieskończoność przesłuchania. A on zwyczajnie nie zniesie kolejnego zamknięcia w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu.

- Dwa...

Poza tym jego ucieczka spod szubienicy była zniewagą dla całej brytyjskiej armii. W końcu po to ustawiono tam szpaler żołnierzy, żeby coś podobnego się nie przytrafiło.

Chciał krzyknąć: „To ta kobieta, głupcy - to ta niezwykła kobieta - ona to zrobiła”.

Colin opanował do perfekcji sztukę powstrzymywania się od mrugania. Dzięki temu zauważył jakiś dziwny cień na ścianie domu. Przyjrzał się uważniej: to nie był krzak ani drzewo.

Bo krzaki i drzewa nie mogą się zbliżać. Przynajmniej nie na jawie.

A ten cień właśnie się zbliżał. Ukradkiem, ale zdecydowanie.

- Trzy...

Intuicja podpowiedziała Colinowi, kogo ma przed sobą, jeszcze zanim cień przybrał postać mężczyzny. A gdy już było widać go wyraźnie, Colin zobaczył, że nie ma na sobie fraka i perłowe guziki od kamizelki lśnią jak małe księżycy. W ręku trzymał długą strzelbę.

- Cztery...

Marcus Eversea odbezpieczył strzelbę i wymierzył w trójkę kawalerzystów. Zamarli, nic bowiem tak nie przyciąga uwagi żołnierza, jak szcęk zamka karabinowego.

Najpierw jeden, a potem pozostali dwaj zaczęli powoli odwracać głowy.

Później Colin nie mógł sobie przypomnieć, w którym dokładnie momencie podjął decyzję. Mroczne podejrzenia dręczyły go całymi tygodniami i był prawie pewien, że to Marcus kazał przysłać tu Horacego, a teraz przyjechał go zastrzelić. Może nawet zastrzelili także jego.

Kiedy jednak przypomniał sobie swój sen z ostatniej nocy, w ułamku sekundy zdecydował sercem, nie rozumem.

- Nie ruszać się albo zginiecie - wycodził. - Wybór należy do was, panowie. Myśleliście, że jestem na tyle głupi, żeby tu przyjechać bez wsparcia? Sam przecież byłem kiedyś żołnierzem. A teraz powoli odwróćcie się przodem do mnie.

Gdy zrobili, co im kazał, Colin, znów mierząc do nich z pistoletu, powiedział:

- Za wami stoi trzech ludzi z naładowanymi muszkietami. Jeśli ośmielicie się choćby mrugnąć bez mojego wyraźnego polecenia, będziecie mieli okazję zawrzeć bliską znajomość z karabinowym pociskiem.

Marcus uniósł brew i pokręcił z niedowierzaniem głową. Trzech ludzi? Dwóch w zupełności by wystarczyło. Cóż, nie dla Colina. Marcus był raczej konserwatywny jak na rodzinę Eversea, ale on nie byłby sobą, gdyby nie zaryzykował. I nie dorzucił szczypty fantazji.

Dobrze należeć do rodu Eversea.

Ta myśl nappełniła go pewnością siebie, ożywczą jak tlen.

Trzy pary oczu wpatrywały się w Colina znad kołnierzy nieskazitelnych czerwonych kurtek. Trzej żołnierze, którzy nie wypełnili swojego zadania, teraz oddychali ciężko - ze strachu albo ze złości. Najmłodszy, który pewnie nawet nie widział wojny, tak zbladł, że widać mu było wszystkie pryszcze na twarzy, równie czerwone jak jego kurtka.

- Rozumiemy się? - warknął Colin.

Chwila wahania. Potem skinienie głowy sierżanta - to on decydował za wszystkich.

- Zabezpieczcie broń, odłóżcie na ziemię i podnieście ręce do góry - rozkazał Colin. - Nie muszę chyba powtarzać, że jeśli zobaczę jakikolwiek podejrzany ruch, w trybie przyspieszonym pożegnacie się z którąś częścią ciała. Ani ja, ani ta dama nie mamy oporów przed użyciem pistoletów, a powiem wam, że ona strzela lepiej ode mnie. I diabelnie szybko. Nie chciałbym, żebyście się musieli o tym przekonać, ale z drugiej strony, powszechnie wiadomo, że lubię się popisywać. Lepiej więc zróbcie, co wam każę. Do dzieła, panowie.

Horacy miał oczy wielkości kul bilardowych. Łapaj obserwował całe zajście obojętnie, trzymając się boku pana; jakoś go nie korciło, żeby polizać albo ugryźć któregoś z żołnierzy. Poza miarowym dyszeniem psa i obłąkanymi trelami ptaków panowała pełna napięcia cisza, zupełnie niepasująca do tego sielankowego krajobrazu.

Żołnierze spełnili polecenie Colina. Powoli, z wyraźną niechęcią zabezpieczyli muszkiety i odłożyli na ziemię. Leżały teraz rzędem niczym polegli towarzysze broni.

Wyprostowali się i unieśli ręce nad głowę. Wyglądało to jak dziwaczny balet.

- Bardzo dobrze - pochwalił Colin. - A teraz, nie opuszczając rąk, cofniecie się o pięć kroków, a ja będę liczył.

Niech to diabli, dodał w duchu, czy kiedyś nadejdzie taki dzień, kiedy już niczego nie będę musiał odliczać? Dobrze przynajmniej, że tym razem to nie mnie odliczają.

- Ten pomysł z liczeniem wzięłem od ciebie - szepnął półgębkiem do Madeleine.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem, ale już po chwili jej wargi drgnęły w uśmiechu i pokręciła głową, tak jak wcześniej Marcus.

Zaczynała się przyzwyczajać do tej jego skłonności do żartów w chwilach, kiedy ktoś celował do nich z broni palnej.

Colin zaczął odliczać. Tym razem, zamiast przesuwać się obok żołnierzy w drodze na szubienicę, patrzył, jak oni odsuwają się od niego.

Po pięciu krokach stali znacznie bliżej Marcusa z naładowanym muszkietem i o wiele za daleko od swoich strzelb, żeby móc zaryzykować ich podniesienie.

- Nie ruszać się, panowie - przypomniał im Colin. - Mad, mogłabyś podnieść te muszkiety?

Madeleine postąpiła naprzód. Z gracją - taką samą, z jaką robiła wszystko inne - sprawdziła zamki (więc naprawdę umiała się obchodzić z muszkietem), podniosła muszkiety z ziemi i wróciła tam, gdzie stała wcześniej, jakby Colin, Horacy i Łapaj stanowili bezpieczną fortecę.

Obserwował ją z wielką przyjemnością. Pomyślał, że patrzeć na Madeleine chyba nigdy go nie znudzi.

- A teraz może byście się położyli twarzami do ziemi? - Zabrzmiało to jak propozycja, ale wyraz twarzy Colina wskazywał, że właściwie nie mają wyboru. - Ręce połóżcie na głowach, tak żebyśmy je widzieli. Róbcie wszystko bardzo powoli, bo jak się zdenerwuję, mogę zacząć strzelać.

Colin zerknął na brata, jakby szukał u niego aprobaty. Marcus nie opuścił strzelby, a na jego twarzy malował się nieodgadniony wyraz. Duma? Rozbawienie? Niepewność? Może się zastanawiał, kiedy znowu będzie musiał, mówiąc w przenośni, wyciągać brata z rwącego rzeczno nurtu? A może był zdziwiony, że Colin tym razem sam zdołał się wykaraskać, chociaż żołnierze w końcu go dopadli?

Ponieważ żołnierzom spełnianie rozkazów wychodzi najlepiej, ci trzej, niewiele myśląc, wykonali rozkaz Colina. Już po chwili leżeli z brodami wciśniętymi w trawnik i rękami splecionymi z tyłu trójgraniastych czapek.

- Dobrze, sierżancie... jak się nazywacie?

- Sutton, panie Eversea.

- Możecie odpowiadać na moje pytania, sierżancie Sutton. Co tu robicie?

- Doniesiono nam, że pan tu będzie, i mieliśmy rozkaz pana schwytać.

Colin westchnął.

- Rozczarował mnie pan, sierzancie. Nie chcę więcej słyszeć takich odpowiedzi.

- Tak jest, panie Eversea.

- No dobrze. Kto konkretnie wam doniósł i kiedy?

- Wczoraj, pewien bardzo wiarygodny dżentelmen. Należy do Klubu Merkuriusza i pracuje dla...

- Isaiaha Redmonda - przerwał szorstko Marcus. Colin na chwilę zaniemówił. Tylko wpatrywał się w brata. Ale jego spojrzenie mówiło więcej niż słowa.

- Właśnie to miałem powiedzieć - potwierdził sierżant. - A kto tam, do licha, stoi z tyłu? I skąd o tym wie?

- Bardzo przepraszam - odrzekł Colin - chyba powinienem był wyjaśnić, że skoro leżycie na ziemi bez broni, to znaczy, że nie macie prawa zadawać żadnych pytań.

- Proszę o wybaczenie. - Sutton natychmiast spokorniał.

Colin zwrócił się do brata.

- Znasz nazwisko tego człowieka?

Marcus skinął głową.

Colin zamyślił się. Coś mu mówiło, że zamiast żołnierzy, powinien raczej wypytać brata i że tę rozmowę lepiej będzie odbyć bez świadków.

- Sierzancie, czy na drodze jest więcej żołnierzy, czy też wysłali tylko was trzech?

Sutton uparcie milczał.

- Ja też byłem żołnierzem - powiedział Colin - i wiem, że wykonujecie to, co do was należy. Ale nie zabiłem Rolanda Tarbella i nie pozwolę, żebyście mnie zabrali, ani wy, ani nikt inny, dopóki nie zdołam tego udowodnić. Więc równie dobrze może pan odpowiedzieć na moje pytanie.

- Mieliśmy rozkaz pana aresztować, panie Eversea, ale nie było rozkazu, żeby wierzyć, że pan jest winny. Ja zresztą nigdy w to nie wierzyłem.

- Dziękuję, sierzancie, i doprawdy jestem wzruszony, ale i tak nie pozwolę wam się podnieść, dopóki mi nie odpowiecie.

- Cóż, warto było chociaż spróbować - mruknął Sutton.

- Ja nie widziałem innych żołnierzy - wtrącił Marcus. - Przyjechałem z Londynu i śledziłem tych trzech aż dotąd. Pewnie skusiła ich nagroda.

- W takim razie nie będę się zbytnio przejmował tym, co zamierzam zrobić - uznał Colin. - Horacy... masz w domu kawałek sznura? Swój zużyłem do związania pana Hunta.

- Do czego? - zainteresował się Marcus.

- Później ci wyjaśnię - obiecał Colin.

Horacy przyniósł z domu sznur, a on i Madeleine związali żołnierzom ręce za plecami, solidnie, lecz nie za mocno.

- Do gospody jest stąd ładny kawałek drogi, ale myślę, że tam was rozwiążą - pocieszył ich. - Musicie iść w tamtą stronę. - Wskazał ręką kierunek.

Pomógł każdemu z nich wstać i powiedział:

- Możecie się odwrócić, panowie.

Zrobili to i zobaczyli, jak Marcus, pogwizdując przez zęby, zabezpiecza strzelbę. Zerknął spod oka, jakby dopiero ich zauważył, i pomachał im na powitanie.

Zaczęli rozglądać się gorączkowo w poszukiwaniu pozostałych dwóch uzbrojonych mężczyzn. Wreszcie wbili wściekle spojrzenia w Colina.

Najmłodszy zapomniał zamknąć usta.

- Nie bez powodu rodzina Eversea już od stuleci unika wszelkich kłopotów - spokojnie wyjaśnił Colin.

Sutton zaklął tak szpetnie, że Colin aż się skrzywił.

- Sierzancie, macie przed sobą damę - skarcił go. - Ale bardzo mi pomogliście, kiedy więc będziecie zdawać raport, możecie śmiało powiedzieć, że wszyscy trzej

walczyliście dzielnie. Ludzie uwierzą we wszystko, co się opowiada na mój temat. A gdy już udowodnię swoją niewinność, zrobię z was bohatera. Będziecie nawet w gazecie.

Sierżant Sutton odrobinę poweselał.

- Jeszcze nie pozwoliłem wam odejść - ostrzegł Colin. - Horacy, jeśli łaska, idź po swoje rzeczy i przynieś żołnierzom trochę wody.

Rozdział 21

Colin, Marcus i Madeleine mogli chwilę porozmawiać. Przez chwilę bracia tylko patrzyli na siebie.

- Wyglądasz jak psu z gardła wyjęty - powiedział wreszcie Marcus.
- Co, nie podoba ci się moja broda? - Colin potarł ręką podbródek.
- Więc to ma być broda? A ja myślałem, że przydałoby ci się porządne mycie.
- To swoją drogą. Nie podchodź bliżej. Sam ledwo znoszę własny smród.
- Tak się cieszę, że cię widzę, Col.

Żadnych uścisków. To nie było w stylu Marcusa. Mógł co najwyżej w przyływie emocji stuknąć brata pięścią w ramię albo poklepać po plecach.

- Jak mnie, u diabła, znalazłeś? - zapytał Colin.

- Właściwie to wcale nie ciebie szukałem. Ale dowiedziałem się, że Horacy tu jest, a żeby znaleźć ciebie, wystarczy być tam, gdzie są kłopoty. Chciałem zabrać stąd Horacego, zanim ktoś inny go znajdzie albo zrobi mu coś złego. Miałem nadzieję, że jakoś się dowiesz, że się odnalazł.

Marcus wytłumaczył bratu, jak trafił do Baraniego Folwarku: księgi rozrachunkowe Klubu Merkuriusza, wnioski, jakie wyciągnął, a potem konfrontacja z Bellem.

Colin nie wierzył własnym uszom.

- Jak to? Nie trafiłeś na żadnego lekarza, hrabinę i hieny cementarne?

- O czym ty, na Boga, mówisz? - zdziwił się Marcus. - Przejrzałem tylko rachunki Klubu Merkuriusza i wyciągnąłem wnioski.

Oczywiście, jakżeby inaczej Marcus miał wyciągać wnioski, jeśli nie patrząc na rachunki.

- Cóż, powiem tylko, że na pewno nie bawiłeś się przy tym tak dobrze jak my.

- Nie chciałbym być tobą, Colinie. To musi być wyczerpujące. - Marcus zerknął na Madeleine.

- Tak, zwłaszcza ostatnio - przyznał Colin, po czym zauważył, gdzie patrzy jego brat. - Wybacz, Marcusie, zapomniałem przedstawić. To jest... pani Green.

Marcus uklonił się, a jego twarz zmieniła się w pełen podziwu znak zapytania. Przeniósł wzrok z Madeleine na Colina, znowu na Madeleine i uniósł brwi.

Colin pozostawił to nieme pytanie bez odpowiedzi.

- Myślisz, że to Redmond stoi za tym wszystkim? Że Baxter tylko wypełniał jego rozkazy?

- Nie miałem okazji nikogo więcej wypytać, bo wyjechałem z Londynu, kiedy tylko się dowiedziałem, gdzie jest Horacy. Uznałem, że przyjazd tutaj jest ważniejszy, a tobie zostawię niewątpliwą przyjemność rozmowy z Redmondem. Wiem tylko, że po twoim aresztowaniu pensja Baxtera wzrosła o kilkaset funtów i że płacono woźnicy za kursy do Marble Mile. Nadal jednak nie mam pojęcia, kto cię uratował spod szubienicy.

- Ja wiem. Nie wiem tylko, kto zapłacił tej... eee... osobie za uratowanie mnie. Marcus milczał, czekając na ciąg dalszy. Wreszcie nie wytrzymał.

- Na miłość boską, Colinie, nie powiesz mi, kto cię uratował? Słowo daję, to było coś niesamowitego. Ojciec na pewno będzie chciał poznać tego człowieka.

- Wszystko w swoim czasie. Jaki byłby ze mnie Eversea, gdybym nie miał kilku sekretów w zanadrzu?

Marcus, acz niechętnie, zrezygnował z dalszych dociekań.

- Powiedzieć ci coś dziwnego, Colin?

- Pewnie.

- W dniu, kiedy miałeś zostać powieszony, Robert Bell, ten woźnica, zawiózł do St. Giles Fanchette Redmond.

Colinowi na chwilę odebrało mowę.

- Panią Redmond? - wykrztusił wreszcie. - Żonę Isaiaha?

- Dokładnie tak. Czy nie byłeś przypadkiem w St. Giles w dniu egzekucji?

- Umówmy się, że to była sobota, a nie dzień mojej egzekucji, dobrze?

Odpowiem ci później. Horacy, pani Green i ja możemy wziąć konie żołnierzy, ale co zrobimy z Łapajem?

Wszyscy spojrzeli na trójnogiego psa, który merdał wesoło ogonem.

- Na tych swoich trzech łapach będzie mknął jak wiatr - orzekła Madeleine. - Ale boję się, że szybko się zmęczy.

- W zajeździe na pewno złapiecie dyliżans do Londynu. Wprawdzie trudno będzie o dyskrecję, biorąc pod uwagę, że macie ze sobą psa z trzema nogami, no i to, że jesteście Colinem Eversea, ale... - Marcus pokręcił głową - rozumiem, że macie w Londynie pewne... sprawy... do załatwienia. Ja wracam do Pennyroyal Green. Za dwa dni się żenię.

Zapadła cisza, tak nagle, jakby ktoś zniecacka nakrył ich wielkim kloszem.

Bracia mierzyli się wzrokiem z siłą, jaką wszyscy Eversea ćwiczyli niemal od urodzenia.

- Być może - powiedział w końcu Colin, bardzo spokojnie.

Walka na spojrzenia nie ustawała. Marcus był człowiekiem o wyjątkowej determinacji, a Colin nauczył się sztuki patrzenia bez mrugania od starszych braci.

Wreszcie Marcus spojrział w bok, nad ramieniem Colina. Ustąpił, ten jeden raz.

- Louisa nigdy by mi nie wybaczyła, gdyby stało ci się coś złego - rzekł. -
Uznałem więc, że wypadało najpierw się z tobą zobaczyć i w razie potrzeby,
wyciągnąć cię z kłopotów.

- Jasne, wypadało - przyznał Colin, ale miał świadomość, że sam się wpędził
w te kłopoty. Przecież z własnej woli wszedł do gospody, w której był Roland
Tarbell. A wcześniej pogalopował jak szalony do Londynu. - Jak tam Louisa? -
zapytał cicho.

- Cieszy się, że cię nie powiesili.

Colin zdawał sobie sprawę, że nie może spodziewać się od brata bardziej
szczegółowej relacji.

- To dobrze - skwitował.

- Reszta zależy od ciebie - głos Marcusa był szorstki.

- I od Louisy. - Colin nie mógł się oprzeć, żeby tego nie dodać.

- I od Louisy - przyznał Marcus ze sztuczną obojętnością.

- Do zobaczenia w Pennyroyal Green, Marcusie. Jutro.

- Być może. - Marcus uniósł brew i wskoczył na konia. Kiedy już siedział w
siodle, spojrzął na nich z góry i wreszcie pozwolił sobie na krzywy uśmiech. - Boże,
tak się cieszę, że żyjesz, Col.

Głos mu trochę zadrżał, co u Marcusa było równoznaczne z wybuchem
emocji.

Colin uśmiechnął się do brata.

Marcus zasalutował, podnosząc rękę do kapelusza, ściągnął wodze i
skierowawszy konia na drogę, puścił się galopem w stronę Sussex.

Madeleine patrzyła na Colina, który śledził wzrokiem odjeżdżającego brata.
Usta miał zaciśnięte, a w oczach dziwną tęsknotę.

Pewnie myślami był w tej chwili w Pennyroyal Green, przy pięknej
dziewczynie imieniem Louisa, i marzył o spokojnym życiu u jej boku. Madeleine

mogła tylko zgadywać, o czym jeszcze w tej chwili rozmyśla, ale wiedziała, że nie o niej.

Wciąż była pod wrażeniem rozmowy Colina z Marcusem. W tym, jak do siebie mówili, zawierało się wszystko: wspólne wspomnienia, podobne poczucie humoru, więź z rodzinnym miasteczkiem w Sussex. Widać było, że bracia się kochają, że kochają swoją rodzinę, no i Louise. Marcus, choć całkiem różny od Colina, był dokładnie taki, jak się spodziewała.

Wątpiła, aby istnieli gdzieś na świecie całkiem zwyczajni Eversea.

Colin powoli odwrócił głowę i spojrzał na Madeleine. Patrzył na nią w ten swój charakterystyczny sposób, jakby sama jej obecność napawała go zarazem zdumieniem i zachwytem.

- Czemu nie odłożyłaś pistoletu, kiedy żołnierze kazali ci to zrobić? Przecież mogli cię zabić.

To był cały Colin Eversea. Nic nie umykało jego uwadze. I ciągle ją zaskakiwał swoimi pytaniami.

- Chodziło im o ciebie, Colinie. Zabiliby cię, zanim strzeliliby do mnie. A wtedy ja mogłabym strzelić do nich.

Zmarszczył brwi.

- Ale przecież było ich trzech, a ty masz tylko jedną kulę.

- Załatwiłabym przynajmniej jednego. - Za ciebie, dodała w myślach.

Colin uśmiechnął się i odwrócił na pięcie, jakby nie mógł dłużej na nią patrzeć. Ręce włożył w kieszenie spodni, żeby samowolnie nie zrobiły czegoś niestosownego. Na przykład jej nie dotknęły.

Stał tak dłuższą chwilę, wpatrzony gdzieś w dal. Madeleine nie bardzo wiedziała, jak przerwać tę ciszę.

- Chodźmy powiedzieć żołnierzom, że mogą iść - rzekł wreszcie i ruszył w stronę trzech kawalerzystów, nawet się na nią nie oglądając.

Marcus powiedział rodzinie, że widział się z Colinem, że znaleźli Horacego Peele'a i że Colin postara się dotrzeć na jego ślub. Potem, wśród okrzyków radości i gorączkowych pytań, znowu dosiadł konia i pojechał do domu Louisy Porter.

Była w ogrodzie, z koszykiem na ramieniu i w kapelusiku starannie zawiązanym pod brodą. Najwyraźniej ów piknik sprzed lat nauczył Louise, że kapelusik zawsze powinien być zawiązany. Przycinała jakieś różowe kwiaty.

Podniosła się, kiedy zobaczyła go przy furtce.

- Marcus! - zawołała.

Uśmiechnęła się i zarumieniła uroczo, a Marcus odpowiedział łagodnym uśmiechem. Poczuł w sercu nagłe szarpnięcie. Zastanawiał się chwilę, czy to będzie duży problem mieć żonę, przy której jego serce wyprawia jakieś dziwne harce, i w końcu uznał, że nie ma takiej siły, która by go zniechęciła do bycia z Louisą już na zawsze. Drzenie serca to niewygórowana cena.

Tak czy inaczej, musi zrobić to, po co tu przyjechał.

- Witaj, Louiso.

Pocałował ją w rękę, bo jako jej narzeczony miał do tego prawo. Nie mógł się oprzeć i przytrzymał usta chwilę dłużej, nie wiedział bowiem, czy nie robi tego po raz ostatni.

Powoli cofnęła dłoń; w oczach miała ciepło, a na policzkach ów śliczny rumieniec. Marcus pomyślał, że gdyby ją teraz pocałował w usta, pewnie by nie protestowała. Ale musiał jej wyznać to, czego się dowiedział.

- Louiso, widziałem się z Colinem.

Krew odpłynęła z jej twarzy.

- Och.

Westchnienie... bólu? Bładość ustąpiła miejsca szkarłatnym wypiekom i Marcus przez moment miał wrażenie, że Louisa zaraz zemdleje. Już wyciągał rękę, żeby ją podtrzymać, kiedy wzięła głęboki oddech i uspokoiła się.

- Jest zdrów? - głos miała opanowany, niemal wesoły.

W końcu i ona dobrze знаła Colina.

- Najzupełniej. I wszystko będzie dobrze. Znalazł Horacego Peele'a.

Powiedział, że postara się wrócić do domu... na jutro.

Otworzyła szeroko oczy.

- Jutro? - powtórzyła słabym głosem. - Wraca do domu jutro? Jutro miał być ich ślub.

- Tak - potwierdził cicho. Wiele wysiłku kosztowało go to jedno słowo.

Louisa wciąż na niego patrzyła, ale wiedział, że w ogóle go nie widzi. Wziął głęboki oddech.

- Louiso, przyjechałem tu, żeby cię zapytać, czy wolałabyś, żebyśmy nie...

- Mam nadzieję, że wróci do domu cało i zdrowo - weszła mu w słowo. Już nie miała w oczach tego nieobecnego spojrzenia, znowu patrzyła na niego ciepło.

Zrozumiał od razu, prosiła go, żeby nie kazał jej decydować.

Dopóki nie zobaczy Colina.

No cóż, to musi mu wystarczyć. Nie żałował, że dał jej ten wybór, wiedział bowiem, że nie darowałby sobie do końca życia, gdyby nie powiedział jej prawdy.

Ale wiedział też, że tej nocy nie zmruży oka.

- Zatem do jutra, Louiso - rzekł miękko.

Wciąż patrzyła mu w oczy, a on tak bardzo chciał ją pocałować. Ale zamiast pocałunku, uklonił się nisko, wskoczył na konia i ruszył do rezydencji.

Louisa długo patrzyła w ślad za nim, a z jej ręki zwisał zapomniany różowy kwiatek.

Dopiero gdy Marcus zniknął jej z oczu za wzgórzem, odwróciła się i spojrzała w stronę Londynu.

Isaiah zauważył to, kiedy jak co miesiąc przeglądał rachunki Klubu Merkuriusza. Zastygł bez ruchu ze wzrokiem przykutym do księgi.

Westchnął ciężko, czując, jak ogarnia go niepoohamowana irytacja.

Nagrodził tego człowieka za sumienność i niekwestionowaną lojalność, zachwycony, że ma pracownika, którego inteligencja - jak mniemał - prawie dorównuje jego własnej. Tymczasem okazało się, że sumienność przewyższała inteligencję i właśnie ta sumienność mogła ich obu pograżyć.

O ile Isaiah nie zadziała w porę.

Baxter, ten cholerny idiota, zapisał, kiedy Bell kierował klubowym powozem i nazwisko woźnicy. Po czym sam podniósł sobie pensję. Wszystko to stało w księdze czarno na białym i Isaiah nie miał wątpliwości, że Marcus Eversea zdołał to już wypatrzeć. Trzeba więc działać szybko.

Pospiesznie skreślił kilka słów, zadzwonił na lokaja i kazał mu dyskretnie dostarczyć liścik najwyższemu sędziemu, który - w zależności od sytuacji - był przyjacielem to rodziny Redmondów, to znów Eversea.

Z szacunku dla lojalności Baxtera Isaiah pojechał do domu.

Zaczeka, aż przyjdą po niego żołnierze.

Rozdział 22

Nikt nawet groźnie wyglądający kamerdyner Redmondów, nie dyskutuje z dwoma nabitymi pistoletami, z których jeden trzyma wyraźnie zdeterminowany Marcus Eversea, a drugi - urocza, groźnie spoglądająca kobieta w pomiętej sukni. Nie trzeba było więcej niż dwa słowa perswazji, żeby powiedział im, gdzie w tej chwili znajduje się pan Isaiah Redmond. W swoim gabinecie na piętrze.

Madeleine, Colin i Horacy dotarli do Londynu nienękani przez żołnierzy i bez żadnych nieprzewidzianych wypadków, jakie mogły im się przytrafić w drodze, jak na przykład pęknięta oś w kole albo zgubiona podkowa. Zajechali prosto pod rezydencję Redmondów na placu Świętego Jakuba.

Pozostawiwszy Horacego w salonie na dole pod okiem wystraszonego kamerdynera, Colin i Madeleine ruszyli po schodach, żeby zmierzyć się z Isiahem Redmondem.

Colin zatrzymał się w drzwiach i oparł rękę o framugę, bo nagle dopadło go zmęczenie. Madeleine stanęła na tyle blisko, że mogła go dotknąć, ale nie zrobiła tego.

Pokój był wyjątkowo przytulny, utrzymany w ciepłych barwach. Ciemne brązy, złoto i beż harmonizowały ze sobą na grubych dywanach, ciężkich kotarach z chwościami - teraz odsuniętych, żeby wpuścić światło dnia - i na lśniącej skórze foteli i kanap.

Isiah stał przy oknie wpatrzony, jak się wydawało, w pustkę. Najwyraźniej przyłapali go w chwili zadumy.

I dobrze.

Colin odchrząknął, a Redmond się odwrócił.

Na widok uzbrojonych gości jego twarz przybrała kolor pergaminu. Ale nie drgnął na niej ani jeden mięsień. Colin poczuł coś w rodzaju podziwu.

Podziwiałby go jeszcze bardziej, gdy zamiast milczeć, zdobył się choćby na ironiczne powitanie.

Z drugiej strony, sam też nie za bardzo wiedział, co powiedzieć. Dostrzegł na małym stoliczku karafkę z brandy i dwa nieskazitelnie czyste kieliszki, ruszył więc w tamtą stronę.

- Może kieliszeczek, panie Redmond?

Cóż za zgrabne nawiązanie rozmowy. Znowu te jego cholerne maniery. Dostrzegł, że przez twarz Madeleine przemknął cień niedowierzania. Chyba już zdążyła się do tego przyzwyczaić. Ale propozycja wypicia odrobiny brandy nie była wcale taka głupia. Colin nie chciał wszak, żeby Redmond zemdlał z wrażenia, zanim zdoła wydobyć z niego wyznanie. Poza tym brandy to napój życia, a on już od wieków nie miał w ustach ani kropli.

- Panie Eversea... - zaczął Redmond protekcjonalnym tonem, choć nie spuszczał przy tym wzroku z pistoletów.

- Nie wiem, jak pan, ale ja się napiję - stwierdził Colin.

Nalał sobie kieliszek wolną ręką, zaskoczony, że dłoń mu nie zadrżała. Upił łyk, ale nie poczuł żadnego smaku. Szkoda, bo Redmond na pewno miał fantastyczną brandy.

- Znaleźliśmy Horacego Peele'a - rzekł niemal obojętnie. - Powinien pan wiedzieć, że rodzina Eversea znowu wyjdzie na swoje.

Dziwnie mu było to mówić, bo rodowa waśń wydawała mu się dotychczas legendą, i to raczej melodramatyczną. Lecz w tym momencie po raz pierwszy poczuł bez cienia wątpliwości, że legenda była prawdziwa.

Redmond uniósł brwi. Miał czelność zrobić przy tym pogardliwą minę.

- O, tak, Eversea zawsze wychodzą na swoje - odparł spokojnie. Można by pomyśleć, że spodziewał się wizyty Colina i specjalnie na tę okazję przygotował sobie przemowę. - Przez całe wieki wychodziliście na swoje dzięki kradzieżom, piractwu, przemytowi i innym procederom, których tutaj nie wymienię. Procederom, z których pan, młody człowieku, zapewne nawet nie zdaje sobie sprawy, ale które już wkrótce niewątpliwie pan odkryje i zacznie powielać. Bo takie już jest pana dziedzictwo. Ale jest też coś, panie Eversea, co powinien pan wiedzieć.

- Zamieniam się w słuch, panie Redmond - odparł cicho Colin.

- Ja tego nie zrobiłem. - Redmond pozwolił sobie na uśmiech.

Jakby w uznaniu dla własnego żartu. Colin pokręcił głową.

- Zapewne. W Newgate chętnie wysłuchają tej opowieści. Tam każdy śpiewa tę samą śpiewkę. A skoro już o tym mowa, to może i o panu ułożą piosenkę, gdy już będzie pan w drodze na szafot. Wprawdzie „Redmond” nie rymuje się tak ładnie jak „Eversea”, ale mamy w Londynie wielu utalentowanych poetów.

Znowu poczuł na sobie wzrok Madeleine. Pewnie się zastanawia, skąd u niego ta elokwencja w najbardziej dramatycznych okolicznościach.

- Pan nie rozumie, panie Eversea - odparł Isaiah. - Widzi pan, ja naprawdę nic nie zrobiłem.

Colin musiał walczyć ze sobą, żeby nie cisnąć kieliszkiem brandy prosto w tę przystojną, elegancką twarz. Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić.

- Wiem, że wysłał pan swojego człowieka, Baxtera, żeby zapłacił Horacemu Peele'owi za zniknięcie i pogrózkami powstrzymał go przed powrotem. Przez pana trafiłem do więzienia i na szubienicę. A to wszystko w imię głupiej rodowej waśni.

Ostatnie słowa wypowiedział z lekkim niedowierzaniem, choć przecież Eversea traktowali tę sprawę równie poważnie jak Redmondowie.

- Nic podobnego. - Redmond wciąż był irytująco spokojny. Zerknął na pistolety, a potem na Madeleine. Jego zielone oczy lśniły jak szmaragdy.

Colin walczył, by zachować swobodny ton. Udało mu się nawet westchnąć, choć wszystkie nerwy miał napięte jak postronki.

- Powiem panu, panie Redmond, co teraz zrobimy - rzekł. - Najpierw da mi pan tę satysfakcję i przyzna się do wszystkiego. Potem ja i moja towarzyszka zaprowadzimy pana do najwyższego sędziego, żeby on też to usłyszał. Inaczej nie wyjdę z pańskiego domu.

Teraz z kolei Isaiah westchnął zniecierpliwiony.

- Ogromnie mi przykro, panie Eversea, ale nie mogę panu dać tej satysfakcji. - Zdołał zawrzeć w tych słowach zarazem politowanie i rozbawienie. - Jest już po wszystkim. Mój pośrednik, pan Baxter, został dziś aresztowany za defraudację środków Klubu Merkuriusza. W imię źle rozumianej lojalności wobec mnie postanowił zapłacić Horacemu Peele'owi za zniknięcie, uznawszy, że sprawi mi tym przyjemność z uwagi na historię naszych rodzin i na sprawę... Lyona. - Imienia zaginionego syna nie był w stanie wypowiedzieć swobodnie. - Sam sobie podniósł pensję, żeby móc to załatwić, to znaczy zapłacić Peele'owi. Tak przynajmniej uważa sędzia, panie Eversea. Pana Baxtera czeka zesłanie. Nie będzie żadnego skandalu, a moje nazwisko nie pojawi się w prasie, czego pańska rodzina jakoś nie zdołała

uniknąć, w dużej mierze zresztą dzięki panu. Poza tym nie ma pan żadnych dowodów, że nie mówię prawdy. Gdyby przypadkiem Baxter zeznał co innego... cóż, nie ma to większego znaczenia, bo wkrótce będzie w drodze do kolonii karnej. Nie jest pan w stanie powiedzieć ani zrobić nic, co by zmieniło tę sytuację, i szczerze wątpię, że zechce pan narażać rodzinę na dalsze skandale. Choć właściwie trudno to wykluczyć, w końcu jest pan jednym z Eversea. - W tym ostatnim zdaniu zabrzmiała lekka ironia.

Colin chłonał te informacje z narastającym poczuciem bezsilności. To było genialne. Sprytne, eleganckie kłamstwo nie do podważenia - faktycznie nie był w stanie nic zrobić. Nagle ogarnęło go straszliwe znużenie. Kiedy się odezwał, starał się, żeby nie było tego po nim widać.

- Nie wierzę panu.

- Nie musi mi pan wierzyć - odparł lekko Redmond. - Ważne jest to, że niczego mi pan nie udowodni. Najwyraźniej pańska rodzina jakimś cudem uratowała pana przed stryczkiem, jednocześnie powodując w mieście ogromny chaos. To niesamowite, do czego rodzina jest zdolna, żeby chronić swoich, prawda, panie Eversea?

Colin ucieszył się, kiedy usłyszał gniew w swoim głosie. Dzięki niemu odzyskał siły.

- Moja rodzina nie przyłożyła ręki do wyciągnięcia mnie spod szubienicy, panie Redmond. Jestem niewinny, a ludzie, których kocham, wiele ze względu na mnie wycierpieli. Wszystko, czego się dowiedziałem, wszystkie ślady prowadzą do pana. I za te wszystkie cierpienia, za ten czas, który przez pana straciłem, musi pan zapłacić.

Redmond kiwał głową z lekko zmarszczonym czołem, jakby słuchał z najżywszym zainteresowaniem.

- A jak, według pana, powinienem zapłacić? - spytał. - Czyżbyście pan albo ta... dama, która panu towarzyszy, zamierzali mnie zamordować?

- Ja nie jestem mordercą, panie Redmond - głos Colin był ostry jak brzytwa. - Pański przeklęty krewny nadział się na własny nóż, ponieważ był agresywnym, pijanym idiotą. Przyszedłem tutaj, bo chcę, żeby się pan przekonał, jak to jest wychodzić przez Drzwi Dłużników, kiedy tysiące ludzi wykrzykuje pana imię. Chociaż założę się, że pan nie wzbudziłby w tłumie takiej sympatii jak ja.

Udało mu się sprawić, że z oczu Redmonda posypały się gniewne iskry.

- Mój były pośrednik Baxter wplątał się w podejrzane interesy - wycedził lodowato - a ja wszystkiemu zaprzeczę, jeśli zezna na moją niekorzyść. Zapłacę komu trzeba i ile trzeba, żeby te informacje nie wyciekły do prasy ani nie dostały się na języki plotkarzy. Moja rodzina na tym nie ucierpi. Może za to pan będzie ostrożniejszy, kiedy następnym razem znajdzie się w gospodzie z jednym z Redmondów, skoro już pan wie, jakie mogą być tego konsekwencje i do czego moja rodzina jest zdolna, żeby chronić swoich. Poznaj... lepszego od siebie, panie Eversea - dodał tonem wściekłej pogroźki.

Colin czuł pewną satysfakcję, że zdołał wyprowadzić z równowagi tego niewzruszonego człowieka na tyle, by okazał złość. Zwarli się w pojedynku na spojrzenia. Isaiah Redmond też potrafił wpatrywać się w przeciwnika bez mrugnięcia. Tym razem było mu łatwiej, bo Colin był tego samego wzrostu.

Nagle na marmurowej posadzce korytarza rozległ się stuk damskich pantofelków i wszyscy troje obrócili się do drzwi. Po chwili stanęła w nich nieskazitelnie ubrana i uczesana Fanchette Redmond.

Zajrzała do gabinetu i dostrzegłszy Madeleine, skrzywiła się na widok opłakanego stanu jej sukni. Potem jej wzrok padł na Colina.

- Ach, więc tutaj pan jest, panie Eversea.

Spośród wszystkich zaskakujących rzeczy, jakie mu się przytrafiły w ostatnich dniach - żeby wymienić choćby ucieczkę spod szubienicy, intymne chwile w stodole z Madeleine Greenway czy noc spędzoną w towarzystwie dwumetrowego szkieletu -

nic nie zaskoczyło go bardziej niż to, że Fanchette Redmond zwróciła się do niego takim tonem, jakby się spóźnił na proszoną herbatkę.

I jakby się cieszyła, że wreszcie go widzi.

Rodziny Eversea i Redmondów raczej nie składały sobie wizyt, chyba że któraś urządzała wielki bal, toteż Colin widywał żonę Isaiaha tylko w kościele, w sali balowej albo na dużych przyjęciach. Teraz korzystał z okazji, żeby się dokładnie przyjrzeć tej przystojnej jasnowłosej kobiecie, wobec której zawsze był bardzo uprzejmy, ale której szczerze nie znosił, dlatego że związała się z jednym Redmondem i wydała na świat całą gromadkę następnych.

Przez lata trochę przytyła, wciąż jednak była atrakcyjna. Miała na sobie ciemnożółtą muślinową suknię haftowaną w kwiaty. Genevieve i Olivia na pewno by wiedziały, ile kosztuje taka kreacja.

Isaiah zwrócił się do żony lekceważącym tonem.

- Droga Fanchette, lepiej zostaw nas sa...

Fanchette Redmond spojrzała na męża z tak bezbrzeżną pogardą, że przerwał w pół słowa.

- Dość już zrobiłeś, Isaiahu - powiedziała.

Isaiah Redmond musiał mieć nerwy ze stali, bo nawet nie mrugnął.

- Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Przecież ja... nic nie zrobiłem.

Zignorowała go i zwróciła się do Colina.

- Miał pan zostać porwany spod szubienicy, panie Eversea, a potem siedzieć spokojnie tam, gdzie pana zostawiono, aż po pana przyjadę - wyjaśniła. - Już załatwiłam panu miejsce na statku, oczywiście pod innym nazwiskiem, ale kiedy pojechałam na umówione miejsce w tej okropnej dzielnicy, pana tam nie było.

- Fanchette - rzucił zimno Isaiah. - Co ty, na Boga...

- Nadzwyczajne, prawda? - ciągnęła, ignorując męża. - Sama się zastanawiałam, czy to w ogóle możliwe w ostatniej chwili uratować kogoś przed strykiem. Wiecie, że w Londynie wszystko można kupić? Ja nie wiedziałam, ale

okazuje się, że są ludzie, którzy robią takie rzeczy za pieniądze. Wynajęłam więc takiego człowieka i widocznie wszystko się udało, skoro jest pan tu z nami, panie Eversea.

Colin odnalazł wzrokiem oczy Madeleine. Wyglądała na oniemiałą ze zdumienia.

Wyobrażał sobie, jak czuje się w tej chwili Isaiah Redmond. Kompletnie osłupiały, podobnie jak on.

- Pani Redmond... czy chce pani powiedzieć, że to pani zleciła uratowanie mnie przed egzekucją? Ale... na miłość boską... dlaczego?...

- Spytaj swojego ojca, mój drogi - odparła ironicznie. Colin wziął gwałtowny oddech.

- Tłumaczyłem już pani mężowi, że mój ojciec i moja rodzina nie mają nic wspólnego z...

Fanchette popatrzyła na Isaiaha, uniosła rękę, jakby go przedstawiała, i powtórzyła:

- Spytaj swojego ojca.

Colin poczuł się, jakby dostał cios między oczy. Przez kilka sekund nie był w stanie myśleć ani nawet oddychać.

Redmond powinien był prychnąć z oburzeniem, najwyraźniej jednak Fanchette zaskoczyła go, więc wahał się chwilę. Ta chwila wahania potwierdziła najgorsze przypuszczenia Colina.

Mężczyźni spojrzeli sobie w oczy i się wzdrygnęli.

Ale nie mogli się powstrzymać, żeby nie popatrzeć na siebie jeszcze raz... Ich oczy się spotkały, byli bowiem dokładnie tego samego wzrostu.

Krew odpłynęła z twarzy Colina, ręce miał zimne jak lód. Problem... problem polegał na tym, że to nie było niemożliwe. Jego zielone oczy, jego wzrost - był wyższy od ojca i braci - i ten pełen zadumy dystans, z jakim ojciec, Jakub Eversea, zawsze go traktował.

Zerknął kątem oka na Madeleine i od razu zorientował się, że doszła do takiego samego wniosku. A skoro ona uważa, że to możliwe...

„Powiedz, że to nieprawda”, chciał krzyknąć do Redmonda, ale tylko wpatrywał się w niego bez słowa. Dłonie zaczęły mu się pocić, kiedy przypomniał sobie Lyona i Olivie.

W każdym pokoleniu ktoś z rodu Eversea musiał złamać serce któremuś z Redmondów lub na odwrót.

O Boże!

- Z sekretami jest pewien problem, Isaiahu - Fanchette zwróciła się do męża tonem łagodnej nagany i zarazem uprzejmej pogardy. - Matki nie potrafią ich utrzymać, kiedy stawką jest życie ich dzieci. Kilka tygodni temu dostałam od pani Eversea list, w którym błagała mnie o pomoc. Wiedziała, że nienawidzę każdego, kto nosi nazwisko Eversea, ale była pewna, że to ty maczałeś palce w aresztowaniu i skazaniu jej syna. Bo też z jakiego innego powodu sąd odrzuciłby wszystkie ich petycje o ułaskawienie? W krótkich słowach prosiła mnie o wybaczenie, myślę, że wyłącznie z grzeczności, po czym wyznała, iż jest przekonana, że Colin jest twoim synem. Możesz sobie wyobrazić, jaka byłam wstrząśnięta. - Spojrzała na Colina. - Ani przez chwilę nie wątpiłam w pańską winę, panie Eversea, ale żadna matka nie uwierzy, że jej dziecko mogło kogoś zamordować, i pani Jakubowa Eversea nie jest pod tym względem żadnym wyjątkiem. - Znowu zwróciła się do męża. - Ja po prostu nie mogłam na to pozwolić. Nie mogłam ci pozwolić, żebyś zabił własnego syna.

Isaiah zasłonił oczy drżącą dłonią i wziął głęboki oddech. Gdy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, opuścił rękę.

Colinowi przypomniało się, co powiedziała Madeleine o zachowywaniu godności w trudnej sytuacji. Czyżby miał to po Redmondzie?

- Fanchette... - głos Isaiaha brzmiał niepewnie. - Naprawdę wierzysz, że byłbym w stanie zrobić coś takiego Colinowi Eversea?

Nie „Colinowi”. Nie „panu Eversea”. Colinowi Eversea.

- Wierzę, że nienawidzisz tej rodziny - odparła cicho. - Z wielu powodów. Znowu zamilkł i tylko po jego oczach i poszarzałej twarzy widać było, co naprawdę przeżywa.

Colinowi nagle zrobiło się słabo, miał ochotę usiąść. Madeleine popatrzyła na niego ciepło, jakby chciała podtrzymać go na duchu. Nie wiedzieć czemu, zirytowała go ta jej życzliwość. Pewnie dlatego, że wiedział, jak bardzo jej w tej chwili potrzebuje.

- Pani Eversea miała nadzieję, że zdołam jakoś na ciebie wpłynąć - ciągnęła Fanchette Redmond. - Ale nie mogłam ryzykować zwrócenia się z tym do ciebie, bo byłam przekonana, że to ty stałeś za zniknięciem pana Peele'a. Postanowiłam więc wziąć sprawę w swoje ręce. I całkiem nieźle mi się udało, jak widać - dodała z satysfakcją.

- Więc to pani szantażowała tych wszystkich ludzi? - Colin nie wierzył własnym uszom.

- Nie. - Teraz Fanchette była zdumiona. - Szantaż, mówi pan? No cóż, jeśli trzeba się było uciec aż do szantażu, to tylko dlatego, że Isaiah odebrał mi dostęp do pieniędzy. Wstydź się, Isaiahu, przez ciebie musiałam wręcz zebrać u Baxtera. Ale jestem panią Redmond, z domu Tarbell. Zebranie mi nie przystoi. Udało mi się pokonać Baxtera jego własną bronią.

- Baxter ci pomagał, Fanchette? - O dziwo, Redmond zadał to pytanie całkiem spokojnym głosem.

- Cóż, musiał przecież zapłacić za uratowanie Colina Eversea. Gdy poszłam prosić Baxtera, żeby dał mi trochę pieniędzy, był dla mnie bardzo nieuprzejmy. - Na samo wspomnienie zarumieniła się z oburzenia. - Nie chciał mi dać ani pensa. Ale że, drogi Isaiahu, jestem sprytniejsza, niż ci się wydaje, powiedziałam mu, że wiem wszystko o jego romansie z tą nową pokojówką, Daisy Poe, i że każę go zwolnić, jeśli mi nie pomoże. Krótko mówiąc, musiał słono zapłacić za to, że mnie źle

potraktował. A ponieważ nie mogłam ruszyć twojego majątku, bobyś się zorientował, zdobył pieniądze w ten sam sposób, dzięki któremu ja zmusiłam go do pomocy. Krótko mówiąc, musiał odkręcić to, co wcześniej zrobił na twoje polecenie. Czy to nie zabawne? - W głosie miała dziwną mieszalinę goryczy i zadowolenia. - Jak widać, dobrze się spisał, skoro pan Eversea został uratowany, a ja nie wydałam ani pensa z twoich ukochanych pieniędzy, Isaiahu.

Dobry Boże! Colin uświadomił sobie, że wszystko, co mu się przydarzyło w ostatnim tygodniu, stało się głównie dlatego, że Fanchette Redmond nie dostawała pieniędzy od męża.

Próbował odtworzyć w myślach przebieg wydarzeń: Daisy Poe, siostra Mary Poe, powiedziała Baxterowi o procederze Critchleya, który z kolei wyjawiał, że doktor August kupuje od niego ciała. Baxter zaszantażował doktora, ten zaś zdradził sekret hrabiny i Harry'ego, dzięki czemu Baxter mógł zmusić Harry'ego, żeby został anonimowym posłańcem, którego potrzebował, by kontaktować się z Crokerem w Tygrysiej Norze i przynosić pieniądze. W zamian za ukrycie Horacego Peele'a w Marble Mile Critchley miał do dyspozycji powóz Klubu Merkuriusza, którym mógł przewozić ciała do Edynburga. Baxter zapłacił Horacemu i Madeleine z podwyżki, którą dostał - czy raczej sam sobie przyznał. Musiał być naprawdę zdesperowany, skoro próbował zabić Madeleine, kiedy nie zdołał zdobyć brakujących stu pięćdziesięciu funtów, które jej obiecał.

Baxter popełnił błąd, zatrudniając Roberta Bella, woźnicę Redmondów, i odnotowując w księgach własną podwyżkę. Ta skrupulatność okazała się dla niego zgubna, Marcus bowiem odkrył i powiązał fakty, podobnie jak Redmond.

Colin przypuszczał, że nigdy się nie dowie, czy Baxter działał z własnej woli, czy jednak na zlecenie Redmonda.

- Zapłaciłam za życie Colina Eversea jedyną monetą, na jaką było mnie stać: sekretami - podsumowała Fanchette Redmond. - A dzisiaj twój „sekret”, Isaiahu, stoi przed tobą cały i zdrowy.

- On nie jest moim ojcem - warknął Colin.

- Drogi chłopcze, mogę ci pokazać list twojej matki - odparła Fanchette. - Nie wysilałabym się do tego stopnia, gdybym go nie dostała. Może to był tylko wybieg, żeby mnie wciągnąć do pomocy w ratowanie pańskiego życia. Ale wątpię, żeby jakakolwiek kobieta łatwo zdobyła się na podobne wyznanie, zwłaszcza wobec kogoś, kogo uważa za wroga. Jeśli zapyta pan o to matkę, pewnie wszystkiemu zaprzeczy. Przynajmniej ja bym tak zrobiła, zwłaszcza teraz, skoro pan żyje. A chociaż nie mogę powiedzieć, że wierzyłam w pańską niewinność, wiem, co to znaczy stracić syna. I nie jestem pozbawiona ludzkich uczuć.

Zapadła cisza. Isaiah Redmond, mimo iż nadal bardzo blady, trzymał się prosto i patrzył na żonę tak, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Ścisłej rzecz biorąc, wpatrywał się w nią z nieskrywaną fascynacją.

Colin miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć Madeleine, która ani na chwilę nie spuściła z niego wzroku. Wiedział, że w ten sposób chciała mu dodać otuchy.

Wreszcie Isaiah powoli obrócił głowę i znacząco zerknął na pistolet Colina.

Colin westchnął, zabezpieczył broń i schował do kieszeni. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał do nikogo celować.

Spojrzał na Madeleine. Ona też opuściła pistolet.

- Fanchette - powiedział Isaiah do żony.

Gdyby Colin go nie znał, przysięgłby, że w jego głosie zabrzmiała błagalna nuta.

- Nie powinieneś był mi odbierać pieniędzy - odparła pani Redmond.

Małżonkowie przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Colinowi wydawało się, że jeszcze nigdy nie słyszał tak przejmującej ciszy. Zarazem jednak miał wrażenie, że wzajemne stosunki w tym małżeństwie właśnie uległy zdecydowanej poprawie.

Do diabła ze sprawiedliwością, pomyślał. Może coś takiego jak sprawiedliwość w ogóle nie istnieje. Może życiem rządzi ślepy los. Nie został

stracony, zdołał odnaleźć Horacego Peele'a. Miał dosyć Redmondów i ich milczenia. Chciał pojechać do domu, wciągnąć w płuca zapach morza, sturlać się z zielonego wzgórza, wypić kufel ciemnego piwa Pod Świniakiem i Ostem i nie musieć patrzeć na żadnego z Redmondów... Pozostawał tylko drobny problem ze ślubem, na który Redmondowie byli, niestety, zaproszeni.

- Więc mówi pan, że Horacy Peele się odnalazł? - Isaiah był uosobieniem spokoju, kiedy zadał to pytanie.

- Ja znalazłem Horacego - sprostował Colin. - Siedzi w tej chwili w pańskim salonie ze swoim trójnogim psem, który okropnie się ślini.

Z dziecinną satysfakcją zobaczył, że Redmond lekko zmarszczył brwi na wzmiankę o zaślinionym psie w jego salonie.

- Więc niech go pan zabierze do sędziego, żeby złożył zeznanie potwierdzające pańską niewinność - zasugerował Isaiah. - Na pewno nie będą długo tam was zatrzymywać.

- Ale Baxter próbował zabić Mad...

- Colin - usłyszał cichy głos Madeleine.

Opamiętał się natychmiast. Chciał surowej kary dla Baxtera, który strzelał do Madeleine, ale nie mógł przecież zdradzić, że to ona była mózgiem operacji, która okryła hańbą brytyjską armię. Pani Redmond najwyraźniej nie miała pojęcia, kto konkretnie wykonał jej zlecenie. To Baxter był pośrednikiem w całej sprawie.

- Nie przedstawi nam pan swojej towarzyszki, panie Eversea? - Redmond znowu silił się na ironię. Kiedy przyjrzał się Madeleine, w jego oczach błysnął szczerzy podziw. Męskie instynkty nie są łatwe do opanowania.

- Nie - odparł Colin. - Właśnie wychodzimy.

Miał nadzieję, że zatajając jej nazwisko, chroni ją przed zamieszczeniem w cały ten galimatias. Chociaż Madeleine pewnie tęskniła za czerwonymi kurtkami żołnierzy i wymierzonymi w nią pistoletami. Za dobrymi, porządnymi kłopotami.

- Jeśli przyjechaliście dorożką, to radzę wziąć powóz Klubu Merkuriusza - zaproponował niespodziewanie Isaiah. - Pan Bell może was zawieźć. Szybciej dotrzecie do Pennyroyal Green.

Colin znieruchomiał. Jeżeli to prawda, zastanawiał się, czy to coś zmieni? Co to będzie oznaczało dla niego i dla samego Redmonda? Niewypowiedziane pytanie zawisło w powietrzu.

Wreszcie skinął krótko głową.

- Dziękuję - rzekł.

- Do zobaczenia na ślubie w Pennyroyal Green - powiedziała Fanchette, kiedy Madeleine i Colin ją mijali.

O nieba. Chyba wszyscy byli zaproszeni na ten ślub, westchnął Colin w duchu.

Kilka następnych godzin minęło im w prawie zupełnym milczeniu.

Woźnica Redmondów zaprzął konie do powozu i najpierw zawiózł ich - na wyraźną prośbę Colina - do mieszkania Madeleine w przyzwoitej, choć nie ekskluzywnej dzielnicy Londynu.

Ostrożnie weszli na schody z naładowanymi pistoletami w dłoniach - siła przyzwyczajenia - co okazało się zbędne, jako że nikt się tam nie czaił.

Colin jeszcze wczoraj z przyjemnością patrzyłby, jak Madeleine się przebiera. Teraz niecierpliwie czekał pod drzwiami z Horacym i Łapajem, szepcząc raz po raz: „Pośpiesz się!”, podczas gdy ona zmieniała bieliznę, wkładała świeżą sukienkę i własny kapelusz.

- Masz ochotę na wesele? - spytał Horacego. Sprawę swojego uniewinnienia mógł załatwić, odwiedzając sędziego za dzień czy dwa. Teraz musiał jechać do Sussex, i to jak najszybciej.

- O, tak! Uwielbiam wesela! - ucieszył się Horacy.

Powóz Klubu Merkuriusza rzeczywiście przypominał uskrzydłony rydwan; pędził do Pennyroyal Green z oszałamiającą prędkością.

Początkowo Madeleine i Horacy prowadzili uprzejmą rozmowę, ale wkrótce wszelkie próby podtrzymania konwersacji utknęły, przytłoczone milczeniem Colina. Wyglądał przez okno z takim zainteresowaniem, jakby przesuwające się krajobrazy stanowiły wyrocznie, która udzieli mu odpowiedzi na wszelkie pytania i podsunie rozwiązania wszystkich dręczących go problemów. Patrzył, jakby nie widział tych miejsc już setki razy, w każdą pogodę i w każdym możliwym nastroju. A kiedy tak patrzył, wyobraźnia podsuwała mu rozmaite obrazy i wspomnienia, zupełnie jak w chwili, gdy szedł na szubienicę. Teraz jednak wszystko wyglądało całkiem inaczej, bo on był całkiem innym człowiekiem.

Stał w obliczu najważniejszej decyzji swojego życia.

Dostrzegł pas czerwieni, znak, że zbliżają się do Pennyroyal Green. Jak co roku latem natura ustroiła w maki zbocze wzgórza, na którym mieściła się pensja dla panien z dobrych domów panny Endicott (czy raczej pensja dla krnąbrnych panienek, jak ją wszyscy nazywali) - gdyby przypadkiem chłopcy z miasteczka nie mogli tam trafić. Gospoda Pod Świniakiem i Ostem stała na swoim zwykłym miejscu naprzeciwko wiekowego kościoła, gdyż oba te przybytki były niezbędne do duchowego dobrobytu mieszkańców miasteczka. Rezydencja rodu Eversea, licząca zaledwie kilka stuleci, roztaczała swój ceglany splendor wśród pagórków, rozłożystych drzew i pełnych łabędzi stawów, doskonale widoczna z obrzeży miasteczka.

Dom, pomyślał Colin ze wzruszeniem. Tak bardzo się bał, że już nigdy go nie zobaczy. A przecież tutaj były wszystkie odpowiedzi.

Serce zaczęło mu walić, kiedy uświadomił sobie, jak ważną decyzję ma podjąć.

- Przy moim oknie rośnie to wysokie drzewo. Zawsze się po nim wspinałem do środka i wychodziłem na dwór.

Były to pierwsze słowa, jakie Colin powiedział od blisko dwóch godzin, więc Madeleine i Horacy posłusznie spojrzeli we wskazanym kierunku.

Jedna z mieszkanek miasteczka - pani Notterley, jak zauważył Colin - w swojej najładniejszej różowej sukni, przytrzymując kapelusz, żeby nie zwiął go jej z głowy gwałtowny podmuch wiatru, szła żwirową dróżką prowadzącą do kościoła. Gdy powóz zatrzymał się przed świątynią, zniknęła za drzwiami.

Miasteczko wyglądało na opustoszałe. Pewnie wszyscy mieszkańcy zebrali się w kościele, żeby popatrzeć, jak „nasza panienka” Louisa Porter wychodzi za „naszego panicza” Marcusa Eversea.

Colin, Madeleine i Horacy wysiedli z powozu.

W dniu ślubu niebo powinno być niebieskie, pomyślał Colin. Tymczasem nadciągały szare chmury zwiastujące deszcz, który zamieni drogi w błotniste potoki.

Było parno. Najwyższa pora, żeby spadło trochę deszczu.

Odezwał się kościelny dzwon. Colin stał nieruchomo, wpatrzony w Madeleine, i dziwił się, że dudnienie jego serca nie zagłusza bicia dzwonu.

Horacy odchrząknął i spytał:

- Mogę wejść? Tak lubię piękne śluby.

Colin odpowiedział, nawet na niego nie patrząc.

- Oczywiście. Wchodź śmiało.

Horacy pobiegł ścieżką z Łapajem u boku i wkrótce obaj zniknęli za drzwiami kościoła.

Colin zdjął szeroki kapelusz, kupiony za pensa od starego pijaka, żeby nic nie zasłaniało mu Madeleine. Miała na sobie świeżą fioletową sukienkę i wyglądała w niej zachwycająco.

Musiała dojrzeć w jego twarzy coś niezwykłego, bo z jej ust wydobył się istny potok słów.

- Lepiej idź już do tego kościoła, Colin. Ja nie chcę od twojego ojca żadnych pieniędzy, bo te, które zabraliśmy Huntowi, wystarczą na rejs statkiem, a potem...

- Madeleine - przerwał jej łagodnie.

Zamilkła i zbladła jak ściana. Sprawiała wrażenie... przerażonej. Ręce mu się pociły, a w brzuchu szalał istny tajfun. Wziął głęboki wdech, wypuścił powietrze i powiedział:

- Kocham cię.

Jeszcze nigdy nie powiedział tego żadnej kobiecie.

- Wiem - odparła. - I co z tego?

Może gdyby wbiła mu sztylet w serce, zabolaloby go bardziej. Ale pewnie nie.

Zapadła cisza. Jeśli nie liczyć bicia kościelnego dzwonu.

- Wcale nie chcę cię kochać - powiedział w końcu. - Ale i tak kocham.

Uśmiechnęła się, lecz nic nie powiedziała.

- No i co? - naciskał.

Czuł się bezbronny, bezradny i coraz bardziej poirytowany.

Madeleine pokręciła głową.

- Więc mówisz, że mnie kochasz, Colinie. I... co dalej? - Odwróciła do góry puste dłonie, jakby chcąc mu pokazać, czego może się spodziewać.

- Dalej... będziemy żyć razem - powiedział ochrypłym głosem.

Improwizował. Prawdę mówiąc, „co dalej?” to dobre pytanie. Przez wszystkie minione lata żył według jednego planu, miał tylko jedno marzenie i dopiero w którymś momencie tej szaleńczej jazdy do domu zdołał się od niego uwolnić. Dopiero teraz zrozumiał, że było jak balast. Pozwalało mu utrzymać równowagę, ale nie dawało poszybować w obłoki. Już go nie potrzebował. Stał się mężczyzną i wreszcie poznał samego siebie, zobaczył, co ma w sercu i w duszy. Dzięki Madeleine.

Nie wiedział, co będzie dalej. Ale wiedział - prawdopodobnie od chwili, kiedy po raz pierwszy ją zobaczył - że to właśnie jest miłość. Wszystkie jego wybryki i kaprysy, poprzez które poznawał świat zmysłów i uczuć, były jedynie poszukiwaniem tego, co przeżywał teraz z nią. Namiętność i zarazem spokój.

Śmiech i przyjaźń. Boże, jak on ją kochał. Ta miłość sprawiała, że czuł się mały i nic nieznaczący.

Trochę go to przerażało.

Zwłaszcza że czuł, iż coś idzie zupełnie nie tak, jak powinno.

- To była tylko przelotna miłośćka, Colinie - zaczęła Madeleine ostrożnie.

- Nie przelotna - odparł. - Ja cię kocham już na zawsze.

- Ujmę to inaczej: mieliśmy wspólny cel i daliśmy sobie odrobinę przyjemności, żeby łatwiej nam było do tego celu dążyć. Niebezpieczeństwo sprawiło, że wszystko przeżywaliśmy mocniej. Nie przeczę, że to, co było między nami, było bardzo przyjemne. Ale teraz rozstaniemy się jak przyjaciele, życząc sobie szczęścia, i każde z nas wróci do własnego życia. Idź powstrzymać ten ślub, Colinie. Twoje życie jest tam, w kościele. A moje zupełnie gdzie indziej, więc odjadę.

Co za koszarne brednie. Sama chyba nie wierzy w to, co wygaduje. Wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Więc godzisz się na to, że już nigdy więcej mnie nie zobaczysz - spytał.

Patrzyła na niego z kamienną twarzą. Na krótką chwilę w ciemnych oczach zamigotał strach i znowu zrobiły się nieprzeniknione.

Dzwon kościelny nie przestawał bić. Na twarz Colina spadła pierwsza kropla deszczu; otarł ją niecierpliwym ruchem.

- I godzisz się na to, że już nigdy więcej mnie nie dotkniesz?

Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Trafiona.

Drażył więc tę szczelinę w jej zbroi, a jego słowa maszerowały ponurym szeregiem, niby więźniowie idący na szubienicę.

- Godzisz się na to, że już nigdy więcej nie będziemy się kochać. Że nigdy więcej nie usłyszysz mojego głosu. Mojego śmiechu.

Zobaczył, jak krew odpływa jej z twarzy, a wokół oczu pojawiają się czerwone obwódki. Dobrze jej tak.

Kościelny nie przestawał ciągnąć za sznur od dzwonu.

- Godzisz się na to, że już nigdy więcej nie obudzisz się u mojego boku.

Kiedy sam pomyślał, że może jej już nigdy nie zobaczyć, poczuł się, jakby po raz drugi został skazany na śmierć.

Zamilkł. Nie miał do powiedzenia nic więcej. Bo co jeszcze mógłby dodać? Nie będzie jej przecież błagał.

- Poradzisz sobie, Colinie - rzekła bardzo cicho. - Jeszcze będziesz szczęśliwy. Masz do tego talent.

Niech ją wszyscy diabli.

- Powiedz to, Madeleine - zażądał.

Dobrze wiedziała, o co mu chodzi.

- A jaką to zrobi różnicę? - odparła i odwróciła się w stronę powozu, jakby już chciała uciekać.

Dotknął jej ramienia, żeby ją zatrzymać. Powoli zwróciła się w jego stronę.

- Powiedz to. Powiedz mi to w twarz, a potem możesz odejść.

Patrzyła na niego bez zmrużenia powiek. Ach, te oczy. Jak gwiazdy, jak wieczność, jak niebo, jak cały świat. Zobaczył w nich odpowiedź, jeszcze zanim ją usłyszał. Wiedział, że to prawda, że ona czuje to samo. I że to niczego nie zmienia.

- Kocham cię, Colinie.

Wstrząsnęła nim siła uczucia w jej głosie. I w tej chwili ją zrozumiał.

- Jesteś bardzo dzielna, Madeleine - rzekł. - Jesteś najodważniejszą kobietą, jaką znam.

Chciał jej w ten sposób powiedzieć, że nie musi się wstydzić swojego strachu. Bo miłość to przecież najpotężniejsza siła na świecie, a ona już jedną straciła. Colina nie było już stać ani na kpinę z tego, że Madeleine ucieka przed miłością, ani na złość, ani na kolejną próbę przekonania jej do zmiany zdania.

Ona uratowała mu życie. A ponieważ ją kochał, nic już nie powiedział.

Odsłonił się przed nią, wyznając jej miłość. Teraz musi pozwolić jej odejść. Musi jej pozwolić na strach, ten jeden raz.

To będzie jego ostatni prezent dla niej.

Madeleine mimowolnie sięgnęła ręką do twarzy, żeby odgarnąć kosmyk włosów, który wysunął się z koka i łaskotał ją w nos. I ten gest przerodził się w pożegnanie: uniosła rękę w niemym pozdrowieniu, uśmiechając się smutno.

Potem odwróciła się od niego i stanowczym krokiem podeszła do powozu.

Stangret wyciągnął rękę i Madeleine wsparła się o jego dłoń; sprężyny ugięły się lekko, kiedy wsiadała. Woźnica zatrzasnął drzwiczki i wszedł na kozioł. Po chwili powóz ruszył. Colin patrzył za nim, dopóki nie zmienił się w maleńką kropeczkę na drodze.

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że dzwon ciągle bije.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł do kościoła.

Rozdział 23

Był to niski, kamienny kościółek zwieńczony smukłą wieżą i z kolorowymi witrażami w oknach. Niczym szczególnym się nie wyróżniał, ale mieszkańcy Pennyroyal Green byli do niego bardzo przywiązani.

Colin uchylił drzwi i ukradkiem wśliznął się do środka.

Drzwi lekko zaskrzypiały, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, bo uwagę zgromadzonych przykuwała młoda para na stopniach ołtarza.

Ksiądz właśnie zaczął wypowiadać odwieczną formułę przysięgi małżeńskiej. Nad przyozdobionymi w odświętne kapelusze głowami kobiet z najlepszych okolicznych rodzin, nad głowami ich mężów, braci i sąsiadów wystrojonych w najlepsze ubrania, nad głowami ludzi, których znał, odkąd nauczył się rozpoznawać twarze, widział swojego brata Marcusa i Louise.

Dobry Boże, ależ ona piękna! Jej włosy lśniły jak słońce, a jej twarz promieniała. Marcus trzymał jej ręce w dłoniach. Jeszcze parę słów i będzie po wszystkim.

Colin zatrzymał się w progu i przyłgął do ściany. Serce łomotało mu tak mocno, jak serce tego dzwonu na wieży.

Wtedy Marcus - może dlatego, że jako jedna z niewielu osób w kościele stał - musiał zauważyć albo wyczuć jego obecność.

Nic w jego postawie nie wskazywało na to, że wie, ale Colin dostrzegł cień strachu w ciemnych oczach brata.

Spojrzał mu w twarz i ledwo zauważalnie skinął głową. Potem, świadomy, że brat na niego patrzy, zajął miejsce w ławce obok Horacego. Marcus odwrócił się z powrotem do Louisy.

To niesamowite, że bracia potrafią porozumieć się ze sobą jednym spojrzeniem. W ciągu zaledwie kilku sekund Colin udzielił Marcusowi milczącego błogosławieństwa i był przy tym pewien, że nikt w kościele niczego nie zauważył.

Horacy Peele objął go po przyjacielsku i razem patrzyli, jak kobieta, którą Colin kochał przez całe życie, zostaje żoną jego brata.

Louisa, marzenie, od którego się uwolnił.

Colin nie chciał, żeby dzień ślubu Marcusa i Louisy zamienił się w świętowanie jego dramatycznego powrotu. Próbował wymknąć się z kościoła niezauważony i przekraść do domu, zanim go ktokolwiek zobaczy, ale Pennyroyal Green było typowym małym miasteczkiem, gdzie wszyscy się znali.

W pierwszych słowach przeprosił, że jest nieogolony, na co wszyscy się roześmiali, po czym zapewnił, że jego ucieczka nie była nawet w połowie tak ekscytująca, jak niewątpliwie opisywano w gazetach, i że po prostu się spieszył, bo chciał zdążyć na ślub. Zapewnił również, że jest niewinny i że już niedługo wszystko się wyjaśni.

A stanie się tak, gdy tylko Horacy złoży zeznanie przed odpowiednimi władzami.

Przedstawił wszystkim Horacego oraz wersję wydarzeń, którą wcześniej razem ustalili. Nie obejmowała ciał wykradanych z cmentarza ani Redmondów, jeśli zaś chodzi o rolę Horacego, miał on gdzieś się zgubić i dopiero teraz został szczęśliwie odnaleziony. Powszechnie uznano, że powrót Colina to najwspanialszy prezent ślubny dla Marcusa i Louisy.

A sam najwspanialszy ślubny prezent... czuł się skrajnie wyczerpany.

Ale był w domu. Wreszcie w domu, gdzie czekała na niego sypialnia z wygodnym łóżkiem i wanna, którą może kazać bez końca napełniać gorącą wodą. Były tam czyste ubrania szyte na jego miarę i były - o cudzie nad cudami! - mydło i brzytwa.

Poszedł do swojego pokoju, obmył się pospiesznie, przebrał i wrócił do jadalni.

Matka postanowiła podać obiad zamiast zwyczajowego śniadania, co było bardzo nowoczesnym posunięciem, choć niewątpliwie narażało gości na kłopoty z trawieniem. W Pennyroyal Green bowiem przestrzegano tradycji i zawsze jadano posiłki o określonych porach.

Kiedy matka zobaczyła Colina, przytuliła go bez słowa i długo obejmowała, roniąc łzy radości.

Matki są naprawdę niezwykłe. I jego matka, i Fanchette Redmond.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, Colin patrzył przez całą salę na matkę, pogrążoną w rozmowie z jednym z gości. Wydawała mu się całkiem inna niż przedtem, choć zewnątrz nic się w niej przecież nie zmieniło. Miała gęste ciemne włosy z pojedynczym pasmem siwizny, pociągłą twarz i ciemnoniebieskie oczy. Już niemłoda, ale wciąż piękna. Obie jej córki bardzo przypominały swojego ojca, Jakuba Eversea, chociaż były podobne i do niej. Trzej synowie też nie mogli się wyprzeć żadnego z rodziców.

Ale był jeszcze jeden syn - podrzutek, w którego żyłach płynie krew Redmondów.

Colin zastanawiał się, co kryje serce jego matki, co ją uczyniło taką, jaka jest. Czy Jakub Eversea był jej jedyną miłością, czy też namiętność połączyła ją kiedyś z Isaiahem Redmondem? Czy kiedykolwiek będzie miał na tyle odwagi, żeby zapytać ją o Redmonda?

Może pewnego dnia weźmie matkę na długi spacer po łąkach, tam zada jej trudne pytania i będzie czekał na odpowiedzi. Może pewnego dnia, kiedy będzie miał pewność, że naprawdę chce te odpowiedzi poznać. Dziś wiedział jedno: cokolwiek zaszło między jego rodzicami, nadal się kochali. Poznawał to po tym, jak się do siebie odnosili, jak na siebie patrzyli, jak dzielili ze sobą życie.

Miłość jest cudowna, a małżeństwo jeszcze wspanialsze.

On zaś, biorąc pod uwagę swoje miłosne perypetie, nie miał prawa nikogo sądzić.

Postanowił, że naje się do syta, pójdzie się wykapać, a potem zajmie się leczeniem swojego złamanego serca. Na stołach w sali balowej piętrzyły się stosy pysznego jedzenia, nałożył więc ogromną porcję na talerz i rozejrzał się w poszukiwaniu cichego kącika, w którym mógłby spokojnie zjeść. Szybko znalazł idealne miejsce - pod schodami kuchennymi.

Ale tam znalazła go Louisa.

Przeżył wstrząs, widząc ją z tak bliska. Była przepiękna. Tak długo o niej marzył, że stała się dla niego bardziej ideałem niż zwykłą kobietą. Trochę się zawstydził, kiedy to sobie uświadomił. Była dla niego ostoją, była najlepszą przyjaciółką. Ale nie byli sobie przeznaczeni. Nie kochał jej.

Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Louisa po prostu stała i patrzyła na niego, a on podniósł się, odłożył talerz i uklonił się.

- Och, na litość boską, siadaj - powiedziała.

Usiadł więc, a ona przycupnęła na schodku obok niego. Nawet nie próbował zgadywać, co się kryje w jej ślicznej główce. Jakie to dziwne. Była krzepiąco znajoma, ale już nie potrafił czytać jej w myślach. Chociaż nic a nic się nie zmieniła.

- Ślicznie wyglądasz - rzekł wreszcie.

To był bezpieczny komplement w wypadku większości kobiet.

- Colin...

Uśmiechnął się. Stęsknił się za jej głosem.

- I wyglądasz na szczęśliwą - dodał pospiesznie. - Jesteś szczęśliwa, Louiso?

Spojrzała na niego niepewnie i przyglądała sukienkę. Zawsze tak robiła, kiedy się denerwowała.

Nie chciał, żeby przez niego doznała jakiegokolwiek przykrości, i to w dniu swojego ślubu. Jeśli tylko zdoła, musi ją uwolnić od najmniejszej odrobiny żalu. Chociaż życie nie zawsze układa się tak, jakby człowiek chciał. Cóż, może przynajmniej spróbować.

- Chodziło mi o to - powiedział - że nic mnie tak nie cieszy, jak widok twojego szczęścia. Naprawdę. Słowo daję. I to samo powtórzę Marcusowi.

Nie dodał: „Chociaż wydaje mi się, że on już to wie”.

Louisa przez moment wpatrywała się w niego badawczo. Najwyraźniej uznała, że mówił szczerze, bo na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Bardzo cię kocham, Colinie.

- Wiem.

Uśmiechnęła się.

- Chyba nie powinnam tego mówić innemu mężczyźnie, kiedy mój mąż stoi parę metrów dalej.

- Dość odważne stwierdzenie - przyznał. - Rzekłbym, że bardzo nowoczesne. Ale rozumiem, o co ci chodzi, Louiso.

Był w pełni świadomy ironii losu: dwie kobiety wyznały mu miłość, ale nigdy nie będzie miał żadnej z nich.

Nie pytał Louisy, czy kocha Marcusa, bo wiedział - i ona też o tym wiedziała - że Marcus kocha ją tak, jak on nigdy nie byłby w stanie.

Kochał ją tak, jak on kochał Madeleine: z niezmienną, głęboką pewnością.

Jeśli nawet Louisa jeszcze nie kocha męża... cóż, to tylko kwestia czasu.

Podejrzewał jednak, że już go kocha, choć może jeszcze sama o tym nie wie.

- Nie pasujemy do siebie, Colinie - powiedziała cicho. - Nie w ten sposób.

Jemu nie musiała tego tłumaczyć.

- Wiem.

Poniewczasie zorientował się, że to nie była zbyt taktowna odpowiedź.

- Boli cię urażona duma? - szepnęła, jakby zwierzała się przyjaciółce.

- Trochę tak - przyznał.

- Mnie też - wyznała.

Roześmiali się oboje. Ten słodko-gorzki, ale zabawny moment przełamał chwilowe skrepowanie.

- Tak strasznie się cieszę, że żyjesz - powiedziała Louisa już swobodniej. - A niedługo wszyscy się przekonają, że jesteś niewinny.

- Ja też się z tego cieszę - odparł. - A teraz wracaj do gości, Louiso, bo zaczną szukać panny młodej. Ja chcę się najeść, wykapać i zacząć żyć jak człowiek. Witaj w rodzinie Eversea, bratowo.

Ponieważ jako świeżo upieczony szwagier miał do tego prawo, cmoknął ją w policzek. Jeśli widziały to jakieś wścibskie plotkary - a takich w Pennyroyal Green nie brakowało - trudno. Niech sobie gadają, przynajmniej nie zabraknie im tematów do plotek.

Louisa wstała, ale zanim odeszła, powiedziała:

- Widziałam cię, jak wszedłeś do kościoła.

- To dobrze - odparł z uśmiechem.

Dobrze, że sama dokonała wyboru.

Była taka śliczna, taka szczęśliwa i zupełnie nie dla niego. Podeszła do męża, który na jej widok rozpromienił się z radości.

Colin osunął się na schody i pozwolił sobie na chwilę użalania się nad własnym losem. Teraz, kiedy zrozumiał, co to znaczy naprawdę kogoś kochać, podejrzewał, że już nigdy nie zazna takiego szczęścia, jakie Marcus dzielił z Louisą. W sercu miał wyrwę wielkości i kształtu Madeleine Greenway.

Cóż, uznał wreszcie, może jest mu przeznaczone cieszyć się szczęściem innych. Kto by pomyślał, że jego, Colina Eversea, stać na taką wielkoduszność? Zaśmiał się w duchu sam z siebie.

Jak to kiedyś powiedział Madeleine, życie bywa czasami cholernie trudne.

Madeleine nie miała pojęcia o statkach, ale ten cieszył się doskonałą opinią. Olbrzymie żagle wzdymały się i trzeszczały na wietrze; statek sprawiał wrażenie, że lada moment zerwie się z kotwicy i odpłynie.

Imponujący widok.

Cóż, kiedy jej serce, zamiast na ten widok doznać przyływu entuzjazmu, uparło się, żeby przypominać raczej ciężką kotwicę.

Kufer - zawierający cały jej dobytek - czekał na załadunek. Stała na pomoście, a wokół niej kłębił się tłum podekscytowanych pasażerów. Rozmyślała o tygodniach, które spędzi na pokładzie, i czuła na sobie ciekawskie, lecz przyjazne spojrzenia. Była sama, co mogło zaskakiwać, ale na morzu konwenanse aż tak się nie liczyły, a jej dobre maniery, wdzięk i pozycja wdowy na pewno załatwią resztę. Zdobędzie nowych przyjaciół. Chciała mieć przyjaciół.

Uśmiechnęła się pod nosem. Nikt z tych ludzi nawet nie podejrzewał, że niedawno spędziła upojną noc na sianie w towarzystwie zbiegłego przestępcy i że Colin Eversea pomógł jej na powrót stać się sobą. Odwróciła wzrok od tłumu i popatrzyła na fale bijące o kadłub. Ich kolor przywodził na myśl niebo przed burzą, więc znowu spojrzała na białe żagle.

Kiedy wreszcie zostawiła za sobą Sussex i Colina, i jego oczy, i jego „kocham cię”, poczuła niewysłowioną ulgę. Jadąc do Londynu, zanosila się od płaczu, jakby łkaniem mogła zagłuszyć wspomnienie jego głosu, a łzami zamazać obraz jego twarzy. Nie pozwoliła, by ulga przerodziła się w inne uczucie, na przykład żalu; ostatni tydzień spędziła w ferworze gorączkowych starań o zdobycie reszty pieniędzy na zakup farmy w Wirginii. Zastawiła ubrania i meble, poszła nawet do Crokera, który dał jej dziesięć funtów. W końcu zebrała pieniądze na farmę, ale nie na podróż do Ameryki.

Wtedy wpadła na znakomity pomysł. Złożyła wizytę Fanchette Redmond i poprosiła ją o wsparcie. Nie był to typowy szantaż, ale że pani Redmond szanowała siłę sekretów, a mąż przestał ograniczać jej wydatki, uznała, iż warto opłacić podróż do Ameryki komuś, kto wie o niej więcej, niż powinien.

Madeleine poczuła na ręce coś ciepłego i wilgotnego. Spojrzała w dół i zobaczyła Łapaja, który lizał jej dłoń, podskakując na trzech nogach i energicznie merdając ogonem.

Pogłaskała kosmaty łeb i podniosła wzrok na Horacego, który właśnie kłaniał się jej z uśmiechem.

- Witam, pani Greenway!

- Dzień dobry, Horacy. Miło cię widzieć. Wyszedłeś na spacer do przystani?

- A tak, spacerujemy sobie z Łapajem. Piękny mamy poranek. A pani co, do Ameryki?

- Ja... - Zamarła z ręką na głowie Łapaja.

Ciężar, który nosiła w sercu, pękł gwałtownie. Ogrom tego, co sobie uświadomiła, sprawił, że dostała gęsiej skórki. Obraz przystani i Horacego rozmył jej się przed oczami, bo popłynęły z nich łzy. Ale jednocześnie uśmiechała się, co całkiem zdezorientowało biednego Horacego.

Przypomniała sobie, jak przeraziła się Łapaja, kiedy rzucił się na nią w Baranim Folwarku. Równie gwałtownie przyszła do niej miłość, więc poczuła ulgę,

kiedy przed nią uciekła. A przecież nie było się czego bać i tak naprawdę nie mogła przed nią uciec.

Bo miała ją - i Colina - już na zawsze w sercu.

Strach kazał jej uciekać z Sussex. Ale teraz w jej życiu nie było miejsca na strach. Teraz pchała ją naprzód miłość. Miała tylko nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

- Nie, Horacy. Jadę do Sussex.

Nie spał - bardzo źle sypiał przez ostatnie pięć dni, odkąd wrócił do domu - więc usłyszał pierwszy kamyk, który uderzył w okno. Pojedyncze stuknięcie.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś duży owad zakończył nieszczęsny żywot na jego szybie. Ale gdy stuknięcia zaczęły się powtarzać w mniej więcej regularnych odstępach, uznał, że to nie mogą być owady ani nawet deszcz.

Serce podskoczyło mu do gardła.

Nie śmiał robić sobie nadziei i za bardzo się bał, żeby się modlić, więc zamiast tego zadziałał: wstał z łóżka, odsunął zasłony i spojrzał w dół.

Stała tam Madeleine i patrzyła do góry. Właściwie zobaczył tylko rozmazaną plamę na tle drzewa, ale już tyle razy widział Madeleine w ciemnych, zamkniętych pomieszczeniach, że tę rozmazaną plamę poznałby chyba wszędzie.

Otworzył okno, usiadł na łóżku i czekał. Powiedział jej przecież o drzewie. Niech teraz ona się trochę pomęczy.

Niecałą minutę później usłyszał, jak się wspina - liście zaszeleściły, co cieńsze gałęzie skrzypnęły - aż w końcu pojawiła się na parapecie i z gracją przerzuciła przez niego nogi.

- Nie miałeś racji - powiedziała.

- W jakiej sprawie? - spytał cicho.

Serce waliło mu jak oszałałe.

Siedziała na parapecie, obejmując rękami kolana, jakby nie mogła się zdecydować, czy wejść do środka.

- Wcale nie jestem odważna.

- Niemożliwe.

Prychnęła śmiechem, a potem zerknęła w dół, oceniając odległość od parapetu do podłogi. Uznawszy, że odległość jest bezpieczna, zeskoczyła. Podeszła do łóżka i usiadła w nogach. Poza jego zasięgiem, zauważył. Przynajmniej chwilowo.

Czekał, aż wreszcie coś powie. Znowu oplotła kolana rękami i zamiast spojrzeć na niego, wbiła wzrok w narzutę. Twarz miała wyrzeźbioną światłocieniem; widział, że ma lekko zmarszczone brwi.

- Nie ożeniłeś się z Louisą? - zapytała w końcu.

Właściwie było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, zwłaszcza że siedziała w jego rodzinnym domu na jego łóżku, a Louisy w nim nie było.

- Oczywiście, że nie. Zamierzam się ożenić z tobą - odparł rzeczowo.

Milczała chwilę.

- No, dobrze - rzekła wreszcie.

Nie mógł się nie roześmiać.

- Nie bój się, Mad.

Poderwała głowę.

- Wcale się nie...

- Właśnie, że tak. Ja też się boję, ale temu trudno się dziwić. W końcu jestem potwornym tchórzem.

Powiedział to, bo miał nadzieję, że zaprzeczy. Nie zawiódł się.

- Jesteś najodważniejszym, najwspanialszym człowiekiem, jakiego znam, Colinie Eversea.

Znowu wybuchnął śmiechem, po czym odparł:

- Może dla ciebie. Pocałuj mnie, Mad.

Nachyliła się ku niemu i przycisnęła do jego ust miękkie wargi. Były chłodne, ale już on ją rozgrzeje.

Przytulił twarz do jej policzka, żeby przelać na nią trochę ciepła i wciągnął w nozdrza jej zapach. Ach, Madeleine.

- A co z Louisa? - wyszeptała i przysunęła się bliżej.

- Czemu tak się nią przejmujesz?

Wzruszyła ramionami, spoglądając gdzieś ponad jego głową.

- Louisa była zachwycona, że żyję - powiedział. - Poślubiła Marcusa i jestem pewien, że będą ze sobą bardzo szczęśliwi. Nic mnie bardziej nie cieszy, może tylko myśl, że spędzę resztę życia przy tobie.

Słuchała go w milczeniu.

- Kochasz ją? - spytała, gdy skończył.

- Tak.

Chciała się od niego odsunąć, ale nie pozwolił jej na to. Objął ją i mocno przytrzymał.

- Kocham ją, tak jak się kocha wspomnienia z dzieciństwa, Albo jak kocham moje siostry, Genevieve i Olivie, albo... Nie mogłem odpowiedzieć: „Już jej nie kocham, Mad”, bo to nieprawda, a ja cię nigdy nie okłamię. Czy naprawdę nie widzisz, że to ty jesteś moją miłością? Nie mogę bez ciebie żyć i... na litość boską, nie każ mi dalej tak mówić, jakbym był romantycznym głupcem. Powiedz mi, że rozumiesz.

Uśmiechnęła się tym swoim cudownym uśmiechem.

- Rozumiem.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi.

- Jak myślisz, spodoba ci się życie ze mną w Sussex, Madeleine? Na farmie?

- Nie wiem - odparła szczerze.

Uśmiechnął się kącikami ust.

- Cóż, to mi musi wystarczyć.

- Ale się postaram - dorzuciła pospiesznie.

- Nigdy nie będziesz się przy mnie nudzić - obiecał.

- Wiem - zgodziła się nie bez obawy.
- Może za jakieś dziesięć lat w końcu się ustatkujemy.

Wzięła głęboki oddech i wyznała:

- To wszystko nieważne, liczy się tylko, że będę z tobą.

Odwróciła głowę. Colin, tknięty przeczuciem, przesunął palcem po jej policzku i poczuł żar rumieńca. Dzielna dziewczynka. Podniosła na niego wzrok, a on ujął jej twarz w dłoń.

- Tak, tylko to się liczy - powiedział stanowczo. I choć był równie przerażony jak ona, postanowił, że od dzisiaj dla niej będzie odważny. Będzie ją chronił do końca swoich dni, żeby już nigdy niczego nie musiała się bać, żeby nigdy już nie była sama. To ona odkryła w nim bohatera, więc będzie dla niej bohaterem do końca życia.

Na myśl o tym, że spędzi resztę życia z Madeleine, zakręciło mu się w głowie.

- Kocham cię, Colinie - szepnęła.

- To świetnie - odparł. - Jeśli cię to interesuje, znam mnóstwo sposobów, żeby ci pokazać, jak bardzo cię kocham.

- Zaczynij od razu - poprosiła.

Jakżeby śmiał nie spełnić jej prośby. Wziął ją w objęcia i przystąpił do pokazywania...

